



***JULIA CAMERON***



***Duch Mozarta***

*Tytuł oryginalny: Mozart's Ghost*

*Timowi Farringtonowi, pisarzowi pisarza*

## **Podziękowania**

Sophy Burnham za misterną robotę,

Christopherowi Cameronowi za biologię morza,

Domenice Cameron–Scorsese za czystość,

Carolinie Casperson za romantyzm,

Sonii Choquette za pełną zaangażowania wizję,

Judy Collins za inspirację,

Joelowi Fotinosowi za wiarę,

Natalie Goldberg za towarzystwo,

Gerardowi Hackettowi za zrozumienie,

Lindzie Kahn za pomoc,

Benowi Lively'emu za cały ten jazz,

Emmie Lively za muzykalność,

Larry'emu Lonerganowi za to, że jest medium pełną gębą,

Marcii Markland za światło przewodnictwo,

H.O.F. za wirtuozerie,

Susan Raihofer za wytrwałość,

Edowi Towle'owi za niezachwiane zaufanie.

# 1

Była spóźniona. Znowu wyszła z domu za późno. Któregoś dnia – mówiła sobie – przyjdzie do klasy wcześniej, świeża, odprężona, spokojna. Ale nie dzisiaj. Stara winda w budynku, w którym znajdowało się jej mieszkanie telepała się powoli na dół. Anna niecierpliwie tupiała w niej nogą. Kiedy na parterze drzwi windy się rozsunęły, zobaczyła, że wyjście jest zastawione. W maleńkim holu stał w poprzek olbrzymi, czarny jak węgiel fortepian. Nie sposób było go obejść, chyba że przeszłaby pod nim na czworaka.

– Hej! Niektórzy chcieliby przejść! – zawołała. – Proszę! Jest tam kto?!

Alec, dozorca, który nadzorował wnoszenie fortepianu, zauważył, w jakim znalazła się położeniu.

– Niech pani pojedzie na górę – poradził. – I zejdzie po schodach.

– Ale nie mam czasu!

Wtedy odezwał się rudowłosy nieznajomy. Stał z boku, w towarzystwie dwóch tragarzy w kombinezonach roboczych.

– Myśleliśmy, że już wszyscy poszli do pracy – wyjaśnił. – To nie potrwa długo.

– Dla mnie to już trwa za długo. Dobra, nieważne!

Anna wcisnęła odpowiednie guziki w windzie. Gdy drzwi się zamykały, dostrzegła jeszcze rudowłosego. Uśmiechał się przeproszająco. A może tylko takie odniosła wrażenie. Mimo kręconych rudych włosów i okularów w stylu Woody'ego Allena wydał jej się całkiem atrakcyjny.

Drzwi windy się zasunęły i wtedy usłyszała pełen przygany głos z wyraźnym obcym akcentem: „Powinnaś być dla niego bardziej uprzejma. Żeby poczuł się tu mile widziany”.

„Nie jest mile widziany – stwierdziła Anna, świadoma, że dyskutuje w myśli z duchem. – To uroczy, cichy budynek, rzecz niezbędna w mojej pracy. Jeszcze mi tego brakowało, żeby ktoś tu dzień i noc rzępolił na fortepianie”. – Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem windę, upewniła się, że duch przybrał jedynie postać głosu.

„Rzępolił? – duch wydawał się oburzony. – On świetnie

„Nikt go tu nie zapraszał – upierała się Anna. – Ani ciebie!”

„Mogłabyś chociaż trochę poudawać – duch nie ustępował. – Odrobina kobiecego wdzięku jeszcze nikomu nie zaszkodziła”.

„Spieszę się – oznajmiła Anna niepotrzebnie. – Już jestem spóźniona, a przez niego spóźnię się jeszcze bardziej. A w ogóle co cię to obchodzi? Jesteś duchem”.

„Nie musisz mi przypominać – westchnął. – Odpowiadam za jego szczęście. Jego dobre samopoczucie. Spokój. Chcę, żeby było mu jak najlepiej, i zamierzam dopilnować, by tak się stało”.

„Mnie do tego nie mieszaj – odcięła się Anna, gdy winda stanęła. – I jeśli zamierzasz mnie odwiedzać, zapraszam w godzinach pracy”.

„Wyjašnjmy coś sobie – prychnął duch. – O moją uwagę zabiegali królowie. Sam papież pasował mnie na rycerza. Miałbym się z tobą umawiać?” – Najwyraźniej potrafił walczyć o swoje.

„A owszem. Pogadamy w godzinach przyjęć”. – Drzwi windy się otworzyły i Anna pobiegła w stronę schodów, zostawiając ducha za sobą.

## 2

Czy to za sprawą wyobraźni, jako osobie pochodzącej ze Środkowego Zachodu twarze nowojorczyków wydawały się Annie ciekawsze, może bardziej wyraziste czy ostrzej rzeźbione niż skandynawskie rysy ludzi, jakich znała z dzieciństwa w Michigan. Po części właśnie uciekając przed koniecznością poślubienia takiej skandynawskiej twarzy, przyjechała do Nowego Jorku. W Ann Arbor skończyłaby jako czyjaś zdziwaczka, nieszczęśliwa żona. Nowy Jork natomiast oferował jej szansę, że ktoś pokocha ją niezależnie od wszystkiego, albo – ponieważ w mieście nie brakowało singielek – możliwość samotnego życia bez poczucia wstydu. W Ann Arbor byłaby starą panną. W Nowym Jorku była singielką.

Trzydziestodwuletnia Anna mieszkała teraz w jednopokojowym mieszkaniu na Upper West Side na Manhattanie. Jej kawalerka znajdowała się na czwartym piętrze przedwojennej kamienicy, zbudowanej w latach dwudziestych. Z wychodzących na północ okien miała rozległy widok na dachy, gdzie sąsiedzi, trochę zminiaturyzowani, urządzali sobie barbecue albo opalali się na małych tarasach.

Wychyliwszy się nieco z okna przy schodach przeciwpożarowych, Anna mogła zobaczyć zielony skrawek Central Parku – bliżej drzew, kojarzących się jej z Ann Arbor, nie chciała się znaleźć. Tam, skąd przyjechała, była uważana za odmieńca, jak wiele innych osób, które przeniosły się do Nowego Jorku. Ze swoją błogosławioną anonimowością Nowy Jork stanowił mekkę dla wszelkich ekscentryków pragnących wtopić się w otoczenie. W Ann Arbor było to niemożliwe. Na konserwatywnym i konwencjonalnym Środkowym Zachodzie zainteresowanie zjawiskami

paranormalnymi przyniosło jej opinię dziwaczki, choć rówieśnicy odnosili się do niej z ostrożną ciekawością.

Tam, pod troskliwym okiem nauczycielki spirytyzmu, Bernice Murphy, odkryła i doskonaliła swoje umiejętności – ale także zdobyła niepożądaną sławę. *Nastoletnia pogromczyni duchów pomaga policji* – roztrąbił niefortunny nagłówek w gazecie. Anna czuła się rozdarta między pragnieniem wykorzystania swoich zdolności a potrzebą funkcjonowania jak zwykła nastolatka wśród innych nastolatków. Na domiar złego jej brat Alan bawił kolegów niesamowitymi opowieściami o niej. Zagajał rozmowy uwagami w rodzaju „Chcesz, to opowiem ci o mojej dziwacznej siostrze”. Jako „dziwaczna siostra” Anna z ochotą uciekła więc do Nowego Jorku.

Jeśli Alan, jeszcze w Michigan, pytał ją o jej zajęcia, Anna udzielała wymijających odpowiedzi. Wiedziała, że wyobrażał sobie kryształowe kule i wirujące stoliki, a ją – w turbanie, jaki rzeczywiście nosił każdy jasnowidz przyjmujący na dolnym Broadwayu. Dawno temu zmęczyły ją próby wytłumaczenia bratu, że duchy są dla niej czymś zupełnie realnym.

Gdy zdarzyło się to pierwszy raz, Anna miała pięć lat. Była u babci i dość wcześnie wysłano ją do łóżka.

– Śpij dobrze, karaluchy pod poduchy – powiedziała babcia, całując ją w czoło. Wygładziła pościel i zamknęła za sobą drzwi.

Jakie karaluchy? – zastanawiała się Anna, patrząc w sufit, gdzie unosiło się coś mglistego i niebieskawego. Zmrużyła oczy i to coś przybrało wyraźniejszy kształt. Była to kobieta z loczkami wokół twarzy, w sukni o wysokim kołnierzyku, całkiem wyraźnym, choć poniżej talii suknia rozpływała się w nicość.

Anna przyglądała się duchowi ze zdumieniem. Kobieta, z chusteczką przyciśniętą do ust, zdawała się z kolei przyglądać jej. Anna powinna się przestraszyć, ale czuła jedynie zaciekawienie. Patrzyła zafascynowana, czekając, co będzie dalej. Wiedziała, że to duch, ale nie wyglądał groźnie. Zakaszła w koronkową chusteczkę.

Anna wyciągnęła rękę spod kołdry i sięgnęła do szafki nocnej, gdzie babcia zostawiła mały dzwonek. „Dzwonek w razie choroby, wypadku lub gdybyś mnie potrzebowała”.

Zadzwoiła. Zjawa uśmiechnęła się z żalem i zaczęła rozplływać się w powietrzu. Gdy babcia otworzyła drzwi, całkiem zniknęła.

Jako wprowadzenie do świata paranormalnego wydawało się to, cóż, normalne, ale co pomyślałby jej brat, gdyby wiedział, że w sobotnie popołudnia Anna, już osoba dorosła, trzydziestoletnia, chadza do kościółka spirytystów, gdzie zbiera się grupa sześciu zatwardziałych wyznawców i próbuje odbierać wiadomości z innego świata? Te ich wysiłki napotykały jednak przeszkody, bo „kościół” w gruncie rzeczy był wynajętą salą prób z lustrami na jednej ścianie i zdezelowanym pianinem, na którym pani pastor ze swoimi miernymi zdolnościami wygrywała dziewiętnastowieczne hymny. Nieliczna kongregacja próbowała śpiewać pieśni w miarę jednym głosem, ale rzadko udawało jej się zagłuszyć śpiewaka operowego, który wynajmował jedną z sąsiednich sal i urządzał w niej próby.

Anna przychodziła tam ze względu na pannę Caroline, zasuszoną Jamajkę o dziwnym chodzie i jeszcze dziwniejszej peruce; dama ta przewodniczyła malejącej trzódce spirytystów. Anna mimo woli czuła się głupio, jadąc na czwarte piętro szarpiącą maleńką i zatłoczoną windą,

zwłaszcza gdy podróżowała w towarzystwie Zoreidy Wspaniałej, która uczyła tańca brzucha kilka sal dalej.

– Taka ładna dziewczyna jak ty powinna nauczyć się tańca brzucha – powtarzała z naciskiem Zoreida.

– Nie, nie. Chodzę tu do kościoła – odpowiadała zawsze Anna.

Kiedyś, prowadzony przez charyzmatycznego założyciela, nieżyjącego już doktora Luciana, kościół był silny i pełen życia. Teraz, po dziesięciu latach od śmierci pastora, pozostała zaledwie garstka wiernych. Anna martwiła się, że płomień ich wiary całkiem by zgasł bez smutnych, melodyjnych kazań panny Caroliny, bez jej tajemniczych, ale często zdumiewająco dokładnych wiadomości z zaświatów.

– Masz dar – powiedziała panna Carolina Annie po pierwszym nabożeństwie, w którym ta uczestniczyła.

– Tak. – Anna nie widziała sensu zaprzeczać.

– Ale z nim walczysz – ciągnęła panna Carolina z lekką przyganą.

– Staram się współpracować – zaprotestowała Anna. – Naprawdę współpracuję.

– Otóż to. Współpracujesz zamiast czcić. To dar. Rzadki i wspaniały dar, ale nie lubisz być inna. Cóż, to rzeczywiście trudne, gdy jest się młodym.

– Mam trzydzieści dwa lata. Nie jestem już taka młoda – sprzeciwiła się Anna.

Ale panna Carolina trafnie zdiagnozowała jej problem. Choć Anna uwielbiała kontakt z zaświatami – naprawdę uwielbiała – normalność zawsze wydawała jej się czymś szczególnie pożądanym, bo dla niej niedostępnym.



– Dobrze być wśród swoich, prawda? – Panna Carolina cmoknęła ze zrozumieniem. Anna musiała przyznać jej rację i dla tej przyjemności „bycia wśród swoich” zaczęła regularnie uczęszczać do małego kościoła.

Nie, nie mogła wtajemniczyć Alana w tę sferę swojego życia. Oczywiście Alan też miał swoje dziwactwa, ale Anna nie chciała mu ich wytykać. Byli w końcu bliźniętami, dwiema odmiennymi istotami, które kiedyś spoczywały obok siebie w łonie matki. Taka więc do czegoś zobowiązuje – myślała Anna.

Niech sobie Alan będzie dziwakiem – myślała często. – Niech żyje w Kalamazoo w Michigan, konstruuje w garażu te swoje skrzypce, ślęczy nad tajemniczymi wyliczeniami matematycznymi, pełen wiary, że w końcu dorówna Stradivariemu. Kim jest, żeby krytykować jego – czy czyjąkolwiek – skrytą obsesję, ekscentryczną pasję? Nie miała na to ochoty i Anna gryzła się w język.

### 3

Jeśli w przypadku Alana trzymała język za zębami, to po południu Anna zachowała się inaczej wobec swojego nowego sąsiada, muzyka. Gdy czekała na windę w holu, który przestał być cichy i przytulny, usłyszała narastające dźwięki. Muzyka była dynamiczna i pełna pasji. Uwagę Anny przykuł głośny początek.

Jakaś niewidzialna istota chrząknęła w pobliżu.

„Wspaniałe, nie sądzisz? Jakbym słyszał własną grę”. – Duch pojawił się znowu.

„Dlaczego szwendasz się po holu mojego domu?” – zapytała ostro Anna.

„Szwendam? Słucham koncertu. Tylko filister nie skorzystałby z okazji”.

„Nie nazywaj mnie filistrem. Już cię nie ma!” – Anna machnęła ręką. Wyraźnie usłyszała szyderczy chichot, ale duch na szczęście zniknął.

Winda jak zwykle nadjeżdżała powoli. Czekając na nią, Anna słuchała „koncertu”. Tony stawały się coraz wyższe i coraz bardziej przejmujące. Nasilało się ich tempo i intensywność. Najwyraźniej dążyły do punktu kulminacyjnego. Anna poczuła rosnący niepokój mimo prób zachowania dystansu. Chętnie więc umknęła, gdy drzwi windy się otworzyły.

Wybrałam ten budynek ze względu na panujące w nim ciszę i spokój. Muszę słyszeć własne myśli! Jeśli coś będzie mnie rozpraszać, nie nawiążę kontaktu. A jeśli nie nawiążę kontaktu, nie zarobię na życie... – buntowała się w duchu.

Z piętra na piętro była coraz bardziej wzburzona. Wpadła nawet w panikę. Niemożność skupienia się zagrażała jej zarobkom, które z kolei zależały od zdolności wyczuwania subtelnych wibracji. Ćwiczyła się w wyłapywaniu ich poprzez dźwięki syren i wiertarek udarowych, przetaczającą się falę miasta, ale ta muzyka była o wiele bardziej natarczywa. Jej piękno niosło znacznie większe niebezpieczeństwo. Jak miała usłyszeć tamten świat, gdy ten tak zajmował jej uwagę?

Drzwi windy powoli rozsunęły się na jej piętrze. Znowu powitały ją dźwięki fortepianu. Najwyraźniej dochodziły schodami. Brzmiały ciszej niż na dole, ale wciąż były dobrze słyszalne. Otwierając drzwi do mieszkania, Anna stwierdziła, że i tam ją dopadły. Zostawiła otwarte okno, by mieszkanie się wietrzyło, i muzyka wpływała nad parapetem. Pomaszerowała do okna. Wychyliła się i zawołała:

– Mogę prosić o ciszę?!

Wśród crescendo wykrzyknęła ponownie:

– Cisza!

Z frustracji do oczu napłynęły jej łzy. Muzyka nie ucichła, ale odezwał się znany jej już gderliwy głos:

„»Cisza!« Tak do niego powiedziałaś? – Duch znalazł się w jej mieszkaniu i zamierzał zmusić ją, by go wysłuchała. – Musisz przyznać, że jest utalentowany. Posłuchaj jego frazowania! Jego ekspresji! To przywilej mieszkać w pobliżu kogoś takiego. Szczęściara z ciebie" – trąkotał duch.

Ale Anna bynajmniej nie czuła się szczęściarą. Czuła się prześladowana, gdy pośpiesznie zdejmowała ubranie i poprawiała poduszki. Chciała, żeby jej dom był spokojnym, neutralnym miejscem umożliwiającym pracę.

Złajęła ducha:

„Zabieraj się stąd! Nie możesz tak tu sobie przychodzić, gdy tylko ci się zachce. Wyjdź, proszę! I nie wracaj nieproszony!"

Duch jednak nie wyszedł. Oburzonym głosem mówił dalej:

„Może nieproszony przez ciebie! Ale przyjmowała mnie Maria Antonina. I Ludwik Piętnasty. Albo, jeśli wolisz Anglików, Jerzy Trzeci. Zapewniam cię, że ten pianista odnosi się do mnie z szacunkiem. Posłuchaj go tylko. Co za rapsodia! Słyszysz, jaki jest muzykalny?"

„Nie, i nie zamierzam go słuchać. Ani ciebie!" – obruszyła się Anna. Chwyła grzechotkę i potrząsnęła nią energicznie, jak uczyła ją jej mentorka pani Murphy.

Duchy przeważnie nie lubiły dźwięku grzechotki i ten nie był wyjątkiem. Warknął więc w ostatnim proteście:

„Dobrze, idę sobie. Ale postaraj się być uprzejma. Jest bardzo wrażliwy i nawet jeśli tym razem cię nie usłyszał, to następnym już mógłby. Nie chciałbym, żeby się zniechęcił”.

Po tych słowach zniknął. Anna rozpyliła w powietrzu wodę lawendową, żeby odświeżyć powietrze po niemilej wizycie. Osunęła się na fotel, czekając na dzwonek. Miała za chwilę spotkanie. Z dołu wciąż dobiegała muzyka.

## 4

*Droży Państwo Oliverowie,*

*piszę, żeby podziękować Państwu (jak zwykle) za życzliwość i pomoc. Nie wyobrażają sobie Państwo – a może jednak – jaką zdjęli ze mnie odpowiedzialność. I, w innym sensie, jaką odpowiedzialność na mnie nałożyli. Roczny czynsz za mieszkanie! Czas na ćwiczenia! Możliwość przygotowania się do konkursu! Jestem szczęściarzem. Wszyscy moi przyjaciele sądzą, że albo żyję powietrzem, albo w sekrecie odziedziczyłem spadek. Zgodnie z Państwa prośbą nie powiedziałem nikomu o Waszym stypendium, inwestycji czy „zakładzie”, jak tam chcecie nazwać swój wspaniałomyślny gest. Ale jeszcze raz dziękuję.*

*Pozwólcie, że spróbuję opisać moje mieszkanie. Znajduje się przy ulicy Osiemdziesiątej Szóstej na parterze starego przedwojennego budynku. Ponieważ jest na wynajem, wolno mieć fortepian. Wiem od przyjaciół, że zarządy wielu nowojorskich kamienic źle widzą muzyków. Uważają, że ćwicząc, zakłócamy spokój. Może niektórzy tak to odbierają – ale na szczęście nie Wy.*

*Na czym to skończyłem?*

*Mieszkanie składa się z dużego pokoju, w sam raz na fortepian, kanapę i biurko, przy którym do Was piszę. Nie zrozumcie mnie źle. Dla mnie to jak luksusowy apartament. Sufit jest tu wysoki. Dwa okna wychodzą na północ, na aleję, jak byście pewnie powiedzieli, ale tam rośnie tylko jedno drzewo, którego liście ledwie zaczęły żółknąć, choć u nas, w Maine, zdaje się, pożółkły już całkiem. (Wybaczcie mi moje pismo. Wyszedłem z wprawy. Zwykle robię tylko szybkie notatki). W Nowym Jorku jeden dzień jest ciepły, a już następny – chłodny. Gdy otwieram okno, do środka wpada miły powiew.*

*Pani Oliver, dziękuję za podsuniecie mi pomysłu. Spróbuję z geranium. Obawiam się jednak, że nie mam ręki do kwiatów. Nawet dwóch lewych. (Żartuję). Wiem, że martwi się Pani o moje dłonie. Ale wszystko z nimi w porządku.*

*Panie Oliver, gospodarz domu mówi, że przyjmuje czeki z każdego urzędu pocztowego, byle tylko przychodziły na czas.*

*I jestem pewien, że tak będzie, proszę więc wybaczyć mi tę uwagę.*

*Z każdym dniem gram lepiej. (Nie w mojej własnej ocenie oczywiście, ale staram się na to nie zważać). Próbuję przez to powiedzieć, że ciężko pracuję, by nie zawieść Państwa zaufania. Będę Was informował o postępach.*

*Z poważaniem Edward*

*PS Pracuję trochę nad Schumannem. Nad nim, nad Bartókiem, Bachem i kim tam jeszcze. Rachmaninow, Chopin, Liszt i Mozart, naturalnie. Dużo ćwiczę. Do konkursu pozostały cztery miesiące. Wygrana*

*oznacza środki do życia na rok, trzy lata koncertów i nagranie płyty CD. To z pewnością dobry początek kariery. Miejmy nadzieję, że zwyciężę.*

*PPS Przepraszam, że ze mnie taki skoncentrowany na sobie korespondent.*

## 5

Po przeprowadzce do Nowego Jorku Anna podnajmowała różne mieszkania, tułając się z miejsca na miejsce po całym mieście i poznając różne jego rejony z panującą w nich atmosferą, zanim osiadła w dzielnicy cyganerii z klasy średniej w Upper West Side. Gdy w końcu wynajęła tam kawalerkę, w formularzu, jaki dostała do wypełnienia od gospodarza domu, podała wymijające odpowiedzi. W rubryce „zawód” nie wpisała „medium”, jak miała na wizytówce. Nie było sensu prowokować pytań, napisała więc tylko „nauczycielka”. Była to lekko naciągana informacja, ale nie tak bardzo. Wśród osób mogących udzielić referencji wymieniła swojego przyjaciela Harolda, dyrektora szkoły podstawowej, który rozumiał jej dylematy związane z pracą i zgodził się pomóc – pod warunkiem, że rzeczywiście weźmie u niego zastępstwa. Anna przyjęła tę propozycję, żeby dorobić na wysoki, wciąż wzrastający czynsz.

Harold był pogodnym facetem po pięćdziesiątce. Dobrze się trzymał i mógł uchodzić za młodszego o piętnaście lat. Chcąc zrobić na nim dobre wrażenie podczas rozmowy o pracę, Anna włożyła swój niemodny staroświecki kostium. O rany – pomyślała, patrząc na efekt – wyglądam jak ciocia Kłocia. Uwielbiała ciuchy w *styki* vintage, ale istniała granica między vintage a starzyzną. Przekroczyła ją jednak ze względu na charakter

spotkania. *Zależało* jej na pracy i postanowiła wyglądać „normalnie”. Kiedy w gabinecie Harolda upuściła wizytówkę, a on schylił się, by ją podnieść, pomyślała, że oto nieodwołalnie straciła szansę na posadę nauczycielki. Na wizytówce czarno na białym widniał wyraz „medium”. To tyle, jeśli chodzi o „normalność”.

– Co to znaczy „medium”? – Harold nie od razu oddał wizytówkę, ale z zaciekawieniem musnął ją palcem, jakby mogła go ugryźć.

– Ach, nic takiego, to tylko zajęcie uboczne – zaryzykowała Anna, chcąc odebrać wizytówkę.

– Chwileczkę – powiedział. – To bardzo ciekawe. – Wskazał Annie krzesło i sam usiadł za robiącym wrażenie drewnianym biurkiem. Wsunął jej wizytówkę pod rożek kalendarza leżącego na blacie. – Wszyscy mamy swoje małe tajemnice, co?

Na chwilę wpadła w panikę. Ludzie, zwłaszcza mężczyźni źle reagowali, gdy słyszeli, czym się zajmuje. Na przykład w życiu prywatnym. Prędzej czy później, po jednej randce czy dwóch, jej profesja wychodziła na jaw – często z pomocą brata – a wtedy zaproszenia na obiad czy drinka szybko się kończyły. Podobnej rezerwy spodziewała się ze strony Harolda.

– Proszę posłuchać – zaczęła obronnym tonem – nie musi mi pan dać tej posady. Wiążę jakoś koniec z końcem bez pracy nauczycielskiej. Potrafię pisać na maszynie. Mogę być kelnerką. Jestem całkiem sprawną sprzedawczynią. Znam się na roślinach. Mogę wyprowadzać psy na spacer, choć nie bardzo to lubię. Mam różne umiejętności. – Nawet w jej własnym odczuciu brzmiało to wyzywająco.

– I widzi pani duchy – uzupełnił Harold. Obrócił w palcach długopis.

– Owszem ,coś w tym rodzaju – odparła Anna.

Harold się zaśmiał.

– To też może się przydać w szkole. Biorąc pod uwagę te wszystkie specjalności, wydaje mi się pani idealną kandydatką. – Napisał „tak” w małym liniowanym notatniku. Stawiał duże litery jak dziecko w wieku przedszkolnym.

Zauważyła, że miał przed sobą gruby plik kartek. Jej życiorys i dokumenty innych ubiegających się o tę pracę – pomyślała. Trudniej dostać posadę nauczyciela na zastępstwo niż zatrudnić się w CIA.

– Nie pali pani? Nie nadużywa alkoholu? – Harold spojrzał na nią z wesołym błyskiem w oku.

– Bawię pana? – zapytała.

– Interesuje mnie pani, nie bawi – wyjaśnił.

– Mówi pan o mnie jak o projekcie naukowym – zauważyła speszona.

– To chyba jest nauka. – Harold pokiwał głową. – Tak, tak mi się wydaje.

– Co takiego?

– Parapsychologia oczywiście.

– Ach, naturalnie.

– Ale dajmy sobie spokój z kwestiami semantycznymi. Jest pani zatrudniona.

## 6

Sklep akwarystyczny Westside Aquarium zajmował suterенę i parter starego budynku z czerwono-brązowego piaskowca przy ulicy Siedemdziesiątej Czwartej między Columbus a Amsterdam. Znajdował się



on przecznicę od szkoły, w której pracowała Anna i zatrzymywała się tu popołudniami w drodze do domu. W suterenie mieściły się akwaria z rybami słodkowodnymi. Na parterze – z morskimi. Anna wolała suterene.

– Pani znowu u nas – witał ją codziennie młody sklepikarz. Nazywał się Tommy. Na ramionach miał kunsztowne tatuaże. Golił głowę, a także nosił kolczyki w uszach, nosie i dolnej wardze. Był bardzo przystojny i mimo tej ekstrawagancji sprawiał wrażenie uroczego człowieka.

– Tak, to znowu ja. – Anna uśmiechnęła się i ruszyła w głąb sklepu, ku swoim ulubionym miecznikom Hellera mijając jaskrawe tetry i pielęgnice afrykańskie, ustniki i grubowargi dwubarwne. Mieczniki, jak nazywała je w skrócie, były dobrymi pływakami, szybkimi i ruchliwymi. Kiedy podeszła do akwarium, zrobiły w tył zwrot i umknęły za koralowiec. Wiedziała, że jeśli poczeka cierpliwie, wróca.

– Dostałem nową partię ustników. – Tommy przeszkodził jej w kontemplacji. – Chce pani zobaczyć?

Wyczuła z jego strony dziwne zainteresowanie. Przyglądał jej się przenikliwie swoimi niebieskimi oczami.

– Nie przepadam za ustnikami. Są dla mnie zbyt agresywne – odparła ostrożnie.

– Mam parkę czarnych. Są naprawdę super. Nazwałem je Darth Vader i Lady MacBeth. Podoba się pani?

– To brzmi złowroźnie – odparła. Ponośla ją wyobraźnia. Czy on naprawdę jej się przypatrywał? Szybko odwróciła wzrok. Tommy był tego dnia rozmowny i miał wiele rzeczy do powiedzenia.

– Załatwiłem niechcący całe akwarium daniów przegowanych – wyznał jej ponuro. – Chyba za bardzo wypucowałem zbiornik i coś zepsułem przy filtrze. Przyszedłem dziś rano i zastałem ryby pływające brzuchem do góry.

– To niedobrze.

– Gorzej było, gdy pracowałem piętro wyżej i wykończyłem kolcobrucha. To był dopiero pasztet.

Pamiętam.

– Omal nie wyleciałem z pracy.

– Prawie tak fatalna sprawa jak wtedy, gdy kot złowił pstrążenicę marmurkową – zauważyła ze współczuciem Anna.

– No, przyszedłem do roboty i zastałem Barneya, jak wsuwał sushi. – Tommy zachichotał i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kota po rudym futrze.

– Same się proszą, te ryby pływają prawie na powierzchni. Wystarczyło, żeby zanurzył łapę i wybrał jedną z nich.

– Uhm, nasz Barney to kanibal – przyznała Anna. Podrapała kota za uchem i niechcący palcami musnęła dłoń Tommy'ego. Nie cofnął ręki.

– Będę miał nowe mieczniki – oświadczył. – Są naprawdę świetne. Czarno-białe, przezroczyste, z czarnymi płetwami i mieczami.

– Trochę jak brzanka sumatrzańska? – zapytała Anna. Mogła godzinami rozmawiać o rybach.

– Nie aż takie krzykliwe. Nie czerwone, ale coś podobnego.

– Nie mogę się doczekać.

– A jak leci w szkole? Chce pani czekoladkę? – Tommy podsunął jej koszyk ze słodyczami, stojący na kontuarze. Wyraźnie z nią flirtował. Poczęstowała się.

– Chętnie. W szkole wszystko w porządku. Mam tylko trójkę rozrabiaków.

– To chyba tak jak tutaj. Lepiej nie wsadzać dwóch samców alfa do jednego akwarium.

– Coś w tym rodzaju. – Anna się roześmiała. – Wszystko jest kwestią zgrania się.

– A nie miałyby pani ochoty wybrać się do kina w niedzielę wieczorem? Grają *Blue Water, White Death*.

– Naprawdę? To świetny film. Fantastycznie, że go znowu przypominają – stwierdziła z entuzjazmem.

– Moglibyśmy się tu spotkać, coś przekąsić i pójść na wcześniejszy seans, tak że byłaby pani w domu, zanim z powrotem przemieni się w Kopciuszka. – Tommy przekomarzał się z nią. Czyżby zapraszał ją na randkę? Anna grała na zwłokę. Zawsze przypuszczała, że Tommy jest gejem. Ale widocznie się myliła.

– Jasne. Byłoby cudownie. – Wiedziała, że nie brzmi to przekonująco. Spróbowała jeszcze raz. – Z wielką przyjemnością. A więc niedziela wieczorem.

– Świetnie – odparł Tommy. – A teraz pokażę pani nowe corydory.

## 7

Anna nie wiedziała, dlaczego Harold jej zaufał – jako nauczycielce na zastępstwo i jako medium. Obserwował ją uważnie podczas pierwszych dni jej pracy w szkole. Prowadziła swoich uczniów do łazienki albo na lunch, a tam już czekał Harold, zerkając na nią zza szafek czy półek w bibliotece. Ze

swoimi kasztanowatymi włosami, wąsem i upodobaniem do czerwonych szelek przypominał jej kota z Cheshire. Choć mu tego oczywiście nie powiedziała.

Harold Kot – tak zaczęła go nazywać na własny użytek, ponieważ czasami z powodu korpulentnej sylwetki naprawdę nieodparcie kojarzył się jej z kotem z Cheshire. Za każdym razem, gdy natykała się na niego – podczas jego akcji szpiegowskich – posyłał jej szeroki dobroduszny uśmiech. Pewnego rana jeden z jej uczniów, Jeremy, przyszedł do szkoły z pistoletem na wodę i obficie zlał dwóch kolegów z klasy, Abby'ego i Dylana, ci zaś, wrzeszcząc, odpowiedzieli ciosami i kopniakami. Anna bez powodzenia próbowała ich rozdzielić, kiedy

– Jakieś kłopoty? – zapytał.

Harold z uśmiechem wyłonił się zza drzwi klasy.– Poradzę sobie – odparła, w sposób niezbyt poprawny politycznie wsadzając sobie głowę Jeremy'ego pod pachę.

– Widzę. – zauważył Harold. – Ale przyjdź do mnie na przerwie.

Spodziewając się, że zostanie zwolniona albo zawieszona, Anna udała się do jego gabinetu. Harold tymczasem wyjął z dolnej szuflady biurka sałatkę z kurczaka, pumpernikiel oraz termos gorącej kawy.

– No i co powiesz?

– To świetna szkoła – zaczęła. – Naprawdę pierwszorzędna. To znaczy takie jest moje zdanie.

– Miałem na myśli, co powiesz na sałatkę. Jest według przepisu mojej matki. A ona dostała go od swojej matki. Ja dodaję jeszcze chutney. Co ty na to?

– Ja... eee... – Anna stwierdziła, że przydałaby się serwetka. Harold pospiesznie zaoferował jej swoją, płócienną, którą wyciągnął z innej szuflady. – Pyszna, zresztą chleb także.

– Też tak sędzę – zauważył Harold z satysfakcją. – Kawy?

– Bardzo chętnie – przystała. Kawa Harolda była aromatyczna i mocna, a uzależnienie od kofeiny stanowiło jedyną słabość Anny.

– Dobra, więc posłuchaj. Chciałbym, żebyśmy się umówili na spotkanie.

– Myślałam, że jesteśmy na spotkaniu – zauważyła Anna. – Nie możemy porozmawiać teraz, podczas lunchu? Jak zwalniać, to zwalniać, co?

Anna naprawdę bardzo lubiła uczyć u Harolda i żywiła nadzieję, że nie będzie musiała szukać nowej posady. Dyrektor szkoły miał na liście mnóstwo nauczycieli na zastępstwo, do których mógł zadzwonić. Ona jednak chciała, żeby Harold dzwonił do niej. (Nie mówiąc o tym, że polubiła niektórych uczniów, zwłaszcza tych nieznośnych).

– Chciałbym umówić się z tobą jako medium, żeby nawiązać z kimś kontakt. Widzisz, niedawno zmarła bliska mi osoba. – Uniósł jej wizytówkę, którą wysunął spod bloczka do pisania.

– Ty mnie wynajmujesz, nie wywalasz!... Nic więcej mi nie mów – Anna uciszyła go. – Lepiej, żebym wiedziała jak najmniej. Dzięki temu nie będziesz się czuł oszukany.

– Rozumiem.

– Przepraszam, że jestem taka zasadnicza, ale to dla twojego dobra.

– To kiedy? – Harold chciał załatwić sprawę. Anna wyjęła terminarz. Umówili się na spotkanie za dwa dni, po szkole.

– Czy coś powinienem zabrać ze sobą? Zdjęcie? Zegarek tej osoby?

– To nie będzie konieczne – stwierdziła. – Ty będziesz magnesem.

Anna miała w swojej kawalerce łóżko na antresoli i usiłowała przymusić filodendrony, żeby pięły się po czterech podtrzymujących ją słupach. W powstałej w ten sposób zielonej wnęce urządziła kącik do czytania: wstawiła tam tapicerowaną kozetkę, ozdobioną kilkoma haftowanymi przez nią osobiście poduszkami, aksamitny wiktoriański fotel, zabrany z chodnika i starannie odnowiony, oraz mały stolik z krzesłem z kutego żelaza. Usiadła przy stoliku. Kozetka i fotel były przeznaczone dla gości, żeby mogli rozsiąść się wygodnie. Z zasady częstowała klientów napojami bezalkoholowymi. („Żadnych spirytualiów” – jak mawiała żartobliwie pani Murphy, nieuznająca alkoholu).

– Jestem po prostu ciekaw. Tak naprawdę nie bardzo wierzę w takie rzeczy – wyznał Harold, gdy zamknął za sobą drzwi.

Anna była przyzwyczajona do takich zastrzeżeń. Należały prawie do rutyny. – On wierzył – ciągnął, ale Anna uniosła dłoń ostrzegawczo. Wpojono jej zasadę, żeby nie pozwalała klientom ujawniać żadnych informacji o osobach, z którymi pragnęli nawiązać kontakt.

– Nie chcę nic wiedzieć – uprzedziła Harolda. – Im więcej będę wiedziała, tym mniej będziesz mi ufał i tym bardziej będziesz dopatrywał się szachrajstwa. – Starła się stworzyć naturalną atmosferę, jak gdyby nigdy nic. Wiedziała, jak zdenerwowani bywają jej klienci, ile znaczy dla nich próba nawiązania kontaktu z zaświatami.

– Rozumiem – nie oponował Harold.

Anna zamknęła oczy. Położyła dłonie na stole.

– Czy się poruszy? – zapytał Harold.

– Co takiego? – Anna się zdekoncentrowała.

– Stolik– wyjaśnił Harold.

– Naoglądałaś się filmów, co? – Rzadko irytowały ją pytania klientów, natomiast muzyka dobiegająca przez otwarte okno – owszem. Nie lepiej niż z Alanem – pomyślała. Przez cały okres dorastania – calutki – musiała słuchać jakiejś muzyki. Czy to się nigdy nie skończy? Czy ten z dołu nie może grać ciszej?

– Przepraszam na chwilę – powiedziała i podeszła do okna. Może zimą nie będzie go słyszała. Rama była wypaczona i Anna nie mogła szczelnie zamknąć skrzydeł. Została niewielka szpara.

– To było ładne – sprzeciwił się Harold. – Chyba Schubert. Może Schumann.

– Skąd mam wiedzieć! – prychnęła Anna, co trochę zdziwiło Harolda. Może spodziewał się, że będzie bardziej „uduchowiona”? No cóż, pani Murphy twierdziła, że świętość nie jest konieczna. Anna ponownie zamknęła oczy, żeby się skupić. Dźwięki fortepianu wciąż ją rozpraszały. Zmarszczyła brwi.

– Co jest? – zaniepokoił się Harold. – O Boże, wszystko z nim w porządku?

Anna położyła palec na ustach. Zaczęła coś odbierać.

„Andrew” Harolda zjawiał się przed nią najpierw jako głos mówiący wyraźnie: „Witaj, kochanie”. Powtórzyła te słowa Haroldowi. Potem „zobaczyła” Andrew – wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę o siwych włosach i rumianej cerze. Wymamrotał coś po łacinie, czego nie zrozumiała. Powtórzyła to dokładnie, sylaba po sylabie.

– *Non illegitimi te carborundum* – wymówiła powoli. Harold gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Byliśmy razem przez trzydzieści lat. – Do oczu napłynęły mu łzy. Opanowawszy się, przetłumaczył łacińską sentencję: – „Nie daj się zgnieść draniom”. Andrew zawsze mówił mi to po ciężkim dniu w szkole. O rany! O rany boskie!

Anna podsunęła Haroldowi stojące na stole pudełko chusteczek higienicznych.

– Przypuszczam, że cały czas stykasz się z czymś takim – zauważył Harold.

– Jestem na to przygotowana – odparła Anna. – Ale obawiam się, że Andrew znika.

– Powiedz mu, że go kocham!

– On cię słyszy. Tylko nie może już sam nic przekazać. Pierwszy kontakt kosztuje dużo wysiłku.

– Kocham cię, mój drogi – rzucił Harold w przestrzeń.

– Wzajemnie – Anna powtórzyła słowa niknącego Andrew.

– To musi być wspaniale – być świadkiem takiego spotkania! – rzekł Harold z przejęciem po dłuższej chwili, podczas której słychać było subtelne dźwięki muzyki.

– I jest wspaniale – potwierdziła Anna. – Naprawdę wspaniale. — Chociaż częste pragnęła być „normalna”, bywały takie chwile jak ta, kiedy jej dar wydawał się rzeczywiście błogosławieństwem.

Po tej pierwszej sesji Harold przychodził już regularnie, raz na tydzień w piątek o godzinie piątej po południu. „Szczęśliwa godzina” – tak to nazywał. Anna cieszyła się, że może służyć jako łącznik pomiędzy nim a Andrew.



## 8

Pianista, który niedawno się wprowadził, ćwiczył codziennie całymi godzinami i jego gamy, etiudy, sonaty, koncerty i inne muzyczne formy wpływały do mieszkania Anny przez otwarte okna niczym lekki, ale rozpraszający zapach perfum. Annie coraz trudniej było się skupić. Czasami klienci to zauważali. Może pani Murphy znalazłaby jakąś radę.

Dzwoniąc do niej do Ann Arbor, Anna zawsze czuła wdzięczność i jednocześnie zakłopotanie. Mieć mentorkę było cudowną sprawą, ale czy nie powinna już radzić sobie sama? Niewątpliwie została dobrze przygotowana. Pani Murphy jednak zawsze się cieszyła, kiedy mogła z nią porozmawiać, i to tak bardzo, że zdaniem Anny musiała się czuć trochę samotna. Pan Murphy zmarł przed rokiem.

– To ja. Anna. Nie przeszkadzam w niczym? Nie jest pani zajęta? – pytała zawsze przez grzeczność.

– Nie, kochanie. Oczywiście, że nie. Jak miło usłyszeć twój głos! Mów, jaki masz problem. – Anna wyobraziła sobie panią Murphy, sadowiącą się na aksamitnej wiktoriańskiej kozetce i być może sięgającą po cukierki.

– Chodzi o pianistę, który mieszka pode mną – zaczęła uzalać się Anna. – Wprowadził się niedawno i cały czas gra. Naprawdę cały czas.

– A chociaż dobrze? – Pani Murphy wydawała się rozbawiona.

– To nie ma nic do rzeczy – upierała się Anna. – Jest denerwujący. Nie słyszę własnych myśli, gdy jest u mnie klient, a on bębni w klawisze.

– Bębni? – pani Murphy zapytała ze współczuciem i Anna poczuła wyrzuty sumienia.

– No, może nie bębni. Tylko ja to tak odbieram. Nie słyszę własnych myśli, gdy on gra. Nie mogę się skupić. Kiedy zaczyna docierać do mnie jakiś głos, wtedy śledzę melodię i kompletnie się gubię.

– To rzeczywiście jest problem. – Pani Murphy cmoknęła z zatroskaniem. – Musisz mieć możliwość skupienia się. A jak tam z medytacjami?

– Co mają wspólnego moje medytacje z jego graniem? – Anna już wiedziała, że pani Murphy udzieli jej kolejnej lekcji.

– Medytacje pomagają się skupić. Gdybyś trochę pomedytowała, może jego gra przestałaby ci przeszkadzać. Masz chyba słabą zdolność koncentracji.

– Więc mówi pani, że to moja wina? – Anna się obruszyła. Czy nauczycielka musi zawsze dawać jej do zrozumienia, że jest jeszcze młoda i niedoświadczona?

– Mówię tylko, że jest rozwiązanie. Dobrze wiedzieć, prawda?

– Pewnie tak – niechętnie przyznała Anna.

– Powiedz mi, wychodzisz gdzieś czasami? – delikatnie próbowała wysondować ją pani Murphy.

– Staram się.

– Nie jesteś samotna, co? – z niepokojem zapytała nauczycielka. – Nie izolujesz się?

– Wszystko w porządku, naprawdę. Uczę. Czytam. – Dlaczego zabrzmiało to tak słabo?

– Chciałabym, żebyś miała ciekawe życie. Nowy Jork stwarza mnóstwo możliwości. Jesteś młoda i piękna, pamiętaj o tym. I pomedytuj trochę. Mnie to bardzo pomaga.

Niezawodna rada pani Murphy wywołała w Annie co najmniej uczucie zawodu. Odeszła od telefonu z zaleceniem, które trudno było jej wypełnić: więcej medytacji. Same próby skupienia się stanowiły wystarczające wyzwanie.

Anna wiedziała, że medytacje to podstawa w spirytyzmie, i miała świadomość, że pani Murphy się nie myli – potrzebowała ich. A jednak pod wpływem medytacji odczuwała niepokój. Była wytrącona z równowagi i miała tak nieuduchowione myśli, że jeszcze bardziej traciła spokój i grunt pod nogami. Ale może istniało coś takiego jak medytacje podczas sprzątnia? Zajęcia domowe w swoich pospolitych formach przywracały jej tak pożądaną pokorę. Owszem, sprzątnie zdecydowanie miało wymiar duchowy. Uwielbiała uspokajający zapach cytrynowego płynu do czyszczenia, a odkurzanie regałów z książkami i półek przy oknach poprawiało jej humor.

## 9

– Cieszę się, że jednak zdecydowałaś się przyjść. Widziałem, że nie bardzo masz ochotę – oznajmił Tommy, gdy kelner przyjął już od nich zamówienie. Siedzieli przy stoliku przed French Roast na ruchliwym odcinku Broadwayu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała wymijająco Anna. Czy wszystko tak było po niej widać?

– Wiem, na kogo się kreujesz: udajesz starą pannę. Ale ja cię przejrzałem, co? – drażnił się z nią Tommy.

– Chyba tak – przyznała Anna, śmiejąc się w duchu.

– Większość ludzi bierze mnie za geja. – Tommy sięgnął po pałeczkę chlebową.

– Ja... eee... – Anna urwała.

– W porządku. Wcale by mi nie przeszkadzało, gdybym był gejem. Chyba nawet byłoby prościej niż...

– Och, heteroseksualistom też nie jest tak łatwo – wyrwało się Annie.

– Z porównaniu z „bi” to na pewno pestka. Ludzie nie wiedzą, co mają myśleć, kiedy dowiadują się, że jesteś „bi”. Ty też jesteś zdezorientowana, prawda? – Tommy podsunął jej koszyk z chlebem. Anna wzięła bułeczkę z rodzynkami.

– Dla mnie to raczej miła odmiana.

– Znudzi ci się – zaśmiał się Tommy.

– Skoro tak mówisz...

– Wina? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

– Chyba nie jesteś jedną z nich?

– Jedną z nich? – Anna nie zrozumiała.

– Anonimowych Alkoholików. Gdy spotykasz się z kimś i ten ktoś nie pije, to przeważnie należy do AA.

– Rozumiem. Ale ja nie jestem z AA.

– To dlaczego nie pijesz? Odrobina chablis? A może merlota? Mówię jak sprzedawca win? Kiedyś pracowałem w sklepie z winami. Mieli tam niezły towar na kieliszki.

– Ale ty się nie krępuj. – Anna pociągnęła łyk wody.

– Nie, pytam poważnie: dlaczego? Powiedz mi. – Tommy pochylił się, tak żeby mogła odpowiedzieć szeptem.

- Powinieneś być detektywem. Te wszystkie pytania... – zachnęła się.
- Masz coś do ukrycia? To byłoby ekscytujące.
- Tommy...

W tym momencie jednak przyszedł kelner, który przyniósł Annie krwistego hamburgera, a Tommy'emu omlet z gruyerem. Anna była zadowolona, że im przerwał. Nie miała ochoty wyjaśniać, czym się zajmuje i dlaczego alkohol nie wchodzi w grę.

- Muszę ci powiedzieć, że ja już wiem — wrócił do tematu Tommy.
- Co wiesz?
- Ojej, no, czym się zajmujesz. – Uśmiechnął się łobuzersko.
- Jak się dowiedziałeś? – Anna była bardziej zaintrygowana niż zła.
- Widziałem twoją wizytówkę.
- Widziałeś ją?
- Zerknąłem na nią. Zostawiłaś torebkę na ladzie i... no cóż...
- Tommy! – Anna wyciągnęła rękę i trzepnęła go.
- To jak to jest?
- Co takiego? Daj mi chwilę. Właśnie się dowiedziałam, że szperałeś

w mojej torebce.

– Tylko trochę. I wyłącznie dlatego, że zostawiłaś ją tam. Pewnie chciałaś, żebym się dowiedział.

– Nieprawda! – Anna gniewnie ugryzła kęs hamburgera. Czy nie rozmawiali zbyt głośno?

– To musi być zabawne. – Tommy przypominał psa, który dostał kość.

– Jesteś okropny. – Anna miała nadzieję, że uda jej się przywołać go do porządku. Ale bez powodzenia.

– Dziękuję ci. Miło słyszeć. Jak twój hamburger?

– Pyszny. – Tommy patrzył na nią jak na deser.

– Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz, choć byłoby fascynujące dowiedzieć się wszystkiego u samego źródła.

– Chodzi tylko o to, że niełatwo być dyżurnym odmieńcem. – Anna przyłapała się na tym, że mówi z rozdrażnieniem.

– Obawiam się, że to stanowisko jest już zajęte. – Tommy uśmiechnął się do niej szeroko, a potem poklepał ją przyjacielsko po ręce. – Spokojnie. Przyzwyczaisz się do mnie.

Później, siedząc w ciemnej sali kinowej i patrzące, jak wielkie białe rekiny atakują nurków chronionych jedynie przez liche klatki, Anna zauważyła, że się uśmiecha.

– Weź mnie za rękę. Boję się! – szepnął Tommy. I Anna ujęła jego rękę.

## 10

Po powrocie do domu zobaczyła, że ma nową wiadomość na automatycznej sekretarce. Wcisnęła „play”. „Nazywam się Rachel – brzmiał początek nagrania. – Chciałabym się umówić na spotkanie, jak najszybciej, najlepiej dziś wieczorem, jeśli można”. Kobieta podała numer telefonu, ale Anna nie od razu oddzwoniła. Pani Murphy uczyła ją żeby nie dawała się klientom tyranizować ani wpędzać w poczucie winy i nie umawiała się na sesje pod wpływem chwili czy w terminach, które jej nie pasują. Z drugiej strony miała do opłacenia czynsz i pieniądze zdecydowanie by się jej przydały. Aby nie czuć się tyranizowaną ani manipulowaną, Anna

oddzwoniła do Rachel około dziewiątej. To była jeszcze przyzwoita pora na telefon.

– Dzięki Bogu, że pani zadzwoniła – powiedziała Rachel. – Waruję przy telefonie. Naprawdę potrzebuję pani pomocy w pewnej sprawie. – Zabrzmiało to, jakby Anna oferowała usługi w zakresie sprzątnia, i w pewnym sensie tak było. – Gdzie pani mieszka? – zapytała Rachel. Anna, zaskoczona, podała jej adres. – A numer mieszkania? – I Anna znowu uległa. Rachel była jak buldożer, zmiatała wszystko po drodze. Potrzebujesz pieniędzy – powtórzyła sobie Anna.

W pół godziny posprzątała kawalerkę i zdążyła rozpylić odświeżacz powietrza o zapachu lawendy, który lubiła.

– Co tu tak pachnie? – zapytała Rachel od wejścia.

Jeśli przy swoim wzroście – niewiele ponad metr sześćdziesiąt – Anna uważała się za niską, to Rachel była jeszcze niższa. Sprawiała wrażenie wręcz miniaturowej, co najwyraźniej rekompensowała osobowością o sile małego tornada.

– Czy to kadzidło? Bo jeśli tak, to jestem na nie uczulona i będzie pani musiała wywietrzyć pokój.

– To nie kadzidło – zareagowała Anna obronnie. – To lawenda.

– Też nie lubię – oświadczyła Rachel. – Gdzie mam usiąść?

– Gdzie pani sobie życzy – odparła Anna. Rachel od razu wypróbowała fotel.

– Za twardy – stwierdziła – i nie dosięgam nogami podłogi.

Tak było rzeczywiście. Anna spojrzała na Rachel z niepokojem.

– To może na kozetce? – zaproponowała. Rachel posłuchała.

– Nie wyskoczyła sprężyna? – zapytała.

– Niech pani podłoży sobie poduszkę – Anna podsunęła następne rozwiązanie. Sprężyna rzeczywiście wyskoczyła i zamierzała ją naprawić albo poprosić Alana, żeby to zrobił w czasie następnej wizyty.

– A co z tym sympatycznym krzeselkiem? – zapytała Rachel, zrywając się na nogi.

– Zwykle ja tam siedzę – wyjaśniła Anna. – I nie jest zbyt wygodne.

– To dlaczego pani na nim siada? – podejrzliwie indagowała Rachel. – Mogę spróbować.

Wzięta z zaskoczenia, Anna ustąpiła jej swego miejsca.

– Idealnie – oznajmiła Rachel. – Ma pani herbatę albo wodę butelkowaną?

– Właśnie miałam coś pani zaproponować – skłamała Anna. Skwapliwie umknęła do małej wnęki za kuchnią. Stała rozeźlona przy drzwiach lodówki. Wyleję jej to na głowę – pomyślała, biorąc dzbanek herbaty miętowej. Nalała Rachel i sobie po pełnej szklance. Wróciwszy do kącika czytelniczego, postawiła szklankę Rachel na stoliku, a sama zajęła miejsce na kozetce, omijając sprężynę.

– Chcę się dowiedzieć jednej rzeczy – powiedziała Rachel. – Czy mam wyjść za niego za mąż?

– Za kogo? – spytała Anna.

– Czy nie powinna pani tego wiedzieć? Nie na tym polega pani profesja? Nie za to pani płacę? Nie po to tu jestem? – Anna zaczęła się zastanawiać, czy Rachel nie oszalała z rozpaczy: może straciła narzeczonego w jakimś tragicznym wypadku.

– Straciła pani ostatnio kogoś bliskiego? – spytała delikatnie.



– To następna rzecz, którą powinna pani wiedzieć – z uporem powtórzyła Rachel. – Chodzi mi o to, że coś takiego dałoby się chyba wyczuć, nie? Jeśli pani w ogóle ma jakieś zdolności. – Anna poczuła, że narasta w niej gniew jak napięcie w sieci. Ze względu na przygotowanie zawodowe nie mogła odgryźć Rachel głowy, ale miała ochotę ją walnąć. Skąd u niektórych ludzi bierze się poczucie, że wszystko im wolno? Może to z powodu stylowych ciuchów od Ann Taylor. Anna знаła ubrania tej projektantki, ale nie stać jej było na nie.

– Proszę pani – ciągnęła wojowniczo Rachel – jeśli liczy sobie pani od minuty, to może zaczniemy. – Anna chciała zacząć, ale trudno jej było się skupić zarówno z powodu nastawienia Rachel, jak i dźwięków gam, które zabrzmiały na dole.

– Nie odbieram żadnych sygnałów – wyznała niechętnie. Nikt się z nią nie komunikował. Oczywiście – pomyślała – sama bym umarła, żeby zwiąć od Rachel, bo małżeństwo z nią byłoby gorsze od śmierci.

– Co to znaczy, że nie odbiera pani żadnych sygnałów? Co z pani za jasnowidzka? – wybuchnęła Rachel z niezadowoleniem. Anna poczuła ulgę. A więc o to chodzi. Zwykle nieporozumienie.

– Jestem medium – wyjaśniła. – A nie jasnowidzem.

– Medium, jasnowidzka, co za różnica? – odparła Rachel. – Wiedziałam, że to kit. – Gniewnie upiła łyk herbaty.

Anna próbowała jej wytłumaczyć.

– Mam do czynienia z przeszłością – powiedziała. – Nie z przyszłością. Nie potrafię przewidzieć, co się zdarzy; rozmawiam z ludźmi, którzy odeszli.

– To znaczy z duchami? Zmarłymi ludźmi?! – Rachel wykrzyknęła z niedowierzaniem. – To już wiem wszystko! A dla pani informacji – mój narzeczony jest jak najbardziej żywy. – Odsunąwszy krzesło, żeby wstać, Rachel skierowała się do drzwi.

– Chwileczkę – zatrzymała ją Anna. – Nie zapomniała pani o czymś? – Pani Murphy nauczyła ją liczyć sobie za czas, nie za efekt. Klienci bardziej cenili jej usługi, gdy musieli za nie płacić. Nie wspominając już, że dzięki temu nie traktowali jej jak sekstelefonu do rozmów ze zmarłymi.

– Nic pani nie jestem winna – oświadczyła Rachel. – To pani jest mi winna przeprosiny za to, że wprowadziła mnie w błąd. Nie dostanie pani ode mnie żadnych referencji ani pieniędzy. – To powiedziawszy, Rachel otworzyła drzwi i już jej nie było.

Co za zgniłe jajo! – pomyślała Anna. – Wredna baba. Spryskała mieszkanie wodą lawendową i wzięła długą kąpiel z gorzką solą, żeby uspokoić nerwy. Potem wspięła się po drabince na łóżko i wsunęła pod kołdrę. Na szczęście bębnienie z dołu ustało.

## 11

Co niedziela o czwartej po południu czasu nowojorskiego Anna dzwoniła do Alana do Kalamazoo. Siedząc na swoim fotelu do czytania, przy oknie wychodzącym na schody przeciwpożarowe, słuchała zapowiedzi na jego automatycznej sekretarce i mówiła, dopóki jej nie usłyszał i nie podniósł słuchawki. Można by przypuszczać, że powinien się już wdroić – niedziela, godzina czwarta, u niego trzecia – ale nie byłby sobą. Jego anons na sekretarce brzmiał zawsze tak samo: najpierw fragment jakiegoś utworu

jazzowego, a potem głos Alana, identyfikującego w stylu didżeja wykonawcę: Charlie Parker, John Coltrane czy, powiedzmy, Dizzy Gillespie.

– Alan, jesteś tam? To ja. Twoja siostra. Podnieś słuchawkę. Kleisz skrzypce czy co?

– A owszem – zgłaszał się, po czym opowiadał jej, jaka jest pogoda w Kalamazoo, żeby wiedziała, co traci. Rozmawiać przez telefon z Alanem to było jak słuchać radia Talk NPR. Prawie równie ciężko jak twarzą w twarz.

W co któreś Święto Dziękczynienia, każde Boże Narodzenie i sporadycznie na Wielkanoc Anna leciała z LaGuardii w odwiedzinach do brata w Kalamazoo, a potem odwożona była przez niego do rodziców. Czasami jechali w śnieżycy, słuchając jazzowych nagrań Alana; czasami zaś podróżowali po pustych zimowych drogach, słuchając samego Alana. Minał się z powołaniem, bo powinien zostać didżejem.

– Ale dość już o tobie – żartobliwie przerywał Annie, by zacząć mówić o swojej najnowszej jazzowej fascynacji. Alan potrafił zdumiewająco długo mówić o ludziach, o których Anna nigdy nie słyszała. Jego monologi przypominały długie jazzowe solówki, złożone i niemające końca.

– Gdybym mieszkał w Nowym Jorku, co wieczór chodziłbym na koncerty – perorował. – Ty nigdzie nie bywasz, prawda? – Anna chciała zaprzeczyć, ale w gruncie rzeczy miał rację. Przedpołudniami chodziła do szkoły, a wieczorami przyjmowała klientów. Czy to było wystarczająco ciekawe? Anna już dawno porzuciła próby wytłumaczenia bratu, że słuchanie muzyki często zakłócał jej widok nieżyjących jazzmanów, którzy zjawiali się, niczym niezapowiedziani goście, gdzieś pod sufitem.

– Jak się masz? – ledwie zdążyła zapytać, kiedy odebrał telefon. Przypuszczała, że Alan pracuje tak szybko, jak mówi. Wyobrażała go sobie, jak przytrzymuje ramieniem słuchawkę, tak że mikrofon przesuwają się w bok, i jednocześnie dokonuje jakiejś minimalnej poprawki lub starannie nakłada cieniuseńką warstwę lakieru. Alan wykonywał rocznie cztery instrumenty, niekiedy mniej, ledwie zarabiał na życie, ale twierdził, że to nie ma znaczenia, i czasami wyznaczał tak wysoką cenę na swoje pieszczochy, że nie miały szans znaleźć nabywcy. Tego popołudnia Alan był bliski zdobycia rzadkiego gatunku drewna z tego samego miejsca, z którego brał je Stradivari. Anna dostosowała się do brata i zaczęła malować paznokcie na jaskrawoczerwony kolor, opierając stopę o parapet i trzymając otwartą buteleczkę na oparciu fotela – był to skomplikowany manewr, z rodzaju tych, jakie wykonywał Alan.

Po co do niego zadzwoniła? Dla podtrzymania więzi. Od lat tak się komunikowali, żyjąc w swoich równoległych, odrębnych światach.

– Co o tym sądzisz? – zakończył Alan. – Niezłe, co? Ma na myśli lakier? Nie chciała się tak wyłączać.

– Malujesz sobie paznokcie, mam rację? – zarzucił jej Alan. Jako bliźnięta zawsze wykazywali zadziwiającą percepcję pozazmysłową. I znali się nawzajem bardzo dobrze.

– Paznokcie u stóp – przyznała się.

Alan prychnął.

– Jestem pod wrażeniem.

– O cholera! Muszę zamknąć okno.

Wprowadził się tu niedawno jakiś pianista.

Alan natychmiast zamienił się w słuch.

– Pianista! – Zabrzmiało to, jakby odkrył żyłę złota. – Co gra?

– Skąd mam wiedzieć? Coś tam gra. – Najwyraźniej Alan wyobrażał sobie, że Anna ma za ścianą jakiegoś wielkiego jazzmana z Nowego Jorku, co zresztą było możliwe. Kiedyś zauważyła tabliczkę na budynku, głoszącą, że mieszkał w nim Gershwin, gdy komponował *Błękitną rapsodię*. Wiedziała, że Leonard Bernstein mieszkał przez lata w Dakota Building, czternaście przecznic na południe od niej. W Nowym Jorku pełno było kamienic, w których żyli znani ludzie. Jej sąsiad pianista mógł być jednym z nich. Nadstawiła ucha. Niewątpliwie miał takie ambicje.

– Co gra? – powtórzył Alan, gotów wsiąść na swojego konika. Przynajmniej raz udało jej się pozyskać jego uwagę.

– Nie wiem. Gamy. Teraz chyba coś klasycznego. To dość szybkie... Och Alan, może po prostu włącz swój cudowny sprzęt grający – przekomarzała się z bratem Anna. Mówiła o wrażliwym na ruch i wszechobecnym systemie dźwiękowym jego własnego pomysłu. Włączał się on automatycznie i wyłączał, gdy człowiek przechodził z pomieszczenia do pomieszczenia, a nawet do garażu. Anna nie rozumiała, po co to wszystko. Dlaczego Alan nie może jak wszyscy nacisnąć guzika? No, może nie rozumiała brata, ale go kochała. Czy nie był co najmniej takim odmieńcem jak ona? Może tylko udawał, że jest normalny? Jeśli konstruowanie skrzypiec w garażu podczas słuchania jazzu można uznać za normalne.

Stwierdziła, że w porównaniu z jej zajęciem, owszem, można.

–Alan nic nie rozumiesz. Dostaję szału, nie mówiąc już o komunikacji z tamtym światem. To takie rozprasające! Usiłuję się skupić na pracy, ale śledzę melodię. – Może rzeczywiście potrzebne jej były medytacje.

– To naturalne. Masz śledzić melodię.

– Alan, nie mogę sobie pozwolić na warsztaty muzyczne we własnym mieszkaniu.

– Ja byłbym zachwycony.

– Twoje wyobrażenia mijają się z rzeczywistością. Wierz mi. To duży problem.

– Problem leży w tobie – stwierdził brat. Czyżby rozmawiał z panią Murphy?

## 12

Kiedy zadzwonił budzik, Anna jęknęła przez sen. Nie była skowronkiem, jedną z tych osób, które witają dzień w świetnym humorze. Nie, przeważnie chętnie by jeszcze pospała, ale ponieważ pragnęła jednocześnie stać się lepszym medium, a pani Murphy uważała, że dobrze by jej zrobiły medytacje, postanowiła, że będzie medytować.

– To nie musi być nic wymyślnego – powiedziała jej pani Murphy. – Po prostu wyobraź sobie jakiś ładny obrazek i myśl o nim.

Z „ładnych obrazków” Anna wybrała oczko wodne typu koi. Leżąc w łóżku i starając się nie zasnąć, wyobrażała sobie lekko zmarszczoną powierzchnię wody, cienie spokojnie pod nią pływających ryb. Białej, złotej i biało–złotej. Przy kamieniu były dwie inne: ciemna i srebrna. W jej wyobraźni ryb przybywało. Anna widziała siebie, jak powoli wchodzi na drewniany mostek. Przechylona nad barierką, zaczyna liczyć przepływające ryby. Jedna, dwie, trzy...

Przy dwudziestej Anna czuła, że się odpręża. Ogarniał ją spokój, osiągała równowagę ducha i poczucie jedności z zaświatami. Pani Murphy

pewnie doświadczała tego stale. „Świadomy kontakt” – tak to nazywała i gdy Anna pytała: „Z czym?”, tylko śmiała się lekko i mówiła: „Z czym chcesz”.

Anna wiedziała, że pani Murphy wierzy w coś dobrotliwego. Zauważyła też, że krótkie i ulotne kontakty z tym „czymś” przynosiły jej pobudliwej naturze rzadkie ukojenie i spokój.

– Dlaczego jestem taka rozchwiana? – zapytała kiedyś panią Murphy. Samą ją to denerwowało.

– Bo się boisz, oczywiście – odparła pani Murphy. Anna nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Pani Murphy ciągnęła dalej: – Wszyscy widzą, że jesteś nastawiona obronnie. Desperacko pragniesz być kochana i boisz się, że nie jesteś godna miłości. Reagujesz gwałtownie, ale w gruncie rzeczy bardzo łagodna z siebie osoba. I nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział. To twój sekret.

– Nieprawda! – sprzeciwiła się Anna. – Jestem raczej przebojowa. Alan uważa mnie za trudną.

– Trudna jak dla kogo – nie dawała się przekonać pani Murphy. – Znam cię tak samo dobrze jak inni.

– I wcale nie pragnę miłości.

– Bzdury. Dlatego przeprowadziłaś się do Nowego Jorku. Anna musiała przyznać, że to prawda.

## 13

We wtorkowe wieczory o szóstej Anna umawiała się ze swoją przyjaciółką Stacy w greckiej restauracyjce. Stacy tak jak ona uwielbiała tę knajpkę, w której obie z upodobaniem zamawiały spanakopitę oraz kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem i z dodatkową porcją majonezu. Moja zgubna słabość – myślała Stacy. Jej jedyna słabość – tak z kolei uważała Anna. Stacy była wysoką smukłą blondynką, w typie dziewczyny z Kolorado, o chabrowych oczach, otoczoną zastępami „odpowiednich” mężczyzn, którzy wręcz wychodzili z siebie, żeby zaprosić ją na randkę. Stacy była protestantką, choć niezbyt gorliwą, a Anna zdecydowanie odeszła od katolicyzmu i jak ognia unikała randek.

Ona i Stacy z pozoru nie pasowały do siebie. Żyły w zupełnie innych światach – łączyło je tylko upodobanie do greckiej knajpki i jej niezrównanych kanapek. Ich przyjaźń stanowiła potwierdzenie tezy, że przeciwieństwa się przyciągają. Stacy obracała się w świecie wielkiej finansjery. Anna należała do tych, którzy z trudem wiążą koniec z końcem. Żeby opłacić czynsz, musiała i uczyć, i umawiać się na sesje. Obie miały też odmienne podejście do kwestii otwierania się na innych. Otwartość jest zdrowa – twierdziła Stacy. Doktor Rich, nowy terapeuta, do którego obecnie chodziła, był jednak tylko najnowszym przejawem jej manii, polegającej na ciągłej pracy nad sobą. Już doskonała, wciąż chciała jeszcze bardziej się doskonalić, w każdy sposób, na jaki pozwalały pieniądze. To oznaczało terapeutów, lekcje jogi, seminaria z zakresu psychologii i ćwiczenia na siłowni – gdzie bywały supermodelki. A przede wszystkim otwarte



mówienie o rzeczach, których w odczuciu Anny lepiej byłoby nie analizować.

Stacy uważała, że w ramach dziewczęcych rytuałów powinny zwierzać się sobie ze spraw sercowych. Anna nie rozwodziła się na ten temat; Stacy miała problem z klęską urodzaju. Wyglądało na to, że wręcz musi opędzać się od facetów.

– To musi być okropne – Anna żartobliwie współczuła Stacy, która umawiała się z napalonymi kawalerami na śniadania, lunche i kolacje.

– Raczej nudne – powtarzała Stacy.

– Mnie mężczyźni unikają jak zarazy – wyznała Anna, a potem opowiedziała Stacy o swoim powołaniu.

– Rozmawiasz z duchami! Ależ to fascynujące! Powinno przemówić do każdego faceta! – wykrzyknęła Stacy.

– Wierz mi – wyjaśniła Anna – to intelektualny odpowiednik płaskiego biustu. Nie bierze mężczyzn. – Tu opowiedziała Stacy, na szczęście krótko, o swoich romansach; nie żeby było ich wiele i z całą pewnością nie znaczyły aż tak dużo, by można było je określić mianem „miłości”. Nie, na podstawie swoich doświadczeń Anna stwierdzała, że romanse jej nie interesują. Wierzyła w sens inwestowania tam, gdzie mogła spodziewać się rewanżu. Stacy jako bankier na pewno potrafiła zrozumieć jej stanowisko.

– Zmienimy to wszystko! – Stacy, z jej energią, trudno było zatrzymać. Miała „przyjaciół” i „przyjaciół przyjaciół”, kuzynów i sąsiadów, których Anna powinna poznać.

– Nic z tego – uprzedziła ją Anna. – Już to przerabiałam. Mężczyźni to ślepa uliczka.

– No co ty! Chyba nie mówisz poważnie! – zaprotestowała Stacy. – Jeszcze nie umierasz. Jesteś młoda, piękna –w taki staroświecki sposób. Jesteś...

– Jestem medium.

Anna nie kontynuowała rozmowy na ten temat. Już od dawna wiedziała, że większość ludzi traktuje jej profesję jako coś co najmniej podejrzanego. Wyznania Anny, że rozmawia z duchami, budziły w nich obawy, że jest dziwna. Ale Stacy nic nie mogło zniechęcić.

– Pewnie dokucza ci samotność. – Jej oczy przepełniło współczucie.

– Już mam to za sobą. Ostatnio umówiłam się na randkę i facet okazał się biseksem.

– O! Ja bym uważała.

– Uważam, nic innego nie robię, ale przezwyciężyłam już lęk przed samotnością.

– Nikomu to się jeszcze nie udało.

– Mnie, owszem. Najpierw zamknęłam sprawę Rogera, a teraz – samotności.

– Rogera?

– To było dwa lata temu. Zanim się poznałyśmy. Uznałam, że powinien dowiedzieć się o moim sekretnym życiu –błąd, błąd i jeszcze raz błąd.

– Opowiedz mi o tym Rogerze.

Anna spotykała się z Rogerem zaraz po przeprowadzce do Nowego Jorku. Zerwanie z nim było dla niej nauką. Wydawał się otwarty i ciekawy świata, chciała więc być wobec niego szczerą. Pewnego wieczoru, po kilku szklankach mrożonej herbaty Long Island, próbowała pokazać mu

ducha, którego wyraźnie widziała – nad klawiaturą pianina w barze. Roger nie widział żadnego ducha. Kiedy przy ich stoliku zatrzymało się kilkoro jego znajomych, uraczył ich rewelacją, że Anna zobaczyła zjawę. „Wszystko przez tę słabą głowę” – żartował Roger. Całe grono, oprócz Anny, zaśmiewało się do rozpuku.

– Ja zawsze widzę duchy – broniła się. – Zawsze.

Roger spojrział na nią z rezerwą. Żarty żartami, ale Anna przegięła. To była ich ostatnia randka – i sprawa z Rogerem się skończyła.

– Nie dorósł ci do pięt – skomentowała lojalnie Stacy.

– Nie lubił duchów – stwierdziła stanowczo Anna. Ruchem ręki poprosiła o rachunek.

Następnego dnia już z samego rana usłyszała muzykę. Leżąc w łóżku na swojej antresoli i nie wierząc, że sąsiad odważył się zacząć tak wcześnie, Anna słuchała nut, które zdawały się płynąć pod sufitem niczym światełka "jak robaczki świętojańskie, jak prawdziwe robaczki świętojańskie". Czy to Mozart? Było zbyt wcześnie jak na taki wybuch energii. Postanowiła poprosić Aleca, dozorcę, o pomoc w uszczelnieniu okien. Tymczasem dźwięki wlatywały jak skowronki. Anna schowała głowę pod poduszkę.

Alec, który przyszedł po kilku godzinach, by pomóc przy żarówce na suficie i opornym oknie, nie chciał słuchać skarg Anny.

– Gdzieś przecież tacy jak on muszą mieszkać – skwitował i Anna odniosła wrażenie, że w gruncie rzeczy lubił słuchać tej prawie niemilknącej serenady. Podważył łomem ramę i okno się domknęło. Ale zostawił w nim szparę, jak zauważyła.

– Ja też ją słyszę, kiedy pracuję w warsztacie, w suterenie – poinformował. – Nie zamykam okna. Wspaniała! Wspaniała!

Nie mam co liczyć na zrozumienie – uświadomiła sobie Anna. Alec opowiedział jej, jak to muzyka przypomina mu o domu, o Warszawie, jak wynikało z jego słów – mekce kulturalnej dla wszystkich zainteresowanych, oczywiście „za dawnych czasów”. W Warszawie – mówił – muzyka unosiła się w powietrzu, w parkach, na ulicach. To przypomina koszmar – pomyślała Anna, ale ponieważ dotąd nie wyjawiała Alecowi – podobnie zresztą jak nikomu z mieszkańców budynku – swojej prawdziwej profesji, nie mogła skarżyć się na hałas. Mogła jedynie powiedzieć:

– Widzi pan, poruszam się w wyższych rejonach i muzyka po prostu mi przeszkadza.

Ale przecież muzyka też należy do „wyższych rejonów”. Wszystko wskazywało więc, że Anna jest filistrem, i teraz już Alec nie mógł mieć co do tego wątpliwości.

## 14

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*jeszcze raz dziękuję Państwu za Ich dobroć. Uwielbiam Nowy Jork. (Oczywiście, uwielbiam też Maine, ale Nowy Jork stał się dla mnie prawdziwym domem). Czy nie brzmi to pretensjonalnie? Ale może trzeba być pretensjonalnym, żeby ważyć się na pokonanie w konkursie osiemdziesięciu konkurentów. Bo ja z pewnością spróbuję to zrobić.*

*Odpowiadając na Wasze pytania, zapewniam, że studia doktoranckie też idą mi dobrze. (Chociaż czasami myślę, że temat mojej pracy, Wpływ Haydna na twórczość Mozarta, dałoby się streścić w dwóch słowach: Byli*

przyjaciółmi). Zajęcia są ciekawe i staram się bywać na tych czy innych – żartuję. Kiedy nie gram na fortepianie, siedzę w książkach, spokojna głowa.

Myślę, że naprawdę poszczęściło mi się z nauczycielem. Wymaga technicznej błyskotliwości – pracuję nad tym – ale przede wszystkim kładzie nacisk na intencje kompozytora. Codziennie zadaję sobie pytanie: O co Mozartowi chodziło? To dla mnie pytanie warte milion dolarów. Jeśli mają Państwo jakieś refleksje na ten temat, proszę dać mi znać.

Z poważaniem Edward

PS Miała Pani rację, Pani Oliver, rzeczywiście ruch w Nowym Jorku jest straszny, ale staromodnym rowerem podróżuje się naprawdę szybko ~ szybko nawet jak na Manhattan, gdzie reszta rowerzystów to rozwożący chińskie dania. Jestem jednak ostrożny, więc niech się Pani nie martwi. I oszczędzam pieniądze, nie korzystając z metra.

## 15

Anna miała dwa numery telefoniczne. Jeden do kontaktów zawodowych, a drugi – do prywatnych – dla Alana, rodziców i przyjaciół. W dni pracy w szkole, by odsłuchać wiadomości, dzwoniła do domu z jedyne go płatnego aparatu telefonicznego w holu głównym. Musiała to robić w porze lunchu i jeśli w drodze na boisko przechodziła obok niej grupa dzieci, nie słyszała nic. Poza tym dzwoniący często byli zdenerwowani albo pogrążeni w bólu i czasami z powodu tej ich rozpaczki nie do końca mogła zrozumieć, o co im chodzi, nawet przy całym swym doświadczeniu.

– Czy o czymś powinienem wiedzieć? – drażnił się z nią od czasu do czasu Harold, kiedy widział, że Anna korzysta z aparatu.

– Że zbyt mało zarabiam, by stać mnie było na własny telefon – odpowiadała żartem, ale te słowa nie odbiegały od prawdy. Czynsz za mieszkanie był wysoki, a jej budżet – ograniczony. Telefon komórkowy wydawał się ekstrawagancją.

– Nie zarabiasz zbyt mało, tylko jesteś staroświecka – dalej przekomarzał się z nią Harold, i musiała przyznać, że miał rację. Uważała, że telefon komórkowy ograniczałby jej swobodę.

– A teraz przepraszam cię... – mówiła proszącym tonem.

Harold wiedział, że Anna dzwoni, by odsłuchać wiadomości. Domyślał się tego, widząc jej zmarszczone brwi i pospieszne notatki w małym czarnym skórzanym notesie, w którym zapisywała numery telefoniczne klientów i terminy spotkań.

– Ciii – syczała, wyęzając słuch, żeby zrozumieć wiadomości.

Ona i Harold stawali się prawdziwymi przyjaciółmi, ale jeszcze nie tak bliskimi, aby mogła go zlekceważyć, kiedy stukał palcem w tarczę zegarka i ruchem brwi wskazywał klasę.

Chociaż jej matka miała rację, że tytuł magistra, który kiedyś wydawał się stratą pieniędzy, zapewniał jej jakieś zaplecze, to jednak czasami owo „oparcie” przypominało raczej ruchliwe piaski. Zdarzało się to w takich sytuacjach, gdy duchy jej uczniów stawały się trudniejsze do opanowania niż duchy zmarłych. Jak w dniu, w którym Abby postanowiła zjeść ciastolinę. Skończyło się płukaniem żołądka i rodzice dziewczynki, nowojorczyccy pieniacle, zagrozili Haroldowi, że pozwą go za to do sądu.

W piątkowe wieczory była wykończona i pranie stało się dla niej uspokajającym rytuałem, na który czekała. Tęskniła za spokojnymi weekendami, bo mogła wtedy odpocząć. Spacerowała po Central Parku,

zachodziła nad Turtle Pont. Odwiedzała też – solo – pobliski pchli targ. Nazywała to ładowaniem akumulatorów.

Pod wpływem namów Harolda obejrzała kilka odcinków *Seksu w wielkim mieście*. Nie widziała jednak w serialu tego Nowego Jorku, który znała, i nie wyobrażała sobie, by sama mogła się oddać którejś z hedonistycznych przyjemności bohaterki. Jeśli pani Murphy miała rację i Anna przeprowadziła się do Nowego Jorku, by znaleźć miłość, to był to jej jedyny śmiały krok. Czasami żałowała, że kontakty z tym światem nie są dla niej tak łatwe jak z tamtym. Chciałaby użyć swoich zdolności, by znaleźć bratnią duszę, ale nie było to takie proste. Mogła tylko pomóc innym, zabawiając się w swatkę, sobie nie mogła pomóc.

Harold, który poczuwał się do roli opiekuna, szybko zaczął zagospodarowywać jej wolne weekendy. Wziął sobie za cel wypełnienie kalendarza Anny spotkaniami towarzyskimi. Często dzwonił do niej z różnymi propozycjami. Czy nie chciałaby odwiedzić targu kwiatowego? Zdarzały się tam świetne okazje. Co by powiedziała na wyprawę do Chinatown? Bo potrzebny mu nowy zapas pałeczek. Czy nie pomogłaby mu znaleźć orientalnego dywanu? Oznaczało to wypad na dolny Broadway. Nie wyskoczyłaby na lunch w Koreatown? Znał wspaniałą knajpkę, gdzie byłiby jedynymi białymi klientami...

– Gdybym nie był gejem, zakochałbym się w tobie do szaleństwa – któregoś razu żartobliwie wyznał jej Harold.

– Ale jesteś nim.

– Owszem, ale mimo to wydajesz mi się fascynująca.

– Tobie tak, Haroldzie. Ale tylko tobie. – Mimo wszystko jego uwaga jej pochlebiała, a wyprawy z nim ją bawiły. Miło było pobyc w męskim towarzystwie, jakimkolwiek.

## 16

Anna robiła pranie w piątki, po spotkaniach z Haroldem, które przybrały stały charakter. Pralnia mieściła się w suterenie, miejscu, które budziło w niej lęk, choć bynajmniej nie bała się pojawienia ducha. Może raczej mordercy z siekierą? Śmiała się z siebie. Co za różnica – niezależnie od tego, co jej matka sądziła o Nowym Jorku. Anna zauważyła, że w piątkowe wieczory pralnia wręcz pustoszała – wszyscy, no prawie wszyscy, szli na randki, wybierając jedną z niezliczonych, wyrafinowanych rozrywek, wymienianych na łamach „Time Out New York”. Ona brała proszek do prania i schodziła do sutereny.

Przeważnie z nosem w tabloidzie, usiłowała uczynić z cotygodniowego prania zajęcie jak najmniej przykre. Stwierdziła, że jeśli kupowała tygodniówki w czwartki, kiedy pojawiały się w kioskach, i zostawiała je sobie do piątku, mogła pogrążyć się na godzinę czy dwie w beztroskiej operze mydlanej śledząc barwne i pewnie wyolbrzymione problemy bogatych, sławnych czy po prostu nieszczęśliwych. Uwielbiała w uspokajającym zapachu powoli schnącego prania czytać o sensacyjnych aferach hollywoodzkich. Lubiła pobyc sama, słuchając swoich rytmicznych kroków w tenisówkach, w których dreptała wokół suszarki, pracującej głośno nawet mimo ładunku ręczników. Gazety tak ją pochłaniały, że



zapominała o mordercach z siekierą – w końcu szaleli tylko na łamach brukowców.

Ten piątkowy wieczór zaczął się jak wszystkie inne: Anna zjechała cztery piętra na parter, a następnie jeszcze niżej, z tabletkami, proszkiem i koszem pełnym prania. W holu, zanim drzwi windy się zasunęły, usłyszała dźwięki fortepianu; potem zeszła do sutereny, jądra ciemności. Rozłożywszy rzeczy na wielkim stole ze sklejki, szybko posortowała je na jasne i kolorowe, do ręczników dorzuciła tenisówki i nastawiła białe pranie.

Usadowiła się na poplamionej, obitej perkalem kanapie, pod fluorescencyjnymi lampami, które jeszcze potęgowały krzykliwą wymowę artykułów w tabletkach. I wtedy uświadomiła sobie, że skądś, przez jakieś otwarte okno, dochodzi muzyka. Nie miała ochoty dociekać skąd. Co było takiego w tym niemilknącym dźwięku, co tak wpadało jej w ucho? Dlaczego nie mogła się od niego uwolnić?

Skoncentruj się! – nakazała sobie, marszcząc czoło i skupiła się na artykule o nieudanych operacjach plastycznych w środowisku hollywoodzkich gwiazd. Muzyka umilkła. Anna w spokoju czytała dalej, przerzucając kartki zwilżonym śliną placem; oboje z Alanem mieli ten okropny nawyk. Po chwili muzyka rozbrzmiała znowu, tym razem żywsza i gwałtowniejsza. Anna pomyślała, że może warto przeszukać suterene, by znaleźć zdradzieckie okno. W końcu jednak zrezygnowała z tego zamiaru, znów zagłębiła się w lekturze, usiłując zignorować muzykę, tak natarczywą jak chrząszcze uderzające o siatkowe drzwi w letnim domku jej rodziców na Mackinac Island.

Cholera! – zniecierpliwiła się wreszcie, gniewnie wrzucając jasne rzeczy do suszarki po napełnieniu pralki kolorowymi. Fluorescencyjna

lampa nad składanym stołem zamigotała niepokojąco. Anna zagłębiła się w kanapie, która, jak zauważyła, zalatywała stęchlizną. Zamknęła oczy i zaczęła liczyć do dziesięciu. Stwierdziła, że nie jest w stanie tego robić, słuchając jednocześnie muzyki. To zapewne był ten trik, którego miała ją nauczyć medytacja. Muzyka znowu ucichła. Po kilku minutach Anna usłyszała, że do sutereny zjeżdża winda. Czekala niecierpliwie na intruza, nie starając się nawet ukryć tabletek. A niech ten ktoś uzna mnie za prymitywa – pomyślała rozeźlona.

Drzwi windy się otworzyły, ukazując dwa chwiejące się kosze prania na bardzo długich nogach, gołych, a przynajmniej wystających z szortów, w śmiesznych białych skarpetkach i brudnych tenisówkach. Anna dostrzegła twarz wychylającą się zza pudełka proszku do prania. To był ten pianista.

– Cześć – mruknął. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Kosze prania przechyliły się i upadły na podłogę. Anna mimo woli parsknęła śmiechem. Pianista się zaczerwienił. Okulary przekrzywiły mu się na nosie. Zawartość pudełka proszku utworzyła małą wydmnę u jego stóp. Nie dość powiedzieć, że mężczyzna był wysoki – przypominał wręcz czaplę – zauważyła Anna, patrząc, jak balansuje na jednej nodze i otrzepuje z proszku but na drugiej. Nosił niemodne okulary i miał szopę potarganych rudych włosów. Dziwoląg – orzekła Anna. – Intelktualista, pewnie mól książkowy, który czyta Nietzschego i Schopenhauera. Znała ten typ ze szkoły. Tacy jak on zawsze patrzyli na nią z góry – a przynajmniej takie odnosiła wrażenie. Wróciła więc do lektury gazet, nie patrząc na pianistę, który zaczął sortować górę prania.

– Czy mógłbym skorzystać z pralki na przemian z tobą? – zapytał dźwięcznym, głębokim głosem. Ten głos ją zaskoczył. Jego tembr był tak

uwodzicielski, że niemal powiedziała: „nie ma sprawy”, może skorzystać z jej pralki, ale zaraz odzyskała przytomność umysłu. Dlaczego miałyby odstąpić mu swoją pralkę? Poza tym znalazł się na jej terytorium, o jej porze.

– Nie – odparła. – To znaczy, nie mógłbyś. Będziesz musiał poczekać.

– Ale ponieważ zabrzmiało to bardzo niegrzecznie, uciekła się do kłamstewka: – Mam randkę.

– Wobec tego mogę przejrzeć coś z tego? – Sięgnął do stosu gazet i wziął tę, którą właśnie skończyła czytać. Nie ma sensu się o wszystko kłócić – pomyślała. Pianista spojrzał na nią. – Jesteśmy sąsiadami. Właśnie się wprowadziłem – powiedział, jakby musiał wytłumaczyć swoją obecność.

– Wiem. Zablokowałeś mnie w windzie, pamiętasz? – Mimo upływu kilku tygodni Annie nie przeszła uraza.

– Mam nadzieję, że nie spóźniłaś się do pracy. – W jego głosie zabrzmiała wesola nuta.

– A owszem. – Anna nie zamierzała dać się uwieść. Niech ją weźmie za zrzędę. Budziła się w niej zrzęda, i to z jego powodu. Gdyby tylko tyle nie ćwiczył... ale cóż.

– Wobec tego mam nadzieję, że nikt nie zauważył. – Pochylił się nad nią jak sympatyczna żyrafa. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale się garbił – a może po prostu chciał spojrzeć jej w oczy. Gdy się do niej zbliżył, poczuła się lekko wytrącona z równowagi. Był trochę niepokojący – jak ta jego muzyka.

– Obawiam się, że zauważyła cała klasa – odparła sztywno.

– Jesteś nauczycielką. Wspaniale. – Niewątpliwie przeciągał rozmowę. – W niektóre dni – Anna ucięła krótko.

Potem oboje wsadzili nosy w gazety.

## 17

*Droży Państwo Oliverowie.*

*piszę do Państwa, czekając, aż wysuszy mi się pranie. To miło, że pytacie o moich nowojorskich przyjaciół. Obawiam się, że nie mam ich jeszcze zbyt wielu. Chyba rozumiecie, że skupiam się raczej na Mozarcie niż na życiu towarzyskim. Mozart jest zresztą taki tajemniczy. Nie zostawił zbyt wielu wskazówek, takich jak Mahler, aby wyrazić swoje intencje. Staram się wyczuć, o co mu chodziło, ale to tylko domysły, naprawdę. Nic dziwnego, że wykonawcy pędzą przez jego utwory. Sam kiedyś też tak robiłem, ale mój nauczyciel położył temu kres. Wciąż mówi o rozszyfrowaniu intencji kompozytora. Nieustannie zadaję więc sobie pytanie: Jaki był Mozart?*

*W szkole idzie mi dobrze, a sąsiedzi jak dotąd nie skarżyli się na moje ćwiczenia. To chyba rzadkość. Nauczyciel opowiedział mi, że miał kiedyś zwariowaną sąsiadkę z dołu, która przychodziła z pretensjami za każdym razem, gdy zaczynał grać. Ledwie usiadł na stołku, a ona zaczęła walić w sufit, jego podłogę, kijem od miotły czy czymś takim. W końcu, po kilku miesiącach, zaczął grywać na keyboardzie ze słuchawkami, ale ona nadal się skarżyła – pukając do drzwi – że przeszkadza jej stukanie w klawisze. Niektórzy ludzie mają naprawdę wrażliwy słuch. Czasami zastanawiam się, czy nie jest to przejaw talentu muzycznego. Jak Państwo myślą?*

*Jeszcze raz dziękuję Pani Oliver za troskę. Coś tam jadam. Mam masło orzechowe, jabłka i serki topione do kanapek. No i oczywiście chodzę na*

*pyszną nowojorską pizzę, gdy już wyjdę z domu — gdy naprawdę wyjdę z domu. A wychodzę. Jeżdżę na rowerze.*

*Pozdrawiam serdecznie Edward*

## 18

Po powrocie z pralni Anna zauważyła, że na automatycznej sekretarce jej telefonu do spraw zawodowych jest nowa wiadomość. Błyskała czerwona lampka. Nacisnęła klawisz „przewijanie”, a następnie „odtworzenie”. To pewnie tylko Harold, który chciał podziękować za popołudniowe spotkanie z Andrew. Ale nie, była to nowa klientka, jak się okazało, skierowana do niej przez Harolda.

„Tu Mary Peterson – usłyszała wysoki głos z lekkim irlandzkim akcentem. – Jak rozumiem, potrafi się pani komunikować... – Tu kobieta urwała. – Dwa miesiące temu straciłam męża...”

Anna zapisała numer telefonu pani Peterson w swoim małym czarnym notesie. Oddzwoni po zjedzeniu kolacji. Wiedziała z doświadczenia, że pierwszemu kontaktowi często towarzyszy zdenerwowanie, więc starała się nawiązywać go z pełnym żołądkiem, gdy czuła się pokrzepiona i spokojna. Mogła zbiec do greckiej knajpki. W piątki jadała spanakopitę i sałatkę grecką.

Musiał zrobić pranie w rekordowym tempie – pomyślała, kiedy zobaczyła wysoką, rudowłosą postać pochyloną nad książką i jakimiś kartkami przy stoliku z tyłu. Moje ulubione miejsce, najlepsze – stwierdziła z irytacją, gdy George, ulubiony kelner, przeproszał, że jest ono zajęte.

– To znowu ja – rzucił rudowłosy na powitanie.

– Znowu ty – zazartowała, rumieniąc się, przyłapana na jawnym kłamstwie. Gdzie był ten facet, z którym rzekomo miała się spotkać?

– Chyba nie byłaś umówiona na kolację? – rudowłosy jakby czytał jej w myślach. Miała wrażenie, że patrzy na nią z niezwykłym natężeniem.

– Nie, chodziło o inną randkę – odparła i zaczerwieniła się jeszcze bardziej, uświadamiając sobie, co to mogła być za randka. George pospieszył jej na ratunek.

– Spanakopita i sałatka? – zapytał. Jego grecka wymowa przeczyła amerykańskiemu nazwisku. Kiwnęła głową i zajęła miejsce w jedynym wolnym przedziale. Teraz sobie przypomniała. Wybierała przedział z tyłu nie tylko dlatego, że był najbardziej odizolowany, ale też z tego powodu, że skórzane siedzenie w nim posklejano taśmą.

– Zaraz wracam – powiedziała George'owi i wyskoczyła do kiosku na rogu ulicy, gdzie kupiła grubaśny „New York Post”. Wróciła z nim na miejsce. Pianista uniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się przelotnie. Oboje umknęli nimi w bok, a potem znowu zerknęli na siebie. Anna miała wrażenie, jakby przebiegł ją prąd. Bzdura – powiedziała sobie i szybko odsunęła od siebie tę myśl. Bez tych staroświeckich okularków mógłby być całkiem do rzeczy – uznała. Wyjęła strony z plotkami i usiadła na pozostałej części gazety. Teraz nic jej już nie drapało. Spanakopita była pyszna, jak zwykle, i po kolacji Anna wróciła na górę, aby oddzwonić do pani Peterson.

## 19

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*więc kontynuuję. To miał być krótki list. Teraz piszę do Was z greckiej restauracyjki, gdzie – a tak –jadam i czasami także*

*Oliver, moja praca doktorska jest co najmniej tak trudna jak nadchodzący konkurs. Co gorsza, jest nudna – przynajmniej w porównaniu z muzyką. A może to tylko opór wewnętrzny. Wiem, jak mimo to ćwiczyć, ale jak pisać? Domyślam się, co by Pani powiedziała, Pani Oliver: w ten sam sposób.*

*Panie Oliver, pytał mnie Pan, czy stypendium mi wystarcza. Jak najbardziej. Jest Pan bardzo wspaniałomyślny, z czego, mam nadzieję, zdaje Pan sobie sprawę. Kawalek pizzy kosztuje dolara pięćdziesiąt w Garlic Bob's, knajpce po drugiej stronie ulicy, za grecką restauracyjką. Ale wolę tę u Greka, bo podają tu zaskakująco dobre kanapki z boczkiem, sałatą i pomidorem. (A myślałem, że najlepsze są u Irvinga, gdzie zatrzymują się kierowcy ciężarówek, u nas w Wilton).*

*Dziękuję za zainteresowanie, Pani Oliver, ale nie, nie tęsknię za domem. Zapomina Pani, że wyjechałem — wyrwałem się stamtąd — najpierw do college'u, a potem na studia, nie mówiąc już o letnich festiwalach w Aspen, Marlboro, Tanglewood i Ravinii. Zresztą na krótko wróciłem, żeby trochę pomóc – choć nie ma tam szczególnie w czym pomagać, jak słusznie Pani kiedyś zauważyła. Chyba nazwała mnie Pani petunią na zagonie cebuli, Pani Oliver, ale nie było tak źle. Wielu ludzi ma za sobą trudne przejścia, jednak nie wszyscy mogą liczyć na wsparcie kogoś takiego jak Wy.*

*Z poważaniem Edward*

W sobotnie wieczory, jakby chcąc podkreślić jej status osoby samotnej, nieodmiennie dzwoniła matka. Tej soboty także zatelefonowała.

– Co robisz w domu? – zapytała jak zwykle, taktownie wyrażając zdziwienie, że zastała córkę. Która mieszka w tak wielkim mieście!

– Zamknę okno; ledwie cię słyszę – poskarżyła się Anna. Pianista z dołu znowu grał. – Och, na miłość boską! Cicho! – wykrzyknęła z frustracją wśród crescendo wznoszących się dźwięków. Okno nie chciało się zamknąć i muzyka napływała nieprzerwanie.

– Nie wiedziałam, że masz wieżę – zauważyła matka, kiedy Anna podjęła rozmowę. – Alan ci coś wysłał?

– Pocztówkę – zażartowała Anna. – Ze słowami, że też chciałby tu być.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Matka nigdy nie lubiła, gdy Anna stawiała się „zgryźliwa”. Anna z kolei nie cierpiała, kiedy matka prowokowała ją do tego.

– Nie, mamo. Alan niczego mi nie wysłał – odrzekła w końcu.

Matka była nauczycielką w szkole podstawowej, podobnie jak wcześniej jej matka. Anna i Alan wywodzili się z długiej linii nauczycieli i oboje zostali tak wykształceni, by tę linię przedłużyć. Alan unikał pracy w tym zawodzie, jak przez wiele lat Anna. „Macie to we krwi” – twierdziła jednak matka i być może miała rację.

Anna wiedziała, że matka wolałaby, aby Alan, skoro już nie uczył, wykorzystał swoje zdolności w dziedzinie elektroniki, komputerów między innymi, i zarabiał „przyzwoite pieniądze”. Uważała pracę lutnika za ślepą



uliczkę, pewnie słusznie. Ale i tak było to lepsze zajęcie od tego, czym zajmowała się Anna, a o czym jej matka w ogóle nie chciała rozmawiać. Ucieszyła się bardzo, gdy córka zatrudniła się jako nauczycielka na zastępstwa, licząc, że w końcu pójdzie po rozum do głowy.

– I jak tam praca w szkole? — pytała co tydzień.

– Dobrze, bardzo dobrze – odpowiadała Anna, świadomie ją uspokajając.

Matka uwielbiała zgodę i harmonię. Jako „Nauczycielka Roku” dbała o przyjazną atmosferę na lekcjach, choć już gorzej bywało w rodzinie, gdzie miała do czynienia z mężem.

– Mogę porozmawiać z ojcem? – zapytała Anna. Matka odwlekała ten moment, jak tylko się dało, przekonana, że Anna i jej ojciec „podburzają się wzajemnie” – choć ojciec tego wcale nie potrzebował. Niegdyś wykładowca religioznawstwa, był w głębi duszy wesołkiem. Zrezygnował z nauczania i pełnił teraz funkcję dziekana na uniwersytecie, czyli dość znaczącą. Studenci niewiele wiedzieli o jego licznych błazenadach na gruncie prywatnym, które przeszły do legend rodzinnych.

– Twój ojciec – oznajmiła matka – już podchodzi do telefonu. Mówiłam ci, że wytrzasnął skądś lornetkę do obserwacji ptaków? Twierdzi, że obserwuje przez nią dormitoria koedukacyjne. I to ma być dorosły mężczyzna! . .

Ojciec Anny przejął słuchawkę.

– Co u ciebie i twoich znajomków? – zapytał. Zawsze nazywał duchy jej „znajomkami”.

– U mnie dobrze. U nich też – poinformowała Anna. – Tak naprawdę męczy mnie szkoła. Podobnie jak mama, jeśli o to chodzi. No i wprowadził

się ten pianista. Doprowadza mnie do szału. Kiedy się budzę, muzyka. Kiedy zasypiam, muzyka. To jakby się mieszkało z szafą grającą. Nie znoszę go.

– Źle gra? – zapytał ze współczuciem ojciec.

– A bo ja wiem? Pewnie nawet całkiem dobrze. Tylko nie mogę się przez niego skupić. Pani Murphy radzi, żebym więcej medytowała, bo jeśli nauczę się koncentrować, muzyka przestanie mi przeszkadzać. Ale ja nie lubię medytacji. Miałabym jeszcze więcej medytować? Co za nudy! Dlaczego ciągle MNIE to prześladowuje?

– Alan wczoraj wieczorem przyjechał na obiad – doniósł szeptem ojciec. – Matka chce, żeby podjął pracę przy komputerach.

– Albo wykorzystał swoje wykształcenie historyka jako nauczyciel – dorzuciła Anna.

Podczas gdy Anna wybrała literaturę angielską, Alan uznał, że historia, jedna wielka opowieść, będzie najbardziej bezbolesną drogą, by spełnić życzenie matki. Oczywiście jego wersja historii uwzględniała przede wszystkim wynalazców i ich gadzety – Edisona, Marconiego, nieodłącznego pana Bella, bez którego inwencji by teraz nie rozmawiali.

– Potrzebujesz pieniędzy? Mógłbym ci wysłać – zaproponował ojciec. Co jakiś czas podsylał jej drobne sumy, wbrew matce, której zależało, by dzieci uniezależniły się finansowo.

– Nie, dzięki, tato. Radzę sobie. – Anna nie chciała, by się niepokoił stanem jej finansów. Nie mówiła mu, jak bardzo ogranicza wydatki, każdy musiała starannie rozważyć.

– „Jakoś” sobie radzisz? – nalegał.

– Tego nie powiedziałam. Naprawdę, wszystko w porządku.

Wiedziała, że ojciec przyśle jej pocztą trochę gotówki –kilka banknotów w kopercie. Matka byłaby przerażona, gdyby o tym wiedziała, ale ponieważ załatwiał to bez czeku, nie pozostawał żaden ślad.

## 21

Gdy jechali linią metra numer jeden na południe, Harold powiedział Annie, że – jak się zapewne domyślała – rozległe kontakty towarzyskie „zawdzięcza” swojemu nieżyjącemu partnerowi, Andrew, który był handlowcem i obracał się w rozmaitych kręgach towarzyskich. Andrew miał w sobie znacznie więcej energii niż on, co zdaniem Harolda Anna musiała wyczuć nawet w „rozcieńczonej” postaci, jaką obecnie przybierał.

– Duchy nie są „rozcieńczone” – zaprotestowała Anna. Dla niej były tak realne i pełne życia jak ludzie z krwi i kości.

Przycisnąwszy się do niej, by dostosować się do tłumu zebranego w sobotni wieczór na Times Square, Harold ciągnął dalej. Ma do niej absolutne zaufanie, powiedział, dlatego właśnie zaprosił ją na dzisiejsze przyjęcie urodzinowe, przyjęcie niespodziankę dla niejakiego Arthura, którego specjalnym gościem miał być olśniewający brunet transseksualista imieniem Havoc, ktoś, kogo osoba na stanowisku Harolda nie powinna w ogóle znać.

– Havoc – powtórzyła Anna niewyraźnie, myśląc, że wreszcie Alan byłby zadowolony: oto czekała ją autentyczna nowojorska przygoda w sercu Greenwich Village. Od dwóch lat, odkąd w ramach prezentu na trzydzieste urodziny przeprowadziła się do Nowego Jorku, jej tutejsze życie nie

spełniało oczekiwań brata. A z kolei doświadczeniami z tamtym światem nie chciała się dzielić.

– Wzięłaś mnie ze sobą, żeby się mną popisać – zarzuciła Haroldowi, gdy wyszli z metra. – To moja dziwna przyjaciółka Anna. Rozmawia z duchami...

– Nie uważam, żebyś była dziwna – sprzeciwił się Harold. – Uważam, że jesteś całkiem normalna. Jak na medium w każdym razie. – Posłał jej uśmiech kota z Cheshire.

Przyjęcie odbywało się w dawnym kościele, przekształconym w teatr, który wieczorem można było wynajmować. Anna zastanowiła się przez chwilę, czy Bóg, którego tu niegdyś czczono, patrzył przychylnym okiem na odbywające się w tym miejscu ekscesy. Kiedy weszli do budynku, Anna zobaczyła, że jest udekorowany balonami; był wśród nich jeden w kształcie wielkiego, liczącego prawie dwa metry penisa, który świętokradczo wisiał przy dawnej ambonie. Kołysał się, podskakując lekko, co sprawiało deprymujące wrażenie, że jest całkiem prawdziwy. Harold przeszedł obok niego spokojnie. Anna też tak próbowała, licząc, że nie zerknie na balon ani na nic innego.

Ciągnąc Annę za ramię, jakby włókł opierającego się teriera, Harold zaprowadził ją do balustrady przy ołtarzu, na której siedział Havoc w długiej, ozdobionej cekinami sukni z niepokojąco głębokim rozcięciem na udzie. Anna zauważyła, że miał – miała? – bardzo zgrabne nogi.

– Havoc, mój drogi. – Harold cmoknął transseksualistę w idealnie rzeźbiony policzek. – Wyglądasz cudownie.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedział Havoc, lustrując Annę od góry do dołu. Miała na sobie jedną ze swoich sukienek vintage, z granatowej

gabardyny, obszytą lamówkami w kolorze żurawinowym. Przy Havocu poczuła się nagle jak zwykły brązowy strzyżyk. Jak to możliwe, że transseksualiści wydawali się bardziej kobiecy niż prawdziwe kobiety?

– To Anna, medium – pospiesznie przedstawił ją Harold, mimo obietnic, że będzie trzymał język za zębami.

– Medium? – Havoc zerknął na nią z zaciekawieniem. –Ja noszę szóstkę, ósemkę albo dziesiątkę, zależnie od projektanta oczywiście. Niektórzy z nich chcą, żebyś miała lepsze samopoczucie i swoje małe rozmiary szyją tak, żeby były trochę większe. U Halstona nosiłem zawsze czwórkę. Jak Liza.

Anna ze zdumieniem, a potem z ulgą zorientowała się, że Havoc zinterpretował informację o niej w realiach świata, w którym żył. I wtedy zauważyła pierwszego ducha. Był niebieskawą mgiełką, jak dym papierosowy, i unosił się w pobliżu dawnego chóru. Ojej – pomyślała, podążając za nim wzrokiem. Wysoko pomiędzy belkami sklepienia, przy witrażach, duchów było jak nietoperzy. Anna widziała je całkiem wyraźnie. Naturalnie nikt poza nią ich nie dostrzegł.– Miała nadzieję, że żaden nie będzie próbował nawiązać z nią kontaktu.

Harold znowu pociągnął Annę za ramię, tym razem holując ją do osoby stanowiącej centrum przyjęcia, wysokiego, przystojnego mężczyzny, uderzająco podobnego do Paula Newmana w jego najlepszym celuloidowym okresie. Nazywał się Arthur. „Nie cierpi, gdy mówi się do niego »Art«" – szeptem poinformował Harold, wypychając Annę do przodu, aby ją przedstawić.

– Jak się masz? – powitał ją Arthur, cmokając powietrze tuż przy policzku Harolda. – Nie trzeba było. Myślę, że pięćdziesiątka –jak w moim przypadku! – powinna przejść w sposób niezauważony.

– Źle znosi starzenie się – syknął Harold do Anny.

– W przeciwieństwie do was wszystkich – odgryzł się Arthur. Harold na chwilę stracił rezon.

Anna skorzystała z tej drobnej sprzeczki, by przyjrzeć się zebranych: śniadym ciałom w drogich garniturach od Barneya. Impreza przypominała zjazd organizowany przez „Gentleman Quarterly”.

– Ach, Alexander! – wykrzyknął Harold, pociągając Annę, by poznać ją z niskim korpulentnym mężczyzną z tak wielkim diamentowym kolczykiem w uchu, że według Anny musiała to być cyrkonია. Alexander wyróżniał się w tłumie prawie tak jak Havoc. Miał na sobie obcisłą purpurową bawełnianą koszulkę i niebieskie dżinsy. Koszulka uwypuklała tylko jego wystający jak u świętego Mikołaja brzuch.

– Wy dwoje macie ze sobą wiele wspólnego – oznajmił Harold. – Alexander to bardzo dobry jasnowidz. Po śmierci partnera – z którym, jak by tu powiedzieć, był już w separacji –sam prowadzi sklep ezoteryczny przy Houston Street. – Do Alexandra zaś zwrócił się scenicznym szeptem: – Anna jest medium.

Jak wszyscy inni Alexander obrzucił Annę uważnym spojrzeniem.

– I przeżyje niebawem miłość swojego życia – przepowiedział.

– Moim zdaniem miłość jest przereklamowana – odparła Anna.

Czy to nie było wyparcie z jej strony? Podejrzewała, że tak.

– On jest już tuż obok – stwierdził Alexander. – Słyszę muzykę. Jak brzmi marsz weselny?

Harold skwapliwie zanucił kilka taktów marsza Mendelssohna.

– Haroldzie, przestań! – zaprotestowała Anna. Trzepnęła go w ramię. Zachichotał.

– Co jeszcze widzisz? – zapytał Alexandra. – Powiedz Annie, niech wie.

– Stoi wobec wyborów. – Alexander zaśmiał się nieprzyjemnie. – Wobec wyborów.

– Może nie będziemy omawiać publicznie mojego życia prywatnego – zachnęła się Anna. – To niezbyt przyjemne, gdy ktoś miesza się w twoje sprawy.

– Jak sobie życzysz! – Alexander, urażony, obrócił się na swoim obcasiku.

Anna tymczasem z pewną obawą po raz drugi zerknęła w górę. W kościołach często przebywały duchy, ale ten był jeszcze gorszy pod tym względem od innych. Może zjawily się na przyjęcie? Czy jej się wydawało, że jeden z duchów też jej się przygląda? Jeśli rozejdzie się wieść, że jest tu medium, nie zazna spokoju.

– Chodźmy, Haroldzie – powiedziała błagalnie, ale on właśnie brał kieliszek szampana z tacy, z którą podszedł bardzo przystojny młody kelner.

– Ja wychodzę – oświadczyła stanowczo, kręcąc odmownie głową na propozycję szampana. Była już dostatecznie wytrącona z równowagi. – Idę, Haroldzie, sama wrócę do domu.

Nie protestował.

Anna wymknęła się dyskretnie. Na ulicy, w chłodzie, wyraźnie poczuła jesień, mimo spalin i innych zapachów miasta.

Dlaczego jesień jest taka smutna? – zastanowiła się. Czy miała przypominać wszystkim o schyłku i przemijaniu? A może to ona, Anna, już zaczęła się starzeć? Kiedyś jesień oznaczała dla niej nowy początek, rozpoczęcie roku akademickiego, ale teraz już tak nie było. Wciąż jestem młodą kobietą – powiedziała sobie rezolutnie, ale czuła, że coś się zmieniło. Czy to rola medium pogłębiała w niej pewien mądry dystans, refleksyjne spojrzenie na ludzkie życie? Jako medium często potrafiła udzielać rozsądnych rad. Tylko jeśli chodzi o własne życie, czuła się zagubiona.

– Czy nie ma ludzi samotnych? – mruknęła do siebie, bo do wagonu, którym jechała, dosiadało się coraz więcej młodych osób w parach, ludzi wesołych i bezpośrednich. Czy cały świat jest zakochany? Nie mam nic przeciwko miłości, niezależnie od orientacji – stwierdziła w duchu stanowczo, widząc czule spojrzenia i pocałunki wymieniane wokół niej.

Nie mam zahamowań, nie jestem pruderyjna. Po prostu wybrałam samotność. Mężczyzn, przynajmniej tych, których do tej pory poznałam, zniechęca moja profesja. Jeśli nawet próbuję powiedzieć im o niej delikatnie, jest to ponad ich siły. A może to ich sceptycyzm jest ponad moje siły.

Dojeżdżając do swojego przystanku przy ulicy Osiemdziesiątej Szóstej była już wyraźnie przygnębiona. Nowy Jork przestał być dla niej wielką, szaloną przygodą. Zamienił się w ogromne, zatłoczone miasto, w którym mieszkała sama.



## 22

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*zanim zapomną, chciałbym podziękować za paczkę krówek. Obawiam się, że zjadłem prawie wszystkie na śniadanie.*

*Pani Oliver, dziękuję także za zasuszony jesienny liść. Tutejsze drzewa jeszcze nie żółkną, ale w Wilton musi być już pięknie jak co roku. Nie bez przyczyny Maine jest atrakcją turystyczną.*

*Panie Oliver, proszę powiedzieć Żonie, żeby się nie martwiła. Uważam na ruch uliczny, jeżdżąc na rowerze. Zresztą jeżdżę głównie po Central Parku, kiedy muszę oderwać się na trochę od fortepianu. Odpowiadając na Pani pytanie o przyjaciół, Pani Oliver – jestem zbyt zajęty, żeby czuć się samotny, i proszę pamiętać, że w Nowym Jorku jest mnóstwo ludzi. (Taki żarcik). Kupiłem geranium, żeby postawić je na parapecie, i jak na razie go nie wykończyłem. Może lubi Mozarta. Podobno rośliny odżywają w kontakcie z muzyką klasyczną. Myślę o kupnie złotej rybki. Pory karmienia przypominałyby mi o nawilżaniu powietrza ze względu na fortepian.*

*Pozdrawiam serdecznie Edward*

## 23

Znowu zaczął. Oczywiście zasiadł do fortepianu wtedy, gdy Anna czekała na panią Peterson. Na początek rozległo się kilka szybkich tryli, przypominających śpiew przestraszonego ptaka, który zerwał się do lotu. A potem – niekończące się fale dźwięków, kaskady, które unosił popołudniowy wczesnojesienny wietrzyk. Anna zamierzała pozamykać

szczelnie okna, ale zrezygnowała z powodu duchoty. Musiała więc słuchać koncertu, czy jej się to podobało, czy nie.

Akurat teraz – pomyślała ze zniecierpliwieniem. „Teraz” oznaczało pierwszą sesję z przepełnioną bólem klientką. Anna zaczęła się zastanawiać, czy dozorca poda jej numer mieszkania nowego hałaśliwego lokatora, żeby mogła złożyć na niego skargę. Niebezpieczny wąż na wolności – dźwięki fortepianu, wkradające się dosłownie wszędzie, wijące się wokół jej filodendronów. Dotrą pewnie także do jej łóżka na antresoli. Ale na razie, dzięki Bogu, facet nie gra po nocach.

Pani Peterson zadzwoniła z holu. Nawet przez domofon słychać było, że jest zdenerwowana, wręcz w panice – jak wielu cierpiących – i Anna doskonale to rozumiała. Od dawna znała świat duchów i wiedziała, jak nakłada się on na nasz własny. Jednak dla przeciętnego klienta komunikacja ze zmarłymi była jakąś niewydarzoną teorią albo, co gorsza, oszustwem. Anna stale musiała sobie przypominać o ich zrozumiałych wątpliwościach. W końcu nawet Alan był nastawiony sceptycznie.

W przypadku śmierci, zwłaszcza niespodziewanej, często wiele rzeczy pozostawało niewypowiedzianych, głównie zwykle „kocham cię”. Alan mógł sobie kpić, ale Anna wciąż czuła podniecenie, kiedy potrafiła ułatwić kochającym się ludziom pożegnanie. Być może pani Murphy miała rację i Anna była bardziej wrażliwa i sentymentalna, niż chciała się przyznać.

Rozległo się pukanie do drzwi. Anna otworzyła je i zobaczyła panią Peterson, drobną, przypominającą ptaszka kobietę, która nieśmiało weszła do mieszkania. Lekko utykająca, wyglądała na zaleknioną i rozglądała się wokół, jakby wkroczyła do kryjówki czarownicy. Anna i do tego była przyzwyczajona; starała się więc, by jej kącik do czytania wyglądał

neutralnie i możliwie jak najmniej ezoterycznie. Upewniając się, że nic jej nie grozi, pani Peterson weszła do pokoju. Przystanęła i ogarnęła wzrokiem otoczenie. Jak ostrożna jaskółka – pomyślała Anna.

– Och – zauważyła cicho pani Peterson – jaka śliczna muzyka. Howard kochał muzykę. To Mozart, prawda? – Wskazała głową w kierunku wciąż otwartych okien, którymi dochodziły przekłete nuty.

– Napije się pani czegoś? Herbaty albo kawy? – zaproponowała Anna.

Pani Peterson podziękowała. Anna wskazała jej kozetkę i sama zajęła swoje miejsce przy stoliku. Kiedy pani Peterson się usadowiła, Anna zapytała:

– Więc będziemy próbowały nawiązać kontakt z Howardem?

Na dźwięk tego imienia pani Peterson aż podskoczyła.

– Skąd pani wie? – ćwierknęła.

– Wspomniała pani o nim, mówiąc o muzyce – uspokoiła ją Anna.

Pani Peterson opadła na oparcie kozetki, jej drobna postać prawie zniknęła wśród poduszek.

– Howard był moim mężem. Byliśmy małżeństwem przez czterdzieści trzy lata. Zmarł – odszedł – dwa i pół miesiąca temu.

Anna uniosła dłoń. Powiedziała delikatnie, ale stanowczo:

– Wystarczy, pani Peterson. Im mniej będę wiedziała, tym lepiej, bo inaczej później pomyśli pani, że zmyśliłam to wszystko na podstawie uzyskanych od pani informacji.

– Rozumiem – odparła pani Peterson, kładąc delikatne ręce na kolanach jak pełne oczekiwania dziecko. Zresztą było w niej coś dziecięcego i niewinnego – pomyślała Anna i poczuła znajome lekkie szturchnięcie, gdy jej własne myśli i spostrzeżenia odpłynęły.

– Czy pani mąż był bardzo wysokim mężczyzną o siwiutkich włosach?  
– zapytała.

– To Howard! – zawołała pani Peterson. – Zawsze mówiłam mu, że wygląda jak wierzchołek góry pokryty śniegiem. Ojej, powiedziała pani, że żadnych podpowiedzi!

– Tak, nie chcę podpowiedzi. Teraz muszę uważnie słuchać. Chce pani notować? Na stoliku obok leżą kartki i długopis albo ja mogę notować za panią.

Pani Peterson wzięła kartkę i długopis ze stolika przy kozetce.

– Jestem gotowa – szepnęła.

Anna uśmiechnęła się do siebie, widząc podekscytowanie pani Peterson. Miała wrażenie, że klienci często potrzebują tajemniczej aury, jakiegoś hokus-pokus i wszystkich tych rekwizytów w rodzaju kryształowych kul, ruchomych stolików, które znali z filmów. Niestety, niczego takiego tutaj nie było. Annę nauczono podchodzić do życia pośmiertnego zwyczajnie i rzeczowo. Pani Peterson mogła być rozczarowana, ale na pewno nie miała podstaw czuć się oszukana.

Anna zaczęła, jak zwykle, od strzępów informacji, które przekazywał jej Howard. Były dość zaskakujące, jako że pani Peterson sprawiała wrażenie osoby łagodnej, ale cóż – ona i mąż pokłócili się przed jego śmiercią. Posłuchawszy chwilę, Anna powiedziała:

– Howard chce, żeby przestała się pani obwiniać z powodu tej kłótni. Mówi, że ludzie kłócą się od czasu do czasu.

– Rzeczywiście się pokłóciliśmy – wykrztusiła pani Peterson. Anna odniosła wrażenie, że widzi ulgę na jej twarzy. – Wszystko przez te kanapki. Zawsze robiłam mu lunch; on chciał sałatkę z kurczakiem, a ja

przygotowałam z tuńczykiem. Zdenerwował się. Nawet wybuchnął. Może to spowodowało wylew.

Anna słuchała z napięciem. Było to trudne, bo jednym uchem podążała za melodią, dość teraz niebiańską, jakby stanowiła tło muzyczne dla Howarda i tamtego świata. Zmarszczyła czoło, skupiając się, aby niczego nie przeoczyć wśród coraz głośniejszych dźwięków rapsodii.

– Dlaczego marszczy pani czoło? – zapytała z niepokojem pani Peterson. – Czy coś z Howardem nie tak?

Anna uspokoiła ją.

– Howard ma się dobrze. Jest mu przykro, że wpadł w złość z powodu kanapek. Mówi, że pani sałatka z tuńczykiem też była bardzo smaczna. I że po prostu stary, zrzędlawy dupek z niego.

Pani Peterson wyglądała na przestraszoną. Anna miała nadzieję, że dobrze zrozumiała. Usłyszała „stary, zrzędlawy dupek”, czyż nie?

– Pani mąż tak się wyrażał? – upewniła się.

– O tak – przyznała pani Peterson. – Używał brzydkich słów, ale nigdy za nic nie przeproszał, to znaczy za życia.

Anna położyła palec na ustach. Howard wreszcie zaczął „przekaz”. Niestety, z dołu wciąż dochodziła ta przeklęta muzyka – była piękna, ale brzmiała w jej uszach jak natrętna mucha. Anna sięgnęła po własny notatnik i długopis. Czasami notowanie wiadomości pomagało jej się skupić, a Howard odszedł tak niedawno, że pewnie miał jeszcze mało energii i jego przekaz był słaby. Zapisywała dokładnie, co mówił. Sprawiał wrażenie urażonego i jednocześnie zmartwionego. Kiedy zamilkł, odłożyła długopis. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne, ale nauczyła się powściągać sceptycyzm.

– Co powiedział? – zapytała pani Peterson trochę zazdrośnie. – Myślałam, że może i ja go usłyszę.

Cóż, nie było wyjścia, więc Anna przystąpiła do rzeczy. Dokładnie powtórzyła pani Peterson to, co powiedział jej mąż. Według jego słów żona wzięła sobie kochanka, młodszego od niej łobuza, który ją mamił.

– Spotyka się pani z kimś? Jemu chodzi o pani pieniądze.

Pani Peterson zarumieniła się po korzonki siwych cienkich włosów.

Bingo – pomyślała Anna. Pani Peterson rzeczywiście spotykała się z jakimś panem, który nie był bezinteresowny.

– Wiedziałałam, że Howardowi to się nie spodoba – odparła zdecydowanie. – Zawsze był zazdrosny.

Nie bez dumy opowiedziała o zaborczości męża, o tym, że nigdy nie spuszczał jej z oczu na spotkaniach towarzyskich, na których bywali mężczyźni.

Anna zauważyła:

– Mówi, że to prawda, co nie zmienia stanu rzeczy. „Jeśli się w nim zakochasz, stracisz wszystko, co zdobyliśmy”. Tak powiedział.

– Ojej – jęknęła pani Peterson, wygładzając skromną sukienkę na szczupłych nogach. – Nie chcę myśleć, że może mieć rację. Jerry jest taki...

– Zapatrzyła się w przestrzeń. Najwyraźniej była zadurzona.

– Przekonujący? – podsunęła Anna, podpuszczana przez Howarda. – Wygadany?

– Ojej. – Pani Peterson sięgnęła po torebkę.

Znowu to samo – pomyślała Anna. – Przecież nie zabije się posłańca. Pani Peterson patrzyła na nią paciorkowatymi oczami ptaka, teraz nieprzyjaznymi. Tymczasem Howard zaczął powoli znikać. Anna najpierw

straciła go z oczu, a potem przestała słyszeć jego głos. Ta wizyta była dla niego bardzo wyczerpująca – zauważyła w duchu.

– Wobec tego będę musiała poobserwować Jerry'ego – skomentowała lodowato pani Peterson, wstając z kozetki. – Howard był zawsze bardzo podejrzliwy. Ale cieszę się, że przeprosił. Pierwszy raz. Oto pani honorarium. Pozwoli pani, że się już pożegnam, dobrze?

Anna zerwała się na nogi i podeszła do drzwi. Otworzyła je i wypuściła panią Peterson, która – zdaniem Anny – miała niezły temperament. Często osoby pogrążone w bólu są takie bezbronne – pomyślała, przypominając sobie własne doświadczenia z minionych lat, opowieści o oszustach i łotrach naciągających klientów, którzy rzadko chcieli usłyszeć prawdę, nawet z zaświatów.

Pokój wypełniły pogodne dźwięki Mozarta – rzeczywiście był to Mozart? Wydało jej się, że tak, choć w gruncie rzeczy nie miała pojęcia. Zauważyła notatki, które robiła pani Peterson i których zapomniała. „Howard mówi, że mu przykro i że bym uważała” – napisała swoją drobną niepewną ręką.

Po wyjściu pani Peterson poczuła się zmęczona i rozdrażniona. Howard ukazał się wyraźnie i przemówił, ale wątpiła, czy żona posłucha jego ostrzeżeń. Czasami Anna czuła, że tak naprawdę nie potrafi pomóc klientom. Niezależnie od tego, co by powiedziała, było jeszcze coś takiego jak wolna wola i niektórzy często postępowali wbrew własnym interesom. Źli ludzie żerują na wdowach i sierotach – pomyślała Anna gniewnie, biorąc sweter i zastanawiając się, czy ma ochotę na pieczeń rzymską i ziemniaki puree. To była sobotnia specjalność w knajpce na dole i chociaż pieczeń rzymska nie należała do specjalności greckich, Anna ją lubiła.

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*dziękuję Wam za niewyczerpaną życzliwość. Dostałem ciastka, chociaż w drodze trochę się pokruszyły. Ale nie narzekam. Dodałem je do lodów i były po prostu pyszne. Mogę sobie wyobrazić, jak smakowały świeże i w całości.*

*Panie Oliver, Mozart idzie mi dobrze, tak czy owak. Mam trochę zrozumiałych trudności ze specyficzną trzecią częścią, ale jestem pewien, że sobie poradzą. Miał pan rację, z Schumannem i Lisztem znacznie łatwiej. A Rachmaninow jest naprawdę efekciarski, nie sądzi Pan? To znaczy, wydaje się trudniejszy, niż jest w rzeczywistości. Mozart natomiast jest bardziej wymagający, ale bliższy mojemu sercu. Tylko żałuję, że nie dał nam jakichś wskazówek interpretacyjnych. Mahler właściwie zostawił przypisy!*

*Co jeszcze? Zesztywnienie karku, którego się nabawiłem, jak dotąd mnie nie paraliżuje, choć naturalnie wciąż daje się we znaki. Myślę, że pogorszyłem jego stan, gdy ostatnim razem byłem w domu i ćwiczyłem podkręcanie piłki, grając z bratem w koszykówkę. Cóż, dostałem nauczkę.*

*Pani Oliver, przykro mi to mówić, ale naprawdę nie mam czasu na przyjaciół. Uważa Pani, że są mi potrzebni i może tak jest istotnie, ale traktuję przygotowania do wielkiego konkursu trochę jak trening. Proszę spróbować wyobrazić sobie, że namawiałaby Pani Muhammada Ali albo Magic Johnsona, by szukali przyjaciół. Nie brzmi to zbyt pretensjonalnie? Chodzi mi o to, że muszą się koncentrować, a poza tym czy człowiekowi może brakować czegoś do szczęścia, gdy ma takie ciastka jak Pani?*

*Wasz Edward*



Anna uwielbiała jesień. Jeśli wracała wcześniej ze szkoły, od razu szła do Central Parku i wchodziła od ulicy Osiemdziesiątej Szóstej. Nieraz widziała szczura uciekającego pod osłonę grubego dywanu poszycia leśnego przy bramie, ale szczurów się nie bała, bała się węży. Nigdy jednak nie zauważyła węża w Central Parku, choć wiedziała, że muszą tam być.

Tego popołudnia nie natknęła się na szczura, natomiast zobaczyła małego i pełnego energii westie, który przy aprobacie właścicielki kopał w leśnym zakątku, gdzie najwyraźniej wyczuł szczura.

– Mądry pies – zauważyła Anna.

– Wabi się Charlotte – odparła właścicielka, elegancka blondynka, sprawiająca wrażenie wyniosłej, która jednak okazała się sympatyczniejsza, niż można by się spodziewać. Jako prawie codzienna bywalczyni w parku Anna rozpoznawała już wielu stałych spacerowiczów. Pochyliła się, aby przywitać się z suczką, która w odpowiedzi podskoczyła i polizała jej rękę.

– Przypadła jej pani do gustu. – Właścicielka uśmiechnęła się. – Zwykle, gdy tropi szczurka, jest zbyt zajęta, by się przywitać.

– Pochlebia mi to. – Anna zaśmiała się. Charlotte, jakby zrozumiała, drugi raz liznęła Annę po rękę, zanim powróciła do tropienia.

– Do widzenia, Charlotte – powiedziała Anna do zaabsorbowanego psa, ruszając ku ścieżce otaczającej lasek. Unikała drogi dla biegaczy wokół lasku, uczęszczanej przez hordy yuppie dbających o swoje już i tak idealne figury. Zdecydowanie wolała cichy chrzęst żwiru, towarzystwo starszych ludzi z psami na spacerze i od czasu do czasu wynajęte na przejażdżkę konie.

Tego dnia jesienne liście jakby osiągnęły apogeum barw, nad jej głową wisiały pełne ptaków, kolorowe baldachimy. W takie dni prawie tęskniła za Ann Arbor, gęsto porośniętym drzewami. W domu okno jej pokoju na pierwszym piętrze wychodziło na koronę wielkiego klonu cukrowego, każdej jesieni ,olśniewającym złotem i karmazynem. To niemal tak, jakby się mieszkało w domku na drzewie – pomyślała Anna z nostalgią, ale po chwili przywołała się do porządku. – W Nowym Jorku jest znacznie, znacznie lepiej. Wróciła do rzeczywistości, gdy omal nie rozjechał jej rower. Uskoczyła z drogi w zarośla. Rowerzysta przewrócił się, lecąc głową do przodu, wylądował na kopczyku ziemi z rękami uniesionymi do góry, jak chirurg. Był to pianista z jej budynku.

– Nie wiesz, że to nie jest ścieżka rowerowa?! – zawołała Anna, zanim uświadomiła sobie, że jej samej nic się nie stało, za to on może doznał obrażeń.

Okulary upadły mu na żwir. Patrząc na nią, mrugał niebieskimi oczami krótkowidza. Byłby całkiem przystojny –zauważyła – gdyby nie ta szopa marchewkowych włosów. Dlaczego trzymał ręce uniesione do góry? Czyżby sądził, że jest aresztowany?

– Przepraszam – mruknął pod nosem. – Nie widziałem znaku. – Próbował wyplątać długie nogi z ramy roweru. Jego workowate spodnie były podarte na obu kolanach, ku przerażeniu Anny pojawiły się na nich dwie szkarłatne plamy. Poranił się, idiota.

– Pomóc ci? – zapytała.

– Nic mi nie jest. Gdybym tylko znalazł okulary. – Poruszył dłońmi; wyglądał śmiesznie, jakby ścisnął niewidzialne piłeczki tenisowe unoszące się w powietrzu.

– Leżą pod twoim lewym kolanem – powiedziała Anna. – Co robisz z tymi rękami?

„No właśnie. Jego dłonie. Jego dłonie”. Anna wyraźnie usłyszała głos z obcym akcentem, dochodzący znikąd. Ten duch? Tu, w Central Parku? Było to możliwe, tylko dość niezwykle. „Tak, tak. Musi uważać na dłonie. Mogłabyś być ostrożniejsza, młoda damo!” – odezwał się znowu głos.

– Co takiego? – zapytała głośno Anna. Duch uważał, że wypadek zdarzył się z jej winy.

– Jestem pianistą – odparł łagodnie rowerzysta, jakby to wszystko tłumaczyło – bo tłumaczyło. – Nazywam się Edward – dodał, jakby mogli się zaprzyjaźnić.

„Bądź dla niego miła – upomniał ją duch. – Moja żona zawsze była czarująca”.

– Okulary się nie potłukły? – zapytała.

– Nie, wszystko w porządku. – Założył je na nos. Teraz przyjrzał się Annie.

„Zachęć go – nalegał duch. – Poflirtuj z nim trochę. No, dalej!”

– Cieszę się, że nic ci się nie stało. Jesteś cała, prawda? – spytała.

– Tylko niezdara ze mnie. – Wzruszył ramionami z zakłopotaniem. Przechylił głowę z boku na bok, jakby sprawdzając, czy ma jeszcze szyję.

– Tylko niezdara – powtórzyła jak echo Anna, świadoma, że sprawia zawód duchowi. Ale kim był, żeby udzielać jej rad?

– To ja się cieszę, że tobie się nic nie stało. Jesteś cała, prawda? – Rudowłosa objął przeciągłym spojrzeniem postać Anny, od stóp do głów. Poczowała, że się rumieni.

– Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Nie musisz mi się tak przyglądać. Jestem cała.

– Cóż, skoro wszystko w porządku... – Lekko utykając, wsiadł na rower i odjechał.

## 26

Oficjalnie nie było dostępu na dach budynku, w którym mieszkała Anna. Nieoficjalnie śmiałkowie po prostu otwierali drzwi z napisem: „Wyjście ewakuacyjne”. Anna lubiła wychodzić na dach o zmierzchu, gdy słońce oświetlało budynki od zachodu. Patrząc na ulicę Osiemdziesiątą Szóstą, widziała rzekę Hudson. Jak dotąd nigdy nikogo tu nie spotkała. Zaczęła więc traktować dach jako swoje królestwo, rodzaj wielkiego tarasu, który należał tylko do niej. Musiała przyznać, że dach był dla niej romantycznym miejscem. Gdyby uciekała w fantazje, mogłaby wyobrazić sobie, że będzie tu całowana. W każdym razie była to jej ulubiona kryjówka.

„Ach, znowu się spotykamy, młoda damo”. – Tym razem rozmówca był szarmancki. Anna podskoczyła na dźwięk jego głosu. Obróciła się szybko, ale nikogo w pobliżu nie zobaczyła. Najwyraźniej głos należał do ducha. Pewnego ducha.

„Gdzie jesteś? – zapytała ostro. – Pokaż się”. – Czekala, aż duch się zmaterializuje, ale daremnie. Widocznie jako medium nie miała wielkiego autorytetu.

„Jestem tutaj – odparł głos z obcym akcentem, śmiejąc się cicho. – Tuż obok ciebie. I chciałbym zachować anonimowość”.

„To nie miejsce dla ciebie – zaprotestowała Anna. – Podobnie jak winda czy moje mieszkanie. Zasady są bardzo proste. Przychodzisz, gdy jesteś wywoływany”.

„Czyje to zasady? – zapytał duch. – Bo nie moje. Jesteś nie lepsza od książąt, uważasz, że możesz wszystkim rozkazywać”.

„Nie rozmawiam z powietrzem. Pokaż się!” – zażądała Anna.

„Wolałbym nie – odparł duch. – Mam własną wolę, jak wiesz”.

Przez chwilę Anna poczuła strach. Była tu w końcu sama. Duch nie sprawiał wrażenia przyjaznego. Odchrząknawszy, przywołała całą swoją siłę i godność.

„Mógłbyś mieć dla mnie więcej szacunku i przychodzić, kiedy pracuję, a nie kiedy mam wolne” — zaprotestowała.

„Dlaczego sądzisz, że przychodzę do ciebie? Jestem tu, podobnie jak ty, ze względu na widok. Piękny, prawda?” – Teraz duch zachichotał.

„Nie masz prawa tu być – fuknęła Anna. – To nie twój dach”.

„Mam wszelkie prawo. To mój prywatny koncert. Słyszysz?”

„O czym ty mówisz?” – Ale już to mówiąc, Anna usłyszała muzykę dochodzącą z dołu. To ten pianista. Trudno go było nie rozpoznać. Utwór, który grał, był kunsztowny jak korona.

„Jest dobry, prawda? – zapytał duch. – Ja uważam, że bardzo ekspresyjny, a ty? Ta interpretacja jest taka subtelna”.

„Nie znam się – odparła Anna. – Jego muzyka doprowadza mnie do szału. Gra od rana do wieczora. To tak, jakby się żyło z radiem”.

„No, no. Uważam, że należy mu się więcej szacunku. To prawdziwy wirtuoz”.

„Może dla ciebie, ale dla mnie to brzmi jak muzyk”.

„Teraz mnie obrażasz – odpowiedział zapalczywie duch. –To mój protegowany! Przecież słyszysz, że jest artystą!”

„Słyszę, że zakłóca ciszę i spokój. Jak pewnie zauważyłeś, jestem medium i żeby pracować, potrzebuję ciszy i spokoju. Jako duch powinieneś to zrozumieć”. – Nawet dla Anny zabrzmiało to w sposób nadęty.

„Rozumiem go” – przyciął jej duch.

„No to nie mamy o czym mówić. Jeśli nie masz nic przeciwko temu...” – Anna machnęła rękami w powietrzu. Duch, niewidzialny, uchylił się przed nimi.

„Mam. I to wiele”. – Był nieustępliwy.

„Wobec tego ja sobie pójdę. Miłego słuchania”. – I tyle, jeśli chodzi o jej spokojne chwile w samotności. Po tych słowach wyszła, odnotowując z żalem, że traci piękny zachód słońca.

## 27

Wieczór minął Annie niespokojnie. Pianista ćwiczył prawie do północy. Jego burzliwa muzyka odpowiadała jej nastrojowi. W końcu przestał, ale Anna obudziła się o drugiej w nocy i znowu o czwartej. O szóstej stwierdziła, że to ponad jej siły. O siódmej zadzwoniła do pani Murphy, która wstawiała wcześniej, żeby medytować. Jako medium Anna przywykła do spotkań z duchami podczas seansów, ale czym innym było natknąć się na jednego z nich na dachu czy w parku. Prawdę mówiąc, te spotkania ją irytowały. Muszą być jakieś reguły postępowania, które pani Murphy na pewno zna i które pozwoliłyby podchodzić do takich incydentów mniej nerwowo.

– Przykro mi, że zawracam pani głowę – zaczęła. – Ale chodzi za mną duch.

– Ktoś, kto nie chce cię opuścić po nawiązaniu kontaktu? Zwykle pomaga na to trochę gorzkiej soli i zielonego ognia. –Pani Murphy podsunęła jej jeden ze swoich sprawdzonych domowych sposobów: weź głębokie naczynie, wsyp filiżankę gorzkiej soli, postaw na ogniu. Anna już to stosowała, żeby pozbyć się natrętnych, niechcących odejść duchów.

– Nie, nie – wyjaśniła Anna. – To nie ktoś z seansu. Duch, który sam się przybłąkał. Naprawdę bardzo namolny. Chyba towarzyszy pianiście, o którym pani mówiłam. Wciąż natykam się na nich obu. Wczoraj zdarzyło mi się to w Central Parku. Duch naprzykrzał mi się i pouczał, jak... – Już miała powiedzieć: „jak jakiegoś zwykłego człowieka”, ale pani Murphy nie pochwałała takich przejawów zarozumiałości.

– Ja bym go zlekceważyła rzekła ostro pani Murphy. –Po prostu nie zwracaj uwagi na jego obecność. Nie musimy zajmować się wszystkimi duchami.

– Chciałabym go zlekceważyć. – Anna poczuła się trochę dotknięta, że ją skarcono – ale on uparł się, żeby mi dyktować, co mam robić.

– No to po prostu go nie zauważaj. To nie powinno być trudne.

– Wciąż mi mówi, jak powinnam się zachować. Wkurza mnie bez przerwy. – Anna usłyszała w swoim głosie jęśliwy ton. Duch naprawdę zalażł jej za skórę.

– Dlaczego mu tego nie powiesz? Jesteś na to za dumna. –Pani Murphy dotknęła czułego punktu Anny. W sprawach duchów nie było czegoś takiego jak „duma”.

– Nie chodzi o dumę – zaprotestowała. – Raczej o profesjonalizm. Ten duch nie zna miary.

– Niektóre z nich rzeczywiście nie znają. – Pani Murphy się zaśmiała. – I przysparzają kłopotów. Ale to ty wyznaczasz granice. Naprawdę musisz je wyraźnie określić, powiedzieć, czego nie będziesz tolerować. Większość duchów da się czegoś nauczyć. Są zadowolone, gdy mogą z kimś porozmawiać.

– Nie wydaje mi się, żeby ten był właśnie taki. Ma własne zdanie.

– Z którym ty się nie zgadzasz? – Pani Murphy była wyraźnie rozbawiona.

– Szczerze? Tak. Wciąż mówi o pianiście. – Anna znowu zauważyła, że się skarży. – Że powinnam go szanować. Traktować uprzejmiej i milej. Flirtować z nim.

– I może powinnaś. Podoba ci się ten pianista?

– Oczywiście, że nie! Wciąż mi przeszkadza. Dlaczego od razu bierze pani jego stronę? To ja potrzebuję pomocy.

– Próbuję ci pomóc, moja droga – odrzekła pani Murphy. – Ale staram się być obiektywna i może ty też powinnaś.

– Będę obiektywna, gdy on stanie się obiektywny — wybuchła Anna.

– Czy jest jakiś sposób, żeby się go pozbyć?

– Mówisz o duchu, o pianiście czy o nich obu, moja droga? Nie możemy kontrolować innych ludzi i biegu wydarzeń. Tylko własne reakcje wobec nich. Mam być szczerą? Ten pianista cię interesuje i dlatego duch wyprowadza cię z równowagi.

– I właśnie w tej sprawie do pani dzwonię!



– Jesienne liście wyglądają w tym roku przepięknie. –W głosie pani Murphy zabrzmiała reprimenda.

– Zmienia pani temat!– jęknęła Anna.

– Owszem. Liście wyglądają przepięknie i gdybyś skupiła się bardziej na pozytywach, miałybyś lepsze efekty. – Pani Murphy przybrała ton nauczycielki i przyszedł czas na jej standardowe hasła w stylu „głowa do góry”.

– Więc chce pani powiedzieć, że cała ta afera z duchem to moja wina, wynika z mojego negatywnego nastawienia, czegoś w tym rodzaju? – Anna poczuła się więcej niż urażona i dała temu wyraz.

– Mówię tylko, że trochę humoru i dystansu załatwiłoby sprawę.

– Powiem to duchowi.

– Nie bądź taka drażliwa, moja droga. Przed tobą cudowny dzień.

I na tym pani Murphy zakończyła rozmowę.

## 28

Kiedy Anna dotarła do greckiej knajpki, zobaczyła, że Stacy czeka na nią przed drzwiami.

– Chyba nie powinnyśmy tu jeść – oznajmiła przyjaciółka.

– Ale dlaczego? — sprzeciwiła się Anna. — Spotykamy się tutaj nie od dziś. Zawsze tu jemy. Uwielbiam to miejsce. –Nie mówiąc o tym, że ceny były na jej kieszeń.

Stacy wyjaśniła:

– Doktor Rich mówi, że powinnam we wszystkich sytuacjach zachowywać się jak kobieta o wysokiej samoocenie. –Był to autorytatywny

terapeuta Stacy, która liczyła się z każdym jego słowem. Anna zaś miała ochotę go zamordować.

– Tak? – rzuciła teraz ze zniecierpliwieniem. – I co z tego?

– Czy kobieta o wysokiej samoocenie jada w takiej dziurze? – zapytała Stacy. Jej lekceważące machnięcie ręką sygnalizowało odpowiedź: nie, nigdy. Skromna, ale czysta i przyjemna restauracyjka nie przeszła kontroli jakości. Stacy nie doceniała jej klimatu w stylu Edwarda Hoppera.

– To dokąd chcesz iść? – jęknęła Anna. Nie lubiła, gdy coś zakłócało rutynę i groziło nadszarpnięciem budżetu. Uwielbiała tę knajpkę. Była urocza i taka zwyczajna, podczas gdy w sąsiedztwie znajdowały się same drogie restauracje dla wyzwolonych singli.

– Do Popover Cafe – orzekła Stacy. – Przytulne miejsce, pyszne jedzenie, blisko. A na parapetach te wszystkie słodkie misie.

Doktor Rich ostatnio doradzał także Stacy, żeby dopieściła tkwiące w niej dziecko. To stąd wzięły się te misie. Anna, która miała kontakt z dziećmi na co dzień, wołałaby, żeby Stacy dopieściła w sobie osobę dorosłą. Ale nie, nie było odwołania, Popover Cafe, i koniec.

– No chodź, spodoba ci się – nalegała Stacy i Anna pozwoliła się pociągnąć ulicą, podążając za przewyższającą ją wzrostem przyjaciółką. Wyglądamy razem jak Flip i Flap – pomyślała. – Ja jestem Flip. Wysoka Stacy miała na sobie obcisły strój do konnej jazdy. Drobniutka Anna opatulila się w ciężki tweedowy płaszcz, który kupiła w prowincjonalnym second-handzie, uznając, że będzie wyglądał bardzo angielsko i nada się na romantyczne spacerunki po wrzosowiskach. W porównaniu ze strojem Stacy wyglądał jednak nędznie. Tak – pomyślała Anna niemal z goryczą – dziwna z nas para.

Jako trzeźwo myśląca dawna katoliczka ze Środkowego Zachodu – którą w głębi duszy była, niezależnie od zdolności komunikowania się z duchami – Anna żywiła wrodzoną nieufność wobec psychoterapii i jej głównego założenia, jakim było otwieranie się. Czy nie lepiej pewne sprawy zostawić dla siebie, niewypowiedziane? Odczuwała typową dla introwertyczki niechęć do zwierzeń. Stacy miała do tego inny stosunek. Była radosną ekstrawertyczką.

Stacy wierzyła w „zdrowe otwieranie się” i różne inne teorie, jak „wytyczanie linii” czy „konfrontacja”. A ponieważ z kolei Anna, jak cała jej rodzina, wolała takie strategie, jak taktowny unik albo rozładowujący sytuację humor, często miała wrażenie, że jej przyjaźń ze Stacy przypomina czytanie tabloidów – umożliwia jej zajrzenie do innego, obcego dla niej świata. Anna nie знаła takiego słowa jak konfrontacja. Stacy stale namawiała ją do podjęcia jakichś działań, ale ona nawet nie brała ich pod uwagę. Należało do nich aranżowanie randek.

– David był naprawdę okropny. – Głos Stacy wdarł się w jej myśli. – Bardzo przyhamowany seksualnie. Doprowadziłam do konfrontacji z nim na tym polu.

Anna skrzywiła się, wyobrażając sobie tę konfrontację. David był najnowszym chłopakiem Stacy czy kimś w tym rodzaju. Dziewczyna dobierała mężczyzn jak Anna skarpetki: „Czy pasuje do mnie?”. Miała bardzo duże wymagania seksualne i nie wzdragała się wystawiać swoim partnerom kiepskie noty, jeśli chodzi o tę sferę.

– W łóżku oczywiście – dopowiedziała Stacy. – Nie wiedział nic o całowaniu ud. – Anna zapatrzyła się w talerz. – Czy ty mnie słuchasz? A może wsłuchujesz się w dźwięki z zaświetów?

– Bardzo śmieszne. – Ale naprawdę doceniała, że Stacy tak zwyczajnie traktuje jej zajęcia po godzinach. – Słucham cię – zapewniła ją. – Opowiadałaś o Davidzie.

– Ach, dość już o nim – prychnęła z lekceważeniem Stacy. – Koniec z Davidem. – Anna wiedziała z długiego doświadczenia, że jeśli z jakimś mężczyzną następuje „koniec”, to nie ma odwołania. Stacy wierzyła, że należy „posuwać się naprzód” czy „odcinać się od porażek”. Jeżeli chodzi o facetów, miała wyraźnie zespół nadpobudliwości psychoruchowej, jak zdiagnozowałyby to Anna w przypadku ucznia. Po prostu nie potrafiła skoncentrować się na jednym przez dłuższy czas.

Doktor Rich interpretował to jako efekt „niskiej samooceny”. Według niego powodowała ona u Stacy patologiczną niezdolność do nawiązywania głębszych więzi. Anna nie uważała tego za przejaw patologii. Dla niej Stacy była perfekcjonistką pod każdym względem. Dotyczyło to także mężczyzn.

Każdy z nich był kolejnym kamieniem milowym na drodze do znalezienia tego jedyne, właściwego.

Przebyły długi odcinek drogi od Columbus do Amsterdam, a psychologicznie nawet dłuższy – od greckiej knajpki do Popover Cafe.

– Nie mogę spotkać się z tobą w przyszły wtorek – oznajmiła Stacy, gdy usiadły w przytulnym przedziale w Popover. – Idę na wernisaż. Chyba że chciałabyś pójść ze mną.

– Mmm – odparła Anna wymijająco. Przekonała się, że na imprezach towarzyskich, na jakie zaprasza ją Stacy, zwykle podpira ściany i czuje się fatalnie. – Gdzie to jest? – zapytała, grając na zwłokę. Nie miała ochoty przemierzać nocą miasta, zwłaszcza takich miejsc jak SoHo, i przesiadać się z jednego środka komunikacji do drugiego. (Stacy beztrąsko brała

taksówkę). Anna nie orientowała się, jaka może być różnica w ich zarobkach, ale przypuszczała, że znaczna. Stacy powiedziała jej kiedyś, że wyjściowa pensja w przypadku kogoś z jej wykształceniem wynosi dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie, a przecież pracowała już jakiś czas. Bankowość należała wciąż do dziedzin zdominowanych przez mężczyzn, którzy lubili Stacy i ją promowali.

Anna przejrzała menu. Nie widziała nic, na co mogłaby sobie pozwolić poza talerzem zupy i ciastem biszkoptowym. Dlaczego nie można było zostać u Greka? – zdenerwowała się. – Dlaczego doktor Rich uważa tanie knajpki za obskurne?

– On ma dla mnie program... to znaczy doktor Rich –ciągnęła Stacy i dodała: – Ja stawiam... zapraszam cię zawsze, gdy będziemy tu przychodzić. – To był niedelikatny wyraz jej delikatności.

– Dzięki – odparła Anna z lekkim poczuciem winy. Może odeszła już od katolicyzmu, ale poczucie winy nie opuściło jej z chwilą, gdy przestała uczęszczać do kościoła. Stacy nie była zbyt gorliwą protestantką i rzadko kiedy dopadały ją wyrzuty sumienia. Fascynowało to Annę i trochę odpychało. Czasami zauważała, że patrzy na przyjaciółkę jak na egzotyczny kwiat, a konkretnie wenusjańską muchołówkę, pożerającą bezbronnych mężczyzn.

– Doktor Rich chce, żebym się nie bała sięgnąć po złoto –ciągnęła Stacy. Dla Anny brzmiało to, jakby życie było czymś w rodzaju triathlonu, ale Stacy rzeczywiście przypominała sportowca – zarówno w łóżku, jak i poza nim. Teraz zamówiła sałatkę z krewetkami, najdroższe danie z karty. Anna zadowolila się skromniejszym – sałatką Waldorf.

– Doktor Rich mówi, że nie powinnam zadowalać się małym – ciągnęła Stacy – że kompromis to zwykły masochizm. Uważa, że mogą we mnie tkwić masochistyczne skłonności, dlatego nie powinnam się wiązać. – Rozwijała następne teorie swojego terapeuty. Budziły one wątpliwości Anny, ale do przyjaciółki najwyraźniej przemawiały. Zanim Stacy osiągnęłaby zadowalający stan, doktor Rich na pewno doszedłby do dużych pieniędzy – zgodnie ze swoim nazwiskiem\*. Zarobiłby na jej duszy na wiejski dom.

– Moim zdaniem ty po prostu żadnego z nich nie lubiłaś – sprzeciwiła się Anna. – Byli dla ciebie nudni, w łóżku i poza nim.

– To prawda – zgodziła się Stacy. – Tacy mężczyźni jak David są nudni.

– Wydawał się bardzo miły – zauważyła Anna, gdy podano im po kawałku biszkoptu. – Dobra, może trochę banalny, jak spod sztancy, ale myślałam, że to ci się podobało.

W głębi ducha Anna współczuła chłopakom Stacy. Chodzenie z nią, jak podejrzewała, mogło przypominać musztrę. W ciągu roku, odkąd się przyjaźniły, słyszała, jak ich opisuje, byli dla niej niczym konie pod siodło: dobrze zbudowani i tak dalej. Dobrze zbudowani czy nie, żaden z nich nie zdołał długo utrzymać się w jej łaskach.

– No to jak? – zapytała Stacy. – Chcesz pójść na ten wernisaż? Na pewno będą tam tabuny facetów.

– Tabuny facetów to dla mnie żadna atrakcja – zaprotestowała Anna. – A nawet przeciwnie.

\* Rich (*ang.*) – bogaty (*przyp. tłum.*).

– Och, daj spokój – nie ustępowała Stacy. I dodała: –Może powinnaś umówić się na sesję do doktora Richa. Wiesz, że to tylko wyparcie. Zaraz, jak on się nazywał? Ten facet sprzed dwóch lat... Roger? Zranił twoje uczucia i wpadłaś w dołek.

– Nie wpadłam w dołek – oburzyła się Anna. – A poza tym, w przeciwieństwie do niektórych, mam za sobą więcej porażek z mężczyznami. I wystarczy. Nie, idź sama.

Teraz z kolei Stacy wpadła w dołek. Nie znosiła, gdy ktoś jej odmawiał. Nie była do tego przyzwyczajona.

## 29

Gdy Anna stanęła w drzwiach, usłyszała dzwonek telefonu. To była jej matka. Chciała podzielić się „kilkoma refleksjami” – na temat zdrowia córki, jej planów na wakacje i, jak się okazało, życia uczuciowego.

– Tak się zastanawiam... czy myślałaś o Internecie? – zapytała Annę matka. – Wiem, że to niekonwencjonalne, ale przecież mieszkasz w Nowym Jorku. Czytałam o czymś, co nazywa się Match.com. Słyszałaś o tym?

– Tak, słyszałam. – Mówiła jej o tym Stacy. Która też uważała, że to może być dobry pomysł.

– Oczywiście to nie to co staroświeckie nawiązanie znajomości, ale żyjemy w nowoczesnych czasach, czyż nie? Mogłabyś znaleźć kogoś, kto miałby podobne zainteresowania.

– Masz na myśli kogoś, kto nie uważałby mnie za dziwaczkę? – Anna wiedziała, jak wytrącić matkę z równowagi.

– Czy musisz być taka... – Matka urwała.

– Niegrzeczna? Marudna? Kaśliwa? Jeśli będziesz mieszać się do mojego życia, obawiam się, że tak, mamó.

– Myślałam, że to rozsądny pomysł. Nie ma niebezpieczeństwa, już oni o to dbają. – Teraz matka uderzyła w inną nutę, próbowała ją skusić.

– Mamó, nie potrzeba mi cyberzwiązku. – Anna mówiła stanowczym tonem.

– Przedstawiasz to tak nieładnie. – Matka nadała się jak mała dziewczynka.

– Pamiętaj, że to twój pomysł.

– Twój ojciec i ja po prostu pomyśleliśmy... – Matka znowu nie dokończyła.

– Nie wciągaj w to taty.

– Dobrze. Chciałabym zwyczajnie, żebyś była szczęśliwsza.

– Nie jestem nieszczęśliwa, mamó. Jestem tylko singielką. Powiem ci, kiedy czuję się najgorzej. Kiedy chodzę na randki. Pamiętasz Rogera? Bo ja tak.

– Roger był ograniczonym człowiekiem. – Matka nie kryła pogardy.

– Roger był normalny. W przeciwieństwie do mnie.

– Musisz mówić takie rzeczy?

– Tak, mamó. Najwyraźniej tak. A teraz, jeśli się nie pogniewasz, chętnie poszłabym spać.

Zakończywszy rozmowę z matką, Anna zgarnęła pranie. Wygrzebała ze śmieci jakieś przeczytane już brukowce. Czy to niska samoocena, mówiąc językiem Stacy? – nasunęło jej się pytanie.

W pralni znowu działała tylko jedna pralka i trzęsła się niepokojąco. Ktoś nieobecny najwyraźniej załadował do niej zbyt dużo rzeczy i poszedł



sobie. Jakie to nierozsądne – pomyślała Anna – zostawiać tak pranie bez nadzoru. Już nieraz wyładowywała mokre pranie z pralki i rzucała je na składany stół albo, jeśli się zlitowała i poświęciła pięćdziesiąt centów, wsadzała tę wkurzającą stertę do wolnej suszarki.

– Skończył mi się proszek. Musiałem pójść po nowe opakowanie. – Usłyszała za sobą przeproszający niski męski głos. Wszedł pianista – z wielkim pomarańczowym pudłem proszku do prania. Postawił je na stole.

– Chyba się spóźniłeś. Pranie już się wypłukało, teraz wiruje – pouczyła mężczyznę Anna. Sąsiad szedł trochę sztywno – zauważyła – jakby jeszcze po wypadku bolały go kolana.

– Och, na to pranie jeszcze mi proszku wystarczyło – odparł grzecznie. Anna poczuła się jak sekutnica.

– Ale i tak naładowałeś za dużo – ciągnęła dalej. Coś w tym facecie – wszystko – wyzwało w niej najgorsze instynkty.

Pianista szybko zbliżył się do pralki i próbował ją otworzyć. Czy on na niczym się nie zna?

– Zamyka się automatycznie podczas wirowania – wyjaśniła.

– Musisz być dobrą gospodynią domową – zauważył.

– Nie, wręcz przeciwnie. Nie rób sobie nadziei – warknęła. Z przerażeniem zauważyła, że traci panowanie nad sobą. Gdzie się podział jej dystans? Gdzie jej obiektywizm? Czy pani Murphy nie zalecała spokoju? – Znajdź sobie inną fankę... – wybuchnęła.

– Fankę? – Wyglądał na zdziwionego.

Wtedy usłyszała znajomy już głos. „Stąpasz po cienkim lodzie – ostrzegł ją. – To nie jakiś gwiazdor rocka. Staraj się odpowiednio wyrażać”. Anna zignorowała go. Tylko ją jeszcze bardziej rozeźlił.

– Fankę twojej gry na fortepianie – zaatakowała muzyka.

Znalazła się na granicy wytrzymałości. Ale czy w końcu nie pragnęła się poskarżyć od paru – nie, od kilku dobrych tygodni?

– Mojej gry na fortepianie? – wyjąkał, ponownie wysypując proszek, tym razem na cały stół i podłogę. Anna nie okazała współczucia.

„Denerwujesz go – zarzucił jej duch. – Ma takie dobre intencje, a ty jesteś nieznośna”. Anna postanowiła nie zważać na te uwagi.

– Owszem, twojej gry – ciągnęła dalej. – Nie udawaj niewiniątka. To ty bębnisz tego Mozarta czy kogo tam, prawda? – Mówiła jak złośnica. Złośnica i filister.

„Wykończysz go nerwowo – poskarżył się duch. – Staram się, żeby miał miłą, spokojną atmosferę, ale jak można przy tobie zachować spokój?”

Jakby przecząc słowom ducha, Edward zareagował spokojnie.

– Głównie Mozarta, trochę Liszta, Schumanna, Bartoka, Bacha, Rachmaninowa i Chopina – odparł.

Annie wydało się, że zobaczyła w jego oczach coś niepokojącego, kiedy z pogardą wymieniła Mozarta, ale z powodu tych staromodnych okularów nie miała pewności. Czy on sobie wyobraża, że jest Clarkiem Kentem? Dlaczego nie może zawrzeć kontraktów jak inni? Wtedy mógłby wyjść z ukrycia – oczywiście gdyby nie ta szopa rudych włosów w stylu Einsteina. Na pewno nabijają się z niego przez te włosy.

„Hej, rudzielec! Hej, Bozo!” Anna już wyobrażała sobie, jakie okrucieństwa musiał znosić. Nagle ujrzała go jako chudego dziewięciolatka z marchewkową czupryną, walczącego o swoje na podwórku. Biedak. Biedaczek. Mimo woli Anna uśmiechnęła się do niego. Wydawał się trochę naiwny i niewinny. Gdyby dostrzegła w nim wyrosnięte dziecko...

Pianista tymczasem tłumaczył jej coś z ojcowską cierpliwością, mówiąc powoli i wyraźnie, jak czasami ona sama do najoporniej szych uczniów. Tłumaczył – o rany! – co dokładnie gra, jakie utwory, przygotowując się do jakiegoś konkursu. Brzmiało to dla niej jak chińszczyzna. Choć wielu ludzi ma pewne przygotowanie w dziedzinie muzyki klasycznej, Anna, wstyd się przyznać, nie znała się na niej zupełnie. Jej wiedza równa była zeru; tyle co usłyszała na paru lekcjach w college'u i od matki, która trochę grała na pianinie. Otrząsnęła się ze swoich myśli, gdy rudowłosey wyjaśniał, że dla pianistów niektóre konkursy są jak imprezy sportowe – finały NBA czy Puchar Świata. Super – pomyślała – czyli że będzie grał jeszcze więcej. Pociągnęła łyk dietetycznej coli. Wiedziała, że znowu marszczy czoło.

– Uroczo wyglądasz, gdy się wściekasz – zauważył nagle Edward, ale jakby natychmiast się przestraszył, słysząc te słowa – podobnie jak ona. Cała jego tyrada poszła na marne. – To banał, wiem. Przepraszam.

Anna wbrew woli się zaśmiała.

„No, tak już lepiej” – stwierdził z zadowoleniem duch.

## 30

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*oto raport z pola walki. Zaczynam chwycać, o co chodzi w tej trudnej trzeciej części, o której Wam pisałem. Dziś rano przez nią przebrnąłem i czuję, że ją rozgryzłem – co za okropne określenie!*

*Pani Oliver, z żalem muszę wyznać, że chyba nie znajdę przyjaciół w tym budynku. Wręcz przeciwnie, tak jak się obawiałem, słyhać, że ćwiczę, i*

*co najmniej jedną osobę doprowadza to do szału. Wiem, że muzyka ma moc uspokajania dzikich bestii, ale najwyraźniej ja nie potrafię takiego czaru z niej wydobyć. Ta poirytowana sąsiadka — by zaspokoić Waszą ciekawość — to dość młoda osoba, chyba w moim wieku. Krytykuje zarówno mój sposób prania, jak i gry na fortepianie. Gdyby nie to jej podejście, byłaby całkiem sympatyczna. Jak można nienawidzić Mozarta?*

*Wasz oddany Edward*

## 31

– Cieszę się, że mnie nie unikasz – powitał Annę Tommy, gdy weszła do sklepu akwarystycznego. – Mam nowego giętkozęba jasnopłarnego, którego koniecznie musisz zobaczyć. Może chciałabyś też zajrzeć do apistogramm afrykańskich? Odebrałem właśnie dużą dostawę. Są super, przypominają z wyglądu szachownicę. Kto nosił taki workowaty garnitur we wzór szachownicy? Chubby Checker?

– Być może. – Anna zatrzymała się, żeby popatrzeć na akwarium pełne prążkowanych daniów. – Te są ładne, w złoto–czarne paski!

– No, Barney już ma je na oku. – Tommy wyszedł z za kontuaru ze szmatką w jednej ręce i płynem do czyszczenia szkła w drugiej.

– Rzeczywiście pływają tuż pod powierzchnią. – Anna przystanęła, żeby przyjrzeć się ich figlom.

– Tak. Ale są znacznie szybsze niż pstrążnice marmurkowe. – Tommy zaczął przecierać fronty akwariów, zmywając odciski palców i smugi.

Mrocznym przejściem Anna skierowała się na tył sklepu, do swoich ulubieńców, mieczników Hellera. Wydała okrzyk zachwyty.

– Hej, kiedy zdobyłeś egzemplarze w takich kolorach? Podobają mi się te pomarańczowo–zielone. – Gdy tylko się odezwała, mieczniki czmychnęły za koralowiec.

– One też cię lubią. Przedwczoraj, kiedy czyściłem akwarium, zapytały mnie: „Gdzie nasza Anna?”. Powiedziałem im, że cię odstraszyłem, zaglądając do twojej torebki, i tak dalej.

– To rzeczywiście nie było twoje najlepsze pociągnięcie – zaczęła się z nim przekomarzać.

– Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać. Możesz przywołać kogoś? To znaczy kogoś, kto nie żyje?

– To nie działa jak nakaz rewizji. Rozmawiam tylko z tymi, którzy chcą rozmawiać. To tak jakbym wykręciła numer telefonu, ale oni nie muszą odebrać.

– Ciekaw jestem, czy on by odebrał.

– Powiesz mi, o kogo chodzi? — Anna pożegnała się z myślą o spokojnej kontemplacyjnej wizycie. Tommy najwyraźniej czekał na jej przyjście.

– Nazywa się Hughie – wyznał Tommy. – Co jeszcze musisz wiedzieć?

– Najlepiej nie mów mi już nic więcej. Rozumiem. Żebyś nie kombinowała.

– Coś w tym rodzaju.

Zza formacji koralowca zaczęła wyłaniać się flotylla mieczników. Anna naliczyła ich ponad tuzin.

– To co mam zrobić? Umówić się na spotkanie? – Tommy przecierał szybę akwarium pełnego brzanek sumatrzańskich.

– Jasne. Możemy to zrobić. Tym razem ma to uzasadnienie. – Anna zagłębiła rękę w torebce, szukając wizytówki. – Tylko zadzwoń do mnie pod ten numer.

– Tylko zadzwoń. I już?

– Owszem, i już.

– To w tobie lubię. Żadne czary–mary. – Tommy machnął ściereczką w powietrzu.

– Niestety.

– I nie za dużo próżnej gadaniny.

– Zgadza się.

– To może powinienem cię już zostawić?

– O tak. Przychodzę tu, żeby się wyciszyć.

– To nie jest dla mnie komplement. – Tommy pokręcił głową i skrzywił się. – Dobrze, zostawiam cię samą.

## 32

Dzwonił Alan. Ciekaw był, co u Anny, tym razem dziwnie mało skoncentrowany na sobie. Czegoś chciał. Zawsze potrafiła się zorientować, że o coś mu chodzi – zanim rozjechał ją jak ciężarówka. Tym razem zamierzał wybrać się do Nowego Jorku i nocować w śpiworze u niej na podłodze. Zdaje się, że jakaś gwiazda jazzu miała dać tu koncert, Didier coś tam, protegowany Stephane'a Grappellego.

– Tylko jeden koncert w Village Vanguard – zapewnił ją. Nie sprawi kłopotu.

Anna słuchała nieufnie. Tego roku Alan przyjechał na jeden dzień, a został trzy tygodnie, biegając po Nowym Jorku na wszystkie muzyczne imprezy wymienione w „Time Out”, a przynajmniej tak jej się zdawało. Czy ma się zgodzić, żeby przyjechał znowu? Miał obsesję na punkcie jazzu i nic nie mogło mu przeszkodzić, jeśli chciał być na jakimś koncercie. Przespałby się w Central Parku, gdyby nie miał innego wyjścia. Ale przecież nie mogła skazać na to własnego brata, prawda?

– Jeden koncert? – zapytała czujnie. – Kupiłeś już bilet, jak przypuszczam? – Miała na myśli bilet samolotowy.

– No – przyznał Alan – i na samolot także.

To zdecydowanie określało perspektywę.

– Tym razem zostaną niecały tydzień. – Groźba czy obietnica?

Anna, niechętnie wyraziwszy zgodę, odłożyła słuchawkę, po czym zerknęła do kalendarza. Pod datą, jaką wymienił Alan, na szczęście zobaczyła wpisane ołówkiem zaproszenie od Harolda: jego przyjaciel miał podpisywać swoje książki w ogrodzie na tyłach jakiegoś obskurnego sklepu ezoterycznego przy Houston Street. Pewnie odmrożą sobie tyłki – pomyślała Anna, ale wyjście z Haroldem wydawało się zdecydowanie atrakcyjniejsze niż wyjście z Alanem do jakiegoś małego, zadymionego klubu z duchami jazzmanów unoszącymi się pod sufitem.

W takim bracie jak Alan cudowne było to – pomyślała Anna, podlewając filodendrony – że chociaż sama miała „dziwne” powołanie, on był jeszcze dziwniejszy. Poza tym ilu ludzi ma braci na farmach w Kalamazoo? Ręcznie wykonujących skrzypce? Ilu ludzi ma braci, którzy potrafią przywołać tekst piosenki Charliego Parkera czy Milesa Davisa, wers po wersie? Co takiego Alan zawsze cytował z Milesa Davisa? „Nie bój się

błędów, nie ma czegoś takiego". Anna wciąż jednak obawiała się, że popełniła błąd, zgadzając się na przyjazd Alana. Chociaż w gruncie rzeczy nie miała wyboru.

Wizyty Alana bywały męczące. Sam Alan także bywał męczący. To miała być... – która? – szósta jego wizyta w ciągu dwóch lat? (Niemądrze sama wysłała mu subskrypcję „Time Out New York”).

– Dlaczego się tu po prostu nie przeprowadzisz? – przypierała go do muru.

– W Kalamazoo życie jest tańsze – odpowiadał zawsze. – Po co miałbym przenosić się tutaj i płacić tysiąc pięćset miesięcznie, żeby mieszkać jak ty w kawalarce o powierzchni znaczka pocztowego? Wiesz, ile biletów można za to kupić? Poza tym ty tu mieszkasz. – Alan miał rację.

Anna przygotowała się na jego przyjazd jak do kampanii wojennej, mającej na celu przekroczenie Alp. Musiała zgromadzić żywność. Alan był chorobliwie skąpy, więc nakupiła masła orzechowego, jego ulubionego pieczywa z siedmiu ziaren, „naturalnego” soku jabłkowego, migdałów, orzeszków ziemnych i nerkowców jako przekąski. Podczas poprzedniej wizyty – tej przedłużonej – Alan godzinami siedział i słuchał jazzu, jakby rozszyfrowywał kamień z Rosetty. Przebywał całe albo prawie całe noce poza domem i wślizgiwał się o świcie, gdy Anna wstawiała do pracy. (Wielcy jazzmani byli nocnymi markami, jak się przekonała).

Kiedy przyjeżdżał Alan, wszelkie prywatne plany można było wyrzucić przez okno. Anna wiedziała, że powinna wyznaczyć granice (dowiedziała się tego od Stacy), ale jak to zrobić wobec kogoś, z kim człowiek przebywał nagusieńki w jednym łonie? Poza tym Alan musiałby uznawać te granice, a to nie leżało w jego naturze. Nie było tak prywatnej,



intymnej sfery jej życia, w którą nie włączyłyby z butami, której by nie komentował krytycznie. Podejrzewała, że Alan nawet przesłuchiwał jej wiadomości, kiedy była w szkole, więc zabierała swój dziennik ze sobą, ot, na wszelki wypadek. Tak, Alan miał przyjechać i musiała się do tego przygotować.

## 33

Ten pianista, Edward, znowu zajął jej miejsce w greckiej tawernie. Wyglądał jeszcze bardziej gamoniowato niż zwykle, miał nie tylko swoje staroświeckie okulary, ale jeszcze kołnierz ortopedyczny, śnieżnobiały i sztywniacki. Próbował, z różnym powodzeniem, donieść łyżkę zupy do ust. Wyglądało na to, że to krem z groszku z szynką. Spojrzał na nią, gdy weszła. Zobaczywszy, że zmarszczyła czoło – w końcu zajął jej miejsce – szybko opuścił wzrok, na tyle przynajmniej, na ile pozwalał mu kołnierz.

Postaraj się być dla niego miła – nakazała sobie Anna. Spokojnie podeszła do jego stolika, zauważając, że na blacie leży poplamiona zupa książka – nie, to były nuty. Czując, że Anna stoi nad nim, rudowłosa zerwał się na nogi – spłoszony jak jeleni albo łos w świetle reflektorów samochodowych.

– Cześć – wyjąkał.

– To z powodu wypadku? – zapytała Anna.

– Masz na myśli kołnierz ortopedyczny? Obawiam się, że być może tak. Mam powracające bóle w karku. Po wypadku odezwały się znowu. To tylko prewencja – zakończył. – Nazywam się Edward – przypomniał jej. –

Edward Appieton – uzupełnił. – Mieszkanie pod numerem 1E na pierwszym piętrze.

– Ja mieszkam na czwartym – poinformowała go Anna – i ciągle cię słyszę.

– To mnie martwi – wyznał Edward.

– Tak?

To stawiało sprawę w innym świetle. Anna zakładała, że pianista będzie podobny do Alana, całkowicie zajęty sobą i tym, co go interesuje, zbyt skoncentrowany na sobie, żeby myśleć o innych i kłopotach, jakie sprawia.

– Miło, że martwisz się z powodu hałasu – oznajmiła. Czy wyobraziła to sobie, że skrzywił się na słowo „hałas”? Oczywiście, pewnie boli go szyja. – Jestem Anna, Anna Chester, spod 5C – przedstawiła się, przypominawszy sobie o dobrych manierach – nie żeby chciała nawiązać bliższą znajomość. Edward wyciągnął do niej dużą kościstą dłoń. Mocno uściśnął jej drobną rękę. „Dłonie pianisty” – pomyślała.

Wchodząc do mieszkania, Anna usłyszała, że włącza się jej automatyczna sekretarka. Dobiegł ją własny głos wygłaszający instrukcję. „Tu Anna – mówił. – Niewykluczone, że mogę pomóc w nawiązaniu kontaktu wam i waszym drogim zmarłym. Proszę wolno i wyraźnie podać swoje nazwisko i numer telefonu. Dziękuję”.

Rozległ się sygnał nagrywania i usłyszała wyraźny powściągliwy głos, mówiący z brytyjskim akcentem: „Tu Nathan Nettles. Dzwonię w sprawie mojej matki. Proszę o telefon pod numer 555–8585. Kierunkowy 212. Jestem przyjacielem pani znajomego – Harolda”.

Zazwyczaj Anna od razu oddzwaniała, ale tego wieczoru nie była w normalnym nastroju. Spochmurniała, patrząc na siebie w lustrze. Sukienka w stylu vintage nagle wydała jej się nędzna. Co jest nie tak? Może powinna ściąć włosy, masę prerafaelickich loczków. Może z nowocześniejszą fryzurą mogłaby zacząć nowocześniejsze życie? Przecież praktycznie odgryzła temu paniście głowę.

## 34

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*okazuje się, że Wasze obawy były uzasadnione. Nie chciałem Wam mówić, ale rzeczywiście przewróciłem się na rowerze. Nie na ulicy, Pani Oliver, tylko w Central Parku. Właściwie wpadłem na tę sąsiadkę, o której Wam opowiadałem, nazywa się Anna. Nie martwcie się, ręce są w porządku. Nadgarstki, ramiona, nogi itd. – jak wyżej. Obawiam się jednak, że coś się stało z szyją. Jak wiecie, żeby użyć metafory, szyja jest moją piętą achillesową. Mimo to mogę grać, a ograniczenie ruchów pomaga mi ćwiczyć pamięć. Pani Oliver, to, zdaje się, Pani złota myśl.*

*Och, Pani Oliver, dzięki za toffi. Niestety, zjadłem prawie całą paczkę za jednym posiedzeniem. Nigdy dotąd nie słyszałem o firmie Enstrom's, ale powinni być sławni na cały świat. Ich toffi są pyszne.*

*Zbieram wszystkie rachunki, jak Pan prosił, Panie Oliver. Mam je wysyłać częściej niż raz na miesiąc? Mógłbym to robić raz na tydzień, jeśli trzeba. Obawiam się, że większość pochodzi z greckiej restauracyjki na dole. Mogę się tam żywić za niecałe dwadzieścia dolarów dziennie, mam nadzieję, że uznacie to za rozsądną sumę.*

## 35

Następnego dnia po powrocie ze szkoły Anna już w drzwiach usłyszała głos matki, nagrywającej się na automatyczną sekretarkę:

– Anno, kochanie, zadzwoń do nas. Obawiam się, że musimy ci coś powiedzieć.

Coś złego – pomyślała Anna, rzucając się do telefonu.

– Halo? Mamo?

– Spokojnie, kochanie. – Matka jak zwykle próbowała kontrolować wszystko, łącznie z emocjami.

– Co się stało, mamo? – Anna wpadła w panikę. – Chodzi o tatę? Alana? Wszystko u was w porządku?

Usłyszała, że matka wciąga powietrze, a potem je wypuszcza, wolno i spokojnie. Wiedziała z doświadczenia, że oznacza to jakąś awaryjną sytuację.

– Ojciec dojdzie do siebie. Nie chce, żebyś przyjeżdżała.

Mówi, że zadzwoni do ciebie za jakiś czas. Anna poczuła dławienie w gardle. Ojciec?

– Jest w szpitalu? – zapytała. – Miał wylew? Atak serca? Wypadek samochodowy?

– Poszedł do szpitala na mały zabieg, bo miał być mały, i nie chciał ci zawracać głowy – zaczęła matka.

Anna słowo po słowie w końcu wyciągnęła z matki wszystko. Rutynowy drobny zabieg poszedł źle. Ojcu nic nie będzie. Nie może na razie podejść do telefonu, ale chciał, żeby wiedziała – na wszelki wypadek.

– Co znaczy „na wszelki wypadek”? – zapytała Anna. Matka umilkła, zastanawiając się nad wyważoną odpowiedzią.

– Na wypadek, gdyby coś się stało — wydusiła wreszcie, kończąc rozmowę z wymuszoną pogodą w głosie.

Odchodząc od telefonu, Anna zauważyła czerwoną lampkę, informującą, że ma nagraną jeszcze jedną wiadomość. Załatwię to od razu i będzie z głowy – pomyślała i wcisnęła „play”.

Tym razem był to Alan, który domyślał się, że usłyszała już wieści od matki. Tata na pewno wyjdzie z tego. On, Alan, właśnie jedzie do szpitala. Anna ma zostać, gdzie jest, w Nowym Jorku; zadzwoni do niej później. „Nie rób żadnych nieprzemyślanych ruchów” – i jej brat się rozłączył. Anna usiadła na podłodze, szlochając.

Jaki szpital? Dlaczego nie chcą, żeby przyjechała do domu? Powinna zadzwonić do linii lotniczych, ale miałyby zajęty telefon. Anna nigdy nie dzwoniła z telefonu do spraw zawodowych i z tego zmartwienia zapomniała, że mogłaby to zrobić. Tymczasem właśnie się odezwał, Anna usłyszała swój spokojny głos i pierwsze słowa wzburzonego Nathana. „Czekam na telefon od pani” – prawie warknął.

Od dawna, od kiedy zaczęła się sprawa z duchami, matka Anny uważała ją i jej ojca za siebie wartych – nie żeby ojciec też widział duchy, tylko zdaniem matki miał nadmiernie wybujałą wyobraźnię, co niekoniecznie było zaletą u dziekana college'u. Zawsze mu w głowie były jakieś kawały.

Na przykład sprawa tego czerwonego roadstera marki General Motors. Ojciec kupił go wbrew woli matki – „po jej trupie”, jak twierdziła – choć Annie takie wyrażenie nie przeszłoby przez gardło. Matka uważała, że roadster jest o wiele za szybki jak na człowieka o jego pozycji. Upierała się, że powinni kupić kolejne stateczne volvo, tym razem szare. Ale wygrał roadster.

– Jest beznadziejny jak bojer i równie niebezpieczny – narzekała matka, być może zresztą nie bez racji.

Kiedy Anna miała pięć lat, ojciec skonstruował jej bojer z dwóch desek, żagla i jakichś starych łyżew. Oboje z Anną zabrali go nad pobliskie jezioro – stan Michigan usiany był jeziorkami nie większymi niż stawy. Ku przerażeniu matki przejechali nim po lodzie – leżąc brzuchem do dołu na deskach i sterując żaglem oraz stopami. Annie szalenie się podobała cała ta eskapada. Ojciec wstał z bojera blady.

Po raz pierwszy przyjął reprimendę żony bez drwiących uwag.

– Musieliście jechać z sześćdziesiąt na godzinę – powiedziała. – Kilka centymetrów nad lodem. Mogliście zmasakrować sobie twarze.

Ojciec lubił nacisnąć pedał roadstera, miał ciężką stopę i na podjeździe często spod kół pryskał żużel. Anna uwielbiała te dni, kiedy odwoził ją do szkoły. Siedząc na fotelu pasażera, z podnieceniem rozglądała się dookoła. Alan wciskał swoją wysoką sylwetkę w tylne siedzenie, gdzie drżał o życie.

Jeżeli ojciec Anny lubił dramatyzm we wszelkich formach – rozmaite problemy studentów nazywał swoją mydlaną operą – natomiast matka próbowała ująć to – i jego samego – w ryzy.

– Nie zachęcaj jej – syczała do niego, mając na myśli Annę, której drugie spotkanie z duchem zdarzyło się w ich letnim domku na Mackinac Island.

Anna właśnie skończyła osiem lat, była jeszcze na tyle mała, że spała z Alanem w jednym pokoju. Był wieczór, pora snu. Już zasypiała na swoim górnym łóżku, gdy go zobaczyła: tym razem był to mężczyzna, brodaty, po trzydziestce, w stroju trapera, skórzanej kurtce z frędzlami i czapie ze skórki szopa. Znajdował się, to znaczy jego górna połowa, tuż przy oknie, obok sosny.

– Alan, Alan, obudź się! – szepnęła Anna ponagłająco. Ale Alan spał, podczas gdy zjawa unosiła się około metra nad jego głową. Następnie duch, w stroju Davy'ego Crocetta,

zbliżył się do okna, jakby chciał przez nie wyrzeć. Postukał palcem w szybę – zdecydowanie, choć bezdźwięcznie. Ku zdumieniu Anny jego palec przeszedł przez szkło, a chwilę później sam mężczyzna przeniknął przez ścianę z grubo ciosanych bali. Wiedziała, że to duch i że znowu widziała go tylko ona.

– Nie pozwalaj jej na to – matka Anny ostrzegła ojca, bojąc się, że sam uwierzy w historię o duchu. – Ma bardzo żywą wyobraźnię – jak ktoś, kogo imię mogłabym wymienić – i moim zdaniem nie powinniśmy jeszcze bardziej jej rozbudzać.

Ale ojciec zawiózł Annę do gmachu sądu, gdzie razem przeszledzili rejestr poprzednich właścicieli chaty. Dzięki temu poznali nazwiska. Następnie, w zakamarkach jedynej biblioteki w mieście, uważnie przejrzeni stare, pożółkłe gazety, z których kilka rozsypało się im w rękach. Na

dagerotypie, zrobionym w dniu ślubu, Anna rozpoznała Ethana Gamblera, właściciela i budowniczego chaty.

– To on – oświadczyła z podnieceniem i satysfakcją. – To jego widziałam.

– Może następny duch, jakiego zobaczysz, będzie na mikrofilmie – zauważył ojciec.

Jego humor zawsze ją pokrzepiał. Podobnie jak zapach cytrynowego środka do czyszczenia, którym maniacko szorowała swoje małe królestwo, czekając na telefon z domu.

## 36

Trzy godziny później, kiedy telefon do spraw zawodowych odezwał się znowu, okazało się, że tym razem dzwonił Alan. Donosił, że była to sprawa bąbelka powietrza, który dotarł do serca. Nastąpił „mały” zawał. Przez chwilę istniało zagrożenie, ale ojciec już był bezpieczny.

– W tym szpitalu omal go nie zabili – denerwował się Alan. – Miał przyjść na drobny zabieg i wrócić do domu, dwadzieścia minut i po sprawie, coś z żyłą w nodze.

– Ale nie wrócił – stwierdziła Anna. – Przyjeżdżam do domu.

– Przecież wybieram się do ciebie – jęknął Alan. – Mówię ci, że z tatą wszystko w porządku, jest może tylko trochę blady. Ale nic mu nie będzie. Widziałem się z nim. Nie musisz przyjeżdżać.

– Przyjadę – upierała się Anna.

– To Didier Lockwood, na miłość boską – wybuchnął Alan. – Mieszka we Francji, tuż pod Paryżem. Cud, że udało się go tu ściągnąć.



– Trudno, przyjeżdżam – powtarzała Anna.

– Oczywiście, zrobisz to – marudził. To było już coś więcej niż frustracja, Alan miał obsesję. Nawet atak serca u ojca – „mały, całkiem mały”, jak zapewniał – nie mógł przeszkodzić mu w przyjeździe na koncert jazzowy.

– Mogłabym zostawić ci klucze wraz z kolacją – niechętnie zaproponowała Anna, aby tylko zamknąć bratu usta.

– Nie musisz. Ostatnim razem, gdy u ciebie byłem, zrobiłem duplikaty – przyznał się Alan.

Przez chwilę Anna miała mu to za złe, a potem się roześmiała. Brat był w końcu uzależniony od jazzu i nic, a już na pewno nie takie drobiazgi jak „przestrzeń osobista” czy „granice” mogły mu stanąć na drodze.

Prawdopodobnie minęli się w powietrzu, Alan leciał bowiem na wschód, a Anna na zachód, z pospiesznie spakowaną walizką. Z lotniska od razu pojechała taksówką do szpitala – udało jej się uzyskać od Alana przynajmniej adres.

Kiedy weszła do separatki, ojciec wyglądał jak na filmie science fiction, wszędzie rurki i monitory, niezgrabna kroplówka z glukozą wisząca na stojaku przy jego głowie. Prawie go wyprawiwszy na tamten świat, szpital dokładał teraz gorączkowych starań, by uratować mu życie – i niewątpliwie uniknąć pozwu sądowego.

Kiedy weszła do pokoju, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, ojciec spał, podczas gdy matka pracowała szaleńczo nad najnowszą koronką, usadowiona na krześle tuż przy łóżku.

– Wiedziałam, że zrobisz jakiś dramatyczny ruch – zauważyła spokojnie, gdy Anna wślizgnęła się do pokoju.

– Och, mamó, sytuacja jest dramatyczna – stwierdziła Anna, całując matkę w delikatnie pachnący policzek.

– Nic mu nie będzie – wyjaśniła matka, nie odrywając wzroku od robótki.

Anna rozejrzała się po pokoju. Przy drugim końcu łóżka zobaczyła pomarańczowe plastikowe krzesło, na którym prawdopodobnie siadał Alan. Zwróciła uwagę na widok z okna – w dali pyszniły się słynne bujne drzewa Ann Arbor. Ogarnęła wzrokiem tacę z jadłodajni, przyniesioną na pewno przez matkę. W małym plastikowym pojemniku były jeszcze resztki czekoladowego puddingu.

– Usiądź, moja droga – spokojnie powiedziała matka cichym, nieznoszącym sprzeciwu głosem, którym wydawała polecenia. – Skoro już tu jesteś – dodała.

Ostrożnie, krzywiąc się przy każdym odgłosie, jaki powodowała jej walizka, Anna przeszła przez pokój. Między łóżkiem szpitalnym, na którym leżał ojciec, a ścianą było wystarczająco dużo miejsca, żeby bez przeszkód wstawić walizkę. Anna opadła na plastikowe krzesło. Matka odłożyła robótkę, wyjęła z torebki długopis i kartkę, po czym nad piersią ojca, wśród rurek i różnych urządzeń, podała Annie liścik. Były na nim słowa: „Oni wszystko słyszą”.

Przez moment Anna pomyślała, że matka ma na myśli duchy, ale zaraz uświadomiła sobie, że „oni” to pacjenci, jak ojciec. Czy był w śpiączce? Uznała, że śpi, miał tak spokojnie złożone ręce na piersi, co mogło budzić niepokój.

– Cześć, tato – ośmieliła się powiedzieć.

Matka natychmiast nachyliła się i syknęła:

– Ciii, on śpi.

Ojciec poruszył się nieznacznie. Jego powieki się uniosły. Zwrócił głowę w stronę, z której dochodził jej głos, i otworzył oczy.

– Cześć, pogromczyni duchów – rzekł na powitanie. – Tak myślałem, że się zjawisz.

Ku przerażeniu Anny po policzkach spłynęły jej gorące łzy. Pociągnęła nosem, bo poczuła w nim wilgoć.

– Weź chusteczkę higieniczną – podpowiedziała matka, rzucając jej jedną nad łóżkiem. Anna ścisnęła złożone dłonie ojca i chusteczka opadła na nie jak mały całun.

– Jeszcze nie umarłem – zażartował. – Może wtedy częściej bym cię widywał. Miałaś przyjemny lot?

Anna wśród łez skinęła głową, z niewymowną ulgą, że ojciec nie stracił humoru. Z pewnością wróci też do formy fizycznej.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – odpowiedziała żartem. Ich dowcipy denerwowały matkę, ale w tej chwili Anna nie zwracała na to uwagi. Poza tym matka zawsze miała za stronnika Alana.

– Niebawem stąd wyjdę – poinformował ją ojciec. – Tak przynajmniej słyszałem.

Anna pomyślała o liściku matki i zaczęła się zastanawiać, czy ojciec naprawdę był w śpiączce i czy w jakichś zakamarkach mózgu nie słyszał pielęgniarki oraz lekarzy, tak jak Houston– a może przyładek Canaveral– słyszał astronautów Apolla gdzieś z dalekiej przestrzeni.

Ojciec uścisnął jej rękę. Miał lodowate i lekko wilgotne palce. Wywinął się o włos – pomyślała Anna. O włos. Czy rzeczywiście istniało

coś takiego jak „mały” atak serca? Anna nie znosiła podobnych eufemizmów, specjalności jej matki.

– Wszystko będzie dobrze – przerwała im matka. – Ojciec wstanie na nogi lada dzień – zwróciła się do Anny, jakby ojca nie było w pokoju.

– Co oni mu, do licha, zrobili? – Anna w końcu się zagotowała. Chciała poznać całą historię, najlepiej od razu.

Matka Anny natychmiast położyła palec na ustach i syknęła:

– Ciii.

Znacząco uniosła brwi i skinęła głową w stronę ruchliwego korytarza, a potem znowu pokazała Annie kartkę ze swoim ostrzeżeniem. „Oni wszystko słyszą” – posłusznie przeczytała Anna. Z lekkim wzdrygnięciem uzmysłowiła sobie, że matce chodziło o lekarzy, pielęgniarki i gości w korytarzu. Świetnie pomyślała zgryźliwie. – Nawet tutaj tak się zachowuje. Nie tylko wśród sąsiadów.

Matka Anny przywiązywała wielką wagę do pozorów. We wszystkich dziedzinach życia. Na przykład ich podwórko było zawsze nieskazitelnie utrzymane, a dom stale odmalowywany. Zawsze mieli w domu ciastka dla skautek i cukierki na Halloween. Dekoracje świąteczne były artystyczne i nigdy nieprzeładowane. Nie, nikt nie mógłby wziąć ich za niekonwencjonalnych czy indywidualistów, przez co dzieciństwo Anny – z powodu ciągłej kontroli i nadzoru – było koszmarem. Artykuł w gazecie o jej dokonaniach w poskramianiu duchów został uznany przez matkę za plamę na dobrym imieniu rodziny. Bynajmniej nie szczyciła się zdolnościami Anny. Źle przyjmowała wszystko, co wyróżniało ich z tłumu.

Teraz podobnie pełniąc straż przy boku męża, czuwała nad wizerunkiem rodziny. Dobrze znała zagrożenia, jakie niosą plotki, i

zamierzała ustrzec przed nimi swoją rodzinę. Gdyby tylko Anna choć raz jej pomogła! Ta Anna! Jest taka...

– Dałabyś ojcu odpocząć.

– Ojej, mamó! Przecież go nie męczę.

– Ale mnie męczysz. Potrzebujemy trochę spokoju i ciszy po tym, co się stało. – W ładnych orzechowych oczach matki pojawił się gniewny błysk.

– Chcesz mi powiedzieć, że schrzanili sprawę? – Anna próbowała dokopać się do prawdy jak terier do kości.

– Nic takiego nie mówiłam! – wybuchnęła matka, a potem pokazała na migi „zamknij buzię”.

Pokonana, Anna ucałowała ojca w policzek i wyszła.

## 37

Pani Bernice Murphy mieszkała w piętrowym domu ze stiukami, który był świadkiem lepszych czasów, w części Ann Arbor, które widziało niegdyś lepsze lata. Za życia pana Murphy'ego budynek był w lepszym stanie, ale dotąd zachował pewien szyk, niczym piękna niegdyś kobieta, która wciąż ubiera się z klasą, jak sama pani Murphy. Otwierając drzwi Annie, miała na sobie stary kostium Chanel i uśmiechała się zapraszająco starannie umalowanymi ustami.

– Witaj, moja droga, zapraszam – powiedziała.

Anna weszła do znajomego salonu i zajęła miejsce na wiktoriańskiej sofie, na której spędziła tak wiele sobotnich popołudni. Już z powodu samej

obecności pani Murphy poczuła się lepiej i pierwszym objawem powrotu do formy był gniew.

– Ona trzyma go pod strażą – zaczęła. – Zrobiła to, na czym zawsze jej zależało: wzięła go pod pantofel.

– Tak, tak, wyobrażam sobie – przerwała jej pani Murphy.

Podsunęła Annie cukierki karmelowe.

– Nie ma co sobie wyobrażać. Niech pani pojedzie do szpitala i sama zobaczy, chociaż jestem pewna, że i pani nie będzie tam mile widziana.

– Ojciec musiał się ucieszyć na twój widok. – Pani Murphy знаła stosunki panujące w rodzinie Anny. Była dla niej prawie drugą matką w burzliwym okresie jej dorastania.

– Och, może. Przecież nie da się matce zdominować. – Anna czuła, że jej gniew powoli zmienia się w ironię.

– To trudny układ – zauważyła pani Murphy, ale jej uwagę przykuł kardynał w karmniku dla ptaków.

– Trudny? Nieznośny. Zastanawiała się pani, dlaczego Alan i ja mamy taki uraz do związków? – Anna wciąż była poruszona i pani Murphy pozwoliła jej się wygadać. – Powiem pani, dlaczego. Życie z naszymi rodzicami jest wyczerpujące. Wiem, że zwykle skarżę się na matkę, ale tata nie jest od niej lepszy. Umówili się, że nie dojdą do porozumienia. To taki układ. Jedno mówi „tak”, a drugie „nie”. – Anna sięgnęła po cukierek.

– Cieszę się, że nie widzisz w tym nic osobistego – zauważyła pani Murphy. Wyjęła z szuflady kolejną torebkę cukierków. Wysypała sporą część jej zawartości do małej kryształowej misy, którą przesunęła w stronę Anny.

– No właśnie. Nie ma w tym nic osobistego. Alan i ja jesteśmy tylko pionkami w ich grze. – Irytacja Anny wyraźnie już osłabła i przeszła w rozbawienie. Na szczęście udzielał jej się pełen humoru dystans pani Murphy.

– Jak na zwykłego pionka bardzo dobrze wyglądasz. Rozumiem, że całkiem nieźle czujesz się w Nowym Jorku. — Pani Murphy próbowała wyprowadzić rozmowę na spokojniejsze wody.

– O tak. – Anna skosztowała cukierka, myśląc z sympatią o swoim nowojorskim życiu.

– Opowiesz mi o sprawach zawodowych? Ten duch ciągle cię niepokoi?

– Gdy się zjawia, jest bardzo męczący, a nigdy nie wiem, kiedy to nastąpi.

– Mówiłaś, że towarzyszy pianiście, który ci przeszkadza. Przeszkadza nadal? – Pani Murphy przyjrzała się Annie z życzliwym zaciekawieniem, a ta poczuła, że się rumieni.

– Jest w porządku – odpowiedziała wymijająco. – Nawet martwi się, że zakłóca spokój.

– Ach! Miałam nadzieję, że to ci się zacznie podobać.

– Zakłócanie spokoju?

– Muzyka. To co, opowiesz mi o swojej praktyce?

Anna musiała przyznać, że praktyka kwitnie. Opisała swój tryb życia, pracę nauczycielską za dnia i jako medium wieczorami, próbując dać pani Murphy obraz swojej klienteli. W końcu to jej wieloletniej nauce zawdzięczała, że ma z czego żyć. Chciała podziękować pani Murphy osobiście, a nie jako bezosobowy głos przez telefon.

– Zdaje się, że nieźle sobie radzisz – podsumowała pani Murphy. Jak miała w zwyczaju, ogarnęła całość. Obecne problemy Anny były tylko wybojami na drodze, niczym poważnym, czym należałoby się przejmować. Anna wzięła kolejny cukierek.

– Dobrze mi idzie – przyznała. – Miałam paru trudnych klientów, ale nic się wielkiego nie stało.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić – przypomniała jej pani Murphy.  
– A medytujesz, jak ci radziłam?

– Tak. W każdym razie próbuję. Po tych wszystkich latach stale słyszę w głowie pani głos. Przeważnie potrafię sobie wyobrazić, co by pani powiedziała w określonych sytuacjach.

– To wyobraź sobie, jak mówię, że jestem z ciebie dumna i że to, co wygaduje twoja matka, powinno spływać po tobie jak po gęsi. W końcu wyrwałaś się spod jej skrzydeł.

– No tak, chyba tak – zgodziła się Anna.

– Na pewno – uspokoiła ją pani Murphy.

Tego wieczoru, po irytującej kolacji z matką w szpitalnej jadłodajni i dziesięciominutowej jeździe taksówką do domu, Anna zapatrzyła się w sufit swojego dawnego pokoju. Nie widziała tam duchów. Leżała bezsennie, podczas gdy przed oczami przewijały jej się wspomnienia matki i ojca, depresyjnej realistki i nieuleczalnego optymisty. Kiedy tak spoczywała pod purpurową kołdrą w kratę, czekając, aż przyjdzie sen, pomyślała, że jej rodzice żyli od niepamiętnych czasów w dwóch odrębnych światach. Postrzelony ojciec ciągle coś wymyślał, robił plany, pracował nad jakimiś wynalazkami jak bojer. Matka, konserwatywna, wciąż wygłaszała swoje



zastrzeżenia, wątpliwości i uwagi, uzasadniając, dlaczego z jego szalonych pomysłów nic nie wyjdzie.

„Oni lubią te rozgrywki; utarczki ich bawią” – powiedziała sobie, zastanawiając się, czyby nie przystąpić do liczenia owiec. Prawdę mówiąc, chyba się nie myliła: mimo ciągłych kłótni było to udane, stabilne małżeństwo. Ale coś w tym jest – pomyślała Anna, analizując swoje uwagi podczas rozmowy z panią Murphy. – W jednym mam absolutną rację. Powodem, dla którego ani ona, ani Alan do tej pory nie zawarli związku małżeńskiego, było to, że po prostu brakowało im adrenaliny, aby podjąć walkę, w jaką zamieniło się małżeństwo ich rodziców.

Gdzieś około dwusetki owce zrobiły swoje. Anna spała głęboko, choć nerwowo. Matka uparła się, że przenocuje na łóżku polowym, które wstawili do szpitalnego pokoju ojca. Ostatnia świadoma myśl Anny – zanim zaczęła liczyć owce i zasnęła – była taka, że matka wreszcie miała ojca pod kontrolą, do czego zawsze dążyła.

## 38

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*pozwólcie, że najpierw doniosę, iż wreszcie mam przyjaciela, a w każdym razie znajomego. Nazywa się Alan. Poznałem go w greckiej knajpce, gdy wszystkie przedziały były zajęte i siedzieliśmy obok siebie przy barze. To ciekawy facet; jest bratem tej dziewczyny, której niemal nie przejechałem na rowerze. Ma na imię Anna, jak chyba Wam pisałem. Alan jest wielbicielem jazzu, przyjechał do Nowego Jorku, żeby posłuchać jakiegoś gościa*

nazwiskiem *Didier Lockwood*. Nie mógł uwierzyć, że nigdy o nim nie słyszałem, choć jestem muzykiem.

Wyjaśniłem mu, że zajmuję się muzyką klasyczną i że większość jej kompozytorów już nie żyje.

*Pani Oliver*, ma *Pani* rację, szyja rzeczywiście przysparza mi trochę kłopotów. Pewnie wyglądam jak *Frankenstein*, gdy siedzę przy fortepianie w kołnierzu ortopedycznym, ale przecież nikt na mnie nie patrzy. I przynajmniej gram i ręce mam sprawne. Niestety, *Alan* mówi, że słysząc mnie w mieszkaniu siostry na czwartym piętrze. Czy to możliwe? Wiem, że gram głośno, ale... może powinienem poutykać ręcznikami okno albo położyć coś na fortepianie. Nie słyszę się dobrze, jeśli gram przy wyłączonym pedale.

Dziękuję, *Panie Oliver*, za propozycję opłacenia wizyty lekarskiej. Nie przypuszczam, żebym potrzebował lekarza, poza tym słyszę, że większość z nich to maniacy, którzy od razu kierują na operację. Facet z pracowni skrzypiec, który mnie uczy na studiach, nie może grać w ogóle, bo jakiś mądrala przeciął mu nerwy w ręce, by wyleczyć zapalenia ścięgna.

*Pani Oliver*, liście w parku w końcu wreszcie zaczęły żółknąć. Już prawie *Halloween* i na tarasach, schodach przeciwpożarowych oraz w niektórych oknach pojawiają się wydrążone dynie ze świeczkami w środku, choć nie wiem, jak ludzi na nie stać. Widziałem w koreańskim zieleniaku, na rogu *Columbus* i ulicy *Osiemdziesiątej Trzeciej*, że taka mała dynia kosztuje piętnaście dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Ale może ludzi stać na wszystko, także w sferze finansowej, by powracać do korzeni.

Szczerze oddany i wdzięczny *Edward*

*PS Alan uważa za bardzo dziwne, że pisuję do Was staroświeckie listy. Co jest złego w e-mailu? — pyta. Nie można zadzwonić? Odpowiadam, że listy to coś, na czym można się wesprzeć.*

## 39

Anna zamierzała zostać w domu co najmniej do końca tygodnia, a nawet dłużej, jeśli byłoby to konieczne, ale plan ten szybko upadł, gdy następnego rana zajęła roadsterem ojca na parking szpitalny.

– Szybko dochodzi do siebie i ma wyjść ze szpitala już za kilka dni – oznajmiła matka Anny powoli i wyraźnie, jakby ojciec był upośledzonym dzieckiem. Ojciec z łóżka mrugnął do Anny, gdy pojawiła się w drzwiach jego pokoju. Rzeczywiście wracał z długiej drogi. Nabral kolorów i już siedział, wsparty na poduszce. Ale wciąż podłączony był do rurek i monitorów.

– To był mały, naprawdę mały atak serca – podkreśliła matka Anny. – Doktor Hackett – tylko jego słucham, stoi na czele zespołu — więc doktor Hackett mówi, że po krótkiej fizykoterapii twój ojciec będzie jak nowo narodzony. – Pogodnie pokiwała głową jak do swoich drugoklasistów.

Anna wolała nie kłócić się z matką, która najwyraźniej mocno dzierżyła ster.

– Możesz wrócić wieczornym samolotem – zasugerowała matka. – Wiesz, jak ty i ojciec ekscytujecie się wzajemnie.

Rozumiem – pomyślała Anna – stwarzam medyczne problemy, zagrożenie dla życia. Ojciec ponownie puścił do niej oko i nieznacznie wzruszył ramionami. Zawsze tak bywało, kiedy pojawiał się problem –

rodzice w końcu zwierali szyki mimo różnic, jakie ich dzieliły. Matka wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić ojca po czole. Przymknął oczy jak głaskany kot. Sprawia mu to przyjemność – uświadomiła sobie Anna z pewnym zaskoczeniem. Lubi, gdy poświęca mu się uwagę, gdy jest rozpieszczany jak dziecko. Och, któż mógłby go za to winić? Przynajmniej nie wyrywał sobie igły z kroplówką i nie nalegał, żeby go natychmiast zabrać do domu.

Z telefonu przy łóżku Anna zarezerwowała sobie bilet na powrotny lot do Nowego Jorku. Zdąży jeszcze pojechać do domu, spakować walizkę i wezwać taksówkę, żeby pojechać na lotnisko. Matka, a może i ojciec natychmiast poczuli widoczną ulgę.

Kiedy Anna, wyczerpana, weszła do mieszkania, zastała Alana i pianistę z dołu, siedzących po turecku i przekazujących sobie słuchawki, jakby palili wspólnego jointa. Może zresztą to też już zrobili. Jak on się nazywał? Edward? Sztywno wstał na nogi – prawie tak sztywno, jak trzymał szyję w śnieżnobiałym kołnierzu ortopedycznym. Gdy wstawał, z uszu wypadły mu słuchawki, i to tak gwałtownie, że musiał poczuć ból w szyi. Jego okulary wylądowały na podłodze. Alan natychmiast zaniepokoił się o słuchawki i pospiesznie sprawdził, czy działają. Działały.

– Właśnie słuchaliśmy muzyki – wyjaśnił rudowłosy niepotrzebnie. – To chyba twoje mieszkanie. Bardzo miłe. Moje bardziej przypomina norę.

– Nie ruszaj się. Tuż przy twojej prawej stopie leżą okulary – ostrzegła go Anna. Ale on pospiesznie uniósł dużą stopę i nastąpił na nie. Rozległ się nieprzyjemny chrzęst.

– Hej, no to teraz jesteś i głuchy, i ślepy – Alan rzucił jeden ze swoich okropnych żartów. – Powiedziałem mu, że każdy, kto ma słuch muzyczny, powinien posłuchać Didiera Lockwooda.

Poczuła nieoczekiwany przyływ współczucia. Rudowłosy stał jak flaming, na jednej całkiem dobrze umięśnionej nodze, tę drugą, niezręczną, trzymając na pewnej wysokości. Ta umiejętność była pewnie zasługą jazdy na rowerze.

– Podam ci okulary – zaproponowała. – To, co z nich zostało. Masz zapasową parę?

– Obawiam się, że nie – żałośnie wymamrotał spanikowany rudowłosy. – Mógłbym je skleić czy coś takiego.

Anna tymczasem podniosła zgruchotane okulary i trzymała je w palcach. Soczewki wypadły, potoczyły się po drewnianej podłodze i zatrzymały pod kaloryferem.

– Są nie do użytku – zauważył Alan. – Nie będziesz widział ani jednej nuty, dopóki nie znajdziesz innych.

Już w dzieciństwie Alan sypał kiepskimi żartami, gdy był zdenerwowany – tak jak teraz. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że siostra może nie życzyć sobie nieznajomych w mieszkaniu, czasami jeszcze słuchających wiadomości zostawianych na jej automatycznej sekretarce. Alan wiedział, że Anna utrzymuje swoją profesję w sekrecie przed sąsiadami.

Jakby na zawołanie zadzwonił telefon do spraw zawodowych i włączyła się sekretarka. Anna rzuciła się w jej kierunku i ściszyła ją, zanim zdradziła jej zajęcie. Słuchając uważnie, mogła jednak odebrać wiadomość. Po raz trzeci dzwonił Nathan. Teraz jego głos był zgryźliwy i poirytowany.

„Niech pani posłucha – mówił do automatu – może w Ameryce jest inna pora, ale mogłaby pani mieć na tyle przyzwoitości, by do mnie

oddzwonić. Moja matka doprowadza mnie do szału, a pani jest jedynym medium, jakie znam".

No to mleko się rozlało – pomyślała Anna, patrząc na Alana. A przynajmniej tak by się stało, gdyby Edward nie był zbyt wytracony z równowagi, aby zwrócić uwagę na treść wiadomości. Rudowłosy stał już na obu nogach, mrugając oczami. Wyglądał na osłupiałego. A oczy miał intensywnie niebieskie. Był chyba w szoku, przejęty katastrofą, jaką było dla niego zabicie okularów. Może jednak jej sekretne życie pozostało sekretem.

Anna odezwała się cicho i spokojnie, dokładnie tak jak matka, co zauważyła mimochodem. Po pierwsze, skierowała Edwarda na kozetkę, zwykle zarezerwowaną dla klientów. Po drugie, nakazała Alanowi, by przestał gadać albo wrócił do słuchania tej przeklętej muzyki. Po trzecie, odłożyła zgniecione oprawki na stolik do czytania i sięgnęła pod kaloryfer po szkła, które wypadły.

– Cholera! Cholera! – zawołała, wyłaniając się spod kaloryfera ze śladem oparzenia na ubrudzonym ramieniu. Będzie musiała częściej tam zaglądać z odkurzaczem, pomyślała. Piekło ją ramię.

– Spróbuję posklejać taśmą twoje okulary – wyjaśniła rudowłosemu kojącym tonem, jakim matka zwracała się do ojca.

Rudowłosy lekko skinął głową, choć w kołnierzu ortopedycznym nie bardzo mu to wyszło.

– Dobry pomysł – wydusił w końcu.

Nikt mu nic nie powiedział o duchach – stwierdziła z ulgą Anna. – W porę ściszyłam sekretarkę. Może obaj byli zbyt zaabsorbowani czym innym,

żeby usłyszeć zapowiedz. Ale i tak zabiję Alana. Miała ochotę to zrobić. To tyle, jeśli chodzi o staranną ochronę prywatności.

Sklejenie okularów okazało się nie lada wyzwaniem. Jeden z zauszników się wygiął i sterczał w bok. Anna nie mogła włożyć szkielek, bo oprawka się połamała. Posługując się szeroką taśmą, wyjętą z plastikowego pudełka na pomoce szkolne, zrobiła z okularów coś w rodzaju gogli. Kiedy Edward je włożył, znowu przysłaniając swoje piękne oczy, wyglądał jak nurek w kołnierzu ortopedycznym.

– Zrobiłam, co mogłam – powiedziała na swoją obronę.

– Hej, nie przejmuj się. Przecież widzę jednym okiem – odparł Edward z autoironią albo może z zamierzoną galanterią.

– Siostra mogłaby ci pomóc załatwić nowe – wyrwał się Alan. – Sama nosi szkła kontaktowe, ale ma też okulary.

– Teraz już wie niemal wszystko – wysyczała Anna, posyłając Alanowi ostrzegawcze spojrzenie, którego najwyraźniej nie zauważył.

– W poniedziałek po południu mogłabym pójść z tobą do mojego optyka. – Anna sama się zgłosiła, zaskoczona, że to powiedziała. Zamierzała zostać świętą?

– Będę musiał coś z tym zrobić, raczej prędzej niż później. Zbliża się Halloween i pewnie masz już jakieś plany z tym związane. Ale potrzebuję okularów, żeby widzieć nuty.

– Spotkamy się jutro w holu o wpół do czwartej – zapowiedziała Edwardowi.

A im mniej odzywała się teraz do Alana, tym lepiej.

Następnego dnia wróciła do domu zmęczona i rozdrażniona. Jej klasa zachowała się przez cały dzień jak zwierzaki w zoo, dzieci były podniecone atmosferą Halloween, swoimi kostiumami i tonami słodyczy, które zgromadziły. Jeremy, Abby i Dylan przynieśli do szkoły cukierki, którymi częstowali się nawzajem, jeśli częstowaniem można nazwać obrzucanie się nimi. Kiedy wydrążali dynię, Jeremy umazał sąsiada jej mięszem, podczas gdy Dylan i Abby strzelali do siebie nasionami. Nawet bez Harolda zagląającego do klasy Anna czuła, że traci kontrolę.

Podczas drogi powrotnej do domu było jeszcze gorzej, nie mogła odróżnić prawdziwych wariatów od przebierańców halloweenowych. Tak, była zmęczona, była zdenerwowana, pragnęła tylko wejść na górę, przesłuchać wiadomości na sekretarce i się wyciszyć. Potem spokojny wieczór w pralni – jej skryta przyjemność – z dala od ogarniętych świątecznym szaleństwem tłumów. Ale najpierw sprawa z Edwardem. Gdzie on może być? Wtedy Anna usłyszała muzykę dochodzącą do holu spod drzwi mieszkania 1E. E jak Edward – pomyślała niczym nauczycielka. Pospiesz się, E jak Edward – dodała w myślach z irytacją, ale muzyka nie milkła. Po pięciu nerwowych minutach Anna zapukała do jego drzwi, ale daremnie. Pokonana, osunęła się na wytartą aksamitną kanapę w holu. Oparła głowę o zimną marmurową ścianę, pozostałość dawnej chwały, i zamknęła oczy, poddając się urokowi zalewającej ją muzyki. Jest naprawdę bardzo dobry – przyznała niechętnie. A może była to zasługa samej muzyki, jednocześnie wesołej i uduchowionej. Czy tak właśnie brzmi muzyka sfer? – zastanowiła się. – Czy muzycy, jak media, żyją na pograniczu światów? I



wtedy muzyka nagle ucichła. Po chwili Anna otworzyła oczy. Stał w holu, patrząc na nią, z kluczami w dłoni. Ależ był wysoki.

– Szybki jesteś! – zawołała zaskoczona.

– Chodzi ci o to, że się spóźniłem? Przepraszam. To przez tę trudną trzecią część powiedział niewyraźnie. – Chyba za późno na przeprosiny – spróbował znowu. – Długo czekasz?

Anna zaczerpnęła powietrza. Przyłapał ją na tym, że jednak słuchała jego muzyki, albo prawie przyłapał. Miała wciąż półuśmiech na ustach. Weź się w garść – nakazała sobie. – To tylko muzyka. Gdy oprzytomniała, rudowłosa coś mówił.

– I podobają mi się te kocie wąsy. – Zdecydowanie z nią flirtował.

Kocie wąsy! Zapomniała o nich. Namalowała je sobie, aby udobruchać trzecioklasistów, rozżalonych, że nie ma kostiumu na Halloween. Jak mogła zachować godność z kocimi wąsami pod nosem? Wściekła, potarła je pięścią. Zrobiła je kredką do oczu przed lustrem w damskiej toalecie – było ich sześć, po trzy z każdej strony, proste jak patyki.

– Zeszły? – zapytała.

– Nie – odparł – tylko się rozmazały. – I uśmiechnął się, kącikiem ust, po staroświecku. Anna ścierała wąsy, aż Edward potwierdził, że zniknęły.

Nawet w okularach nurka na nosie Edward wyglądał uroczo, naiwnie jak Jimmy Stewart z lat trzydziestych. Anna uwielbiała stare filmy. Wypożyczała je z Hollywood Video po drugiej stronie ulicy; jej zdaniem były znacznie zabawniejsze niż chodzenie na randki. Sto razy bardziej wolała Jimmy'ego Stewarta niż jakiegoś yuppie o erotomańskich skłonnościach.

– Przyglądasz mi się – zauważył Edward. – Prawda? – Jego duża dłoń uniosła się do twarzy, gdzie pod dziwnymi kątami sterczały okulary. – Twoja taśma wytrzymała dostatecznie długo, żebym mógł ćwiczyć – wyjaśnił.

Normalnie Anna nie brałaby za rękę nieznanego, ale nie było innego sposobu. Okulary nie nadawały się już do naprawy, a on był bez nich ślepy. A więc jakby był jednym z jej podopiecznych, którzy zgubili się w drodze od toalety, zwyczajnie wzięła go za rękę i wyprowadziła na ulicę.– Idź po prostu za mną i wszystko będzie dobrze– powiedziała.

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Zaśmiał się.

Anna zamierzała się wycofać, ale dłoń pianisty mocno ścisnęła jej znacznie mniejszą rączkę.

Gdy schodzili po stopniach na stację metra przy Osiemdziesiątej Szóstej i Broadway, Anna przypomniała mu, by patrzył pod nogi. Rudowłose uparł się, że zapłaci za nich oboje. Ze sfatygowanego portfela wyjął bilet miesięczny i przesunął go dwa razy przez czytnik, przepuszczając ją przodem ze słowami: „Panie mają pierwszeństwo”. Mimo woli Anna poczuła się mile połączona jego rycerskim gestem. Przyzwyczajona do bezmyślności Alana i bezpośredniości Harolda, poczuła staroświecką przyjemność z faktu, że mężczyzna okazuje jej względy, choćby w tak drobnym zakresie. Anno, opanuj się! Postawił ci tylko przejazd metrem, na miłość boską, a ty wyrządzasz mu przysługę – próbowała się zreflektować.

Kiedy przyjechała jedyńska, pospiesznie wskoczyli do wagonu. Tłoczyli się w nim zwykli pasażerowie, a także... czarownicy, wampiry czy może potwory ociekające krwią.

Edward i Anna trzymali się poręczy nad głowami. Przy szarpnięciach pociągu ich ciała się stykały. Anna miała nieodparte wrażenie, że Edwardowi sprawia to przyjemność. W gruncie rzeczy – jej też sprawiało. Przypominało to trochę imprezy towarzyskie w szkole średniej, podniecające zetknięcia podczas wolnych tańców z ciałem chłopaka, którego ledwie się znało. Uznała, że to tylko efekt jej wybujałej wyobraźni. Czy wykonawcy muzyki klasycznej nie są kimś w rodzaju mnichów? Czy cała ich pasja nie skupia się na instrumentach?

Na Times Square, gdzie pociąg zamienił się w ekspres i rzucił ich na siebie, Anna nagle miała wizję erotyczną. Swoimi dużymi dłońmi pianisty Edward powoli rozpinał jej bluzkę. W wyobraźni Anny ręce te dokładnie wiedziały, co robić, jakby wygrywał na jej ciele sonatę.

Anno! Już mówiłam, opanuj się! Otrząsnęła się z tej wizji, ale zdążyła się zarumienić i znowu rzuciło ją na Edwarda. Pachniał mydłem Dial.

– Przykro mi, że tak cię trącam – wydusiła.

– A mnie nie – oświadczył Edward. Posłał jej szeroki uśmiech i zaczął się śmiać. Śmiał się z siebie? Czy z niej? Czyżby była śmieszna? Niech go diabli porwą. Anna stanęła mocniej na nogach, postanawiając, że nie pozwoli, by znowu ją na niego zarzuciło.

Wysiedli na stacji przy ulicy Czternastej, a właściwie przy Trzynastej, naprzeciwko czegoś, co Harold nazwał Centrum Gejów i Lesbijek. Trzymając Edwarda za rękę, Anna poczuła się wręcz demonstracyjnie heteroseksualna – z pewnością wyglądali na parę, gdy tak trzymali się za rękę jak zakochani przy świetle księżyca.

Jej optyk rezydował przy ulicy Zachodniej Jedenastej w maleńkim zakładzie wciśniętym między koreański warzywniak a księgarnię ezoteryczną.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała do Edwarda. Puścił jej rękę i potknął się, wchodząc do środka.

– Edwardzie, jesteś ślepy jak nietoperz – pogodnie oświadczył optyk. Anna lubiła go, bo był szczery, bezpośredni i bardzo rozsądny, a także szybki.

– To prawda – przyznał Edward.

– Na pewno nie chcesz szkieł kontaktowych? – zapytał doktor Willis. Był łagodnym siwowłosym mężczyzną, wysokim jak Edward, ale się garbił – być może od schylania się przez całe lata nad pacjentami.

– Nie, dzięki – odmówił Edward. – Wolę okulary, naprawdę. Czy mam wybrać oprawki

Z pomocą Anny Edward zdecydował się na znacznie mniej tradycyjne niż poprzednie. Zamiast tamtych, czarnych plastikowych – wybrał metalowe w złotym kolorze. Wyglądał w nich szykowniej, bardziej przypominał intelektualistę.

Czekając, aż okulary będą gotowe, Edward i Anna poszli do oddalonej o kilka przecznic Tea and Sympathy, popularnej „angielskiej” herbaciarni przy Greenwich Avenue. Tam, za cenę pełnego posiłku w greckiej tawernie, zamówili dwie filiżanki herbaty w chińskiej porcelanie i kawałek ciasta marchewkowego z kleistym lukrem ze śmietany i sera. Nawet gdy usiedli, Edward nie puszczał ręki Anny, jakby się bał o życie. Anna też była krótkowidzem, z niewielką wadą wzroku, ale szkła kontaktowe pozwalały

temu zaradzić. Jak radośnie powiedział Edwardowi doktor Willis: „W innej epoce stałbyś się ofiarą naturalnej selekcji”.

– Dzięki – odparł ten dzielnie.

Gdy popijali herbatę – on zwykłą orange pekoe, a ona bardziej egzotyczną złotą yorkshire – Anna dowiedziała się, że Edward pochodzi z Wilton w stanie Maine, nie jest z rodziny muzyków, ale jego sąsiedzi, czy też sąsiedzi rodziców, państwo Oliverowie, bezdzietne małżeństwo, pozwalali mu ćwiczyć na swoim fortepianie i co niedziela wozili go do odległego o sześć godzin Bostonu na lekcje dla zaawansowanych. Nadal go wspierali, podobnie jak w college'u i gdy robił magisterium w klasie fortepianu. Teraz pracował nad doktoratem i stwierdzał, że studia, w przeciwieństwie do gry na fortepianie, naprawdę wymagają kucia. Edward opowiedział jej to wszystko, jakby streszczał pracę astronauty. Anna doceniała jego bezpretensjonalność i szczerść, choć przypuszczała, że to też jest jakaś sztuczka socjotechniczna, jakaś poza.

Edward wciąż trzymał ją za rękę jak zakładnika. Anna poradziła mu, żeby jednak zainwestował w szkła kontaktowe. I w dobrą fryzurę, która by ujarzmiła jego niesforne rude włosy. Bo w okularach i z tą szopą na głowie wygląda jak szalony naukowiec. Może muzycy bardziej przypominają szalonych naukowców niż mnichów – zastanowiła się Anna. Edward ścisnął jej rękę zdecydowanie nie jak mnich.

Kiedy przyszło do uregulowania rachunku, Edward znowu nalegał, że sam zapłaci; starannie odliczył sumę w banknotach jednodolarowych, uwzględniając piętnaście procent napiwku, i zanotował ją w małym kieszonkowym notesiku, który najwyraźniej nosił ze sobą właśnie w tym celu. Żeby to wszystko zrobić, musiał puścić jej rękę. Uff – pomyślała Anna

– nareszcie nie wyglądamy jak zakochana para. Ale Edward znowu ujął jej dłoń, gdy wychodzili na ulicę. Skierowali się z powrotem do optyka.

W nowych metalowych okularach Edward wyglądał jak Strielnikow, młody radykał z *Doktora Żywago*, jednego z ulubionych filmów Anny. Oprawki stopiły się z jego twarzą. Nagle stał się atrakcyjny – choć sam tego nie zauważył. Był bardzo zajęty testowaniem swoich nowych okularów. Wyjął z tylnej kieszeni starannie złożony papier nutowy i oglądał gęste drobne nutki pod rozmaitym kątem. Odczytywał po kilka razy znaki na tablicy do badania wzroku.

– Jestem pianistą – wyjaśnił optykowi. – Koniecznie muszę dobrze widzieć.

– Ach, wy, muzycy... – Doktor zaśmiał się ze zrozumieniem. – Doradzałbym ci operację laserową, ale to zbyt duże ryzyko.

– Beethoven był głuchy, a nie ślepy – zażartował Edward.

Doktor Willis rozpoczął wykład o ogniskowych, polu widzenia, kontrastach. Dla Anny on i Edward równie dobrze mogli rozmawiać po chińsku.

– Ponoś je przez kilka tygodni – w końcu poradził doktor Willis – i wróć, jeśli coś będzie nie tak.

Annie nigdy czegoś takiego nie zaproponował. To, że nosiła szkła kontaktowe, wynikało zwyczajnie z próżności.

Gdy wyszli z gabinetu doktora Willisa, zapadał już zmrok. W oknach mieszkań widniały wydrążone dynie ze świeczkami, uśmiechnięte szczerbate dynie spoglądały też z witryn sklepowych. Na zatłoczonych ulicach panowało podniecenie.

– Jednodniowe królowe – ku zaskoczeniu Anny zauważył Edward. Ruchem głowy wskazał grupę kobiet na wysokich obcasach, które szły w ich kierunku. Wszystkie miały stroje, których mogłyby im pozazdrościć Liza Minnelli i Diana Ross. I rzeczywiście, niektóre z przechodzących dam bardzo przypominały zarówno jedną, jak i drugą.

Jest bardziej nowoczesny, niż można by pomyśleć – zauważyła w myśli Anna. Edward rzeczywiście wyglądał już nowocześniej. Teraz, gdy odzyskał możliwość widzenia, miał w sobie coś z jastrzębia. Anna stwierdziła, że stracił swoją poprzednią bezradność i potulność. Było coś uroczego w tej jego dezorientacji, którą teraz zastąpił wyraz skupienia. Muzycy pewnie muszą mieć wielką zdolność koncentracji – zaczęła zastanawiać się Anna – żeby opanować wszystkie te utwory. Edward ujął ją za łokieć i przeprowadził przez tłum paradyjący Szóstą Aleją jak podczas karnawału.

41

Po powrocie do mieszkania – Edward pożegnał się z nią w holu i popędził do fortepianu, by wypróbować okulary – Anna zobaczyła liścik od Alana, przyklejony do drzwi wejściowych, żeby wszyscy mogli go przeczytać. Informował:

*Droga Pogromczyni Duchów,*

*pojechałem do Village, żeby posłuchać Didiera Lockwooda. Szkoda, że zatrzymałaś Edwarda tak długo, załatwiłem mu bilet – jest na lustrze, gdyby chciał z niego skorzystać.*

*Wróć przed świtem. Wiem, jak uwielbiasz wczesne pobudki.*

*Alan*

Anna zerwała kartkę z drzwi. Nie znosiła, wręcz nienawidziła żartów swojego brata, zawsze jej kosztem. Och, daj spokój – mówił, gdy się skarżyła. Teraz też miała ochotę to zrobić. Przez okno dochodziła znowu muzyka grana przez Edwarda. Najwyraźniej nowe okulary się sprawdzały – może to była ich zasługa... albo pozbycie się kołnierza, który tajemniczo zniknął na całe popołudnie.

Słuchając tej muzyki, Anna stwierdziła teraz, że jest ona niezwykle dekoncentrująca. Oczywiście w sensie negatywnym. Po prostu – pomyślała – on gra za dobrze. Nie można go było nie słuchać. Nawet gamy, które w tej chwili wygrywał, wydawały się dziwnie urzekające. W sposobie jego gry było coś takiego, że „słyszała” architekturę samej muzyki. O mój Boże – zadała sobie nagle pytanie – czyżbym zaczęła się w nim zakochiwać? Ta myśl przepęliła ją lękiem.

Tak, znacznie lepiej żyło jej się bez mężczyzn, z pewnością znacznie wygodniej, mimo że w Nowym Jorku było mnóstwo atrakcyjnych nieznajomych. Jej przyjaciółka Stacy miała inne niż ona zdanie. Ostatnio – jeśli idzie o Stacy – panowała dziwna cisza w eterze. Przyjaciółka nie dzwoniła do niej ze zwykłą relacją o swoich miłosnych podbojach, randkach, na które się umawiała. Anna zatelefonowała do niej, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka. „Zniknęłaś gdzieś, Stacy – nagrała wiadomość – czy w końcu znalazłaś tego jedyne?” Ale odpowiedzi nie było.

Anna weszła do mieszkania z liścikiem od Alana. Za ramą lustra przy biurku rzeczywiście tkwił bilet. „Mogłabym go zanieść Edwardowi” –



przyszło jej do głowy i wzdrygnęła się gwałtownie. Przecież nie będzie biegać za facetem.

Bo się zagalopuję – skarciła się. Jeśli będzie zbyt „troskliwa”, wpadnie jak śliwka w kompot i zacznie snuć mrzonki o jakiejś beznadziejnej miłości. Nie, nie dopuści do tego. Zawsze może sama skorzystać z tego biletu albo zaproponować go Stacy – ale na myśl o romansie między Alanem a Stacy krew ścięła jej się w żyłach. Nie, lepiej będzie, jeśli przestanie kombinować z biletem rudowłosego. Zamierzała zrobić pranie i będzie się trzymała swojego planu.

Rozległo się pukanie do drzwi. W ciszy małego mieszkania odbiło się głośnym echem. Kiedy muzyka umilkła? Czyżby jej myśli były takie głośnie? Była tak skupiona na sobie? Najwyraźniej odpowiedź brzmiała „tak”.

Pod drzwiami stał Edward. W dużej dłoni trzymał liścik od Alana podobny do tego, który sama dostała.

Muszę wziąć się w garść – pomyślała. – On jest coraz atrakcyjniejszy. To nadzwyczajne, jak piękna może się stać nawet najzwyczajniejsza twarz, gdy należy do kogoś, kogo się kocha. Anna często zauważała na ulicach szczęśliwe, choć niezbyt dobrane pary – piękną kobietę pod ramię z przysadzistym mężczyzną, którego w żadnym razie nie można by nazwać atrakcyjnym; przystojnego mężczyznę widzącego urodę w zaskakująco zwyczajnej małżonce. Albo Edward rzeczywiście wyprzystojniał, albo ja go takim widzę – ta myśl ją przeraziła.

– Masz dla mnie bilet? – zapytał.

Anna wręczyła mu go bez słowa. Gdy zamykała drzwi za tym od niedawna atrakcyjnym dla niej mężczyzną, zdała sobie sprawę, że przez cały

dzień nie wspomniał nic o duchach. Prawdopodobnie nie usłyszał wiele mówiącego anonsu na sekretarce – pocieszyła się. Nie mogło jej więc zaszkodzić to, czego nie wiedział.

Na telefonie do spraw zawodowych błyskała lampka. Anna nacisnęła „odtworzenie” i wysłuchała ostatniej próby Harolda, by namówić ją na imprezę. Nie oddzwoniła. Wykorzystała natomiast chwilową nieobecność Alana, by zatelefonować do ojca. Po raz pierwszy odebrał osobiście. Mówił pogodnym tonem, wcale niewymuszonym. Chyba naprawdę czuje się lepiej – uznała Anna.

– No, jak tam, co nowego? – zapytała.

– Och, matka znowu zaczęła – odparł. – Chce, żebym wrócił do Kościoła, żebym znowu stał się praktykującym katolikiem. Cóż, praktykowałem aż do perfekcji, a potem skończyłem z tym. Wciąż jej to mówię, ale ona uważa, że są to kiepskie żarty. Może pójdę z nią na pasterkę w Boże Narodzenie, ale tylko po to, żeby się nie rzucała. Jak twierdzi, prawie poprosiła o ostatnie namaszczenie dla mnie, gdy byłem w szpitalu. Powiedziałem jej, że to pic. Człowiek powinien trzymać się swoich przekonań. A mnie się nie podoba polityka papieża.

Ojciec się rozkręcił. Anna z radością słyszała, że wrócił do formy.

– Mnie też nie podoba się polityka papieża – oznajmiła. Zgodnie z prawdą. Nie akceptowała stosunku Watykanu do kobiet i nie wiedziała, jak można pogodzić wiarę katolicką z życiem seksualnym.

– Mogę ci powiedzieć coś strasznego? – zapytał ojciec.

– Proszę bardzo – zachęciła go Anna.

– Dobra. Według mnie matka jest zachwycona, mając mnie za „pacjenta”.

- Chcesz powiedzieć, że cię psuje jak dziecko?
- Och, wszystko niskotłuszczowe, bez cholesterolu, ale wiesz, że ona lubi gotować i uparła się, że będzie mi przyrządzać te wszystkie specjalne zupy...
- Wyobrażam sobie – skomentowała Anna – jednym słowem: idylla.
- Właśnie. Mógłbym zostać rekonwalescentem na resztę życia.
- Tato – zaprotestowała Anna, myśląc, że jest zdolny do tego, by symulować chorobę.
- A jak tam twój brat? – zapytał ojciec.
- Jak zwykle – odparła.
- Tak kiepsko?
- Może nawet gorzej. – Oboje z ojcem śmiali się z licznych słabostek Alana, tak jak często śmiali się z matki Anny, choć nie tak jak w tym miesiącu miodowym, o którym mówił ojciec.
- Gdzie mama? – zapytała Anna, ale nie po to, by poprosić ją do telefonu.
- Pojechała uzupełnić zapasy. Przyjedziesz na Gwiazdkę? –zapytał z nostalgią i Anna wiedziała, że tęskni za nią.
- Brak mi ciebie, tato – powiedziała.
- Mnie też ciebie brak. Przepraszam, że odesłałem cię tak szybko, gdy przyjechałaś do domu, ale tak było chyba najlepiej.
- Tak, chyba tak – przyznała Anna. Nie zamierzała wylewać żalów. Ojciec jeszcze całkiem nie wyzdrowiał.
- A jak interes pogromcy duchów? Kwitnie? – chciał wiedzieć ojciec.

– O tak, jak najbardziej – zapewniła go. Powinnam odsłuchać nagrania – uzmysłowiła sobie. – Posłuchaj, tato, zadzwonię za parę dni i sprawdzę, czy wolno mi będzie z tobą porozmawiać.

Ojciec zachichotał i odłożył słuchawkę.

Lampka telefonu do spraw służbowych rzeczywiście migąła i Anna z przykrością stwierdziła, że dzwoniła pani Peterson, prosząc o następne spotkanie z mężem. „Zdaje się, że Howard miał rację – skarżyła się z wyraźnym rozżaleniem i słusznym gniewem w głosie. – Wdałam się w aferę z nie lada oszustem. Może Howard mi poradzi, jak się z tego wyplątać, jak pani sądzi?” Anna nie potrafiła odpowiedzieć, ale mogła umówić się z panią Peterson i spróbować ponownie nawiązać kontakt. Skrupulatnie zapisała jej numer w swoim czarnym notesiku. Postanowiła, że zadzwoni do niej następnego dnia.

## 42

Alan, szurając głośno nogami, wrócił o piątej trzydzieści nad ranem. Na szcęk klucza w zamku Anna, wystraszona, obudziła się natychmiast. Weź się w garść – zganiła się włamywacze nie używają kluczy. Tak, wciąż miała typową dla mieszkańców Środkowego Zachodu fobię związaną z życiem w Nowym Jorku.

– Pobudka! – Alan zaczął wesół. Chciał przekazać jej pełną, drobiazgową relację z podniecających wydarzeń wieczoru. Anna знаła to już z poprzednich jego odwiedzin. Wracał o świcie, budząc ją. Potem długo opowiadał o Nowym Jorku, „którego nie znała”; szła do szkoły niewyspana, podczas gdy on odsypiał zarwaną noc, zostawiając sobie na wieczór resztę

opowieści. Niewątpliwie „wizyty” Alana były czymś w rodzaju maratonu, przypominały zajęcia dla cierpiących na bezsenność, prowadzone czasami przez szpitale.

– Co robiłaś przez cały wieczór? – zapytał Alan, choć wcale go to nie interesowało.

– Pranie – odparła Anna ponuro, próbując zejść po drabinie z łóżka.

Naprawdę zrobiła pranie. Gdy sortowała rzeczy, prała, suszyła i składała, widziała twarz Edwarda na kręcącym się bębnie suszarki. Boże święty, to poważna sprawa – powiedziała sobie, przerażona. Jednocześnie jej drugie „ja”, to mniej poważne, odtwarzało w myślach prawdopodobne poczynania Edwarda, który jak Orfeusz zstępował do metra i wyłaniał się w chaosie Greenwich Village. A co będzie, jeśli Alan w „antraktach” uraczył Edwarda opowieściami o swojej „dziwnej” siostrze? Powinna była zwrócić bratu uwagę, żeby nie kłapał dziobem, ale nie chciała podsuwać mu żadnych pomysłów. Nie, mogła tylko mieć nadzieję, że Alan chociaż raz będzie trzymał język za zębami. Może wyrósł z wieku, w którym musiał chwalić się jej wyczynami. Może odkrył w sobie jakąś uśpioną rycerskość, odrobinę taktu. Może...

Anna wyraźnie była roztargniona. Zaczepiła brzegiem koszuli nocnej o dolny szczebel drabinki i prawie wpadła na Alana, który rozkładał śpiwór na mało prawdopodobną ewentualność, że go użyje. (Anna wiedziała, że gdy tylko wyjdzie, brat położy się do jej łóżka).

– No i jak było? – zapytała wbrew zdrowemu rozsądkowi. Interesowało ją tylko jedno: czy Alan paplał o jej prywatnych sprawach. Oczywiście jej pytanie jakby uruchomiło katarynkę.

– Lockwood był rewelacyjny – zachwycił się Alan. – Zagrał trzy pełne wiązanki, jak to często robią w Paryżu. Riffy miał niewiarygodne, po prostu fantastyczne. – Nawet jej przyjaciel Edward złapał bluesa. „Jej przyjaciel Edward”. A Bóg jeden wie, jakimi strasznymi snobami bywają ci od muzyki klasycznej. „Ci od muzyki klasycznej”?

Anna nie odważyła się zapytać Alana wprost, czy rozmawiali z Edwardem na temat jej zajęć jako medium. Obawiała się, że wywoła reakcję łańcuchową. Nie było nic gorszego niż trójkąt – pomyślała z irytacją Anna, zastanawiając się, dlaczego musiała stać się jego częścią.

Gdy popijała espresso ze Starbucks, na które pozwalała sobie raz dziennie, Alan rzucał intrygujące uwagi o reakcjach i zachowaniu Edwarda. Anna dowiedziała się, że popijał szkocką, jedną szklaneczkę przez całą noc. Improwizacje Lockwooda przywodziły mu na myśl inwencję Mozarta w ramach danej formy, ale w gruncie rzeczy wszystko kojarzyło mu się z Mozartem i tak naprawdę powinien był raczej zostać w domu, żeby ćwiczyć.

– Mam wrażenie, że ten facet to naprawdę jakiś mnich, całkowicie oddany muzyce – stwierdził Alan.

Anna zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście mówi o Edwardzie, czy o sobie w takiej roli.

Jeśli Anna musiała liczyć pieniądze, to Alan już żył na granicy sknerstwa, dlatego pamiętał o kupnie bekonu i jajek, żeby Anna mogła mu przyrządzać śniadanie „w czasie jego pobytu”.

– To znaczy jak długo? – zapytała, gdy Alan smarował tost zwykłym masłem i masłem jabłkowym.

Zrobił niewyraźną minę. Anna zauważyła obok niego „Time Out”, na którym zakreślił markerem interesujące go imprezy. Wiele imprez –

uświadomiła sobie z przerażeniem. Chociaż kochała brata, bardzo ceniła sobie swoją prywatność. A kawalerka to kawalerka.

– Słuchaj, Alan, pracuję na życie. Muszę się dziś wieczorem spotkać z tym facetem, Nathanem, i byłabym wdzięczna, gdybyś złożył swoje rzeczy w kącie i ulotnił się od szóstej do dziewiątej. – Wiedziała, że brzmi to nieprzyjaźnie, ale przecież w końcu istnieją jakieś granice.

– Dobra. Wpadnę do Edwarda – odparł Alan. Wyznaczanie granic w przypadku Alana nigdy nie było łatwe, ale wyznaczenie ich dla Nathana, jej ewentualnego klienta, okazało się niewiele łatwiejsze. Dzwonił w sumie sześć razy i wydawał się zbyt histeryczny jak na jej gust. Ale był to w końcu przyjaciel Harolda.

## 43

*Droży Państwo Oliverowie,  
zeszłego wieczoru wybrałem się do Greenwich Village z facetem imieniem Alan, bratem tej dziewczyny, o której Wam pisałem. Poszliśmy do Village Vanguard, żeby posłuchać niejakiego Didiera Lockwooda. Po muzyce klasycznej chyba najbardziej lubię jazz.*

*Pani Oliver, miała Pani rację. Dobrze było oderwać się na trochę od fortepianu. Jak Pani wie, zaczynam wpadać w małą obsesję, gdy przygotowuję się do konkursu. Do kogo można by mnie porównać? Do mnicha? Mam nadzieję, że mam bardziej doczesne zainteresowania. (Greenwich Village był wczoraj wieczorem bardzo doczesny, żeby nie powiedzieć – zmysłowy, i tyle).*

*Panie Oliver, zgodnie z Pana radą pozbyłem się tego kołnierza ortopedycznego w stylu Frankensteina. Chyba miał Pan też rację co do wypadku na rowerze, to jednak on spowodował uraz szyi. Oczywiście, ja też się do tego przyczyniłem, czy raczej moja postawa przy fortepianie, która jak powiedział pan Mayakovsky, mogła tylko pogorszyć mój stan. Myślę, że zawód muzyka naprawdę przypomina karierę sportowca. Trzeba nauczyć się podchodzić do urazów tak, jak maratończyk podchodzi do złamania kości goleniowej. Być może w głębi duszy jestem zapalonym sportowcem.*

*Zauważy Pan wśród rachunków z tego tygodnia drogie ciasto marchewkowe i dwie nietanie filiżanki herbaty w miejscu o nazwie Tea and Sympathy. (Szykowne miejsce, jeśli chcecie wiedzieć). Było to podziękowanie dla Anny, która prowadziła mnie jak Diogenes do uczciwego człowieka przez labirynt metra po nowe okulary. Zresztą są bardzo dobre. Wypróbowałem je na jednym z utworów Mozarta, zanim siadłem do gam.*

*Pozdrawiam serdecznie Edward*

*PS Nie zaniedbuję pracy, nie martwcie się.*

## 44

Tak jak Anna przewidywała, wczesna pobudka zapoczątkowała dzień będący wyzwaniem dla jej cierpliwości. Nie znosiła użerania się z uczniami, a Harold zdumiewająco trafnie wyczuwał takie sytuacje. Tego przedpołudnia zastał ją, gdy wzięła za kołnierz Abby, która złośliwie ściągnęła Stephanie szorty.

– Dość już tego, Abby! – wrzasnęła Anna, chwytając niesforną uczennicę za kark. Miała ochotę wsadzić jej głowę pod zimną wodę, ale zza



szafki wyłonił się Harold z typowym dla siebie uśmiechem, który mówił: „Mam cię”.

– Jesteśmy dziś trochę rozdrażnieni? – zapytał podczas przerwy na lunch.

Jasne, że była rozdrażniona. Właśnie dzwoniła do domu, żeby przesłuchać wiadomości od klientów, a on trajkotał jej do ucha. Nie widział, że próbowała się skupić?

– Ciii!

Harold uniósł brwi, aby przypomnieć jej, że on jest tutaj szefem.

– Przepraszam — mruknęła.

Harold dyskretnie się oddalił. Miała na sekretarce sześć wiadomości, następne trzy od rozwścieczonego Nathana, który chciał przesunąć spotkanie z nią na wcześniejszy termin. Jego histeria, zdecydowanie się nasilała. Tracił panowanie nad sobą. Zanotowała jego nazwisko i numer telefonu, a potem pozostałych.

– Słuchaj, ten twój przyjaciel, Nathan... – zagadnęła Harolda, zanim zaczął robić jej wymówki. Naprawdę była zmęczona i rozdrażniona.

– Uroczy człowiek – zaczął Harold – i zupełnie zagubiony od śmierci matki. Powiedziałem mu, że potrafisz dokonywać cudów.

– Jezu, wielkie dzięki! – odparła Anna.

Z jej doświadczenia wynikało, że im większe oczekiwania, tym większa potem katastrofa. „Mało obiecywać, dużo robić” – wyznawała zasadę burmistrza Giulianiego. W przypadku Nathana Harold wyraźnie przesadził z obietnicami.

Po powrocie ze szkoły Anna od razu go zauważyła. Siedział pośrodku obitej aksamitem kanapy w holu. Patrzył czujnie na drzwi i Anna zdążyła

tylko pomyśleć: „To musi być Nathan”, gdy podbiegł do niej, niewątpliwie rozpoznając ją na podstawie opisu Harolda.

– Jestem Nathan – oznajmił bez tchu. – Muszę powiedzieć, że niełatwo się z panią skontaktować.

– Mam pracę – odparła krótko Anna. – W ciągu dnia pracuję, u Harolda. – Miała ochotę dodać „i mam własne życie”, ale nie zrobiła tego.

Stwierdziła, że Nathan mógł mieć pięćdziesiąt parę lat, tak jak Harold, ale usiłował odmłodzić się o dwadzieścia lat. Miał sztuczną opaleniznę, starannie ostrzyżone włosy i mały wąsik, w zamierzeniu elegancki. Nosił wykrochmaloną koszulę. Jego spodnie zaprasowane były w kancik, a czarne buty lśniły jak karoseria nowego porsche. Krótko mówiąc, wyglądał doskonale, robił takie właśnie wrażenie, o jakie mu chodziło. Już na sam jego widok Anna poczuła się wykończona. Nie zaproponował, że poniesie jej książki.

Czy Harold mówił, że chodzi o matkę Nathana? Teraz sobie przypominała. Wspomniał o tym i Harold, i sam Nathan, zostawiając pierwszą, jeszcze nie taką nagłą wiadomość na automatycznej sekretarce.

Szamocząc się z książkami, których było zbyt dużo, by zmieściły się w teczce, Anna wcisnęła guzik z numerem swojego piętra.

– Spodziewałem się, że będzie pani starsza – zauważył Nathan. – Jest pani pewna, że wie, co robi?

Anna sama czasami się nad tym zastanawiała, ale przecież nie takiej odpowiedzi oczekiwał Nathan.

– Praktykuję od lat – uspokoiła go Anna, nie wdając się w szczegóły, jak to w czasach szkolnych, w Ann Arbor, wyszukiwała wszelkie wiadomości z dziedziny ezoteryki. Gdy jej spotkania z duchami stały się

częstsze, zaniepokojony ojciec stwierdził: „Coś w tym jest” i posłusznie woził ją na rozmowy ze wszystkimi, którzy mogli jej w jakiś sposób pomóc. W końcu trafili na panią Murphy, praktykującą spirytyzm od wielu lat, która wzięła Annę pod swoje skrzydła.

– Więc widzisz duchy, proszę, proszę – zaśmiała się i wsparta na lasce z perłową rączką, zlustrowała Annę od góry do dołu. Miała przejrzyste jasnoniebieskie oczy i pogodną owalną twarz. Włosy spinała w kok jak Grace Kelly z czasów Monako. Jej paryski kostium był trochę niedzisiejszy, ale szykowny. Anna polubiła ją natychmiast.

– Ja też kiedyś ją widywałam. Właściwie wciąż widuję – ciągnęła pani Murphy, z kolei patrząc taksująco na ojca Anny. – Nie będzie nam pan potrzebny, chyba że jako kierowca. Anna może przyjeżdżać do mnie w soboty między trzecią

a szóstą po południu — Pani Marphy uznała go za zbędnego.

– Czyli od trzeciej do szóstej – ojciec wyraził zgodę. Umowa została zawarta i przez następne sześć lat Anna miała sobotnie popołudnia zajęte.

Pani Murphy wprowadzała ją w coś, co nazywała zasadami spirytyzmu. Anna szybko okazała się dobrym medium i pod. czujnym okiem pani Murphy uczyła się etyki tej profesji, a także podstawowych sposobów umożliwiających dalsze funkcjonowanie, jak na przykład zdrowy sen.

– Duchy potrafią być bardzo władcze – pouczała pani Murphy. – Muszą pogodzić się z tym, że nie jesteś na ich zawołanie, w gotowości dzień i noc. – Tak więc w okresie praktyki Anna narzuciła sobie stały tryb życia: o określonej porze medytowała i odbierała wiadomości, czytała materiały spirytystyczne i chodziła na godzinny spacer, żeby nie tracić kontaktu z rzeczywistością.

Po początkowym podnieceniu wywołanym odkryciem w sobie takich predyspozycji – okresie, który kojarzył jej się teraz z radością podczas przejażdżki skradzionym samochodem – Anna była wdzięczna starszej pani za wskazówki i rady. Dzięki nim czuła się bezpiecznie.

– Jesteś jak policjant kierujący ruchem – mówiła często pani Murphy, gdy Anna zjawiała się na lekcje przemęczona. – Mówisz im, kiedy mają przyjść, a kiedy odejść, albo w ogóle się nie odzywać.

Pani Murphy traktowała przybyszów z zaświatów jak grupę niezdolnych przedszkolaków. Początkowo Anna była zdumiona, bo zakładała, że duchy to... no cóż... istoty duchowe.

– Wcale niekoniecznie – poinformowała ją pani Murphy. – Nie wszyscy uczą się na błędach. Niektóre duchy są tak samo uparte i krnąbrne po śmierci jak za życia – i równie wymagające czy despotyczne. Może nawet w większym stopniu — bo postać "duchowa" daje im pewną przewagę

Anna podejrzewała, że matka Nathana była właśnie jednym z takich duchów.

Kiedy winda z lekkim szarpnięciem zatrzymała się na jej piętrze, Nathan nie otworzył przed nią drzwi. Oboje ledwie zdążyli wysiąść, zanim znowu się zasunęły.

– Wcześniej pan przyszedł – wydusiła Anna, wsuwając klucz do zameczka. – Gdyby pan mógł tu poczekać... i dać mi parę minut... – Ale Nathan minął ją i bezceremonialnie wkroczył do jej sanktuarium. Patrząc na swoją kawalerkę jego oczami, Anna zauważyła nieporządną stos rzeczy Alana, uschnięte, brązowe liście filodendronów, różne placki i smugi na włącznikach światła, framugach i tak dalej. Jakby chciał powiedzieć: „A

czego mogłem się spodziewać?", Nathan westchnął głęboko i ze znużeniem. Anna powiesiła swój płaszcz w wąskiej szafie. Cholerny Alan – pomyślała, potykając się o śpiwór, w którym najwyraźniej nie spał. Mój Boże, czyżby wciąż jeszcze wylegiwał się w łóżku? Niezgrabnie wdrapała się po drabinie, ujmując spódnicę przy kolanach; łóżko było puste. Była więc sama z Nathanem – mniej lub bardziej. Schodząc, Anna już wyczuła obecność kogoś kłótliwego i dominującego.

„Sylvia” – przedstawił się wyniosły głos. Anna ujrzała przed oczami ruską władczą kobietę o bujnych włosach.

– Słyszę imię, Sylvia – powiedziała do Nathana, który usiadł sztywno na twardym wiktoriańskim fotelu.

– To ona – odparł ze smutkiem, strachem i podnieceniem jednocześnie.

– Jest niska, ma... – Anna szukała odpowiedniego słowa – gęste włosy.

– To peruka – wyznał Nathan bezbarwnie. – Chociaż zawsze twierdziła, że miała piękne włosy przed moim urodzeniem. Nie wie pani, czy to prawda, że niektórym kobietom wypadają włosy po dziecku?

Anna bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie mam doświadczenia w tej sferze.

– Ona miała – prychnął Nathan.

– Mówi, że niewłaściwie karmi pan jej psa – Anna powtórzyła, co usłyszała. – Tak jest rzeczywiście?

– Tak, właściwie tak, ona zawsze dawała mu wątróbkę, a ja karmię go mięsem kurczaka – odpowiedział Nathan obronnie. – Ale to przecież smakołyk. Po prostu Maxie tęskni za swoją panią.

Maxie była pieskiem zmarłej, pozostawionym pod opieką Nathana, jedyne żyjącego potomka Sylvii.

– Jak nie jedno, to drugie – poskarżył się Nathan. Od śmierci matki jego dom był terenem czegoś, co Anna określiłaby jako „aktywność duchów z gatunku złośliwych”. Filiżanki, sosjerki, miski dla psów jeździły po blatach i szybowały w powietrzu. Ciągłe słysząc było jakieś pukania czy stuknięcia, napływał nieustający strumień poleceń czy żądań. Nathan stracił kontrolę nad własnym życiem. Nic dziwnego, że jest na granicy wyczerpania – pomyślała ze współczuciem Anna.

– Pana matka to silna indywidualność – rzekła oględnie. Nagle przed oczami zobaczyła laskę, którą ktoś wymachiwał jak bronią. – Była kaleką?

– Tak naprawdę nie – mruknął niechętnie Nathan. – Tylko wtedy, gdy jej to odpowiadało. Doszedłem do tego po latach.

– Mhm. – Anna próbowała zachować neutralność.

W imię profesjonalizmu starała się nie brać niczyjej strony. Jednak matka Nathana była bardzo niemiła, natarczywa, nawet apodyktyczna. Kierowała życiem syna przez całe lata i zamierzała kierować nim nadal.

– Ma drobne problemy z przejściem na drugą stronę – wyraziła zawodową opinię Anna, łagodnie ujmując sprawę.

– Czyżbyś — warknął Nathan — Proszę coś na to poradzić. Anna zastanowiła się nad odpowiedzią i wybrała sto pierwszą zasadę spirytystyczną według Bernice Murphy.

– Niech pan jej każe przestać – powiedziała po prostu.

– Co takiego? – Nathan zapytał z niedowierzaniem.

– Proszę wytyczyć jej granice – zasugerowała, cytując zarówno panią Murphy, jak i Stacy.

Nathan spojrział na nią, jakby radziła, żeby uniósł przyczepe małym palcem.

– Za jej życia to nie działało – westchnął.

Nagle Anna odniosła wrażenie, że wygląda on na swój wiek i ani minutę młodziej.

– Jest pan policjantem, który kieruje ruchem – zacytowała panią Murphy.

– Policjantem, który kieruje ruchem – powtórzył Nathan.

– To naprawdę zależy tylko od pana. Niech pan ją poprosi, żeby odeszła.

– A może jakieś egzorcyzmy? – zapytał. Anna poczuła, że jego matka się zirytowała.

– Nigdy nie spotkałam się z przypadkiem, by było to konieczne – uspokoiła go. Nathan zrobił niedowierzającą minę, a potem jakby zaświtała mu nadzieja. Odchrząknął, pochylając się do przodu z rękami wspartymi na kolanach.

– Matko, przestań – powiedział głośno. Potem jeszcze głośniej: – Matko, mówię ci: Przestań. Więc przestań. Przestań. Dyrygowałeś mną za życia, ale już nie żyjesz, więc byłbym wdzięczny, gdybyś trzymała się z daleka. Zostaw mnie w spokoju. Zostaw–mnie!

Twarz Nathana nabrzmiała z gniewu. W tych kilku słowach zawarte były całe lata tłamszenia. Anna poczuła, że zatrzasują się jakieś drzwi, gdy jego matka zniknęła, prychając gniewnie.

– Jestem pewna, że wysłuchała pana – podsumowała. – To żadna psychodrama. Oni naprawdę wszystko słyszą.

W kawalerce nagle jakby zrobiło się pogodniej i świeżo, tak też poczuła się Anna.

– Mogę prosić wody? – zapytał słabo Nathan. On też odniósł wrażenie, że atmosfera się oczyściła.

Anna zaproponowała mu wodę albo świeżą herbatę miętową z dzbanka w lodówce. Nathan wolał herbatę. Nawet uśmiechnął się do niej nieśmiało, po chłopięcemu. Anna poczęstowała go ciasteczkami Milano – uwielbiała te miętowe – a on chętnie skorzystał.

– Matka ich nie cierpiała – oznajmił radośnie.

## 45

Anna była zbyt zmęczona i głodna, żeby bawić się w gotowanie. Pragnęła tylko chwilę odpocząć przed wyjściem do greckiej restauracyjki. Ale oczywiście nie było jej to dane.

Najpierw dobiegły różne gamy, a potem, po tej rozgrzewce, efektowne, kunsztowne muzyczne fajerwerki, których twórcą musiał być Mozart. Muzyka jest jak język – nasunęło się Annie to porównanie. – Mozart lubił dużo słów – rozważała dalej, choć byłoby sprawą dyskusyjną, kogo naprawdę miała na myśli: Mozarta czy Edwarda.

Alan jednym ze swoim nielegalnych kluczy otworzył sobie drzwi. Niepewnie wszedł do mieszkania z naręczem płyt winylowych.

– Niewiarygodne – powiedział. – Natknąłem się na tego faceta na ulicy. – Odstawił stos płyt. Z okładek wynikało, że pochodzą z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. – Kupiłem praktycznie całą kolekcję, Birda,



Milesa Davisa, Dizzy'ego Gillespiego, Woody'ego Hermana, Lady Day, trochę Ellingtona.

Widząc jej pusty wzrok, Alan umilkł.

– Umieram z głodu – rzekł. – Co na kolację? Świetnie gra, no nie? – Wskazał kciukiem otwarte okno, skąd wciąż dochodziły dźwięki granego Mozarta.

Alan kontynuował monolog na dole, w greckiej knajpcie. Przerwał tylko na chwilę, żeby zapytać George'a, kelnera, co jest specjalnością wieczoru. Odpowiedź brzmiała: wątróbka z cebulką. Alan nie znosił tej potrawy. Anna zamówiła specjalność. Alan poprosił o musakę.

– W końcu jestem w Nowym Jorku – skomentował swój wybór.

Z nieustającej paplaniny Alana przy kolacji Anna dowiedziała się, że Edward przygotowuje się do konkursu i musi poznać repertuar różnych kompozytorów, ale wiąże nadzieje z „szarpiklawiszowym” – jak się wyraził Alan – Mozartem. Do rywalizacji staje ponad stu osiemdziesięciu pianistów. Zaczyna się od przesłuchania taśm, potem, jeśli twoja taśma zostanie zakwalifikowana, jak w przypadku Edwarda, przechodzisz do finału. I oczywiście ktoś zajmuje pierwsze miejsce. Edward?

– Jak na olimpiadzie – prychnęła Anna. Nudziły ją wszelkie zawody, podczas gdy jej brata fascynowały. W dzieciństwie uczestniczył w zawodach szachowych i nadal się interesował wydarzeniami ze świata szachów.

– Robi też doktorat – poinformował ją Alan. – Píše jakąś ezoteryczną pracę o wpływie Haydna na muzykę Mozarta. Haydn był jego nauczycielem, Mozart nazywał go papą. – Anna zaczęła się zastanawiać, jak udało mu się

wyciągnąć od Edwarda tyle informacji podczas jednego wieczoru, i to w trakcie koncertu. I zapytała o to.

– Nie jestem tak wrogo nastawiony jak ty – odrzekł.

– Ja jestem wrogo nastawiona? Obronnie – może tak. Nieufnie – na pewno. Może jestem trochę nieśmiała czy ostrożna. Ale to ty ponosisz odpowiedzialność, Alan, za wypaczenie mojego charakteru.

– Co to ma znaczyć?

– To ty we własnej osobie zniszczyłeś w zarodku moje związki. Z Peterem na przykład.

Peter był ostatnim chłopakiem Anny w czasach Ann Arbor. Uchodził za zdobycz. Znowu wolny, w wieku czterdziestu lat, przeżył jedno krótkie, wczesne małżeństwo, o którym po piętnastu latach mówił, jakby to było najważniejsze doświadczenie w jego życiu – i jakby zdarzyło się wczoraj. Jego żona zabrała po rozwodzie kanapę, sprzęt grający, a nawet psa, jak wyznał Annie. To właśnie dlatego, z powodu chciwości byłej żony, jej skąpstwa, nie mógł tak całkowicie zaufać Annie i chciał, żeby na randkach każde z nich płaciło za siebie.

Anna ze swojej strony uważała Petera tylko za teoretycznie atrakcyjnego. Uroda – był ciemnowłosy, zadbany, trochę zbyt gładki – nie rekompensowała jego sknerstwa, zarówno w sferze materialnej, jak i w okazywaniu uczuć. Żeby go nie odstraszyć jak innych, Anna ujawniała przed nim swoje powołanie w dawkach homeopatycznych, początkowo jako zainteresowanie percepcją pozazmysłową czy parapsychologią.

– W sam raz dla panienek – zgasił jej entuzjazm.

Po jakimś czasie Anna poczuła, że jej złość rośnie, najpierw z powodu jego skąpstwa – czy zawsze musieli chodzić na kolację, wcześniej, na

promocyjne dania dla pierwszych gości? – a następnie braku zainteresowania dla jej problemów. Ostateczne zerwanie nie było jednak efektem stopniowo ujawnianych przez nią rewelacji, ale nastąpiło jak zwykle za sprawą Alana.

Anna zrobiła ten błąd, że zaprosiła Petera na barbecue z okazji 4 Lipca u swoich rodziców. Gdy na wieczornym niebie rysowały się fajerwerki, Alan skorzystał z okazji, by opowiedzieć Peterowi o przygodach Anny. Jak zazwyczaj, gdy brat był na fali, nie potrafiła powstrzymać potoku słów, jaki wydobywał się z jego ust. Poza tym częściowo chyba chciała, żeby Alan odstraszył Petera. Zaczynała uświadamiać sobie, że nie są dla siebie stworzeni, że ich cotygodniowe spotkania wynikają z obopólnej inercji, która powstrzymywała ich przed poszukiwaniem prawdziwej miłości gdzieś indziej.

– Więc twój brat twierdzi, że jesteś pogromczynią duchów? – Peter ryknął śmiechem, podczas gdy nad głowami rozbłyskiwały im rakiety i eksplodowały wiśniowe bomby. – Mogłaś mi powiedzieć.

– Wspominałam – zaprotestowała Anna – od czasu do czasu.

– To moja wina, że się nie połapałem? – Peter podniósł głos. Alan, stojący kilka kroków dalej, udawał niewiniątko. Anna za plecami pogroziła mu palcem. – Co jest z wami, kobiety? – ciągnął Peter. – Wszystko to zawsze wina mężczyzny. Tak twierdziła moja była żona w odniesieniu do naszego cholernego życia seksualnego. I pewnie ty byś powiedziała to samo o naszym cholernym życiu seksualnym. – Ciii – syknęła Anna.

Musiała przyznać, że ich pożycie było beznadziejne, a co najmniej nudne, ale nie powiedziałyby tego tak wprost, a już z pewnością nie w obecności rodziców. Peter okazał się dokładnie takim niewrażliwym

gburem, jak zawsze podejrzewała. Wszelkie złudzenia, że jest inaczej, prysły jak fajerwerki w górze. Jakby zgodnie z ideą Dnia Niepodległości już więcej do niej nie zadzwonił.

Peter nie był pierwszą ofiarą Alana. Na długo przed nim był „Bud”, gwiazda sportu ze szkoły średniej, któremu się podobała, dopóki Alan nie uraczył go opowieściami o spirytystycznej działalności siostry. Potem był Brendan, młody poeta, który pisał o niej wiersze, ale Alan zasadził się na niego na balu szkolnym ze swoimi dramatycznymi opowieściami z krypty. Rogera straciła z własnej winy, a teraz był Edward. Czy powinna przysięgą zobowiązać brata do milczenia, czy to tylko skłoniłoby go do wręcz przeciwnej reakcji? A może nie było się już nad czym zastanawiać. Och, pewnie tak.

Po prostu spisz go na straty – przyłapała się na tym, że myśli o Edwardzie. I wtedy jakimś cudem wymyśliła dalszą strategię. Udawaj obojętność – nakazała sobie – nie wykazuj żadnego zainteresowania, jeśli Alan podejmie temat Edwarda. Pierwszą zasadą magii jest powściągliwość – uczyła pani Murphy. Anna postanowiła, że zachowa powściągliwość.

## 46

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*jest gorzej, a nie lepiej, to znaczy, jeśli chodzi o szyję. Poszedłem do Waszego lekarza dla sportowców. Jest bezradny i skierował mnie do akupunkturzysty, małego Chińczyka na podejrzanej ulicy w Chinatown, naprzeciwko The Noodle Factory, tego szalonego miejsca, do którego zabrał mnie Alan, brat Anny. Wynalazł je dzięki „Time Out New York”. Nie*

*chcieliby Państwo prenumerować tego dodatku? Nie mam czasu, żeby go czytać, ale jest świetny. Alan mówi, że wszystko można tam znaleźć i że jest lepszy od „New Yorkera”. Wierzę mu na słowo.*

*Ale opowiadałem Wam o akupunkturzyście. Przysięgam na Boga, czułem się jak jeżozwierz. Jeśli dobrze go zrozumiałem, powiedział, że problem nie leży u podstawy karku, tylko między łopatkami. Moimi płuciami, jak mówił. Nazywa się pan Choo.*

*Uściski Edward*

*PS Nie martwcie się. Na pewno w końcu znajdę coś, co mi pomoże.*

## 47

Tommy, zgodnie z obietnicą, zadzwonił, żeby umówić się na spotkanie. Jeden z klientów odwołał wizytę i Anna mogła wpisać Tommy'ego na wczesną godzinę w środę wieczorem. Zjawił się wyraźnie zdenerwowany. Anna zaprosiła go do środka.

– Zajmujesz się tym cały czas? – zapytał, gdy zaprowadziła go do kozetki.

Zdjął kurtkę i usiadł prosto, ściskając koronkową poduszkę na kolanach.

– Cały czas – zapewniła go Anna.

– Muszę coś robić?

– Tylko oddychać. Nie ma powodu do zdenerwowania... Dobrze. Coś widzę. Twój przyjaciel był dość szczupły? Widzę kogoś szczupłego i bladego, ale o sympatycznym poczuciu humoru. Czy to...

– To Hugh. Chudy jak patyk, zwłaszcza pod koniec.

– Mówi mi, że zmarł na AIDS. To prawda?

– Ja powiedziałbym, że na zapalenie płuc, ale on lubił szczerość. To było zapalenie płuc wywołane przez wirusa HIV, owszem.

– Prosi, by ci powiedzieć, że czuje się dobrze. Jest tam dużo dobrej muzyki.

– Kochał muzykę. – Tommy zaczął się rozklejać. Anna podała mu pudełko z chusteczkami higienicznymi. – Co jeszcze mówi?

– Że wszyscy kiedyś odchodzimy, prędzej czy później, i nic by nie zmienił. Chcesz wody? – Anna sięgnęła po dzbanek, który stał na stoliku. Nalała Tommy'emu dużą szklanę. Wypił z wdzięcznością.

– Odchodziłem od zmysłów – wyznał w końcu. – Nie radzę sobie zbyt dobrze.

Nie pierwszy raz Anna słuchała takich zwierzeń. Pani Murphy przeszkoliła ją i w tej sferze. „Słuchaj, ale nie osądzaj” –tego się nauczyła. Teraz próbowała skupić się na duchu, żeby dokładnie przekazać wszystko, co było do przekazania.

– Mówi, że przyszła na niego pora – relacjonowała Anna. – Że musisz się z tym pogodzić. Wie, że się boisz. Rozumie to. – Hughie, duch, sprawiał wrażenie spokojnego i pełnego współczucia.

Tommy odstawił szklanę.

– Powiedz, że gdybym mógł, wszystko bym zmienił. Okazywałbym mu więcej uczucia.

Anna przekazała jego słowa. Potem w skupieniu zmarszczyła brwi.

– Pogwizduje – powiedziała. – To chyba coś Rodgersa i Hammersteina.

– Och, uwielbiał ich. – Tommy roześmiał się przez łzy.

– Znasz to: *Whenever I feel afraid?*\* Ojciec mnie jej nauczył.

– Tak, tak. To była jedna z jego ulubionych piosenek! Pochodzi z *Król i ja*.

– Mówi, że powinieneś posłuchać swoich płyt i przestać się zamartwiać. U niego wszystko dobrze. Mówi, że znowu tańczy.

– Wszystko dobrze? Naprawdę? – Tommy otarł oczy następną chusteczką. – To byłoby wspaniale.

– Teraz śpiewa *When you walk through a storm*\*\* – Anna zaśpiewała fragment piosenki. – Prosi, żebyś tak nie dramatyzował.

Duch żartował, nie był ani trochę zgorzkniały, ani nie uderzał w płaczącą nutę. Annie podobała się jego pogoda. Przekaz był wyraźny i serdeczny.

– Powiedz mu, że śmierć jest dramatyczna. – Mimo woli Tommy się uśmiechał.

– I oglądaj Tony's.

– To był jego ulubiony program! – Tommy radośnie pociągnął nosem.

– Nie zapominaj dzwonić do domu. I odkurzać pod kanapą. – Anna przekazywała coraz mniej wyraźne wiadomości.

– On zawsze tam odkurzał – rzekł Tommy.

Pociągnął kolejny duży łyk wody, a potem ujął Annę za rękę.

– Dziękuję – powiedział. – Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy.

\* *Zawsze, gdy się boję (przyp. tłum.).* \*\* *Kiedy idziesz poprzez burzę (przyp. tłum.).*

Nie puścił jej ręki. Uniósł ją do ust i pocałował. Ten przelotny pocałunek był zadziwiająco zmysłowy.

– Tommy... – Anna wyrwała dłoń. – Albo jedno, albo drugie, co? Jak możesz w ogóle myśleć o seksie w takiej chwili?

– No dobra, ale jesteś taka słodka. Zresztą ja zawsze myślę o seksie.

– Naprawdę?

– Jak wszyscy, tylko nie chcą się do tego przyznać.

## 48

W czwartek Harold posłał po Annę, prosząc, żeby przyszła do jego gabinetu podczas przerwy. Dziwne – pomyślała. Harold był ostatnio wymagającym przyjacielem. Co tydzień przychodził do niej na sesje z Andrew – to były spotkania zawodowe – ale też stale zapraszał ją gdzieś, tak że nie mogła odmówić. Czy naprawdę wydawało mu się, że Anna nie ma własnego życia? Prawda jest taka, że prawie nie mam – zreflektowała się. – Niewiele w nim jest poza sesjami, pracą w szkole, posiłkami w greckiej knajpce. Jakbym była zamknięta w klasztorze. Jestem po prostu wściekła na Harolda, bo mnie wezwał.

– Co u mojej ulubionej starej panny? – powitał ją Harold pogodną, umiarkowaną napastliwością, zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi. – A może – szepnął sotto voce – już go poznałaś? – W oczach Harolda pojawił się błysk i jej złość na niego wyparowała.

– „Jego” to znaczy kogo? – zapytała Anna. – Nie wszyscy marzą o „nim”.



– Mężczyznę swoich marzeń, tego, którego przepowiedział ci mój przyjaciel Alexander – przypomniał jej.

– Przed którym mnie ostrzegał – odcięła się Anna. Gdy była w dobrym nastroju, naprawdę lubiła żarty Harolda. Jego też lubiła. Wyjął teraz z dolnej szuflady biurka dwa croissanty z czekoladą.

– Skusisz się? – mruknął.

Anna uległa. Stwierdziła, że nigdy nie będzie szczupła, chociaż nie groziło jej, że naprawdę utyje. Jestem medium, czyli średnia – żartowała sama z siebie. Przyjęła rogalik i pojednawczy uśmiech.

Przez następne pół godziny Harold raczył Annę opowieściami o przyjęciu, które ją ominęło, i wspaniałych kostiumach, jakie widział zarówno tam, jak i potem na tłocznej Szóstej Alei.

– Cała ulica przebrana była za ludzi pracujących – zachwycił się. — Ludzi w mundurach **czy** kombinezonach: marynarzy i skautów, policjantów i facetów od napraw telefonów – choć ci mogli być autentyczni.

Annę zdziwiło, że Harold w czymś takim dostrzega erotyzm.

– Wybór facetów jak z reklamy Marlboro – dodał.

Sam przebrał się za Blue Boya Gainsborougha. Był to pomysł tak wyszukany, że pozostał niedoceniony.

– Blue Boy z wąsem? – zgłosiła obiekcje Anna.

– Przecież nie mogłem go zgolić z powodu jednego wieczoru – wyjaśnił Harold, głaszcząc swój sumiasty wąs, który podkreślał jego uśmiech kota z Cheshire.

Tak – rozmyślała Anna – pogryzając croissanta, wyobraźnia erotyczna jest taka donkiszotowska. Przyłapała się na tym, że myśli z rozmarzeniem o dłoniach Edwarda, a potem poczuła lekkie wyrzuty, że miesza erotyzm ze

sztuką. I nie chodziło tylko o dłonie Edwarda. Myślała też o nasadzie jego szyi, gdzie wiły się rozczulająco te jego rude kosmyki. Dobrze ostrzyżony, Edward mógł być zabójczo przystojny. Fascynowała ją jego skóra kryjąca się pod szopą płomiennych włosów. Nie mówiąc już o nogach. Anna przypomniała sobie jego szczupłe, ale umięśnione łydki.

– Wracaj, wracaj stamtąd, dokąd się przeniosłaś – Harold wrywał ją z zamyślenia. – Musiałaś kogoś poznać – stwierdził triumfalnie. – Masz taki rozanielony, roznamiętniony wyraz twarzy.

– Wcale nie! – zawołała Anna, ale może rzeczywiście tak było.

Na szczęście zabrzmiał dzwonek i wróciła do klasy pełnej mniej domyślnych uczniów. Usiłowała zainteresować ich *Kubusiem Puchatkiem*, chociaż Gerard, kolega nauczyciel, radził, żeby raczej podsunęła im komiksy.

## 49

Chociaż raz Stacy miała problem z facetem. Był wtorek, w takie wieczory jak ten Anna i Stacy spotykały się na kolację w Popover Cafe, a potem szły do Claremont, gdzie Anna patrzyła, jak przyjaciółka ćwiczy jazdę konną. Prawdę mówiąc, były to ulubione chwile Anny. Przysuwała sobie krzesło do wielkiego okna i obserwowała, jak Stacy z gracją baletnicy prowadzi konia przez różne trudne przeszkody. Podczas ujeżdżania koń kierowany był drobnymi, ledwie zauważalnymi ruchami nóg i rąk. Dla laika Stacy siedziała w siodle jak posąg, jej blond włosy zebrane były pod kaskiem, a pięknie rzeźbiony profil w świetle reflektorów wokół areny połyskiwał jak alabaster.

Stacy nie miała kłopotów z facetami – zbyt dużo się ich przewijało – ale najbardziej niezwykle było to, że zakochała się w „kimś nieodpowiednim”. „Odpowiednimi” nazywała nadzianych i dobrze ubranych; bogatych, młodych i przystojnych – czyli większość tych, z którymi się spotykała. Według Anny wszyscy oni wyglądali tak samo i to samo mówili, bardzo przypominali rząd kawalerów na balu debutantek z komedii z lat trzydziestych.

– Gdzie ty ich wynajdujesz? – Anna przekomarzała się z przyjaciółką. Wielbicie Stacy byli co do jednego zdecydowanie odpowiedni, atrakcyjni i co bardziej zaskakujące –hetero.

– Och, no wiesz, na wernisażach, drinkach po pracy, właściwie wszędzie – odpowiedziała Stacy.

Zwykle nie mogła się opędzić od mężczyzn i nie zwracała specjalnej uwagi, skąd się brali. Jako przyszły doradca inwestycyjny zawsze obracała się w środowisku ludzi zamożnych. Może to wyjaśniało obecność wokół niej tabunów bogatych młodych ludzi. Teraz jeszcze miała wytłumaczyć, dlaczego ostatnio nie dawała znaku życia.

Sprawa wiązała się z jakimś Jeffreyem. Stacy poszła, zdaje się, na jakiś kolejny wernisaż i zakochała się tym razem w samym artyście, nie którymś z kupujących jego dzieła.

Jeffrey był niski – niższy od Stacy; łysiejący – nosił na głowie bandanę; i miał tatuaż – napis „Van Gogh”, będący pamiątką po młodszej fascynacji. Za dużo pił, palił, chodził w brudnych koszulkach i dżinsach. Stacy zakochała się po uszy.

– Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak on – oznajmiła bez tchu i odgryzła kęs świeżego ciasta biszkoptowego z masłem truskawkowym.

– Mmm – odparła Anna, wkładając do ust łyżkę zupy z trzech rodzajów ziaren.

Jeffrey był buntownikiem. Wolnym duchem. Żonatym facetem żyjącym w liberalnym związku – trajkotała Stacy. Anna niemal zakrztusiła się zupą.

To typowy facet z centrum miasta – miała ochotę powiedzieć przyjaciółce, ale Stacy nie chciałyby jej słuchać. Jak określiłby to Harold, miała ten „rozanielony, roznamiętniony wyraz twarzy”.

– A co mówi o Jeffreyu doktor Rich? – zaryzykowała Anna, myśląc, że choć raz ona i terapeuta mogą być tego samego zdania.

– Och – rozpromieniła się Stacy, jakby włożyła do ust pyszny cukierek. – Doktor Rich uważa, że Jeffrey to wspaniały pomysł, prawdziwy przełom.

– Naprawdę? – Anna była poruszona.

– Tak! – ciągnęła Stacy podekscytowana. – Jego zdaniem to bardzo dobrze, że wreszcie mi na kimś zależy.

Dając temu związkowi jakieś sześć miesięcy, zanim przybierze nieunikniony kurs. Anna słuchała o przymiotach Jeffreya, a myślała o Edwardzie.

Ale czy rzeczywiście Edward przewyższał w jakiś sposób Jeffreya? Prawdopodobnie nie był żonaty. Ale czy ewidentna wstrzemięźliwość seksualna jest lepsza niż swoboda? Jeśli chodzi o kreatywne skupienie na sobie, tanio nie sprzedałby swojej skóry. Nie miał jednak – z tego, co Annie było wiadomo – tatuażu z nazwiskiem Mozarta.

Otrząsnęła się z tych myśli. Stacy mówiła nadal, nie zarejestrowawszy jej nieuwagi. Jeffrey ściał ją z nóg. Już pierwszej nocy wylądowała z nim w

łóżku – „a wiesz, że nigdy mi się to nie zdarza”. Łóżko Jeffreya mieściło się na podłodze liczącego z akr powierzchni, drogiego poddasza w Tribeca. Jeffrey cieszył się niezwykłym powodzeniem jako artysta. Powodzenie dopisało mu też niewątpliwie, gdy zaciągał Stacy do łóżka. Annie przyszło do głowy, że w rewanżu mogłaby wspomnieć o Edwardzie, ale powstrzymała się od tego. Ćwicz powściągliwość – zaleciła sobie. Potrafiła zachować tajemnicę, a poza tym Stacy tylko zarzuciłaby ją nierealnymi teoriami i życzliwymi radami nienadającymi się do zastosowania. Nie, zdecydowanie nie powinna nic mówić o Edwardzie. Pozwoliła więc Stacy się wygadać, z czego przyjaciółka skwapliwie skorzystała, tak że w końcu musiała zostawić gotówkę na stoliku, by zdążyć na lekcję jazdy konnej.

Anna ruszyła do domu. Po spotkaniu ze Stacy trochę podupała na duchu. Czowała się jak nieładna powierniczka z filmów z lat czterdziestych. Choć nie była nieładna. Tylko pod względem wzrostu i smukłej figury nie mogła dorównać Stacy. A kto by mógł?

Na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Columbus usłyszała, że ktoś ją woła.

– Pani Anno, jak się pani miewa?! Coś nie tak? – Był to George, kelner, który wyszedł na papierosa przed grecką knajpkę.

– Cześć, George. Co u ciebie?

Posłał jej sympatyczny uśmiech i zgasił papierosa. Przez chwilę Anna żałowała, że sama nie pali.

– Świetnie. Świetnie. Niech pani wejdzie, podam pani filiżankę herbaty.

Czując się jak zabłąkany psiak, Anna pozwoliła zaprosić się do środka. Jej ulubione miejsce było wolne i zgodnie z obietnicą George przyniósł jej

gorącą herbatę. Mruknęła „dziękuję”, ale on nadal kręcił się w pobliżu jej stolika, najwyraźniej chciał pogadać.

– Wszyscy czasami czujemy się samotni – rzekł.

– Chyba tak – odparła Anna. Zaprzeczenie byłoby nietaktem.

– To wielkie miasto – ciągnął George.

– O tak, bardzo wielkie – przyznała.

– Dobrze, że mamy siebie nawzajem, miejsce, do którego możemy przyjść – mówił dalej George.

Anna wiedziała, że niedawno owdowiał i brakowało mu żony. „Poproś go o jakąś zupę” – usłyszała w głowie kobiecy głos. – Uwielbia przynosić ci zupę” – nalegał.

– George, zjadłabym minestrone – powiedziała Anna. Znowu usłyszała głos: „Bardzo dobrze. Jest taki samotny”. Jedząc gorącą zupę, Anna przez chwilę nie rozmawiała

z George'em, który krążył w pobliżu. Gdy przyszło do zapłacenia rachunku, machnął ręką.

– Ja stawiam, pani Anno.

I ostatni raz usłyszała głos, najprawdopodobniej jego żony: „Powiedz mu, że dobrze jest mieć przyjaciół” – poprosiła kobieta.

– Dziękuję, George – powiedziała Anna, wkładając swój ciężki płaszcz. – Dobrze jest mieć przyjaciół.

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*po pierwsze, Pani Oliver, dostałem ciasto orzechowe. Było pyszne, choć nie umywa się do krówek Pani roboty. Ale przecież nie narzekam. Zjadłem je prawie całe, a resztkami posypałem dziś rano lody waniliowe. (Wiem, wiem. Ale pamiętacie Państwo, jak przepadam za słodyczami).*

*Panie Oliver, co do Pańskiego pytania o advil, akupunkturę i zmianę pozycji przy fortepianie – z szyją jest lepiej. Nie powinienem się skarżyć, ale sama muzyka stwarza wystarczające problemy i bez kłopotania się o właściwą pozycję ciała. Mój nauczyciel, pan Mayakovsky, uważa, że gram dobrze i dzięki dodatkowym dawkom advilu (który pożeram jak eme–mesy) rzeczywiście tak jest. Jesteśmy już blisko, mówi, więc zwiększył mi liczbę lekcji, które naprawdę przypominają ciężki trening. W zeszłym tygodniu pan Mayakovsky powiedział, że czuje się jak Burgess Meredith w „Rockym”. Biorę to za dobrą wróżbę.*

*Nie, Pani Oliver, nie prowadzę wyczerpującego trybu życia. Narzucam sobie tylko pewien reżim, choć wypadki z Alanem są bardzo kuszące. Sypiam dobrze, czy stosunkowo dobrze, spędzam wiele czasu przy fortepianie i jak na razie sąsiedzi się nie skarżą, tak przynajmniej mówi Alec, dozorca. Pod pewnymi względami odgrywa on rolę mojego Cerbera, ale strzeże fortepianu, nie Hadesu. Twierdzi, że muzyka przywraca kamienicy dawną klasę.*

*Panie Oliver, wydaje mi się, że znalazłem bardzo dobrego i niedrogiego stroiciela fortepianu. Jak mogę wyrazić wdzięczność za możliwość gry na takim niezwykłym, naprawdę pięknym instrumencie?*

*Facet, którego wynalazłem, nazywa się Theodor, to specjalista od Steinwaya. Przypuszczam że daje mi dużą zniżkę. Spędził u mnie wczoraj cztery godziny i dźwięk się znacznie poprawił. Tylko d nad środkowym c sprawia wciąż małe kłopoty.*

*Wasz robiący postępy Edward*

*PS Owszem, Pani Oliver, chyba się zakochałem.*

## 51

Anna zastała w domu pobojuwisko, będące efektem pobytu Alana – stosy płyt winylowych na podłodze – i wiadomość nagraną na sekretarce. Spodziewała się, że usłyszy – i usłyszała – starannie modulowany głos matki. Była to relacja z przebiegu rekonwalescencji ojca.

„Pomyślałam, że oboje z bratem chcieliście wiedzieć, że ojciec wraca do zdrowia – zaczęła nagranie matka. – Czuje się lepiej i ciągle męczy mnie, żebym grała z nim w szachy. Myślę, że tęskni za Alanem.”

Cóż – pomyślała Anna – przynajmniej raz wyrzuty skierowane były pod adresem Alana. Zachowała wiadomość na sekretarce, żywiąc nikłą nadzieję, że głos matki i perspektywa gry w szachy z ojcem skłonią brata do wyjazdu.

Tymczasem została sprawa płyt. Były kruche i nie powinny poniewierać się po podłodze jej kawalerki. Zaczęła metodycznie ustawiać je pod dłuższą ścianą, w bezpiecznej odległości od kaloryfera i ruchliwych ścieżek.

Anita O'Day – zauważyła – John Coltrane, Freddie Hubbard, Lee Morgan, Charlie Parker, Dizzie Gillespie, Billie Holiday, Woody Herman,



Dave Brubeck, Miles Davis i oczywiście skrzypce, Stephane Grappelli, Jean-Luc Ponty, „Stuff” Smith Joe Vinuti i Regina Carter nowa gorąca” wokalistka jazzowa, którą Alan zamierzał usłyszeć na żywo tego wieczoru  
Anna znalazła wiadomość od mego na kaloryferze

*Droga Pogromczyni Duchów,*

*poszedłem na koncert Reginy Carter w Birdlandzie. Mam nadzieję, że spotkam się z Edwardem, który przecież nie może cały czas ćwiczyć Wróć na śniadanie*

*Alan*

Jednak Edward nie wybrał się do Birdlandu, a jeśli tak, to miał świetnego imitatora Muzyka wręcz tańczyła i migotała w jej kawalerce

Nic dziwnego, że o nim myślę – stwierdziła zgnębiona Anna – Nie mogę od niego uciec Zamknęła okno, ale między ramą a parapetem pozostała wcale niemała szpara Muzyka wciąż przepływała przez nią – a wtedy Anna usłyszała chrząknięcie i męski głos, który zwrócił się do niej „Dobrze brzmię, prawda?” – zapytał znany jej duch

„On dobrze brzmi – poprawiła go Anna. – Nie ty”.

„Tak. Ale on gra moje utwory – burknął duch. – Gra prawie tak dobrze jak ja. Gdybyś mnie kiedyś słyszała, nie byłabyś taką Filistynką. Musiałabyś mi ulec – przynajmniej powinnaś”.

„Samochwała. Wszystko kręci się wokół ciebie, prawda?” –zapytała Anna.

„Nie chodzi o mnie – oburzył się duch. – Tylko o inspirację. W muzyce można odnaleźć pewne duchowe wartości. Gdy ją komponowałem, czułem, że mam kontakt z jakąś potężniejszą siłą. Ślady tego kontaktu przetrwały w samej muzyce. Na pewno i ty to słyszysz. Boska inspiracja”.

„Słyszę hałas” – odparła Anna z uporem. Nie było już w tym prawdy, ale nie mogła powstrzymać chęci, by podrażnić się z duchem

„Hałas! Posłuchałabyś tego, co śpiewają anioły, i wtedy mogłabyś powiedzieć, że to hałas!” – Duch zaczął się denerwować i Annie sprawiło to satysfakcję.

„Może zejdziesz i bezpośrednio porozmawiasz ze swoim protegowanym?” – przekomarzała się. Podejrzewała, że tu kryje się problem, i miała rację.

„Chodzi o to, że ty widzisz mnie i słyszysz, a on nie może. Wyobrażasz sobie, jak mnie to frustruje? Och, on prosi mnie o pomoc, a kiedy mu jej udzielam, nie wie, że to ja. I lekceważy ją. Myśli, że to wytwór jego wyobraźni”.

„Nie wierzy w ciebie?” – zagadnęła go Anna.

Duch westchnął głośno.

„Już nie tak jak w dzieciństwie. Stałem się dla niego historią. Kiedyś wiedział, że jestem przy nim, teraz przestał. Jestem tylko zjawą”.

„Cóż, dla mnie jesteś kimś więcej” – powiedziała życzliwie Anna.

Duch westchnął ponownie.

„Tak, te twoje »zdolności«, jak je nazywasz, są pewną pociechą”. – Pierwszy raz duch przyznał, że jednak żywi jakąś sympatię do Anny. Chociaż nie, była mu tylko potrzebna.

„A mogłabym mieć trochę prywatności?” – Anna spróbowała użyć stanowczego tonu i uciąć sprawę krótko. Ku jej radości wreszcie poskutkowało.

„No dobrze. Jak sobie życzysz”. – I duch zniknął.

W kawalerce nagle zrobiło się pusto. Anna poczuła się trochę bezradna. Postanowiła więc posprzątać mieszkanie i zrobić pranie. Porządki zawsze ją uspokajały.

## 52

Na dole w pralni też słyszała koncert, jego dźwięki przenikały przez otwarte okno warsztatu Aleca, jak przypuszczała Anna. Oddzielając jasne rzeczy od ciemnych, pomyślała, że słyszy najdrobniejsze błędy, gdy Edward grał ten sam pasaż raz po raz, jakby chciał jej wbić frazy w głowę czy wdrukować w swoje dłonie. Potem nagle muzyka się urwała.

Anna, wbrew swoim zwyczajom, przyniosła do pralni otwartą butelkę wina, „wybornego merlota”, jak orzekł Alan. Był to prezent od niego na oblewanie mieszkania – rodzaj łapówki – i pomyślała, że może je wypić podczas przeglądania tabloidów, gdy pranie będzie się suszyć. Usiadła wygodnie na zapadającej się sofie. Wino, czasopisma, jedyny kieliszek, jaki miała...

Kiedy usłyszała szcęk zjeżdżającej coraz niżej windy, szybko dopiła wino z kieliszka i zakorkowała butelkę, ukrywając dowód przestępstwa na dnie kosza na pranie. Do sutereny wkroczył Edward, a właściwie jego pranie na nogach koszykarza. Najwyraźniej – stwierdziła Anna – lubi nosić szorty, przynajmniej gdy wybiera się do pralni. Nad białymi skarpetkami, poniżej kosza z praniem, znowu można było zobaczyć kształtne łydki.

– To ty! – zawołał ze zdziwieniem, wyrzucając swoje pranie na składany stół. – Nie przypuszczałem, że kogoś tu zastanę.

– A jednak! – powiedziała ze śmiechem Anna, wskazując butelkę whisky, którą trzymał w swojej dużej dłoni.

– Może łyka? – zapytał Edward elegancko, bynajmniej niespeszony. – Mam nawet szklanę. Próbuję leczyć zapalenie ścięgna. Alkohol pomaga – w rozsądnych ilościach.

Wyczarował szklanę z jednej ze skarpet.

– Genialni ludzie myślą podobnie – powiedziała z uśmiechem Anna.

Nie lubiła szkockiej, ale wino to co innego. Wyjęła butelkę i kieliszek z ukrycia.

– Myślisz, że wszyscy tu ukradkiem popijają? – zastanowił się Edward.

– Ja pierwszy raz, przysięgam! – odparła Anna. – Miałam bardzo ciężki dzień w szkole, bo jestem nauczycielką, a Alan przyniósł mi to wino, więc...

– Ten Alan. – Edward zaśmiał się, jakby znał Alana od zawsze. Potem dodał: – Dobrze jest od czasu do czasu odreagować. Ale mnie nie zdarza się to często.

Załadował białe rzeczy do drugiej pralki, która tym razem, cudownym trafem, działała, po czym nalał sobie starannie odmierzonego drinka.

– Przyłączysz się do mnie? – zapytał.

– Tylko nie szkocka – odrzekła i stwierdziła, że drugi kieliszek wina to nie będzie nic złego.

Edward ulokował się ze szklanką w dłoni na drugim końcu sofy, w niepokojąco bliskiej odległości. Oparł zeszywniały kark na poduszkach.

– Wciąż boli? – zapyłała Anna, popijając wino jak dama, taką przynajmniej miała nadzieję.

– Trochę – odparł.

– Myślisz, że to z powodu tamtej kolizji? – ciągnęła z poczuciem winy. Ale przypomniała sobie, że to była jego wina.

– Trudno powiedzieć – odrzekł Edward. – Choroba zawodowa.

Zaczął opowiadać o urazach związanych z grą na fortepianie, częstym występowaniu zapalenia ścięgien, chorobie zawodowej, jak zespół kanału nadgarstka u komputerowców. Na razie i tak dopisywało mu zdrowie – no, i brał dużo advilu. Szkocka także pomaga, dodał, ale tylko w małych ilościach, bo inaczej następnego dnia traci się sprawność motoryczną.

– To się nazywa kac – zażartowała Anna. Zaśmiał się. Czując się na luzie, Anna naląła sobie trzeci kieliszek wina. Edward też strzelił sobie kolejną szklaneczkę. Przez szkło wszystko wydawało się weselsze.

To przez alkohol – pomyślała Anna z pewną ulgą gdy przypomniała sobie wydarzenia minionego wieczoru. Najpierw alkohol, potem długa rozmowa w lekkim odurzeniu, gdy rzeczy się prały, schły i były składane. Jeszcze trochę szkockiej, jeszcze trochę wina i pocałunek, dziwnie gorący, jak na reklamie perfum sprzed lat, gdy akompaniator nagle namiętnie obejmuje śpiewaczkę. Pocałunek. Potem drugi. Następne pocałunki na sofie, całe pranie do windy, jazda na górę, do jej mieszkania, niezręczna wspinaczka na łóżko. Wyznanie Anny, że wciąż bierze pigułki. Szept Edwarda, że ma w portfelu prezerwatywy. Nieśmiali introwertycy. Jednym słowem – jak pomyślała Anna, gdy Edward spał mocno obok niej – zadziwiająco gładko im poszło.

Z pewnością Edward nie sprawiał wrażenia mnicha, żyjącego w celibacie amatora. Podobnie jak ona, przynajmniej taką miała nadzieję. Przypomniała sobie jego pełne zachwyty onieśmienie, gdy spod

koronkowego czerwonego stanika ukazały się jej piersi. Czerwona bielizna. Uwielbiam czerwień – mruknął. Miała w pamięci jego plecy, wyraźne linie mięśni pod skórą. Objęli się, oplotły ją jego długie, szczupłe nogi. Tak, Edward umiał całować – szyć delikatnie, potem bardziej namiętnie piersi. Wszystko robił dobrze. Cóż, był perfekcjonistą, już wiedziała – i to z doświadczenia – pomyślała teraz ze zdziwieniem. I wtedy usłyszała cichy chichot gdzieś przy oknie wychodzącym na schody ewakuacyjne.

Alan! Całkiem zapomniała o Alanie. Nie wziął kluczy i teraz włązi przez okno, żeby przyłapać ich w łóżku?

„Jesteś dla niego dobra” – usłyszała w głowie wyraźne słowa. Znała to uczucie i poddała się, zbyt zagubiona, żeby się opancerzyć i odpowiedzieć. „Zostaw mnie w spokoju”.

„Jesteś dla niego dobra” – powtórzył głos z wyraźnym akcentem. Po raz pierwszy Anna zobaczyła obraz towarzyszący głosowi. Ujrzała w kącie kształt przybierający postać mężczyzny. Najpierw zauważyła pełne rozbawienia oczy. Usta cherubina skrzywiły się w uśmiechu.

„Kim jesteś?” – zapytała. Ruda głowa śpiącego Edwarda spoczywała na jej lewym ramieniu, które już lekko drętwiało. Odsunęła się trochę.

„Kim jesteś? Nie każ mi zgadywać” – powtórzyła. Duch zachichotał znowu, uparty jak zwykle. Widocznie coś knuł.

„Musisz mi powiedzieć, kim jesteś – prosiła Anna coraz bardziej widoczną postać. – We wszystko się mieszasz. Musi być jakiś powód”.

„Dowiesz się we właściwym czasie” – rzucił wesoło, przez chwilę ukazując się wyraźnie. Anna uchwyciła obraz żywej twarzy, upudrowanej peruki, loczków, aksamitnej kamizelki.

„Podglądałeś nas?” – zapytała, a wtedy usłyszała szcęk klucza w zamku i duch zniknął.

– Cześć wam! – zawołał głośno Alan, widząc ich skotłowane ubrania na podłodze.

Nawet bez docinków Alana i jego przemądrzałej miny w stylu „a nie mówiłem” nie dało się ukryć, że ona i Edward przespali się ze sobą. I co teraz? – zastanawiała się Anna ze strachem, gdy Alan zaczął nadawać do ucha Edwarda, gdy tylko ten się obudził.

Podczas gdy Alan zachwycał się jazzowym riffem, Anna i Edward szybko zgarnęli swoje ubrania; Anna uciekła do łazienki, ale Edward, który miał młodszego brata – ubrał się powoli, jakby był w szatni. Przybycie Alana najwyraźniej w najmniejszym stopniu nie wytrąciło go z równowagi. Przywilej ten przypadł w całości Annie.

– Skończ wreszcie! – poprosiła brata cicho, ale nie: Regina Carter była „po prostu fantastyczna”, a sam Birdland – „totalnie odłotowy”. Edward sprawiał wrażenie zainteresowanego, gdy tak wciągał swoje białe beznadziejne skarpetki i zawiązywał sznurowadła tenisówek.

– Przyrządzisz nam jajka na bekonie? – chciał wiedzieć Alan..

Czy wyglądała na kucharkę z baru szybkiej obsługi? Na pewno nie w różowym aksamitnym szlafroku, w którym miała wyglądać „słodko jak króliczek”, zgodnie z hasłem na metce.

– Jasne – powiedziała ponuro.

Edward zerknął na nią. Anna nie potrafiła rozszyfrować tego spojrzenia. Było konspiracyjne czy niechętne, i właściwie z kim on trzymał, z nią czy jej bratem? Już sobie wyobrażała ich dwóch, jak zaśmiewają się z jej paranormalnej działalności. Edward był pewnie tak samo sceptycznie i

szyderczo nastawiony jak Alan. Szybko się zaprzyjaźnili, stali się prawdziwymi kumplami.

Jeszcze wieczorem – Anna poczuła, że jej policzki przybierają barwę, szlafroka – to ona i Edward tak dobrze się rozumieli. Świetnie im się rozmawiało. W przeciwieństwie do Alana Edward potrafił słuchać. Rozmawiali swobodnie, o tym i owym – pewnie za sprawą alkoholu, jeszcze przed pocałunkiem. Już miała dojść do wniosku, że jest idiotką, gdy Edward puścił do niej oko za plecami rozgadanego Alana.

Więc wszystko w porządku – ucieszyła się, rozbijając pierwsze jajko. – Neurotyczka ze mnie. Ale cóż, ja jestem dziewczyną, a on chłopakiem.

## 53

*Drudzy Państwo Oliverowie,*

*Mozart idzie bardzo dobrze – tak twierdzi mój nauczyciel, nieskory do pochwał Rozpracowuję tę nieznośną trzecią część. Dobra strategia – to słowa pana Mayakovsky'ego. Wciąż muszę pamiętać, że Mozart był geniuszem, jeśli chodzi o fortepian. Moje problemy mogły być dla niego niczym. W końcu występował z koncertami już w wieku sześciu lat! Nie wspominając o duetach, które pisał dla siebie i swojej siostry Nannerl. Co takiego powiedział mu cesarz Franciszek Józef? Za dużo nut? Cóż, nie dla Mozarta, choć dla reszty z nas — może.*

*Przykro mi, że nie było mnie w domu, gdy Państwo dzwonili. Pewnie zszedłem do pralni. Znam już kilka osób w tym budynku. Alana i jego siostrę, o której Wam pisałem – Annę. Oboje są bardzo mili. Czy wspominałem, że Alan jest tu tylko w odwiedzinach? Na stałe mieszka w Kalamazoo w stanie Michigan i jest lutnikiem. Wyobrażam sobie Kalamazoo, czy raczej jego*



*okolice, gdzie mieszka na farmie przypominającej trochę nasze Wilton. Według Alana jest tam na tyle prowincjonalnie, że Nowy Jork wydaje się bardzo atrakcyjny. To trochę jak w Wilton, nie sądzą Państwo?*

*Tak, Pani Oliver, liście w Central Parku już całkiem opadły. W oknie drogerii umieszczono dekoracje na Święto Dziękczynienia, a w greckiej knajpcie, tuż przy drzwiach, stoi wielki indor. W menu pojawiły się udka indycze ze wszystkimi dodatkami i myślę, że ich spróbuję.*

*Byłem znowu u pana Choo, który powiedział, że mam za dużo chi – to znaczy energii witalnej – w plecach, ramionach i rękach. Wyjaśniłem mu, że jestem pianistą, ale nie mam pewności, czy zrozumiał. W każdym razie z szyją jest lepiej, choć zeszłej nocy mogłem ją trochę nadwerężyć.*

*Wasz oddany Edward*

*PS Pamiętam o witaminach, Pani Oliver.*

## 54

Początkowo Anna liczyła, że na niego wpadnie. W pralni – westchnienie! – w holu, w greckiej restauracyjce. Ale po tym niezapomnianym wieczorze nigdzie nie było go widać – tylko słyszać. Od świtu aż do późnego wieczoru, gdy kładła się spać, z dołu dochodziła muzyka. Słyszała ją, czekając na windę. Minał dzień, potem drugi i trzeci. Anna zaczęła popadać w paranoję. Nie mógłby zadzwonić i powiedzieć „dziękuję”... czy coś takiego? Czy coś by mu się stało, gdyby zapytał „co u ciebie”? Przecież podała mu numer telefonu. Tak, gdy wychodził. Była tego pewna. Minał czwarty dzień, później piąty. Ciągłe słyszać było muzykę i

Edward wciąż dziwnie się nie odzywał. Obawy Anny przerodziły się w nieprzyjemną pewność.

Przynajmniej nie zwał, nawet jeśli mnie unika. Niech sobie pracuje; ja mogę robić to samo – pomyślała Anna zgryźliwie, słuchając serenady spod 1E jak Edward, gdy czekała na windę.

W domu oczywiście nie było ucieczki od jego muzyki; nawet jeśli nie dzwonił, jeśli nie okazał jej elementarnych względów, był tam, na dole, to nie ulegało wątpliwości. Nastął listopad. Wreszcie mogła zamknąć odporne okno, ale była kwestia wietrzenia i być może pewnej masochistycznej fascynacji. Kilka dni zamieniło się w tydzień. Teraz Anna zaczęła się bać, że się na niego natknie. Co wtedy powie? Najwyraźniej nie był zainteresowany znajomością z nią. To była przygoda na jedną noc, wyskok pod wpływem alkoholu, nic ważnego, wbrew temu, co można by sądzić. Anna jednak starannie układała włosy i ubierała się to była w końcu kwestia dumy. W razie gdyby na niego wpadła, chciała wyglądać jak najlepiej. Nie wychodziła z mieszkania, nie zerknąwszy wcześniej do lustra.

Pani Peterson przyszła na drugie spotkanie dość opanowana. Wciąż przypominała ptaka, ale tym razem trochę zmokłego. Bez zaproszenia ze strony Anny, na którą ledwie zwracała uwagę, przysiadła na obitym aksamitem wiktoriańskim fotelu i czekała na rozpoczęcie sesji.

Jak miał na imię jej mąż?

„Howard – oznajmił głos w głowie Anny. – Jej mąż, czy raczej były mąż, nazywał się Howard”.

– Jest tutaj – powiedziała Anna do pani Peterson – pani mąż Howard.

Pani Peterson popatrzyła na swoje dłonie. Okręciła na palcu obrączkę ślubną i zaręczynowy pierścionek z brylantem, które nadal nosiła. Po chwili rzekła, nie unosząc głowy:

– Proszę powiedzieć Howardowi, że miał rację. Bez niego po prostu zgłupiałam. Nie mylił się co do mnie. Nie chciałam się do tego przyznać. Po jego śmierci trochę mi odbiło. Jestem na granicy katastrofy.

„Kopnij go w dupę” – usłyszała Anna.

– On mówi: „Kopnij go w dupę” – powtórzyła.

Pani Peterson spojrzała na nią. Na jej twarzy pojawiła się nadzieja.

– Howard do mnie mówi? – zapytała.

– Jak najbardziej – odparła Anna.

„Proszę jej powiedzieć, żeby zerwała z tym draniem – warknął Howard. – Nie podpisała dokumentów i nie powinna tego robić”.

– Mówi, że nie powinna pani podpisywać dokumentów – przekazała Anna ponownie. – Są jakieś dokumenty?

Pani Peterson się zarumieniła. Jej dłonie zaczęły nerwowo miąć spódnice.

– Papiery wartościowe – odparła. – Zamierzałam przepisać na niego nasze papiery wartościowe.

„Nie rób tego! – huknął Howard. – To sukinsyn. Zaslługujesz na kogoś lepszego”.

Anna przekazała jego słowa. Pani Peterson otarła łzy chusteczką higieniczną, którą wyciągnęła z pudełka na umieszczonym między nimi stoliku.

„Powiedz mu, żeby się zabierał – ciągnął gniewnie Howard. – Powiedz mu, że jeszcze go dopadniesz. Ale jeśli nie potrafisz, to powiedz, że ja go

dopadnę. Pożałuje dnia, w którym cię poznał. Powiedz mu, że go..." – Howard urwał swoją tyradę.

– Mąż mówi, że panią wesprze – podsumowała Anna. – Tylko proszę niczego nie podpisywać, pod żadnym pozorem. On zajmie się resztą.

Pani Peterson posłała nieśmiały, pełen wdzięczności uśmiech gdzieś nad głową Anny.

„Wszystko będzie dobrze, Laleczko" – usłyszała Anna.

Powtórzyła to pieszczotliwe imię.

– Zawsze mnie tak nazywał. – Pani Peterson westchnęła z zadowoleniem. – Więc mam nie podpisywać?

„Za żadną cholere". – Anna przekazała tę gniewną radę.

– Dobrze, już dobrze. Proszę powiedzieć Howardowi, że nie podpiszę. – Tym razem pani Peterson przyjęła szklankę herbaty miętowej. – Tylko zanurzę dzióbek – powiedziała Annie. – O, znowu ta piękna muzyka.

Czy to była kwestia jej wyobraźni, czy nieodwzajemnionej miłości, że Annie muzyka wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek? Teraz wręcz przybierała formę piruetów i dygnięć, skłonów i dalszych figur. Anna miała wręcz przed oczami obraz upudrowanych pań i panów w perukach z dawnej epoki – podobnych do gościa z poprzedniego wieczoru; prawie zresztą o nim zapomniała.

Cóż – pomyślała z rozdrażnieniem – najwyraźniej seks z Edwardem to sport widowiskowy! Ale wciąż pamiętała łuk jego barku, rude kosmyki wijące się nad jej ramieniem. Czy nie zasugerowała – o tak – żeby zmienił fryzurę na poważniejszą? Owszem.

– Te włosy – stwierdziła zawiana. – Jestem pewna, że odwracają uwagę od twojej gry.

– Włosy to mój znak firmowy – odparł Edward. Boże, co jeszcze mówiła?

Wspomnienia tego wieczoru wracały do niej falami. W metrze, gdy jechała do domu po pracy, nagle przypomniała sobie włoski na przedramieniu Edwarda, delikatne dotknięcia jego dużej dłoni... Niemal przegapiła swój przystanek.

Weź się w garść – poleciła sobie. – To prawdopodobnie bardzo dobry muzyk, a ty wzdychasz do niego, bo jest dla ciebie obiektem seksualnym. Nie miała godności. Ale szczęśliwie godność gdzieś się zapodziała tej nocy, którą spędzili razem. Czuli się ze sobą tak dobrze, tak swobodnie, tak „Jak trzeba”, że o mały włos powiedziałyby mu o swoich zdolnościach. Mimo iż była na rauszu, zdołała utrzymać język za zębami w tej kwestii. Dlaczego miała stracić Edwarda, zanim zdążyła się nim nacieszyć?

## 55

Chcąc zająć się czymś i jednocześnie udobruchać Harolda, Anna zgodziła się pójść z nim w sobotę do ezoterycznego sklepu jego przyjaciela pod warunkiem, że on z kolei będzie jej towarzyszył na wystawie) Jeffreya. Była to wina Stacy, nie mówiąc o tym, że nurtowała ją ciekawość.

Harold i Anna usiedli blisko siebie, gdy metro mknęło na południe. Przy każdym drobnym szarpnięciu ich ramiona stykały się ze sobą. Ramię Harolda było miękkie i kojące, nie podniecało jej tak jak pierś Edwarda. Daj sobie z tym spokój – skarciła samą siebie. – On już to zrobił.

Wysiadłszy na Houston Street, Anna i Harold ruszyli różnym krokiem na południe. Ostry wiatr łopotał ich ubraniami. Anna żałowała, że nie

włożyła swojego starego tweedowego płaszcza, który miał tę zaletę, że był ciepły, choć może nie prezentował się dość sztywnie dla bywalców eleganckiego SoHo. Miała na sobie czarny trencz na każdą pogodę, który można by uznać za coś lepszego. Przynajmniej był czarny.

– Najpierw sklep ezoteryczny, a potem twoja wystawa. – Harold ułożył plan. – Nie potrafię ci powiedzieć, jakie to ważne, żebyście ty i Alexander porozumieli się ze sobą.

– Ale poznałam już Alexandra. I nie rozmawiał ze mną. Tylko coś mi przepowiedział – zaprotestowała Anna. – To było na tamym przyjęciu urodzinowym, pamiętasz? To ten z kolczykiem z cyrkonią, w purpurowej koszulce...

– To brylant – przerwał jej Harold. – W złotych czasach ich związku dał mu go partner.

– Jest większy niż brylanty w pierścionkach zaręczynowych! – zawołała Anna.

– O to chodzi – rzekł Harold. – Jay kupił go dla niego przed ceremonią zawarcia związku. Jesteśmy na miejscu.

Poprowadził ją wąskimi schodami do obskurnie wyglądającego sklepiku w suterenie. Na drzwiach wisiały znaki półksiężyca. „Zaklęcia” – głosił napis gotykiem. Anna szła za Haroldem z pewną niechęcią. Wnętrze sklepu było ciemne i posępne. Pomalowane na czarno ściany obwieszane były pelerynami, mieczami i koszulkami z ezoterycznymi emblematami jak ta, którą miał na sobie Alexander, gdy wyłonił się zza gabloty, by objąć Harolda i przywitać się skinieniem głowy z Anną. „Bogini rządzi” – głosił napis na jego koszulce. Widniała na nim bezgłowa bogini z węzami w uniesionych dłoniach. Anna powstrzymała wzdrygnięcie.

– Cześć, mój drogi. Wreszcie ją tu ściągnąłem – oznajmił Harold.

Zasłona na tyłach sklepu poruszyła się. Łysy mężczyzna wystawił zza niej wytatuowaną głowę.

– Proszę o ciszę – powiedział. – Właśnie stawiam karty. Tarota – domyśliła się Anna. Odręczny anons informował,

że można tu sobie powróżyc.

– Oprowadzę was. – Alexander przejął inicjatywę. Ale po czym miał ich oprowadzić? Sklep był maleńki.

– To Anna – rzekł Harold. – Przyjaciółka, o której ci mówiłem.

– Owszem, mówiłeś – burknął Alexander. – Ale sam też całkiem dobrze sobie radzę. – Sprawiał wrażenie, jakby chciał przejść do rzeczy równie szybko jak Anna.

– Jego partner zmarł – wyjaśnił Harold. – Pomyślałem, że mogłabyś nawiązać z nim kontakt. Alexander w zamian by ci powróżył. Możecie sobie pomóc. Stalibyście się przyjaciółmi, co ty na to?

Anna i Alexander wiedzieli, że Harold jak zwykle próbuje kojarzyć ludzi na polu zawodowym. Powinien być swatem, a nie kierownikiem szkoły.

– Przed śmiercią prawie mnie wykończył – poskarżył się Alexander, mówiąc najwyraźniej o swoim nieżyjącym partnerze. – Ale w końcu zmierzamy we właściwym kierunku.

Anna zorientowała się, że tym kierunkiem były wiccańskie praktyki religijne. Na ścianie przy kasie widniały nalepki na tylny zderzak przedstawiające boginię. W gablocie znajdowały się naszyjniki z pentagramem, małe, ale ozdobne kielichy i różne noże o pofalowanych ostrzach

– To kris, nóż rytualny – objaśnił Alexander.

Annie od razu przyszły na myśl ofiary z ludzi i inne okrutne obrzędy Majów, ale kult bogini jest „pogodny” – wytłumaczył Alexander. Tańce, wolna miłość podczas świąt płodności, fajerwerki.

Zasłona poruszyła się znowu.

– Ciii. Mówiłem, że wróżę – syknął łysy wróżbita.

Anna rozumiała kolegę po fachu i pomyślała, że przecież mogą mówić szeptem.

– Nie znoszę węży – szepnęła do Harolda.

– Węże, mówisz? – Alexander wykazał się dobrym słuchem albo percepcją pozazmysłową. – Och, przecież muszę przedstawić wam Isis. Gdzie ona była? – To mówiąc, uniósł pokrywę szklanego terrarium i, zagłębiwszy w nim dłonie, wyjął dużego gada. Trzymając potężnego różowego pytona jak boa z piór, owinął go sobie wokół szyi. – Jest urocza – ciągnął dalej. – Potrzebuje tylko myszki raz na tydzień. Prawda, mała?

Ku przerażeniu Anny Isis wysunęła język i złożyła na jego policzku gadzi pocałunek.

– Haroldzie, zabierz mnie stąd – wydusiła Anna. – Haroldzie, boję się węży!

– Nie skrzywdziłaby muchy – szepnął Alexander, a potem się poprawił: – Chociaż? Właściwie się nimi żywi, prawda, maleńka? Anno, chciałabyś ją pogłaskać?

Isis wyciągnęła szyję, jeśli można tak powiedzieć, w stronę Harolda. On poklepał ją delikatnie. Najwyraźniej nie bał się węży. Tymczasem Anna pobladła.



– Haroldzie, mówię poważnie – powiedziała podniesionym głosem. Wąż obrócił głowę i zaczął zbliżać się ku niej. Może węże są jak psy – pomyślała. – Wyczuwają, kto się ich boi, i tych wybierają.

– Wielki Boże, Haroldzie, wychodzę — oświadczyła. Chwyając płaszcz, szarpnęła drzwi i uciekła.

– Poznałaś go, prawda?! – zawołał za nią śpiewnie Alexander. – Tylko teraz tego nie zepsuj. Nie zepsułaś jeszcze, co?

Chwilę później Harold dogonił ją na ulicy. Anna oddychała głośno jak koń pociągowy.

– Nie cierpię przepowiedni! – dyszała. – Nie znoszę wścibstwa. To moje życie!

– Wpadłaś w histerię? – Harold wydawał się rozbawiony.

– Tak, Haroldzie, owszem. A może to zwykła wściekłość – odparowała Anna.

– Daj spokój. Nie wyglupiaj się. Isis jest bardzo sympatyczna, podobnie jak Alexander.

– No, na pewno – stwierdziła.

Szarpiąc Harolda za rękaw granatowego kaszmirowego płaszcza, w którym wyglądał jak prosiak w kocu, Anna pociągnęła go w stronę Lafayette Street i numeru, który dała jej Stacy, a pod którym odbywał się wernisaż Jeffreya. Okazało się, że jest to poddasze, przekształcone w galerię. Kiedy tam dotarli, chuda jak szkielet młoda kobieta w modnych czarnych ciuchach przycisnęła guzik i wpuściła ich do środka. W małym foyer wisiały bardzo ładne rysunki przedstawiające pisuary. Cóż – pomyślała Anna – przynajmniej Jeffrey i Stacy mają wspólne zainteresowania. Wtedy Harold chrząknął.

– To obrazy tego Jeffreya jak–mu–tam. – Trzymał pocztówkę reklamującą twórczość Jeffreya. Umieszczona na niej reprodukcja przedstawiała coś, co wyglądało jak otwarta rana w zbliżeniu. Anna była przekonana, że coś źle zrozumiała.

Ale okazało się, że dobrze.

W pomieszczeniu przypominającym grootę, szarym jak popiół, gdzie wisiały obrazy – „dobrze rozwieszony”, jak żartem powiedziałyby Stacy – Anna zobaczyła cykl wielkich płócien ukazujących różne rodzaje makabry. Była tam rozbryźnięta krew jak u Jacsona Pollacka. Były krzyczące nagłówki jak u Rauschenberga.

– Wspaniałe, fantastyczne, nieprawdaż? – zachwycała się młoda pracownica zakładu pogrzebowego. Kryła się w cieniu jak wampir. .

– Niesamowite – zgodził się z nią Harold. – Poruszające. Anna wołała nie komentować.

Jak się okazało, Jeffrey zmieniał styl, ale nigdy temat –okaleczenie w najrozmaitszych formach. Urwane ramiona, ścięte głowy, łypiące okiem. Anna równie dobrze mogłaby oglądać wiadomości CNN albo *Gladiatora*.

– Wystawa mówi o ulotności życia – wyjaśniła młoda asystentka z galerii. – Odważnie uzmysławia fakt, że wszyscy kiedyś umrzemy i że musimy odnaleźć sens w samej śmierci, a nie szukać ucieczki w transcendencji.

Skąd ona to wzięła? – zdziwiła się Anna.

– To wszystko wyjaśnia. Fascynujące – orzekł Harold, trącając Annę.

Zachęcona, chudzina ciągnęła:

– Wszystkie obrazy stanowią właściwie *memento mori*, przypominają, że nasze życie na ziemi jest ulotne i że musimy odnajdywać wartości, gdzie

tylko się da. W obliczu tego, co nas otacza, musimy znaleźć subtelną, ludzką odpowiedź. Ten cykl jest błaganiem artysty o pokój na świecie.

Coś takiego? – Anna sarknęła w duchu.

– Już wolę węże – Harold syknął jej do ucha tak cicho, że pracownica zakładu pogrzebowego nie usłyszała.

– Prawdę mówiąc, z dwojga złego – odpowiedziała również szeptem Anna – ja też.

## 56

Kiedy Anna weszła do mieszkania, błyskała lampka prywatnej automatycznej sekretarki. Nacisnęła „odtworzenie” i stwierdziła, że to Stacy, która chciała się spotkać i pogadać o Jeffreyu, co Anny nie zdziwiło. „To pilne. Potrzebuję twojej pomocy” – mówiła Stacy. Anna oddzwoniła i zgodziła się wyskoczyć na kawę z baklawą do greckiej knajpki. Przyjaciółka dotarła tam pierwsza.

Wyszędłszy z mieszkania, Anna pokręciła się w holu jak jakaś zwariowana fanka, licząc, że natknie się na Edwarda, który jednak twardo siedział ze swoją muzyką za zamkniętymi drzwiami. Ledwie się zmusiła, żeby wyjść. To jakby opuszczać obłok muzyki – pomyślała. Kilka zabłąkanych nut, jak chmara maleńkich motyli, towarzyszyło jej aż do restauracji.

Niech go diabli porwą! – fuknęła Anna. – Może te wszystkie historie o artystach i ich narcyzmie są prawdziwe. Nie zależy mi na dziewczynie czy poważnym związku. On chce mieć swój fanklub, uwielbienie i aplauz. Tego od niej nie dostanie, choćby nie wiadomo jak pięknie grał, jak głęboko

poruszały ją jego muzyka. Skierowała się do knajpki, uradowana, że miejsce to wróciło na listę „uznawanych” przez Stacy.

Stacy siedziała przy stoliku, który Anna nazywała teraz przedziałem Edwarda. Miała podbite oko czy rozmazał jej się tusz? Usiadłszy naprzeciwko niej, Anna z wielką ulgą stwierdziła, że to jednak nie podbite oko.

– Myślę, że on kocha żonę – Stacy zwierzyła się ze swojego nieszczęścia. – Wszędzie trzyma jej zdjęcia, nawet w łazience.

– Żartujesz! – rzuciła Anna ze współczuciem.

– Nie żartuję. – Stacy urwała na chwilę, żeby zamówić baklawę. Anna poprosiła o to samo.

Jeffrey i Stacy spotykali się wieczorami. Seks był cudowny, uprawiali go głównie w wielkim, przypominającym sanie łóżku z drewna wiśniowego w mieszkaniu Stacy. Kochali się jak podczas miesiąca miodowego... Przypominało to seksualny maraton. Ostatnią noc po dłuższej przerwie Stacy spędziła jednak u niego na poddaszu. I miała wiele do opowiedzenia.

– Wszędzie, absolutnie wszędzie.

– Seks? – Anna nie mogła uwierzyć.

– Jej zdjęcia – ofuknęła ją Stacy. – Praktycznie patrzyła na nas, gdy się kochaliśmy!

Przyniesiono im baklawę ociekającą złocistym miodem. Stacy siedziała nieporuszona. Miała apetyt wyłącznie na miłość i nic innego.

– Nie pamiętam, żeby te zdjęcia były tam za pierwszym razem, gdy spędziłam u niego noc – jęczała Stacy. Pokręciła głową ze swoimi jedwabistymi włosami.

– Może poustawiał je, żeby się nad tobą znęcać albo zdobyć przewagę – snuła domysły Anna. – A może tego pierwszego wieczoru byłaś zbyt roznamiętniona, by je zauważyć. – Anna zjadła swoją baklawę w trzech kęsach. Sublimacja popędu – pomyślała. – Edward musiał rozbudzić moje zmysły. Teraz mogła identyfikować się ze Stacy, gdy ta opowiadała, że brakuje jej dobrego seksu.

Tak, to musiało być z powodu roznamiętnienia, jak stwierdziła Stacy. Była zbyt zaślepiona przez namiętność, by zauważyć te zdjęcia. Jeffrey jest za wrażliwy, żeby dopuścić się takiego okrucieństwa.

To widać po jego obrazach, które przypominają zakrwawione wraki samochodów – dodała w myśli Anna.

– Jak ja mogłam do tego dopuścić? – zastanawiała się Stacy i Anna też nie potrafiła się temu nadziwić. Przyjaciółka była zbyt przybita, żeby zjeść ciastko, i tylko w nim dłużyła. Anna wyciągnęła rękę i wzięła jej baklawę. Była pyszna, jak poprzednia.

Siacy już chyba po raz dziesiąty wyjaśniła, że Jeffrey żył w otwartym związku. Umowa była taka, że on i żona mogli sypiać, z kim chcieli, byle się nie zakochali. Początkowo tę informację – drobnym druczkiem – pomijała.

– Więc jesteś wyłącznie obiektem seksualnym? – ośmieliła się zauważyć Anna, chcąc się upewnić, że dobrze wszystko zrozumiała. – A on jest twoją miłością?

Gestem poprosiła o herbatę. Jedną filiżankę dla siebie, drugą – pokrzepiającą – dla przyjaciółki.

– Chyba tak – prychnęła Stacy. Teraz miała rozmazane już drugie oko. Podano im herbatę i Stacy zapatrzyła się w głębiny swojej filiżanki, jakby

mogła tam odczytać przyszłość –a może ujrzeć Jeffreya. Anna wyciągnęła rękę nad stołem i poklepała dłoń przyjaciółki.

Wszystko wskazywało, że nie było to odpowiednie miejsce ani pora, żeby opowiedzieć o swoich dylematach związanych z Edwardem. To był wieczór poświęcony sercowym problemom Stacy, nie Anny. Edward jej unikał. A ona unikała rozmowy o nim. Niezależnie od kobiecej solidarności w grę wchodziła przecież jej duma. Ile to już czasu minęło od pamiętnej nocy? Za dużo – uznała Anna. – Za dużo. Prawie gotowa była opowiedzieć o wszystkim Stacy, ale jej romantyczna przygoda z Edwardem zamieniała się teraz w coś brzydszego – nieprzemyślany jednorazowy seks. Po co mówić o tym Stacy? Po co mówić komukolwiek? Nie, niech Stacy nadal widzi w niej samotną przyjaciółkę. To mniej bolesne niż prawda o ostatnim epizodzie. Jeśli straciła twarz wobec Edwarda, to mogła ją chociaż zachować wobec przyjaciółki.

– Ale dość już o mnie. Co u ciebie? Jakież ciekawe duchy? – Stacy zamieszała herbatę i czekała na odpowiedź. Annie podobało się to, że zwyczajnie podchodzi do jej zajęcia.

– Poznałam żonę George'a – szeptem powiedziała Anna. –Sprawia wrażenie bardzo miłej.

– Cóż George też jest miły, więc nic w tym dziwnego — zgodziła się Stacy. – Coś jeszcze? Wyglądasz trochę inaczej –może to makijaż i włożyłaś buty na obcasach.

– Nic na tyle ciekawego, by o tym opowiadać. Tajemnica zawodowa, rozumiesz. – Zabrzmiało to trochę sztywno, ale pani Murphy zawsze podkreślała znaczenie dyskrecji.

–Szkoda, że nie mam nikogo, z kim mogłabyś nawiązać kontakt – rzekła Stacy. – Oczywiście musieliby być martwi, a jedyną osobą, jaką chciałabym widzieć martwą, jest żona Jeffreya. – Stacy zaśmiała się z siebie i Anna przyłączyła się do niej. Był to śmiech, który je jednoczył i niwelował różnice między nimi.

## 57

Równie dobrze mógłby dla mnie nie żyć! Anna była wściekła na Edwarda, który rozmawiał z Alanem i nawet chodził z nim na posiłki, ale równocześnie wściekała się też na siebie. Jak mogła być tak głupia, żeby idealizować przygodę na jedną noc?

– Przestań wreszcie gadać o swoim kumplu Edwardzie – warknęła do Alana, który beztrąsko raczył ją opowieścią o kolejnej wspólnej eskapadzie związanej z muzyką, jakie urządzali sobie w ramach męskiej przyjaźni.

– Co masz przeciwko Edwardowi? – chciał wiedzieć Alan.

– Wszystko – odgryzła się Anna. – Wszystko.

– Dobrze, już dobrze, ale ja go lubię. I tej nocy, kiedy poszedłem na koncert Reginy Carter, miałem wrażenie, że ty też go trochę lubisz. – Alan uniósł brew na znak, że siostrze odbiło.

– Ale już mi przeszło! – odparła. – Więc nie wciągaj mnie w to.

Jaką trzeba być kretynką, idiotką, głupią krową – tych epitetów była cała lista – żeby zakochać się w totalnie nieosiągalnym facecie? Edward żył swoją ukochaną muzyką. Ćwiczył dzień i noc. Jego gra prześladowała ją podczas sesji z klientami. Ostatnie spotkanie Harolda z Andrew było dobrym tego przykładem. Gdy muzyka Edwarda wdzieriała się przez okno –

uchylone dla wentylacji – Anna ledwie mogła się skupić na wiadomościach i obrazach, jakie odbierała.

– Wydajesz się dziś trochę roztargniona – zauważył Harold.

Nie zamierzała mówić mu o Edwardzie. Może powinna, ale przecież nie powiedziała nawet Stacy. Początkowo nie chciała rozmawiać o nim jak o seksualnym *entree*, jak często robiła to Stacy. Później była zbyt zażenowana własną nieporadnością wobec mężczyzn, nie mówiąc już o nadużyciu alkoholu. Nie, nie powiedziała nikomu. Zresztą o czym tu mówić? O przelotnym romansie? O przygodzie na sianie? Dyskrecja była jedyną godną metodą postępowania.

Wobec Alana zachowywała się inaczej – przy czym kluczową rolę odgrywało tu słowo „zachowywała” – gdy tylko wspomniał o Edwardzie, co zdarzało się boleśnie często. Czy on w ogóle ma wzgląd na moje uczucia? Nie, nie miał. Był gruboskórny jak hipopotam. Jeden wart drugiego – uznała z goryczą. – Są tacy sami.

Czym sobie na to zasłużyłam? Przecież jeden telefon by go nie zabił. A może – tu nasunęła jej się niemiła myśl – Alan jednak uznał za stosowne podzielić się z Edwardem smakowitymi szczegółami jej sekretnego życia. Zdarzało mu się to już wcześniej, i to nieraz. Poza tym Edward sam mógł usłyszeć wiadomość na jej sekretarce, jeśli nie był zbyt zaabsorbowany sobą albo czymś innym. Czyż nie ma świetnego słuchu jako muzyk? Pewnie lepszy niż przeciętni ludzie. A jeśli nawet wiadomość mu umknęła, to nie musi mieć dobrego słuchu, by wysłuchać rewelacji Alana. Głuchy by je usłyszał.

Tak, Alan musiał być przynajmniej częściowo winowajcą. Próbował zadomowić się w Nowym Jorku? Każda szanująca się kobieta poprosiłaby



go, żeby zabierał manatki, ale ona najwyraźniej do takich nie należała. Tak więc, walcząc z urazą i niechęcią, Anna wzniosła się ponad to.

– Andrew też sprawia wrażenie trochę nieobecnego – zauważył smętnie Harold.

Świetnie – pomyślała Anna. – Teraz jeszcze sprawa z Edwardem rzutuje na mój profesjonalizm. Z pewnym wysiłkiem skupiła się na bieżącym zadaniu. Wizja Andrew stała się wyraźniejsza. Anna usłyszała słowa: „Powiedz mu, żeby nie inwestował”.

– Myślisz o jakimś inwestowaniu? – zapytała Harolda. – Andrew odradza.

Harold wyglądał jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu cukierków. Jego uśmiech kota z Cheshire przybrał chytry wyraz.

– Zastanawiam się nad tym – przyznał. – Jest świetna okazja. Niewiarygodny zwrot inwestycji...

„Cha!” – w uszach Anny rozległo się basso profundo Andrew. Czasami duchy nie są zbyt subtelne.

– Usłyszał cię – Anna przekazała swoje wrażenia. Harold zachichotał z zakłopotaniem, a potem wyznał, że

zawsze przemawiały do niego różnego rodzaju historie o szybkim dojściu do bogactwa. Tylko dzięki konserwatyzmowi Andrew nie wylądowali w schronisku dla ubogich.

– Mieliśmy system kontroli wydatków – zażartował Harold. – To znaczy ja wydawałem, a on kontrolował.

– Cóż – oświadczyła Anna – Andrew mówi, żeby tego nie robić, i jako twoja przyjaciółka mam nadzieję, że go posłuchasz. – Czy zabrzmiało to po sztywniacku? Bo miała wrażenie, że tak.

– Czy nie pora już kończyć? – nagle zaproponował Harold. Widocznie nie chciał słuchać dobrych rad ani od Andrew, ani od niej, ani od nikogo innego.

Zapiął swój elegancki płaszcz i zawiązał wesół wiśniowy szalik wokół szyi.

– Już blisko święta – oznajmił radośnie. – Jedziesz do domu?

– A po co? – zapytała Anna. Rodzice przeżywali drugi miesiąc miodowy. – Alan już tu jest.

## 58

Szałę przeważała wspólna wyprawa Alana i Edwarda do miejsca zwanego Knitting Factory, żeby posłuchać niejakiego Rona Cartera, który kiedyś grał na basie z Milesem Davisem. Alan wyszedł w świetnym humorze. Edward zrobił sobie wolny wieczór i razem wybrali się metrem. Bóg wie dokąd.

– Dobrej zabawy! – rzuciła Anna. – Ale nie chcę potem nic o tym słyszeć. Zdaje się, że masz w Edwardzie prawdziwego druha. Pamiętaj, nie chcę nic słyszeć także o nim.

Przygotowała się na kolejny długi wieczór – na szczęście choć raz bez podkładu muzycznego.

Przede wszystkim zamierzała posprzątać mieszkanie. Z powodu obecności Alana i własnego nieustającego kiepskiego nastroju dopuściła, żeby w kątach zebrały się koty. Wyjęła odkurzacza i zajrzała z nim pod kaloryfer. A wtedy prawie wessała maleńką samoprzylepną karteczkę, na której Alan nagryzmolił: „Oddzwoń do Edwarda”.

Oddzwonić do Edwarda? Najwyraźniej kartka przeznaczona była dla niej. Oczywiście nie było na niej daty. Anna poczuła, że jej emocjonalny świat wywraca się do góry nogami. Mroki jej duszy rozjaśniło słońce. Więc jednak do niej zadzwonił, przynajmniej raz. Anna maniacko odkurzyła wszystkie zakątki, ale więcej liścików nie znalazła.

Zadzwonił do niej. Może nie od razu, ale za jakiś czas. Zaczęła do niej docierać rzeczywistość. On do niej dzwonił, a ona nie oddzwoniła. Alan, ten duppek, nigdy nie przekazywał wiadomości. Co jeszcze bardziej prawdopodobne, cieszył się, że może zagarnąć Edwarda dla siebie. Niewykluczone więc, że Edward wcale jej nie ignorował; to ona ignorowała jego!

Chociaż wiedziała, że Stacy oddzwoniłaby natychmiast, rzucając jakiś żarcik albo mówiąc prawdę o zagubionej karteczce, Anna zostawiła to sobie na potem. Chciała podelektować się informacją o telefonie Edwarda jak wiśniowym cukierkiem na kaszel, rozpuszczającym się powoli na języku. Zadzwonił do mnie – myślała z rozmarzeniem. – Więc może nie jest idiotą, tumanem, dupkiem ani uwodzicielem. Prawdopodobnie... na pewno... to miły facet o przyzwoitych manierach, nie taki egocentryk jak Alan. Może po prostu wsadziła ich do jednego worka. Jak to się nazywa? „Demonizować” kogoś? Pewnie to zrobiła. Może teraz...

Co teraz? – zaczęła się zastanawiać. Z pewnością upłynęło już za dużo czasu, żeby oddzwonić jak gdyby nigdy nic. Piłka była po jej stronie boiska, ale co z nią zrobić? Napisze do niego list. To będzie chyba najlepszy sposób. Tak, list.

Anna zaczęła układać w głowie zawiły list do Edwarda, w którym wyłożyłaby, z uroczą szczerością, historię swoich dotychczasowych

związków, wyjaśniając, że przygodę z nim wzięła niesłusznie za jeden z nich... Nie – pomyślała – to byłoby żalosne. Po co zagłębiać się w żenującą przeszłość? Lepiej napisać krótko i sympatycznie... „Drogi Edwardzie, przepraszam, że nie oddzwoniłam do Ciebie wcześniej. Widzisz, mój durny brat Alan, ten, z którym się przyjaźnisz, nie przekazał mi informacji o Twoim telefonie...” Nie, to też źle... „Drogi Edwardzie, dostałam zostawioną przez Ciebie przemiłą wiadomość i zrozumiałam, że nie jesteś skupionym na sobie dupkiem...” Nie, nie... „Drogi Edwardzie, miło z Twojej strony, że raczyłeś zadzwonić... raz. Widocznie nasze spotkanie było dla Ciebie jedynie pijackim epizodem. Wielkie dzięki”.

Skąd się wzięły w niej te pokłady złości? Co takiego Edward właściwie zrobił, żeby sobie na to zasłużyć? Przecież do niej zadzwonił. Pewnie zrobił to wyłącznie z poczucia obowiązku. Czy listu od niej nie odebrałby jako dalszy ciąg polowania? Wiedziała, że Stacy po prostu wzięłaby słuchawkę do ręki. Co więcej, skupiłaby się na postępowaniu Edwarda, a nie zadręczała własnym. Stacy by... ale ona nie była Stacy. Była sobą, Anną.

Tej nocy spała niespokojnie, uwięziona między tym światem a tamtym. We śnie znalazła się z Alanem i Edwardem w tłocznym klubie, gdzie występował Mozart zamiast Rona Cartera. Zagrał wspaniale pianoforte, prezentując utwór, który Anna знаła z ćwiczeń Edwarda. Nie tyle zresztą utwór, ile i jego wykonanie – brzmiały one uderzająco podobnie. „Brawo, maestro, brawo, maestro!” – wołał tłum. Mozart dokończył kompozycję ku wielkiemu aplauzowi zebranych. Potem, kłaniając się, dostrzegł Annę przy stoliku obok sceny.

„On naprawdę cię lubi” – oświadczył.

Anna obudziła się i gwałtownie usiadła. Wciąż dźwięczało jej w głowie echo głosu Mozarta. Nie, nie, to nie było echo. To był sam głos, całkiem wyraźny, wydawała go przybierająca kształt mgielka w pobliżu okna przy schodach ewakuacyjnych. Gość w peruce, ubrany starannie jak tej nocy, którą spędziła z Edwardem, przypominał Mozarta z jej snu.

„Jesteś Mozartem!”

„Tak, to ja!” – Zjawa skinęła głową i uśmiechnęła się.

Mozart, to sam Mozart! – uświadomiła sobie. To on rozmawiał z nią, gdy tak leżała bezpiecznie w swoim łóżku pod sufitem. Mozart! Przez chwilę poczuła zawroty głowy, potem ogarnęła ją konsternacja. Powinna była wcześniej się domyślić, że to tak sławny duch ją nawiedza, i teraz naciągnęła kołdrę aż po brodę, na wpół onieśmielona, na wpół rozgniewana tym najściem. Zachowywał się arogancko. Był natrętny. Nawet agresywny. Sława nie usprawiedliwiała jego złego zachowania.

„On cię lubi – powiedziała wyraźnie zjawa. – Nawet bardzo”.

„Dlaczego wtrącasz się w nie swoje sprawy?” – zapytała Anna. Jak zwykle, zbita z tropu, broniła się poprzez atak.

„To jest moja sprawa – odparł Mozart. – Nie spodziewam się, że ktoś taki jak ty to zrozumie, ale Edward to moja sprawa”.

„Moja bardziej – sprzeciwiła się Anna, ale duch Mozarta tylko wzruszył ramionami. – Podglądałeś nas – zarzuciła mu Anna. – Istnieje coś takiego jak prywatność”.

„Mocno przeceniana. Żadna zabawa”. – Duch zachichotał, rozbawiony własnym dowcipem.

„Mógłbyś mieć trochę przyzwoitości – odcięła się Anna. – Choćby teraz. Znowu zjawiłeś się nieproszony”.

„Może nie widzisz, z kim masz do czynienia?” – Duch się zbliżył. Obrócił się, żeby mogła mu się przyjrzeć. Najwyraźniej się pysznił. Niewątpliwie przypominał Mozarta!

„Może to, kim jesteś, nie ma dla mnie znaczenia. Przyzwoitość to przyzwoitość”. Anna poczuła, że jej policzki oblewa rumieniec. „No dobrze. Wiem, że jesteś Mozartem, ale to nie daje ci prawa, żeby mnie nachodzić”. Była z siebie zadowolona, że postawiła Mozartowi pewne wymagania. Nie chciała, aby nawet taka znakomitość weszła jej na głowę. Nie, lepiej od razu ustalić zasady.

„On daje mi wszelkie prawa – upierał się duch. – Nie masz pojęcia, jak ważny jest dla mnie ten młody człowiek. Cieszę się, że miał okazję zagrać nocny duecik”.

Nocny duecik! Anna aż usiadła, trzęsąc się z oburzenia. Mozart zaśmiał się do siebie, umykając poza jej zasięg. Anna skarciła go:

„Jesteś zwykłym zbrojeńcem, podglądaczem! Powinieneś się wstydzić”.

„To nie moja specjalność. – Duch roześmiał się. Puszczając oko, dodał: – Jesteś dla niego dobra. On jest trochę nieśmiały. Dlatego zwlekał z tym telefonem. Mężczyźni nie od razu wszystko rozumieją. Na przykład ja; początkowo wydawało mi się, że jestem zakochany w siostrze żony! Daj mu jeszcze jedną szansę, co ci szkodzi?” Po tych słowach się ulotnił.

Anna włączyła małą lampkę nocną z abażurem z paciorków. Patrzyła zdumiona w ciemność, puste miejsce, gdzie przed chwilą był Mozart. Zniknął na dobre, jakby naprawdę tu był. Mozart! Sam Mozart. Pani Murphy nie przygotowała jej na coś takiego. Nawet ona mogłaby jej nie uwierzyć, gotowa pomyśleć, że Annie przewróciło się w głowie. Prawdę

mówiąc, Anna sama zaczęła się zastanawiać, czy tak nie jest. Zawsze patrzyła krytycznie na osoby, które twierdziły, że komunikowały się z duchami sprzed szesnastu tysięcy lat. Mozart był młodszy, ale też trudno było uwierzyć. Choć Anna przywykła do obcowania z duchami, do tego konkretnego jeszcze się nie przyzwyczaiła.

Alan obrócił klucz w zamku. Anna zamierzała dać mu reprimendę za tę kartkę, ale zaczęła się śmiać; polowała na większego zwierza. „Daj mi jeszcze jedną szansę” – powiedział Mozart. Czemu nie? Gdy tylko wymyśli, jak to zrobić.

– To ty? – zapytał brat z niedowierzaniem. – Obudzona, we własnej osobie i jeszcze się śmiejesz?

– To ja – potwierdziła Anna. Mówiła wesołym, życzliwym głosem.

– Ostatnio nie widziałas dalej niż czubek własnego nosa – stwierdził, na wypadek, gdyby jednak miała do niego pretensje. – Nie powiem ci, że świetnie się bawiliśmy.

Było wpół do piątej rano. Anna pomyślała, że będzie wykończona w szkole, ale nie przejmowała się tym. Zeszła po drabinie z łóżka i zaoferowała się, że przyrządzi Alanowi jajka po benedyktyńsku, jego ulubione. Przezornie kupił potrzebne wiktuały.

## 59

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*rzeczywiście prowadzą wyczerpujący tryb życia. Zeszłego wieczoru brat Anny, Alan, zabrał mnie do knajpy o nazwie Knitting Factory. Modne*

*miejsce, nawet ja się zorientowałem. Dziwnie jest pomyśleć, że Mozart mógł być takim Milesem Davisem w swoich czasach.*

*Panie Oliver, z szyćą wszystko w porządku. Ale na razie bym się nie cieszył. Bardzo dużo ćwiczę i to może zaszkodzić. Konkurs się zbliża i przygotowuję się intensywnie. Na jutro jestem umówiony z panem Choo i wykonuję ćwiczenia, które zalecił mi Pański lekarz od medycyny sportowej. Głupio z mojej strony, że próbowałem tej podkreśnionej piłki i że nie zrezygnowałem z roweru. (Od tej pory sporty wyczynowe zostawiam bratu). Dziękuję, że macie dla mnie tyle cierpliwości.*

*Z poważaniem Edward*

*PS Pani Oliver, mój przyjaciel Alan twierdzi, że Miles Davis kiedyś powiedział: Nie bójcie się błędów, nie ma czegoś takiego, ale chyba jednak popełniłem błąd w stosunku do Anny, jego siostry. Trzymajcie kciuki, żeby udało mi się wszystko naprawić.*

60

Przez cały dzień w szkole Anna chodziła jak we śnie. Zamiast skupić się na prowadzeniu lekcji, myślała o Edwardzie, o Edwardzie i tylko o Edwardzie. Minęło za dużo czasu, żeby oddzwonić – martwiła się. Ale czy nie uzna jej za łatwą, skoro poszła do łóżka z przygodnym facetem jak w jakimś kiepskim odcinku *Seksu w wielkim mieście*? Był wrażliwy. Żeby tak grać, trzeba być wrażliwym, czyż nie? – snuła rozważania Anna. Jak mogła kiedyś myśleć o nim inaczej? – zastanawiała się. Straciła rozsądek, popadła w paranoję, z całej tej desperacji źle wszystko oceniła.



Jasne, że tak – pomyślała w przelotnym przyplywie żalu nad sobą, jej doświadczenia z mężczyznami były nieciekawe i podobne do siebie. Takie refleksje kłębiły jej się w głowie przez cały dzień, co spowodowało, że niesforna klasa wymknęła jej się spod kontroli. Jeden z kolegów nauczycieli musiał pewnie poskarżyć się na hałas, bo Anna nagle zobaczyła nos Harolda, przyciśnięty do szyby w drzwiach. Uniósł groźnie brew.

Dostanę reprimendę – przemknęło jej przez myśl. – Ale co mnie to obchodzi.

Wtedy Jeremy, jeden z bardziej niezdyscyplinowanych uczniów, który balansował na blacie biurka, spadł na podłogę, zwijając się z udawanego, jak się okazało, bólu.

– Wszyscy na miejsca; z powrotem do ławek! – poleciła Anna. ale tego dnia wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Nikt jej nie słuchał. Ktoś – Abby? – rzucił w nią gumką. Anna uznała, że będzie miała szczęście, jeśli uda jej się ująć z życiem. Klasa zdecydowanie wymagała całej jej uwagi. Wobec rozkrzyczanych uczniów nie było miejsca nawet na odrobinę romantyzmu.

Po powrocie do domu – hol znowu wypełniała pełna pasji muzyka Edwarda – Anna zastała Alana, jak zaklejał drugie z dwóch pudeł przeznaczonych do wysyłki UPS-em.

– Wracam do domu – oznajmił. – Skończyły mi się pieniądze, a zresztą za parę tygodni znowu się zobaczymy.

Odniosła wrażenie, że po raz pierwszy Alan ją zauważył, i to nie w charakterze kucharki z baru szybkiej obsługi z dobrą metą w Nowym Jorku.

– Jak to „się zobaczymy”? – zapytała Anna, przerażona myślą, że Alan zamierza wrócić do domu, aby zarobić trochę forsy, i zaraz potem przyjechać znowu.

– Już niedługo Boże Narodzenie – poinformował ją.

– A Święto Dziękczynienia? – zapytała. Jak to się stało, że przeleciał cały miesiąc? Czyżby przeoczyła całkiem ważną datę?

– Takie tam, drugorzędne, byle jakie święto – skomentował Alan. – Chociaż lubię placek z dyni. To już za trzy dni, tu Ziemia, tu Ziemia, odbiór, a normalnie trzy tygodnie później lecisz do domu. Słyszysz mnie?

– Jesteś niesprawiedliwy – jęknęła Anna. – Zwykle to ty przebywasz w przestrzeni kosmicznej.

– Mów do mnie jeszcze... – szyderczo rzucił Alan.

Anna ugryzła się w język. Alan zawsze wygrywał, gdy się kłócili, zawsze miał ostatnie – i nie tylko ostatnie – słowo. Teraz też zaczął jedną z tych swoich tyrad. Zarzucił jej, że buja w obłokach. Jest ckliwa i sentymentalna. To gorzej niż zwykle, kiedy gada z duchami. Jest beznadziejna, a Edward jeszcze bardziej. Co trzecie zdanie zaczyna od: „A twoja siostra...”, i to gdy on mówi mu coś ważnego, na przykład opowiada o rodzinie Marsalisów (Wyntonie, Branfordzie i Ellisie). Szczerze mówiąc, nawet gdyby Alanowi nie skończyła się forsa, miałby już po dziurki w nosie tych amatorów. Niech Anna żyje sobie po swojemu. A Edward po swojemu. On wraca do Michigan, żeby pracować nad skrzypcami i doskonalić się w sztuce ich konstruowania.

Alan gadał i gadał, jego kąśliwe uwagi rozbijały się o nią jak drobne fale. Więc Edward myśli o mnie, nawet o mnie mówi – uzmysłowiła sobie z rozmarzeniem. Alan mógł jej znacznie wcześniej o tym powiedzieć, ale nie.

– A może mi wyjaśnisz, dlaczego dotąd nie wspomniałeś, że Edward mnie lubi? Widziałeś się z nim tyle razy – rzekła Anna ostrożnie, świadoma, że jest niebezpiecznie blisko jednej z tych „konfrontacji”, o których stale mówi Stacy, i że brat nie cierpi, gdy przypiera się go do ściany.

– Nie powiedziałem ci – odparł, broniąc się – bo ci nie powiedziałem. Zresztą wielka sprawa. Mówiłaś, że nie chcesz nic o nim słyszeć.

Rodzinny psychoterapeuta miałby pełne ręce roboty z taką dywersją, ale Alan żył w błogiej nieświadomości.

– Mówiłam, że nie chcę nic o nim słyszeć, bo się bałam, że o mnie nie wspomni. Albo że jeśli wspomni, opowiesz mu o moich kontaktach z duchami. Jeśli o to chodzi, nie potrafisz trzymać buzi na kłódkę.

– Och, na miłość boską, Peter był dupkiem! Miej do mnie trochę zaufania, co?

– A Bud? Co było z Budem?

Alan uśmiechnął się przebiegle. Umknął spojrzeniem w bok. Jak zwykle uniknął konfrontacji, zmieniając temat.

– Zadzwoń do UPS-u. Alec przekaże te pudła kurierowi, jeśli będziesz tak miła i pomożesz mi zwieźć je na dół — powiedział Alan.

Wpychał śpiwór do worka marynarskiego, szarpiąc ekstra-mocny suwak. Metrem do Grand Central, przesiadka na LaGuardię, odlot za trzy godziny. Niech Anna pożegna od niego Edwarda, a może sam przed wyjazdem zapuka do niego, choć pewnie Edward nie usłyszy.

No tak, ta muzyka! Tańczyła pod sufitem jak zwielokrotnione refleksy światła odbitego w kryształach. Edward ćwiczył. Musiał się skupić. Czy Alan nie liczył się z prawem do prywatności i potrzebą koncentracji? Nie, oczywiście, że nie. Mój Boże, ta muzyka jest doskonała.

Anna, dysząc ciężko, zdołała zawlec jedno pudło z cennymi longplayami pod drzwi mieszkania, a potem do windy i wcisnęła guzik. Alan ostatni raz sprawdzał, czy niczego nie zapomniał zabrać. Wyszedł z kawalerki z workiem marynarskim i drugim pudłem z płytami, a także wysłużonym, pozalewanym kawą wydaniem „Time Out New York”, swoją biblią.

Razem zjechali do holu i Alan podszedł do mieszkania 1E. Zastukał pięścią w drzwi. Muzyka ucichła. Anna stanęła jak wryta. Dzięki Bogu, że się umalowała. Edward otworzył drzwi.

– Anna! – Czy on zawsze był taki szczupły? Nie może przecież żyć samą muzyką – pomyślała, lekko wstrząśnięta.

– Tak. Cześć. – Stanąwszy z Edwardem twarzą w twarz, stwierdziła, że prawie odebrało jej mowę.

– Tak? – Edward wydawał się upiornie blady, a wrażenie to potęgował biały kołnierz ortopedyczny, kontrastujący z szarym wysłużonym podkoszulkiem i podartymi na kolanach luźnymi spodniami, które przeżyły wypadek rowerowy.

– Wyjeżdżam – oświadczył Alan.

– On wyjeżdża – powtórzyła Anna jak echo, żałując gorzko, że nie włożyła innej sukienki, a przynajmniej nie przeczesła niesfornych włosów. Prawdę mówiąc, wyglądała trochę nieporządnie, choć nie tak jak Edward. Patrzyli na siebie nad ramieniem Alana. Alan niezręcznie uścisnął Edwarda i męskim zwyczajem poklepał go po szczupłych plecach. Edward skrzywił się, co Alan zrozumiał opacznie.

– Tak, mnie też jest przykro, że wyjeżdżam – powiedział. – Ale wrócę, a wtedy może już będziesz miał więcej wolnego czasu.

– Cześć, stary – rzucił Edward, co zabrzmiało dziwnie nowocześnie.

– Muszę iść – zakończył Alan. – A ty wracaj do fortepianu. – Usłużnie zamknął Edwardowi drzwi przed nosem. Anna stała w miejscu jak skamieniała, zbita z tropu tym spotkaniem. Jak sterowana autopilotem, ucałowała brata na pożegnanie. Zatrzaśnięte drzwi mieszkania Edwarda wznosiły się niczym ściana kanionu, wysoka i nie do przejścia. Gdy wcisnęła guzik windy, by wrócić na górę, rozległa się muzyka.

– I co teraz? – Anna zadała sobie pytanie, gdy weszła do nagle pustego mieszkania. Jakby na zawołanie, zadzwonił telefon do spraw służbowych i odezwał się jej własny, starannie modulowany, oficjalny głos: „Tu Anna...”

## 61

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*obawiam się, że z szyją jest fatalnie. Mój nauczyciel uważa, że winę za to ponosi moja zła postawa podczas gry na fortepianie. Zdaje się, że sam coś takiego przechodził. W każdym razie ostatnio uczy mnie na dwa fronty: podejścia do muzyki w związku z konkursem i podejścia do gry w ogóle. Naprawdę odliczam już dni do konkursu. Każdy dzień, który mija, jest jednym mniej do godziny zero. Może nie powinienem podchodzić do tego tak poważnie, na zasadzie wszystko albo nic, ale obawiam się, że nie umiem inaczej. Jeśli uda mi się wygrać, będzie to prawdziwy cud. Cała ta impreza będzie nadawana w Internecie. Nie wydaje się Państwu, że wpadam w panikę? Choroba zawodowa, mówi tylko pan Mayakovsky. Bóg wie, jaki ze mnie szczęściarz, że go mam, takiego surowego nauczyciela.*

*Pani Oliver, skoro Pani pyta, jestem śmiertelnie znudzony moją pracą doktorską. Obawiam się, że straciłem dla niej zainteresowanie. Jedyne, czego tak naprawdę chcę, to grać (na fortepianie). Ale dokończę ją jakoś i Wasze uwagi na temat blokady pisarskiej bardzo mi pomagają — tak jak diagnoza pana Mayakovsky 'ego dotycząca mojej szyi.*

*Panie Oliver, Pański lekarz od medycyny sportowej twierdzi, że już nie wie, co mi dolega. Pan Choo mówi mniej więcej to samo, chociaż zna hipnotyzera, który jego zdaniem mógłby mi pomóc. Może hipnozą wyleczyłby bóle, jakie odczuwam podczas grania.*

*Wczoraj wyjechał mój kolega Alan. Myślę, że naprawdę zaprzepaściłem wszelkie szanse, jakie mogłem mieć u jego siostry Anny — ale nie będę wchodził w szczegóły. Mam już trzydzieści dwa lata, a czasami zachowuję się jak głupi smarkacz.*

*Pani Oliver, czy uważa Pani, że zajęcie się muzyką w tak wczesnym wieku mogło zahamować mój rozwój emocjonalny? Czy sam ponoszę za to winę?*

*Z serdecznymi pozdrowieniami Edward*

## 62

Pani Murphy odebrała telefon po piątym sygnale. Głos starszej pani brzmiał dystyngowanie i życzliwie.

- Halo — powiedziała — tu Bernice Murphy, z kim mam przyjemność?
- Tu Anna. Chyba potrzebuję pani rady. Ma pani chwilkę?
- Dla ciebie zawsze mam czas, moja droga. Co cię trapi?

– Słysząc, że jest tak źle? To możliwe. To znaczy, tak mi się wydaje. Zakochałam się w kimś i nie wiem, co mam z tym zrobić. Mam zdać się na los? – Annie zabrakło tchu.

– Zakochałaś się? – Pani Murphy była zachwycona, jakby ktoś podarował jej śliczny prezent. – Miłość? To cudownie! Uczucie z pewnością może być sprawą przeznaczenia. Mówiłaś mi już coś o tym młodym człowieku?

– To ten pianista, o którym pani opowiadałam – wyznała Anna. – Ten, który doprowadzał mnie do szału.

– I wciąż cię doprowadza, tylko w innym sensie?

– Właśnie. – Anna poczuła ulgę, że spotyka się ze zrozumieniem.

– A na czym polega problem? – zagadnęła delikatnie pani Murphy. – Lubisz go. A on lubi ciebie.

– Tak.

– Czyżby więc coś mi umknęło? – kontynuowała pani Murphy.

– Zadzwoił do mnie i teraz boję się oddzwonić. Bo widzi pani, nie przekazano mi wiadomości. Alan mi nie powiedział...

– Ten Alan!

– No właśnie. Alan mi nie powiedział, minęła wieczność i...

– „Wieczność” to znaczy ile czasu?

– Może z tydzień. Czuję się jak idiotka. To znaczy wiem, że powinnam po prostu do niego zadzwonić.

– Po prostu. Tak się teraz robi, z tego, co wiem. – Pani Murphy sugestywnie zawiesiła głos.

– Więc pani zdaniem nie powinnam? – Anna poczuła ulgę i przygnębienie jednocześnie. Nie chciała zadzwonić, ale jeśli by nie zadzwoniła, to jak mieli dojść do porozumienia?

– Więc może jednak powinnaś zdać się na przeznaczenie? – podsunęła łagodnie pani Murphy.

–Przeznaczenie? – Anna poczuła przyływ zniecierpliwienia. Miała ochotę powiedzieć, że nie wierzy w przeznaczenie. – Czy przeznaczenie nie sprowadza się do starań, by zdobyć to, co się chce?

– Ale podobno działa. Spróbuj, moja droga. – I po tych słowach pani Murphy się rozłączyła.

Długi spacer po parku nie poprawił Annie nastroju. Zrobiła jedno kółko po lesie, a potem skręciła na południe w stronę jeziora, po którym pływały łódki. Przystanąła, smutna, owiewana wiatrem, na Balcony Bridge i patrzyła, jak mała flotylla kaczek płynie po powierzchni jeziora. Kaczki sprawiały wrażenie pewnych i zdecydowanych. Okutana swoim tweedowym płaszczem Anna wyglądała jak sierotka. Chociaż usiłowała znaleźć spokój i równowagę, przeżywała jeszcze większe rozterki. Czuła się bardzo młoda i kompletnie niedoświadczona. Zobaczyła się z Edwardem, ale jak właściwie miała zdać się na przeznaczenie, by pokierowało nimi, skoro upłynęło już tyle czasu? A jakim sposobem, zgodnie z sugestią Mozarta, miała dać mu jeszcze jedną szansę? Była już pewna, że musiał pomyśleć sobie o niej niejedno. Jeśli nawet lubił ją na początku – a intuicja podpowiadała jej, że tak było –jak mógł lubić ją teraz? Niewiele mądrzejsza niż na początku spaceru, Anna ruszyła w drogę powrotną do domu.

Na szczęście, żeby Anna mogła zająć czymś myśli, w jej życiu zawodowym nagle nastąpiło ożywienie. Przede wszystkim zaproszono ją do



nawiedzonego domu w Chester w stanie Connecticut. Przypuszczała, że będzie to rutynowa sprawa. Mogła w sobotę, a nawet już w piątek, wynająć samochód albo pojechać pociągiem. Zbliżał się długi świąteczny weekend.

„Tu Alexander – brzmiał początek drugiej wiadomości. –Na pewno mnie pamiętasz. Jestem przyjacielem twojego przyjaciela Harolda...”

Anna oczywiście pamiętała Alexandra. Tę znajomość zawdzięczała Haroldowi. Czy nie zdawał on sobie sprawy, że Anna przestanie uczyć, jeśli jej praktyka jako medium się rozkręci? A może to, że kierował do niej różnych znajomych, miało być subtelną aluzją, że jej nauczycielskie zdolności, niezależnie od ukończonych studiów, pozostawiają coś do życzenia?

Trzecią wiadomość zostawiła kobieta o przytłumionym, dziewczęcym głosie. Chciała umówić się na spotkanie w jak najszybszym terminie. Czy byłoby to możliwe jeszcze tego dnia albo nawet w Święto Dziękczynienia? Nie jest to może awaryjna sytuacja, ale trzeba działać i przyda się każda pomoc. A tak, nazywa się Dizzy. Dizzy? Anna nacisnęła klawisz „przewijanie” i jeszcze raz przesłuchała wiadomość nagrany przez cichy, nieśmiały głos. Kobieta nazywała się Daisy.

Anna zapisała w notesie numer telefonu Daisy, informacje dotyczące sprawy Connecticut i Alexandra. Postanowiła, że poświęci się pracy, tak jak Edward ćwiczeniom muzycznym. Potem zauważyła, że miga też lampka telefonu do kontaktów z rodziną.

„Pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć, czy twój brat bezpiecznie dojechał do domu – zaczęła wiadomość matka. –W chwili, gdy to mówię, on i ojciec grają w szachy w salonie. Ojciec znacznie szybciej dochodzi do zdrowia po powrocie do domu. Moglibyśmy wytoczyć szpitalowi sprawę za

błąd w sztuce lekarskiej, ale ojciec nie chce tego robić. Znasz go. Mówi, że przypadki chodzą po ludziach..."

Matka Anny, która nie miała zwyczaju zostawiać krótkich wiadomości, jeśli mogła się wygadać, następnie zrelacjonowała plany rodzinne na Święto Dziękczynienia – zamierzała upiec indyka, takiego małego, tylko dla nich dwojga, no i oczywiście Alana. Anna zaczęła się zastanawiać, czy nie słyszy zawołanego wyrzutu w relacji matki, ale uznała, że Alan dla odmiany też coś może z siebie dać, reprezentując ich oboje. Poza tym musiała zarabiać na życie, a podróż do Connecticut oznaczała spory zarobek.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, Anna wykręciła numer do Connecticut. Zgłosiło się biuro handlu nieruchomościami i po długim oczekiwaniu z muzyką w tle połączono ją z pośredniczką imieniem Phyllis. Phyllis wyjaśniła, że właśnie finalizuje dużą transakcję i usługi Anny byłyby bardzo pożądane, choć to zwykła formalność. Parze nabywców dom się bardzo podobał i gotowi byli podpisać umowę kupna, ale pozostawał jeszcze do załatwienia drobny problem w postaci ducha – ewentualnego. I tu do akcji miałyby wkroczyć Anna.

Czy pięćset dolarów dziennie plus zwrot kosztów podróży to nie jest trochę zbyt wygórowana suma? (Nie, nie jest). Nie dałoby się jej obniżyć? Taki mały żart, ale może jednak...

Anna nie przejęła się faktem, że Phyllis, czego można się było spodziewać, mówi wymijająco o szczegółach dotyczących ducha. Umówiły się na spotkanie w sobotę. Anna miała przyjechać pociągiem. Phyllis wielkodusznie zaproponowała, że potem ją odwiezie.

– Ja osobiście nigdy nie widziałam tego ducha – wyjaśniła. – Ale kilku potencjalnych nabywców coś wyczuło... –urwała.

Anna odłożyła słuchawkę z dziwnym niepokojem. Phyllis była podejrzenie przymilna. Nie mówiąc o tym, że niewiele zdradziła.

Alexander natomiast był bardzo konkretny. Anna musi go pamiętać, jest przyjacielem Harolda, tym nawiedzonym facetem, który prowadzi sklep, i przewidział, że czeka ją wielka miłość. Czyż już ją znalazła? Zaintrygował ją rentgen w jego oczach, tak jak innych intrygowały z kolei jej zdolności. Czy potrafił na przykład wyczuć niechęć, jakiej doznawała, gdy ktoś wścibiał nos w jej prywatne sprawy? Bądź profesjonalistką – upomniała samą siebie. Zapisała Alexandra na środę wieczór, w wigilię Święta Dziękczynienia. Jako kolega po fachu nie wspomniał nawet słowem o sprawie, w której chciał przyjść.

Oddzwaniając do Daisy, Anna zerknęła ponownie do kalendarza i uznała, że umówi się z nią na piątek. W ten sposób pozostanie jej do zaplanowania już tylko samo Święto Dziękczynienia.

## 63

Wtorkowy wieczór należał do Stacy i Anna pomyślała, że przyjaciółka wygląda, jakby była już w lepszej formie. W Popover Cafe panował tłok. Stacy zaciągnęła ją tu znowu i teraz popijała białe wino, sprawiając wrażenie opanowanej i pewnej siebie – tylko że nigdy nie piła przed jazdą konną. Anna usiadła naprzeciwko niej.

– Więc? – zapytała, ale Stacy nie trzeba było zachęcać do mówienia.

– Jeffrey wykazał wielkie zrozumienie – wyjaśniła. – Zdaje sobie sprawę, że czuję się zraniona. Na moim miejscu też tak by się czuł, ale na razie nie ma zamiaru wrócić do Evy, to znaczy do żony.

– Podoba mu się taka sytuacja? — zażartowała Anna, ale Stacy jeszcze nie całkiem doszła do siebie i nie potrafiła docenić ironii.

Anna zamówiła sałatkę Waldorf. Stacy zdecydowała się na sałatkę z gotowanych warzyw. Była na diecie, bez wątpienia w tym celu, żeby jeszcze bardziej podobać się Jeffreyowi. Jego żona Eva była, zdaje się, brunetką w typie latynoskim, drobną, podobną do Fridy Kahlo, ale bez jej brwi.

– A co u ciebie? – zapytała Stacy, nagle okazując przyjaciółce zainteresowanie. – Ostatnio jakoś straciłam cię z oczu. Jak się miewasz?

Znowu nadszedł moment na babskie zwierzenia, czas, żeby opowiedzieć o Edwardzie i swoich dylematach: „zadzwoić czy nie zadzwoić”. Stacy była w końcu autorytetem w sprawach sercowych. Na pewno mogłaby udzielić jakiejś rady. Ale przecież nie skorzystam z żadnej rady; na nic mi się ona nie przyda – pomyślała smętnie Anna. Jeśli rada pani Murphy wydawała jej się nierealna, to tym bardziej rady Stacy. Co więcej, Stacy była zbyt blisko. Pani Murphy przynajmniej znajdowała się daleko. Nie, nie poprosi Stacy o radę. I jak poprzednio postanowiła tę chwilę przeczekać.

Można to nazwać katolicką skłonnością do dyskrecji (w końcu spowiednika obowiązuje tajemnica), typowym dla Środkowego Zachodu konserwatyzmem czy powściągliwością, którą wpajała jej przez wiele lat pani Murphy. Anna nagle poczuła, że musi osłaniać przed innymi swój związek z Edwardem, czy cokolwiek to jest. Nie chciała, by jego charakter, zasady czy ich brak stały się przedmiotem babskich dociekań.

– Mam się dobrze – odparła w końcu. – Szkoła mnie już trochę wykańcza. Dzieci stają się nieznośne w okolicach świąt. – Gotowa była pociągnąć te swoje codzienne skargi nauczycielki, ale zauważyła, że przyjaciółka nie słucha.

– Mhm – odpowiedziała Stacy, najwyraźniej wciąż zapatrzona w kadry filmu, przesuujące jej się przed oczami, soft porno z Jeffreyem w roli głównej. – Myślisz, że mężczyźni mogą zmienić upodobania, jeśli chodzi o typ kobiet? – pytała.

– Chcesz wiedzieć, czy Jeffrey mógł zakochać się w tobie, wysokiej blondynce, jeśli Eva jest ciemna i drobna?

– Tak. Co o tym myślisz?

– Z jednej strony lamparty nie zmieniają cętek. Ale z drugiej – możesz być odświeżającą odmianą.

I tak to ciągnęło się dalej. Rozmowa przy kolacji sprowadzała się wyłącznie do „mężczyzn”, czyli Jeffreya, i ich „obyczajów”, czyli obyczajów Jeffreya. Stacy jednak nie doszła do siebie – wywnioskowała Anna, widząc, jak przyjaciółka zamawia drugi kieliszek wina, a potem jeszcze pół karafki: „Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Tylko żeby odreagować po pracy”.

Nie wątpię – pomyślała Anna. Stacy była na prostej drodze do upadku, i to nie tylko z konia podczas jazdy. Ten Jeffrey rzeczywiście wymagał odreagowania, choć Anna nie wyraziła przy Stacy tej opinii.

Przede wszystkim sama nie dowierzała sobie w tej całej pogmatwanej sprawie z Edwardem. Poza tym peszyła ją relacja rozchichotanej Stacy o jej akrobatycznych wyczynach w życiu seksualnym. Jeffrey, jak się zdaje, miał skłonność do sadomasochizmu. Lubił „lekko wiązać”, cokolwiek to

znaczyło. Annie stanął przed oczami ulotny, ale niepokojący obraz najlepszej przyjaciółki, związanej jak indyk na Święto Dziękczynienia.

– A co ty na to? – zapytała Anna, starając się być delikatna. Nie chciała wtykać nosa w nie swoje sprawy, pragnęła tylko stworzyć Stacy możliwość wygadania się.

– Wydaje mi się, że to może być ciekawe – odparła Stacy, rumieniąc się.

– „Ciekawe”. Ale chyba niebolesne?

Nie, nie! — zawołała Stacy, może zbyt pospiesznie. — Niebolesne. Tylko dziwne, no wiesz.

– Obawiam się, że nie wiem, ale potrafię sobie wyobrazić. Stacy się roześmiała.

– Lepiej nie. Jest już i tak wystarczająco dziwnie!

Po kolacji ze Stacy Anna nie spała dobrze. Na jawie odradziła lekko zawianej przyjaciółce jazdę konną. We śnie Stacy miała na sobie czerwoną jedwabną sukienkę i stała, chwiejąc się niebezpiecznie, na białym koniu cyrkowym, który galopował wokół areny. Jeffrey, z batem w dłoni, odgrywał rolę tresera. Właśnie gdy smagnął okazały koński zad, Anna obudziła się gwałtownie. Przy łóżku trzymała zawsze szklanek wody i teraz sięgnęła po nią, by pociągnąć letni łyk. I wciąż miała o czym myśleć w związku z Edwardem – zapowiadała się więc bezsenna noc. Rano będą przedstawiała obraz nędzy i rozpacz – pomyślała ze złością. Przekręciła się na brzuch i zanurzyła głowę w poduszce. Mimo to usłyszała wyraźnie słowa: „On cię potrzebuje”.

Och, na miłość boską, nie teraz, tylko nie to znowu – jęknęła Anna na myśl o duchu Mozarta, który już na pewno uniemożliwi jej zaśnięcie. Mimo

to niechętnie otworzyła jedno oko i zerknęła w stronę okna przy schodach ewakuacyjnych. Taaa. Był tam. Zaciśnęła mocno oczy, nakazując sobie: Śpij! Śpij! Śpij! Ale bez szans.

„Mówię do ciebie” – oświadczył duch Mozarta lekko podniesionym głosem.

„Zostaw mnie w spokoju – rzuciła opryskliwie. – Wróc o przyzwoitej porze. Próbuję zasnąć”. Odwróciła się do niego plecami. Poprzednio to działało.

„Muszę porozmawiać z tobą na osobności i ta pora jest równie dobra jak każda inna – zaprotestował duch Mozarta. – Musisz zrozumieć, co w związku z nim robię. Wysłuchaj mnie”.

„No to o co chodzi?” – wycedziła Anna przez zaciśnięte zęby. Nieuprzejmość to w końcu nieuprzejmość. Może jako sławny duch czuł się upoważniony. Niechętnie odwróciła się do niego.

„Droga młoda kobieto – zaczął tyradę. Wydawał się nie starszy od Anny. – Nie ma w tym nic osobistego. Nie wiem, co on w tobie widzi, ale miłość jest ślepa”.

„Wielkie dzięki” – odparła Anna. Mimowolnie urażona.

Duch Mozarta ciągnął dalej swoje przemyślenia:

„Mojej żony, Konstancji, też właściwie nikt nie lubił. Ojciec uważał, że cała rodzina Weberów stoi niżej od nas. Moi przyjaciele byli zdania, że Konstancja jest szalona i rozrzutna.

I rzeczywiście tak było. Zawsze mieliśmy długi, choć wcale mnie to tak bardzo nie martwiło. Ale mówiłem o tobie. Jak mam cię przekonać? On cię potrzebuje. To służy jego umiejętnościom pianistycznym”. Anna wiedziała, że mówiąc „to”, miał na myśli seks.

„Rozumiem – powiedziała. – Więc nie ma w tym nic osobistego? A mnie się wydaje, że jednak jest”.

„Spokojnie, spokojnie. Spójrz na to z dystansu”.

„Naprawdę nie obchodzą cię moje uczucia” – fuknęła ze złością Anna.

„A powinny? – zapytał duch Mozarta. – Obawiam się, że obchodzi mnie jedynie muzyka”. – Wydawał się rozbawiony, zarówno własnym temperamentem, jak i Anny.

„Muzyka jest piękna” – przyznała Anna. Ta jej uwaga jakby przerwała tamę.

„On jest naprawdę bardzo dobry – zaczął duch. – W przeciwieństwie do niemal całej reszty jest bliski tego, o co mi chodziło. Próbuje grać zgodnie z moimi intencjami – nie jakąś własną wydumaną teorią. Wiesz, jaka to rzadkość? Od lat nie słyszałem, by ktoś tak wiernie grał moje utwory. Od co najmniej stulecia. Więc widzisz, że jest dla mnie ważny. Gdyby wygrał w kilku znaczniejszych konkursach, mógłby zapoczątkować nowy trend w interpretacji. To byłoby takie odświeżające. Byłoby dla mnie jak sen. Więc bądź dla niego dobra. Nie ociągaj się” – zakończył.

„Nie ociągam się – odparła Anna. – Staram się zachowywać z godnością”.

„Przeceniana sprawa. Żadnej zabawy. Sam w to nigdy nie wierzyłem”.

„Słyszałam o tym coś niecoś”. Nawet jako muzyczna analfabetka Anna czytała o rozwiązłości Mozarta. Jego żona, Konstancja, też była niezłym ziółkiem. Historie ich seksualnych ekscesów przyćmiewały nawet jego dokonania muzyczne.



„Powiem ci coś. To wszystko prawda. – Zaśmiał się. – Daj mu tylko szansę. Mogłabyś mu sprawić trochę przyjemności”. Po tej bezwstydnym uwadze zjawy zniknęła.

Anna leżała na plecach, kipiąc ze złości. Był okropny.

I niedojrzały. Mozart umarł młodo – przypomniała sobie. –Dobrze mu tak. Znowu zagłębiła głowę w poduszce i nakazała sobie: Spać! Spać! Spać!

## 64

*Droży Państwo Oliverowie,*

*wybaczcie, że to mówię, ale cały ten hipnotyzer to chyba jakiś szachraj. Po pierwsze, miałem sobie wyobrazić, że zjeżdżam windą, coraz niżej i niżej, i niżej. Potem odnaleźć samego siebie sprzed urazu karku. Jak wychodzę z bratem, żeby pograć w kosza. I wreszcie cofnąć uraz, używając sił wizualizacji, żeby wyobrazić sobie inny rozwój wypadków. Cóż, krótko mówiąc, w wyobraźni dałem bratu wycisk, ale kiedy wracałem windą do gabinetu hipnotyzera, skurcz mięśni miałem równie silny i bolesny jak zwykle. Ale warto było spróbować. (Na tym etapie spróbowałbym wszystkiego i prawie już to zrobiłem).*

*Pan Mayakovsky napomknął, że idzie mi dobrze, biorąc wszystko pod uwagę. A ponieważ jest bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o pochwały, bo wszystkich uczniów przyrównuje do siebie, uznałem to za wyjątkowy komplement. Dodał jeszcze: Tylko niech ci się nie poprzewraca w głowie.*

*Staram się nie zawieść nadziei, jakie we mnie pokłada.*

*Serdeczności Edward*

*PS Alan nazwał mnie Edwardem Klawiszorękim po tym filmie Edward Nożycoręki. Nie jestem pewien, czy grali go w Wilton.*

## 65

Harold wezwał Annę do swojego gabinetu. Odniosła wrażenie, że przypomina to trochę „czas dla drużyny” podczas meczu piłkarskiego. Uczniowie szaleli, odurzeni perspektywą święta i wolnych dni. Ale najwyraźniej Harold był w podobnym nastroju. Na drzwiach jego gabinetu przyklejony był wizerunek pielgrzyma. Wszedłszy do środka, Anna zobaczyła, że Harold ma cały zestaw dekoracji świątecznych: indor z tektury, stojący na biurku, rywalizował o miejsce z rogiem obfitości i drugim pielgrzymem. Na blacie pozostało niewiele miejsca do pracy ani na wyłożenie sławnych lunchów, jakimi się raczył.

– Więc wybierasz się do Alexandra – zagaił, ruchem ręki dając jej znak, żeby zamknęła drzwi za sobą.– Jak się pewnie domyślasz, chciałbym, żebyście porozumieli się na polu zawodowym. – Harold zawsze coś kombinował.

– Nic mi nie mów – powiedziała ostrzegawczo Anna. –Im mniej będę wiedziała, tym lepiej.

Obowiązywała w końcu jakaś etyka zawodowa. Chociaż czasami jej się to nie udawało, usiłowała przestrzegać zaleceń pani Murphy.

– Wobec tego będę trzymał buzię na kłódkę – odrzekł Harold, wykonując gest przekręcania klucza pod swoim sporym wąsem.

– Czy tej sprawie zawdzięczam honor, czy może wezwałeś mnie na dywanik? – zapytała Anna.

– Nie, świetnie sobie radzisz... albo prawie. Wytrzymałaś dłużej niż większość – powiedział Harold. – Prawie wzięłaś w karby Dylana, Abby i Jeremy'ego. Oczywiście z takimi rodzicami, jakich mają...

– Robię, co mogę.

– Dobra, to zrób jeszcze to. – Chciał pokazać jej prospekt biura podróży. Wyjął go ze środkowej szuflady biurka.

„Wybierz się na Morza Ezoteryczne” – głosił duży nagłówek. Anna przebiegła wzrokiem opis tygodniowego rejsu po Karaibach, „z przepowiadaniem przyszłości, tarotem, numerologią i astrologią w programie”. Harold zastanawiał się, czyby nie popłynąć. Wycieczka wypadła w okresie przerwy bożonarodzeniowej. Czy Anna byłaby zainteresowana?

– Raczej nie, Haroldzie – odpowiedziała grzecznie.

Nie wspomniała, że nie przepada za towarzystwem wyznawców New Age. Rozmowy z duchami miały przynajmniej długą tradycję historyczną. Pani Murphy dokładnie wyłożyła Annie jej spirytystyczny rodowód, uświadamiając, że zdolności parapsychiczne to nie żaden talent towarzyski, ale całkiem poważna odpowiedzialność.

W większości kultur na świecie zmarli przodkowie są czczeni i przywoływani. „Czy tylu ludzi mogło się ludzić tak długo?” – pytała pani Murphy, gdy Anna zgłaszała wątpliwość, że jej zdolności mogą być wytworem fantazji. „To niemożliwe” – zapewniała ją pani Murphy, i w ciągu kolejnych lat, gdy sprawdzały się przekazywane przez Annę informacje, ona sama także zaczęła poważnie traktować swój dar. Nie, nie będzie żadnego rejsu ezoterycznego, wykorzystywania zdolności

mediumicznych jako ciekawostki czy rozrywki. Pani Murphy nie pochwalałaby udziału w takiej spirytystycznej fecie.

– Wyrwałabyś się na kilka dni – namawiał Harold, nadużywając swoich kierowniczych ciągót. – Dałabyś się poznać.

– Nie, dzięki, Haroldzie – odmówiła. – Zajmuję się raczej pomaganiem ludziom niż promocją.

– Wobec tego poczęstuj się kanapką – nalegał. Zanurkował do szuflady „lunchowej”. – To moja słynna sałatka z kurczaka na chlebie z oliwkami.

Anna wzięła pół kanapki. Harold żuł pracowicie, uśmiechając się do niej promiennie zza biurka. Gdy się tak wyszczerzał, wyglądał jak kot, który zjadł kanarka. Najwyraźniej znał jakiś sekret.

– Wiem coś, czego ty nie wiesz – nie wytrzymał w końcu. – I co bardzo byś chciała wiedzieć.

– Niech zgadnę. Mam pilnować uczniów, którzy za karę zostali zatrzymani po lekcjach – Anna strzeliła ponuro. – Słuchaj, Haroldzie, jeśli twój kolega jasnowidz mówił ci coś o mnie i moich sprawach, nie chcę tego słyszeć. Po pierwsze, nie mam żadnych spraw. Po drugie, cenię sobie prywatność. Jak sądzisz, dlaczego przeprowadziłam się do Nowego Jorku?

Anna liczyła, że wyraziła się jasno, bo nie miała zamiaru wysłuchiwać z drugiej ręki rewelacji jakiegoś jasnowidza. Nie podobało jej się, że Harold może wypytywać i nią, nawet jeśli działałoby się to na płaszczyźnie astralnej.

– Wobec tego ja wiem, a ty się dowiesz w swoim czasie. Na pewno jednak polubisz Alexandra – tajemniczo zapowiedział Harold. Na szczęście rozległ się dzwonek, zagłuszając dalsze jego słowa.

Anna była naprawdę wykończona. Musiała złapać oddech przed spotkaniem z Alexandrem. Nie mówiąc o tym – pomyślała, zerkając do lustra w holu – że włosy miała w wielkim nieładzie. Nacisnęła guzik, przywołując windę, oparła się o marmurową ścianę i przymknęła oczy. Edward znowu dobrze grał – stwierdziła – wsłuchując się w muzykę dochodzącą spod drzwi do 1E jak Edward. Och, do cholery – zirytowała się. – Jeśli on może się pogрузić w swojej pracy, ja mogę w swojej. Naprawdę ostatnio jej telefon dzwonił prawie bez przerwy. Muszę tylko myśleć o tym pozytywnie – uznała.

Co święta miały w sobie takiego, że dzieci szalały z zachwytu, a ona popadała w przygnębienie? Czy naprawdę brakowało jej rodziny? Matka swoim zasadniczym podejściem potrafiła czasami sprawić, że święta przypominały musztrę. Cóż, przynajmniej nie zobaczy uczniów aż do poniedziałku, a Alexander, przyjaciel Harolda, mógł się okazać całkiem zabawny.

Wsuwając klucz do zamka, Anna poczuła, że ktoś już jest w środku. Na litość boską. Pozwól mi chociaż zdjąć płaszcz – warknęła w myśli. Jeśli zupełnie nie umiała wyznaczyć granic w przypadku Alana, to z duchami szło jej nieco lepiej. Zazwyczaj potrafiła utrzymać je na dystans aż do zakończenia dwudziestominutowych medytacji, którym oddawała się przed wizytą klienta. Medytacje nie były jej już potrzebne, ale z pewnością pomagały. Przede wszystkim Anna musiała dojść do ładu sama ze sobą. Była często niespokojna, rozdrażniona i niezadowolona. Medytacje pomagały jej odzyskać równowagę i nastawić się na odbiór. Umożliwiały wychwycenie delikatnych, ulotnych wibracji – choć duch, który czekał na rozmowę z Alexandrem, nie sprawiał wrażenia delikatnego czy ulotnego. Z

pomocą medytacji czy bez niej Anna odbierała potok inwektyw. „Odejdź” – nakazała w myśli. Duch niechętnie usłuchał, ale za chwilę diatryba zaczęła się od nowa. „Odejdź” – poleciła ponownie. Usadowiła się w aksamitnym wiktoriańskim fotelu i skupiła uwagę na swoim wewnętrznym koi. Tak. Teraz o wiele lepiej.

Alexander, który zjawił się lekko zdyszany i zarumieniony, był dokładnie taki, jak go zapamiętała: natarczywy i sztucznie wesoły. Ze swoją niską, przysadzistą sylwetką i okrągłym brzuszkiem pod kamizelką stwarzał wokół siebie pogodną aurę jednego z pomocników świętego Mikołaja. Ale prawdę mówiąc, jego nastrój nie był wcale jowialny. Obrzucił mieszkanie Anny pobieżnym spojrzeniem i bez zaproszenia skierował się od razu do kącika czytelniczego.

Znam się na tym wszystkim, jestem starym wyjadaczem zdawał się mówić swoim sposobem bycia. Usadził pulchny, miękki tyłek na równie miękkiej kozetce. Wziął na kolana koronkową poduszkę o aksamitnym spodzie i złożył na niej dłonie. Zobaczmy, co będzie dalej – pomyślała Anna. Miewała już takie sesje, podczas których, niestety, nie mogła nawiązać kontaktu, choć nic nie wskazywało, że teraz też tak będzie.

– Ktoś mówi do mnie non stop od piętnastu minut – poinformowała go Anna. – Miałeś jakieś zatargi z poprzednim partnerem, jeśli chodzi o interesy?

– Obawiałem się, że może być wściekły – przyznał Alexander. – Ale sądzę, że racja była po mojej stronie.

Anna zeszywniała. Szczerze nie cierpiała wchodzić pomiędzy skłócone strony. Czuła się, jakby rozmawiała przez telefon, w którym słychać trzaski. Ale miała pracę do wykonania.

– On mówi, że doprowadziłeś sklep do ruiny przez te swoje okultystyczne bzdury – Anna zauważyła, że Alexander i tym razem miał w uchu wielki brylantowy kolczyk. Zwróciła też uwagę, że skubał róg poduszki, z którego wyłaziło pierze. Zamierzała to rozdarcie zacerować.

– To nie żadne bzdury – odparł Alexander i urwał, pytając Annę: – Zgadzasz się z jego zdaniem? – Jego wzrok wskazywał, że tak przypuszcza. Znowu zaczął skubać poduszkę.

– Nie zajmuję stanowiska podczas sporów i proszę odłożyć tę poduszkę – zdecydowanie powiedziała Anna. – Jay... tak się nazywa zjawa?... uważa, że szkodzisz interesom.

– Wcale nie – odrzekł zapalczywie Alexander. – Powiedz Jayowi, że mam go dosyć! – rozgniewał się. – I że miałem go dosyć, zanim jeszcze umarł. Powiem ci, co szkodzi interesom: atak serca w samym środku sklepu.

O Boże – pomyślała Anna, gdy Jay odpowiedział równie wściekle, co Anna wiernie powtórzyła, podsycając jeszcze kłótnię.

– Zawsze primadonna – warknął Alexander, przewracając oczami dla podkreślenia swoich słów. Anna domyśliła się, że Jay i Alexander byli kiedyś parą i żyli w burzliwym związku, a to, że wspólnie prowadzili sklep, jeszcze pogarszało sprawę.

– Powiedz mu, że zyski wzrosły – polecił swarliwie Alexander. – Nie odczułem jego odejścia. Przekaż mu to, proszę.

Anna ostrzegawczo uniosła rękę. Nie lubiła, gdy traktowano ją jak worek treningowy. Uznała, że Alexander i Jay będą musieli kontynuować kłótnię bez jej udziału w charakterze pośrednika. Zakończyła sesję. Alexander nie był zadowolony. Chciał kontynuować.

– Nie zapłacę ci – jęknął.

– Pieniądze nie mają znaczenia – odparła Anna.

– Cóż, dla większości z nas jednak mają odciążać się. — Mogłabyś kupić za nie nową kozetkę. Sprężyny wbijają mi się w tyłek. Nic dziwnego, że nie układa ci się życie osobiste. Schrzaniłaś sprawę z tym facetem, co?

– Być może tak – przyznała smętnie Anna, pewna, że Alexander ma na myśli jej klęskę z Edwardem. – A teraz, jeśli pozwolisz, podam ci płaszcz.

– Rozumiesz, nie jesteś nieatrakcyjna. Ładna z ciebie dziewczyna w pewien staroświecki sposób.

– Dzięki.

– Naprawdę ładna. Powinno ci lepiej iść z facetami. Ale pewnie odstrasza ich twój charakter. – Alexander zmagął się z płaszczem.

– Wielkie dzięki. Zapomniałaś łyknąć pigułki na takt?

– Mały rewanż! Harold mówił, że jesteś drażliwa.

– Nie mieszajmy go do tego!

– Dobra, nie ma sprawy. Dzięki za usługę.

– Nie mów do mnie jak do *call girl*.

– Harold ostrzegał, że jesteś drażliwa!

– Powiedział też, że się polubimy!

– Nikt nie jest prorokiem! – Alexander zapiął płaszcz. Postawił kołnierz, gdy Anna odprowadziła go do drzwi.

Wtedy zadzwonił jej prywatny telefon.



– Fajnie, że przyszedłeś – powiedział Tommy, wyciągając rękę i poprawiając jej szalik pod szyją. – Wiem, że jest zimno, ale nasza miłość nas rozgrzeje.

– Tommy!

– Gdybym powiedział, że rozgrzeje nas pożądanie, tobyś się dopiero obraziła.

– Tommy!

– Daj spokój. Bądź miłą dziewczynką, weź mnie za rękę i przeżyjmy mały romansik. Uwielbiam patrzeć, jak przygotowują platformy. To bardziej ekscytujące niż sama parada, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Ujął Annę za rękę i poprowadził ją na południe Columbus Avenue, obok American Museum of Natural History, do miejsca, gdzie w bocznej uliczce zbierały się platformy na paradę z okazji Święta Dziękczynienia, odbywającą się następnego dnia. Scena przypominała wędrowny cyrk. Tłum przemarzniętych nowojorczyków wyległ na ulicę, żeby to obejrzeć.

– Jest za zimno – zaprotestowała Anna. – Wieje. I mam chandrę.

– Jesteś akurat w odpowiednim nastroju. Wiedziałem to, gdy wyciągałem cię z domu. Co się stało? Miałaś klienta z cuchnącą bombą? Musisz mieć takich sporo.

– A tak. Jakbyś zgadł. Chociaż początkowo wydawał się w porządku. Ale nie mogę o tym rozmawiać. – Anna zauważyła, że chłód dodaje jej energii, a może była to zasługa towarzystwa Tommy'ego.

– Nie? Jakie to ekscytujące!

– Tak, cóż, dyskrecja to część mojej pracy. Muszę umieć dochowować tajemnic.

– Na pewno potrafisz, jeśli mogę zauważyć. Choćby teraz. Coś cię gnębi i nie chcesz mi powiedzieć o tym nawet na ucho. – Tommy przystanął, udając, że nadstawia ucha.

– Nic mnie nie gnębi! – zaprotestowała.

– Kłamczucha! Każdy ci powie, że jesteś struta z czyjegoś powodu. Oczywiście mam nadzieję, że z mojego.

– Flirciarz z ciebie.

– To jedna z moich zalet. Odpreż się i korzystaj z tego. Mały flircik dobrze ci zrobi.

– Och, zobacz! – Mimo woli Anna zachwyciła się widokiem wielkiej platformy, wznoszącej się na wysokość około dziesięciu metrów.

– To prawie jak widok dinozaura – zauważył Tommy.

– Tak bym tego nie określiła.

– Niemożliwa Anna! Rozpogódź się. Nie psuj mi wycieczki.

– Przepraszam. Nie chcę być ponurakiem. Tylko... och, nieważne!

– No właśnie. „Och, nieważne”. Tajemnica. Rozumiem, że mogę wprawiać cię w zakłopotanie. To znaczy jako powiernik. Nie jestem ani w pełni facetem, ani w pełni dziewczyną. Chociaż pocieszam się myślą, że łączę najlepsze cechy obu płci.

– Tommy, jesteś doskonały. To we mnie tkwi problem.

Ja i mężczyźni! – pomyślała Anna. Na chodniku wokół nich tłoczyli się nowojorczyacy pragnący obejrzeć platformy.

– Anno! – W jednej chwili rozpoznała głos Harolda. Odwróciła się i zobaczyła, że idzie w ich kierunku, rozpromieniony jak kot z Cheshire.

– Haroldzie, to jest Tommy – przedstawiła Anna, świadoma, że Tommy wciąż trzyma ją za rękę. Niechętnie ją puścił i po męsku uściskał dłoń Harolda.

– Więc cię wreszcie przyłapałem! – zaczął przekomarzać się z Anną Harold.

– Mylisz się – odparła.

– Chodzimy ze sobą – odezwał się Tommy. – Tylko ona nie chce się do tego przyznać. Ty jesteś Harold, jej szef, prawda? Anna często o tobie mówi.

– Między innymi – przyznał Harold. – Naprawdę chodzicie ze sobą?

– Haroldzie, Tommy, dość tego. Widzieliście, że nadmuchują piechociarza?

– O rany! To coś jak z *Pogromców duchów!* – zawołał Tommy– Musisz znać ten film.

– Owszem, całkiem dobrze – zgodziła się Anna.

– Chodźmy na drinka – zaproponował Harold. – Anno, nie masz nic przeciwko barowi dla gejów?

– To ja jestem ten nieśmiały – zauważył Tommy.

– Zapraszam was – oświadczył Harold. – Chodźcie. To kilka kroków stąd.

Anna ruszyła za Haroldem i Tommym, którzy skierowali się do pobliskiego baru. Znalazłszy się za drzwiami, zorientowała się, że jest tu jedyną kobietą. Potraktuj to jako przygodę – powiedziała sobie.

– Ja poproszę rusty nail – powiedział do barmana Tommy.

– Dwa razy – zgłosił Harold. – A dla ciebie, Anno?

– Czekolada po werońsku – poprosiła, wskazując napis nad barem reklamujący włoskie kakao.

Barman podał drinki Tommy'emu i Haroldowi.

– Czekolada dla pani będzie za kilka minut – poinformował Annę. – Może tymczasem zechce się pani napić wody sodowej?

– Jasne, że tak – odpowiedział za Annę Tommy. – A gdzie są ci wszyscy wariaci, których pan zwykle obsługuje?

– Bywasz tu? – zapytał Harold z zainteresowaniem.

– Wpadam od czasu do czasu – przyznał Tommy.

– Ja też – odparł Harold. – Ale nie pamiętam, żebym cię tu widział.

– Chyba trudno mnie nie zauważyć – rzekł Tommy.

– A ja jestem tu po raz pierwszy – odezwała się Anna. Zaczęła się czuć trochę poza nawiasem. Harold uśmiechał się jeszcze szerzej niż zwykle, a Tommy jaśniał, będąc w centrum uwagi. Gdy Harold zadał sobie trud, potrafił być znacznie bardziej atrakcyjny niż w szkole.

– Dawno tu nie zaglądałem – ciągnął Tommy. – To była jedna z kryjówek Hughie. Był tu stałym bywalcem.

– Hughie? — zapytał Harold. Wziął garść orzeszków, które nagle zmaterializowały się na barze.

– Mój partner. Niedawno zmarł.

– Przykro mi – powiedział Harold. – To jedziemy na tym samym wózku.

– Tak, czasami myślę, że to droga donikąd – zauważył Tommy. – Każdy kogoś stracił.

– Ale ty znalazłeś następną miłość. – Harold ruchem głowy wskazał Annę.

– Haroldzie – przerwała im Anna. – Nie powinieneś pochopnie wyciągać wniosków.

– Przepraszam. A wyciągam?

– Na szczęście nie – wtrącił się Tommy. – Właśnie mówiłem Annie, że jestem na każde jej skinienie.

– I co? – zapytał Harold. –I jak?

– Ciąg dalszy nastąpi – nie stracił rezonu Tommy. – Na dłuższą metę nie można mi się oprzeć.

– Widzę – odparł Harold. Lekko uścisnął Tommy'ego za ramię.

## 67

Poranek w Święto Dziękczynienia był słoneczny i zimny, Anna, przyzwyczajona do codziennego rytmu dnia, obudziła się o wpół do siódmej. Jej mieszkanie zalewało światło wpadające przez okno. Gdybym była rodowitą mieszkanką Nowego Jorku – przebiegło jej przez myśl – wybrałabym się na ulicę Siedemdziesiątą Dziewiątą, żeby popatrzeć, jak platformy wyruszają na paradę. Ale nie czuła się rodowitą mieszkanką Nowego Jorku – w przeciwieństwie do Alana. Czuła się jak przybysz ze Środkowego Zachodu, beznadziejnie prosta i niedzisiejsza, tęskniła za maminym sosem pomarańczowo–żurawinowym oraz indykiem, który pewnie w tej chwili się piekł.

Przynajmniej on też już wstał – pomyślała, gdy zza okna dobiegły pierwsze tony porannej porcji pianistycznych ćwiczeń Edwarda. Czy tylko jej się zdawało, czy naprawdę grał, jakby tym razem nie wkładał w to serca? Może było mu równie przykro i smutno jak jej? Jak brzmiały słowa

Charliego Parkera, które cytował Alan? „Jeśli czegoś nie przeżyłeś, nie usłyszysz się tego w dźwiękach, które wydobywasz z trąbki”. Może dotyczy to też pianistów. Może Edward odciął się od świata, stał się zbyt zamknięty w sobie, mając za towarzystwo jedynie fortepian. Może Mozart miał rację, że byłaby w stanie mu pomóc? Dlaczego nie zadzwonił do niej drugi raz?

Tak, poranna serenada brzmiała nieco topornie jak na jej ucho amatora. Gamy wygrywane przez Edwarda zaczynały się i kończyły, zaczynały i kończyły. Anna przyzwyczaiła się do ich kaskad jak do szumu wodospadu. Liszt w jego wykonaniu był bez życia, mógłby to powiedzieć sam Edward, choć na pewno nie przyszłoby mu do głowy, żeby zrobić sobie dzień wolny od fortepianu. Na pewno nie. Musi podnosić swoje umiejętności jak sportowiec formę fizyczną – pomyślała Anna i natychmiast zreflektowała się. Za dużo myślała o Edwardzie i muzyce, z której składało się jego życie.

Muszę dziś poprzycinać filodendrony – zdecydowała, zastanawiając się, jak spędzi dzień. Zawsze odczuwała pewną brzydką satysfakcję, gdy odcinała uschnięte, brązowe liście. Leżąc w łóżku na górze i słuchając zmagania Edwarda piętro niżej, Anna rozważyła stojące przed nią możliwości. Alexander prawdopodobnie miał rację, że zaważyła sprawę z Edwardem. Ale co tak naprawdę o nim wiedziała? Tamtego wieczoru w pralni opowiedziała mu oficjalną wersję swojego dzieciństwa i młodości w Ann Arbor – bez duchów – i podejrzewała, że jego relacja z czasów w Wilton w stanie Maine była podobnie oceniana. Edward wyznał jej, że muzyka jest dla niego wszystkim. Czy nie był to zwykły bajer? Dzięki niemu wydawał się taki „niedostępny”. Może to był ten wabik, który ją przyciągnął?

Anna powoli zeszła po drabinie. Mogła spędzić przedpołudnie jak prawdziwy samotnik, czytając brukowce. Tak zrobi – postanowiła. Narzuciwszy czarny trencz na koszulę nocną, szybko pobiegła do kiosku z prasą na rogu. Święto Dziękczynienia wypadło w czwartek – dzień, kiedy ukazywały się tabloidy. Nie zauważyła po drodze Edwarda ani on – na szczęście – nie zauważył jej.

Bezpiecznie wróciwszy do mieszkania, Anna zafundowała sobie dodatkową filiżankę espresso Starbucksa i w wywołanym kawą podnieceniu zasiadła do lektury czasopism. Kiedy uniosła głowę, była akurat pora na lunch. W Ann Arbor zapach nadziewanego indyka rozchodziłby się po całym domu, wraz z oszałamiającą wonią wybornego placka dyniowego jej matki. W Ann Arbor... O Boże – pomyślała Anna. – Znowu Ann Arbor. Naprawdę musi być ze mną kiepsko, jeśli tęsknię za Ann Arbor. Grecka knajpka dobrze mi robi.

Kiedy weszła do restauracji, Edward już siedział na swoim miejscu. Uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Anna przywołała na twarz słaby uśmiech. Edwardowi poszło nie lepiej. Znowu miał kołnierz ortopedyczny i raczej się skrzywił, niż uśmiechnął.

– Zamówiłem indyka – powiedział głośno nad głowami innych gości.  
– Ze wszystkimi dodatkami. Tak się to nazywa. – Postukał w specjalne menu stojące na stoliku.

Czy to przeznaczenie? – zaczęła się zastanawiać Anna. Uśmiechnęła się.

– Miło cię widzieć – oznajmił zachęcony Edward.

– Czy to zaproszenie? – spytała Anna. W jednej sekundzie zdecydowała, że pójdzie na całość, podejmując z Edwardem rozmowę.

– Tak, chyba tak – wydusił z siebie Edward. Odsunął na bok nuty, które przed chwilą studiował, żeby Anna mogła usiąść naprzeciwko niego.

Czy on zawsze był taki blady? – zastanowiła się. Pod oczami miał ciemne kręgi, widoczne nawet spod okularów. Głowę trzymał lekko przekrzywioną. Chyba od niedawna? Anna wsunęła się do przedziału. Musnęła nogą jego nogę i przeszył ją prąd, wywołując rumieniec na policzkach. Jej ciało dobrze pamiętało tego mężczyznę. Zauważyła, że Edward bębni palcami po blacie z laminatu. Więc nie tylko ona była zdenerwowana.

– A co dla pani? Też indyk? – George, kelner, przerwał chwilową ciszę, jaka między nimi zapadła.

– Tak, oczywiście – odparła Anna. – Indyk ze wszystkim, co się da. Czy to obejmuje sos żurawinowy?

– Bardzo dobrze – odezwał się Edward. Drgnął lekko, mówiąc to, Anna nie wiedziała, czy był to efekt onieśmienia czy bólu.

– Dużo ćwiczysz – zauważyła. Edward skrzywił się.

– Ale kiepsko mi idzie – potwierdził jej wrażenia. – Znowu odezwała się moja szyja. Gram do bani, jeśli mi wybaczysz takie określenie.

Nie było jednak nic do wybaczenia. Annę pokrzepiła myśl, że Edward używa takiego słownictwa. Naprawdę miała go już za oddanego muzyce mnicha. A jego głos – jego głos brzmiał jak steinway, był głęboki i dźwięczny. Źle ze mną – pomyślała z rozpaczą. Oboje z Edwardem wpatrywali się z dziwną fascynacją w solniczkę i pieprzniczkę.

– A więc indyk! – wykrzyknął George. Stał wciąż nad Edwardem i Anną, czekając na potwierdzenie zamówienia.



– Tak, to brzmi świetnie, George – mruknęła Anna. Kelner wreszcie zostawił ich samym sobie.

– Cieszę się, że cię widzę. – Edward wreszcie przełamał lody. — Myślałem, że mnie unikasz.

– A ja sądziłam, że to ty unikasz mnie! – wybuchnęła Anna.

– Dzwoniłem do ciebie – bronił się Edward. – Nie oddzwoniłaś.

– Nie wiedziałam, że dzwoniłeś – skłamała sztywno Anna.

– Jak to? – Edward nie mógł uwierzyć. – Przecież rozmawiałem z Alanem. Powiedział, że ci przekaże.

– Alan to sukinsyn. Zawsze rozwala moje związki! – zdenerwowała się Anna.

– Zawsze? – Edward sprawiał wrażenie urażonego.

– To znaczy rozwalał – odpowiedziała Anna, rumieniąc się. Poniewczasie zdała sobie sprawę, jak musiało zabrzmieć to „zawsze”.

– Myślałem, iż uznałaś, że popełniłaś straszny błąd – wyznał Edward. – Że zrobiłaś coś nietypowego dla siebie. –Edward nie radził sobie z doborem słów.

– Bo zrobiłam – potwierdziła Anna. – To znaczy, że nie jestem łatwa.

– To źle – rzucił Edward z uśmiechem. Anna się nastroszyła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że miał to być żart. –Było mi dobrze, a nawet fantastycznie – przyznał.

– Mnie też. – Kadry filmu, który miała w pamięci, zaczęły znowu przewijać się przed jej oczami, ukazując ją i Edwarda w łóżku. Anna poczuła, że kolejny raz oblewa się czerwienią. –Mnie też było bardzo dobrze – wydusiła w końcu.

– Naprawdę? – Edward wciąż wyglądał na zaniepokojonego, jakby obawiał się złej oceny.

– Tak.

Za sprawą tej pojedynczej sylaby, „tak”, jakby wreszcie odzyskali grunt pod nogami. Lubimy się – uświadomiła sobie Anna. Było to tak proste i jednocześnie tak skomplikowane. Oboje wpadli jak śliwka w kompot.

Zjawił się George, niosąc w obu rękach ich świąteczny obiad. Indyk był szary. Sos zimny, nadzienie suche a żurawina jaskrawoczerwona. Oboje, Anna i Edward, jedli łączywie, popatrując na siebie nieśmiało, gdy żuli mięso.

– Twój brat opowiedział mi o tobie wszystko – odezwał się Edward, gdy przyniesiono im placek z dyni.

– O Boże! – odparła krótko Anna. Już sobie wyobrażała, co to mogło być.

– Był taki wdzięczny, że okazałaś mu cierpliwość i pozwoliłaś zatrzymać się u siebie, gdy odkrywał Nowy Jork – wyjaśniał Edward.

Zarówno wdzięczność Alana i jej własna cierpliwość były dla niej nowością. Edward ciągnął:

– Sądzę, że jako nauczycielka musisz wykazywać dużo cierpliwości.

Czyżby Alan pierwszy raz uszanował jej prywatność? Jak dotąd żadnej wzmianki o duchach. Może jednak została przedstawiona tak, jakby sama chciała się przedstawić: jako całkiem zwyczajna młoda kobieta, dobra obywatelka, która uczy w szkole.

– O tak, cierpliwość jest mi potrzebna – z lekkim opóźnieniem odparła Anna. – Ale tobie też jako muzykowi. Te wszystkie gamy!

– Wiem, że cię irytują – rzekł ze skruchą. – Alan mówił mi, że słyszysz, jak gram.

– Ależ uwielbiam słuchać, jak grasz! – wybuchnęła Anna. – Przynajmniej teraz.

– Moja dziewczyna... to znaczy była dziewczyna... mówiła zawsze, że muzyka to druga kobieta w moim życiu. – Edward wyłożył karty na stół. Swoimi dużymi dłońmi pianisty poprawił sztucce na stole. – Przeszkadzało jej, że cały czas grałem. Doprowadzało ją to do szału, jak mówiła. Rozumiem dlaczego, ciągle gram to samo od nowa... – urwał.

Więc nie ja jedna mam problemy ze sobą – pomyślała Anna ze zdziwieniem. Spodziewała się, że Edward będzie zadzierał nosa w związku ze swoją profesją, a nie skromnie przeproszał za uciążliwości, jakie niesie ona ze sobą.

– Więc uczysz w szkole – zagadnął znowu Edward pomiędzy kolejnymi kęsami placka.

– Tak. Za dnia.

– A co wobec tego robisz wieczorami?

– To znaczy oprócz prania? – Anna grała na zwłokę.

Nie chciała mówić Edwardowi, że wywołuje duchy. Czy nie mogła przedłużyć stanu przyjemnej normalności? Przyciągnij do siebie mężczyznę – radziły pisma kobiece. – Porozmawiaj z nim i okaż mu zainteresowanie. Postanowiwszy spróbować, Anna zapytała o uraz szyi.

– Stara sprawa – odpowiedział Edward. – Tylko teraz się odezwała. Opisał fatalny rzut do kosza podczas gry z młodszym bratem. Od tej pory szyja dokuczała mu co jakiś czas, choć – teraz już o tym wiedział – to

właściwie nie była szyja, tylko jakieś mięśnie trapezowate... Ale na pewno ją nudzi.

Tak, tak. Urwał. Jego zasób konwencjonalnych tematów był najwyraźniej tak samo ograniczony jak Anny.

– To musi być dla ciebie nieciekawe – zakończył.

– Wcale nie — zaprzeczyła.

Edward więc zrelacjonował jej długą historię swojej bolącej szyi, lata życia z nią, ryzyko, że znowu da o siebie znać pod wpływem stresu albo gdy będzie mu zależało, żeby zagrać jak najlepiej.

– Tak jak teraz – dodał i wyjaśnił Annie, na czym polegają jego przygotowania do konkursu o złoty medal. Wyliczył zarówno swoje słabe strony, które mogłyby przekreślić jego szanse na wygraną, jak i – z pewną dumą – trudności, które zdołał przezwyciężyć. – Do konkursu staje stu osiemdziesięciu pianistów. Do następnego etapu przechodzi trzydziestu pięciu. Będzie sześciu finalistów i jeden zwycięzca. Miejmy nadzieję, że ja nim zostanę.

– Wiem, że masz taką szansę – powiedziała Anna. – Jestem muzyczną analfaberką, ale słyszę, że grasz rewelacyjnie. To tak, jakby się żyło ze stałym podkładem muzycznym. – Zamilkła. Czy zabrzmiało to głupio?

Poprzednio, za sprawą alkoholu, rozmowa toczyła się łatwiej, ale na tym się nie skończyło. Nagle Anna przypomniała sobie dotyk Edwarda, delikatny, ale pewny, podniecający. Poczuła, że się czerwieni. Napotkała wzrok Edwarda, a potem umknęła spojrzeniem w bok.

– Poniosło mnie. Narzuciliśmy zbyt szybkie tempo. A potem oboje się przestraszyliśmy – Edward podsumował ich rozterki.

Urwał, żeby pociągnąć łyk wody, a potem kontynuował w tonie całkowitej szczerości:

– Popadłem w paranoję. Pograżyłem się w pracy. Zszedł mi co najmniej tydzień, zanim do ciebie zadzwoniłem. Przez to z kolei ty zaczęłaś odchodzić od zdrowych zmysłów. Rozumiem to. Co powiesz na drinka w niedzielę? Około czwartej? Dobrze by mi zrobiła mała przerwa, co ty na to?

– Kawa zamiast drinka – zaproponowała Anna.

– Niech będzie kawa – zgodził się. – Spotkamy się o czwartej w holu?

– Hej, wy dwoje! – rozległ się zalotny głos.

Anna uniosła wzrok z przerażeniem. Tak jak się obawiała, była to Stacy, która przyglądała im się z zainteresowaniem. Anna poczuła, że oblewa się rumieńcem. Od kiedy to trwa? –Niemał słyszała myśli przyjaciółki.

– Co ty tu robisz? – Anna zapytała Stacy, jakby chciała powiedzieć: „Idź sobie”.

– Więc wy też jesteście sami w Święto Dziękczynienia –odparła Stacy.

– Nie jesteśmy sami, jesteśmy razem – odrzekła Anna, usiłując wytyczyć granice swojego terytorium.

– A ja jestem sama – rzekła Stacy. – Nie macie nic przeciwko temu, że się do was przysiędę? – Anna zaprotestowała w duchu, ale rzuciła pospieszne spojrzenie na Edwarda i zobaczyła, że jak wszyscy mężczyźni uległ promiennemu urokowi Stacy.

– Prosimy! Siadaj. – Zrobił obok siebie miejsce dla Stacy.

– Jak tam indyk? – zapytała. – Zamierzałam zamówić kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem.

– Naprawdę? Kanapkę z bekonem, sałata i pomidorem? –Edward sprawiał wrażenie, jakby to była najbardziej fascynująca rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał.

– Uwielbiam to, a wy? – zaćwierkała Stacy. – W tym zestawieniu jest coś pysznego. Wiem, że nie powinnam, ale zawsze proszę o dodatkową porcję majonezu.

– Dlaczego nie powinnaś? – zapytał Edward. – Z taką figurą jak twoja nie masz się czym przejmować.

Z taką figurą jak twoja? – oburzyła się Anna. Jej nigdy czegoś takiego nie powiedział, a z pewnością miał okazję lepiej ją sobie obejrzeć. Idiotka, idiotka, idiotka – skarciła samą siebie.

– A tobie mowę odjęło? – zapytała Stacy troskliwie. Anna pomyślała, że powinna wykazać się dobrymi manierami. Chociaż odrobiną.

– Edward, to jest Stacy. Stacy, to jest Edward – wydukała.

– Rozumiem, że ty i Stacy jesteście przyjaciółkami? – zapytał Edward.

– Rozumiem, że ty i Anna jesteście przyjaciółmi – mruknęła Stacy.

Zniżyła głos do szeptu w stylu Jacqueline Onassis. Mężczyzna musiał pochylić się ku niej, by ją usłyszeć. Anna już wcześniej widziała jak Stacy stosuje tę sztuczkę

Na miłość boską, przestań – warknęła. – Mój Boże, chyba nie powiedziałam tego głośno? Nie, na szczęście nie – choć miała wielką ochotę. Edward usiłował przekonać Stacy, by zamówiła pełny obiad świąteczny.

– Choć szczerze mówiąc, indyk smakował jak karton – zażartował.

– Uwielbiam karton – drażniła się z nim Stacy.

– No to co chcesz: kanapkę czy indyka? – włączyła się Anna.

Stacy spojrzała na nią, lekko przestraszona, jakby zdziwiła się, że przyjaciółka jeszcze tu jest. Zresztą co ja tu robię – pomyślała zgnębiona Anna. Skończyło się jej pięć minut. Najwyraźniej Edward woli Stacy. Reaguje na nią jak każdy facet z krwi i kości. Ruchem ręki poprosiła o rachunek. George zmaterializował się za chwilę, a jego oczy przepełniało coś, co Anna wzięła za współczucie.

– Tylko dla pani, pani Anno? – zapytał.

– Tylko dla mnie – odparła Anna. – Oni jeszcze nie zjedli.

Zarzuciła na ramiona swój tweedowy płaszcz i wstała. Edward wyglądał, jakby się przeraził. Albo poczuł wyrzuty sumienia. Czy może poniosła ją wyobraźnia?

– Do zobaczenia w niedzielę o czwartej – wymamrotał.

– Mam pewne problemy z moim facetem. – Ruszając do drzwi, Anna usłyszała zwierzenia Stacy. Edward ze współczuciem nachylił się ku niej.

68

We śnie Anny Stacy miała na sobie efektowną suknię ślubną. Trzymała wielki bukiet białych róż ze stefanotisem i stała przed ołtarzem gotowa do uroczystości. Z chóru dochodziła piękna muzyka i Anna zorientowała się od razu, że to gra Edward. Sama ubrana była w suknię druheny, która wyglądała tak beznadziejnie i kiczowato, jak zwykle wyglądają suknie druhen.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jeden drobiazg: tam gdzie zazwyczaj stał pan młody, ustawiała się cała kolejka mężczyzn, kawalerów różnych typów. Po ozdobnym finale muzyka nagle umilkła. Anna zobaczyła

z przerażeniem, że Edward stanął na końcu kolejki, która zaczęła sunąć do przodu. Stacy odrzucała kolejno wszystkich panów.

W miarę przesuwania się taśmy z kandydatami Edward był coraz bliżej Stacy. Czy wybierze jego?

Anna obudziła się w tym dramatycznym momencie z niespokojnego snu. Dzwonił domofon.

Do diabła z nim – pomyślała. Potem: Do diabła z nią. A potem jeszcze: Do diabła z nimi obojgiem. Domofon zadzwonił ponownie. Która to była godzina? Anna zmrużyła oczy, patrząc na zegar. Dochodziło wpół do jedenastej. Przewracała się z boku na bok na swoim łożu boleści do czwartej nad ranem, po czym zasnęła głęboko i spała aż do tej pory. Domofon, o mój Boże, domofon! Odrzuciła kołdrę i zsunęła się po drabinie. Nacisnęła klawisz „odbiór” i spokojnie zwróciła się przez interkom do klientki:

– Tu Anna. Kończę jeszcze parę spraw. Zejdę po panią za pięć minut. Po drugiej stronie ulicy jest bardzo miła kawiarenka Starbucks. – Nie zabrzmiało to niegrzecznie? Miała nadzieję, że nie. Cóż, już i tak było za późno.

Pobiegła do łazienki, żeby umyć zęby. Potargane włosy spięła klamrą. Zrzuciła koszulę nocną. Włożyła bieliznę i skromną sukienkę vintage. Potem tusz do rzęs, szminka, a co z kawą? Musiała wypić przynajmniej jedną filiżankę. Potykając się w kapciach, zanurkowała do kuchni, wyjęła kawę z lodówki, nasypała sporą ilość do ekspresu i wstawiła dzbanek pod filtr. Ponownie rozległ się brzęczyk domofonu.

Anna podeszła do interkomu.

– Zapraszam na górę – powiedziała pogodnie i nacisnęła klawisz, wpuszczając Daisy.



Otworzywszy drzwi, Anna nagle odniosła wrażenie, że czyta jeden z brukowców. W holu stała uśmiechnięta Daisy D., platynowa blondynka, znana z licznych ekscesów. Trudno było nie rozpoznać jej nieskazitelnej sylwetki i twarzy lalki o różowych policzkach. Anna zamrużyła powiekami.

– Nie myli się pani. To ja – potwierdziła Daisy. – To znaczy, mam takie samo prawo tu być jak inni, prawda? – Zerknęła z ciekawością w głąb mieszkania Anny. – Dowiedziałam się o pani od mojej przyjaciółki Eleanor. Ona słyszała o pani od swojego przyjaciela Harolda... – A więc to znowu jego sprawa.

– Ależ oczywiście, ma pani prawo tu być – zapewniła ją Anna.

– To dobrze. Miałam nadzieję, że pani zrozumie. – Daisy weszła do pokoju. Jej szpilki stukały na drewnianej podłodze. Zarówno we własnej osobie, jak i na zdjęciach wyglądała trochę nieproporcjonalnie, jakby górna część jej ciała miała przeważać dolną. Anna zaprowadziła ją do kozetki.

– Dzięki, że skierowała mnie pani do Starbucks – ciągnęła – ale dopiero co zjadłam pączka w greckiej restauracyjce na dole. Jest taka milutka. Oj! Czy wychodzi tędy sprężyna? – Daisy delikatnie uniosła swój idealny tyłeczek.

– Niestety, tak. Proszę usiąść z drugiej strony albo na fotelu – poradziła jej Anna.

Odniosła się do tej sprężyny o wiele sympatyczniej niż Rachel czy Alexander – pomyślała jednocześnie.

– Nic się nie stało. Tylko mnie lekko dźgnęła – zachichotała Daisy. – Zdarzały mi się już wcześniej takie rzeczy. – Przesunęła się na drugą stronę kozetki i objęła spojrzeniem Annę, która siedziała z udawanym spokojem na fotelu. – Biedactwo. Obudziłam panią, co? Zdążyła pani wypić kawę?

– Niezupełnie – odparła Anna zgodnie z prawdą.

– No to czemu jej pani nie wypije? Mogę poczekać. Teraz, gdy już tu jestem, czuję się znacznie, znacznie lepiej. – Daisy usadowiła się wśród poduszek.

– Mogę coś pani zaproponować? Może i pani napije się kawy? – Anna zaczęła się odprężać. Czuła autentyczny spokój, który zapowiadał udaną sesję.

– Nie, dziękuję – zagruchała Daisy. – Wystarczy woda z kranu. To przecież też picie, prawda?

– Tak – odparła Anna. Zauważyła, że Daisy ma na lewej dłoni obrączkę ślubną i pierścionek z brylantami. Zwróciła też uwagę na jej słynne piersi. Przypuszczała, że Daisy ubrała się na spotkanie z nią tradycyjnie – w obcisły czarny kostium z krótką spódniczką i przepastnym dekoltem. Anna wycofała się do kuchni. Oczywiście znała w zarysie historię Daisy z prasy brukowej.

Jako młodziutka striptizerka z Teksasu Daisy przyciągnęła uwagę – i fortunę – bogatego barona naftowego po osiemdziesiątce. Zasypywał ją prezentami, potem się z nią ożenił i umarł, czego raczej należało się spodziewać. Czego jednak trudno się było spodziewać – to zapisów w jego nowym testamencie. Pozostawił Daisy prawie całe swoje imperium finansowe, przedsiębiorstwa naftowe, rancza z bydłem, kilka samolotów i małą stadninę drogich arabskich koni, co wywołało wściekłość innych dziedziców. Ona i oni od pogrzebu praktycznie spotykali się w sądzie prawie codziennie. Testament zdawał się nie do obalenia i Daisy miała szanse wygrać sprawę.

Sięgając do kredensu po szklanę, Anna usłyszała słaby, ale poważny głos starszego mężczyzny: „Słodkie z niej dziecko, mówię ci”. Napęła szklanę wodą, nalęła sobie kawy do dużej filiżanki i wróciła do Daisy.

– I co będzie dalej? – spytała Daisy. – Trochę się denerwuję. Dziękuję za wodę.

„Powiedz jej, żeby się nie denerwowała – polecił Annie głos. – I że podobają mi się jej ciuszki”.

–•On mówi, żeby była pani spokojna i że podobają mu się pani ciuszki – przekazała Anna.

– „Ciuszki”? Powiedział: „ciuszki”? – Daisy zachichotała. – Zawsze tak nazywał moje stroje sceniczne – wyjaśniła, dodając: – Kiedyś pracowałam w przemyśle rozrywkowym, ale to było, zanim poznałam Bunky'ego.

„Zawsze nazywała mnie Bunky” – zwierzył się starszy pan Annie.

– On mówi, że zawsze nazywała go pani Bunkym – powtórzyła Anna.

– O Boże! – wykrzyknęła Daisy. – O mój Boże! To cudownie! Jak on się ma?

„Lepiej niż ty” – odparł głos

– Mówi, że lepiej niż pani – zrelacjonowała Anna. Daisy klepnęła się w swoje zgrabne kolano.

– Niech pani powie Bunky'emu, że nic mi nie jest i żeby się nie martwił.

– Może mu pani sama to powiedzieć – wyjaśniła Anna. –On panię słyszy. Moja rola polega właściwie tylko na przekazywaniu jego słów.

– On mnie słyszy? – Już i tak wielkie oczy Daisy zrobiły się jak spodki.

„Oczywiście, że cię słyszę” – odparł Bunky. Anna przekazała to.

– Och, Bunky! Jak się masz? Jak ci leci? Dobrze się bawisz? – Daisy ochoczo podjęła rozmowę. – Co odpowiedział? – zapytała Annę.

„Obstawaj przy swoim” — Anna powtórzyła usłyszaną wiadomość.

– Och, Bunky. Nie chcę obstawać przy swoim. Mogą mieć cały kram – odrzekła Daisy. – Tęsknię za tobą. A jeśli są takimi chciwcami, mogą sobie wziąć tę całą forszę.

„Nie – warknął Bunky, który nagle zaczął przypominać kłótlivego staruszka. – Nie mogą. Nie zasługują na moje pieniądze. Zawsze chodziło im tylko o nie, gdy mi potakiwali, niezależnie od tego, co naprawdę myśleli. To gromada pozbawionych kręgosłupa cudaków. Ty lepiej od nich będziesz wiedziała, co zrobić z moim majątkiem”.

– Nawet nieźle mi idzie. Zaczynam łapać, o co chodzi – przyznała Daisy. – Po prostu wyobrażam sobie, co ty byś zrobił, i to działa.

„Cieszę się, że mnie słuchasz” – powiedział Annie Bunky, a ona powtórzyła to Daisy.

– Naprawdę? To znaczy, mówisz do mnie? Prowadzisz mnie?

„Oczywiście, że cię prowadzę, Cukiereczku” – Anna przekazała wiadomość wraz z pieszczotliwym określeniem. Daisy znowu szeroko otworzyła oczy, słysząc o jego stałej opiece nad nią. Wielu ludzi tak reagowało. Jest naprawdę słodka, tak jak powiedział – stwierdziła Anna. Czytając tablety, skłonna była raczej przyznać rację nieszczęsnym wydziedziczonym.

– Nazywał mnie pieszczotliwie Cukiereczkiem – wyjaśniła Daisy. – I jeszcze inaczej, ale nie będę wchodzić w szczegóły.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniła ją Anna, ze zdziwieniem zauważając, że podchodzi do całej sprawy bez sceptycyzmu. Przecież istnieje coś takiego jak prawdziwa miłość. Anna była świadkiem wielu spotkań z duchami, lecz tylko nieliczne stanowiły świadectwo takiego uczucia jak to.

– Niech pani powie Bunky'emu... Daisy nie dokończyła. Sięgnęła po chusteczkę higieniczną i otarła oczy. – Niech pani powie Bunky'emu, że cieszę się, iż jest mu dobrze. Naprawdę brakuje mi go – wydusiła z siebie.

„Nieźle nam było razem – odezwał się głos do Anny. – Powiedz jej, żeby o siebie dbała i że będę nad nią czuwał tam z góry”.

Anna powtórzyła wiadomość i wtedy Bunky zaczął znikać.

– Odszedł? – zapytała Daisy.

– Nawiązanie kontaktu kosztuje ich trochę wysiłku – wyjaśniła Anna.

Daisy uparła się, że sama zanieśie szklankę do kuchni, gdzie zatrzymała się na chwilę, by następnie wyjść z dzielnym uśmiechem, który Anna znała tak dobrze ze zdjęć przedstawiających ją w sądzie.

Po wyjściu Daisy Anna zadzwoniła do ojca. Miała jednak pecha, bo telefon odebrała matka.

– No i jak spędziłaś Święto Dziękczynienia? – zapytała.

Anna uznała, że nie może odpowiedzieć: „Och, mamo, zostałam porzucona i zdradzona”. Zamiast tego rzuciła przekonujące kłamstwo:

– Pojechałam za miasto z przyjaciółką. Jej rodzice mają wspaniały dom...

– To świetnie, moja droga, indyk był smaczny? Muszę powiedzieć, że nasz był pyszny, choć nie wypada mi się chwalić.

– Właściwie jedliśmy szynkę. – Dlaczego lubiła kłamać matce? Dlaczego zawsze miała ochotę ją szokować? W ten sposób trzymam ją z dala od swojego życia.

– Szynkę? – matka połknęła haczyk. – Cóż, przypuszczam, że wielu ludziom szynka wystarcza. Na pewno ułatwia sprawę, ale to nie to samo co indyk, prawda?

– Była świetna. Bardzo mi smakowała – Anna drażniła się z nią dalej.

– My mieliśmy nadzienie, słodkie ziemniaki i sos, cebulkę z serem i śmietaną, zapiekanekę z fasoli, dwa rodzaje żurawiny, dynię, pulpety i placek z wiśniami – chwaliła się matka niedelikatnie. – Udzieliłam twojemu ojcu na jeden dzień dyspensy za dobre sprawowanie.

– Gdzie tata? – zapytała Anna.

– Wydaje mi się, że śpi. Powiedziałam mu, że powinien się położyć na małą drzemkę po wczorajszym ciężkim dniu. –Matka Anny sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie – i wtedy ktoś podniósł drugą słuchawkę.

– Pogromczyni duchów, czy to ty? – zapytał wesoło ojciec

– No to ja się wyłączam, pogadajcie sobie we dwoje. I matka odłożyła słuchawkę.

– Tato...–zaczęła Anna.

– Jesteś jakaś smutna – zauważył ojciec. Anna pociągnęła nosem. – Kiedy wczoraj nie zadzwoniłaś...

– Nie smutna, to znaczy niecałkiem, no może... – przyznała w końcu.

– Parszywe święta?

– Nie było tak źle. Poszłam do greckiej knajpki.

– Założę się, że umięją tam przyrządzać indyka. Czy to nie nasi sąsiedzi?

– Tato!

– No dobrze, już dobrze. Nie będę próbował cię rozbawić. – Ojciec zamilkł. Czuł, że córka chciała mu się z czegoś zwierzyć. Ale ona ociągała się z tym. „Jak mam powiedzieć ojcu o swojej jednonocnej przygodzie?” Nie mogła. A gdyby opowiedziała mu o swoich zastrzeżeniach wobec Stacy, on tylko próbowałby ją pocieszyć. Nie, nie miała ochoty rozmawiać z ojcem o swoim życiu seksualnym.

– Jak się czujesz? – w końcu wydusiła z siebie.

– Z każdym dniem lepiej.

– To wersja oficjalna czy twoja własna? — dopytywała Anna.

– Jedna i druga. – Ojciec trochę spuścił z tonu. – Wciąż męczę się bardziej, niż powinienem. Kładę się na drzemkę, jak chce twoja matka, przybywam na wadze i fizykoterapeuta jest zadowolony.

– To dobrze. Przykro mi, że nie mogłam przyjechać.

– Może to i dobrze. Twoja matka wszystko tu trzyma twardą ręką.

– To znaczy, nie byłabym mile widziana? – Anna nie mogła się powstrzymać.

– To znaczy, że zobaczymy się na Boże Narodzenie – powiedział ojciec gładko. – Zbudujemy kolejny bojer i napędzimy matce stracha. Jak idzie wywoływanie duchów?

– Świetnie. – „Nie pozwala zapomnieć o Edwardzie i Stacy”.

– Twoi znajomkowie dobrze się do ciebie odnoszą?

– Jeśli masz na myśli duchy, to tak. – Annę bawiła ta zwyczajowa wymiana zdań.

– A jeśli coś innego? – zapytał beztrosko ojciec. Specjalnie odszedł od protokołu, żeby dać jej punkt zaczepienia, ale Anna pomyślała, że jego

słowa brzmią nieprzekonująco. Zresztą nie było sensu przyczyniać mu zmartwień. A już z pewnością nie z powodu jej życia miłosnego czy jego braku.

– Wszystko w porządku, tato. Jestem tylko trochę zmęczona. Może prześpij się za nas oboje. – Anna miała nadzieję, że mówi to lekkim tonem. Ojca niełatwo było wywieść w pole.

– Dobry pomysł – powiedział z lekkim znużeniem. – Jesteś pewna, że wszystko dobrze?

Ktoś podniósł drugą słuchawkę. Była to oczywiście matka.

– Wy dwoje wciąż gadacie ze sobą? – zapytała ze zdziwieniem, dając do zrozumienia, że dość już tego.

– Właśnie się zegnaliśmy potulnie odparł ojciec Anny.

– Do widzenia, tato. Do widzenia, mamó. –I rozłączyli się. W ten sposób Anna miała cały wieczór na rozmyślania o pączkującym romansie między Stacy i Edwardem. Nie zamierzając się zadrećzać – i zadrećzając się mimo to – postanowiła zająć się czymś pożytecznym. Zaopatrzona w lekturę i pełna nadziei, do których nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą, zrobiła wielkie piątkowe pranie. Powinnam gdzieś wyjść, spotkać się z kimś – wyrzucała sobie. – Powinnam znaleźć sobie coś innego do roboty niż pranie. Daisy nie było tym razem w tabloidach. Edward nie zjawił się w pralni. Wszechobecny podkład muzyczny także zniknął. Czyżby Edward pocieszał Stacy? Pewnie tak. Nie miej złudzeń. Jaki facet mógłby się oprzeć urokowi cierpiącej piękności?

Nie, to nie był spokojny miły wieczór.



Phyllis, pośredniczka handlu nieruchomościami, przyjechała po Annę na stację czerwonym combi marki Volvo.

– Mam nadzieję, że podróż była przyjemna – powiedziała, zapraszając Annę do samochodu. – Cieszę się, że zgodziła się pani przyjechać. Włączę radio, dobrze? – Phyllis aż kipiała energią, była równie przytłaczająca jak zbyt głośno nastawiane odbiorniki radiowe w nowojorskich taksówkach.

– Nie, proszę, nie. Wolę ciszę. – Anna opadła na oparcie i zamknęła oczy. W pociągu na wyścigi dzwoniły telefony komórkowe. Jej sąsiadka przez całą drogę z Nowego Jorku do New Haven kłóciła się ze swoim chłopakiem. Anna pragnęła wyciszyć się i skupić. Przestań wciąż myśleć o Stacy i Edwardzie – nakazała sobie. – Nie był dla ciebie. Weź się w garść.

Stacy to żywiol, nie możesz z nią rywalizować.

– To naprawdę tylko formalność – Phyllis przerwała jej bolesne rozmyślenia. – Umowa sprzedaży jest już prawie zawarta. Chcą jedynie sprawdzić „aureę”, że się tak wyrażę.

Pogodziwszy się z koniecznością uczestnictwa w rozmowie, Anna otworzyła oczy. Zerknęła na Phyllis, która jechała z taką prędkością po wąskich, wysadzanych drzewami drogach w Connecticut, że Anna się przeraziła. A raczej przeraziły ją same drogi z ostrymi zakrętami. Phyllis była wysoką brunetką o nieskazitelnej fryzurze. Jak przystało na kobietę, która odniosła sukces, miała na sobie kilka warstw beżowego kaszmiru. Annę, przy jej zarobkach, nie stać by było na kupno kaszmirowego swetra.

– To rutynowa sprawa – ciągnęła Phyllis, jadąc wiejskimi, niemal identycznymi drogami, które coraz bardziej przypominały ścieżki labiryntu.

– Całkowicie rutynowa – powtórzyła stanowczo, choć z tego, co Anna wiedziała, nawiedzone domy nie były hitami na rynku nieruchomości.

– Dom jest już prawie sprzedany – kontynuowała Phyllis. – Nic dziwnego. Poszedł za bezcen.

Zajechała przed ładny kamienny budynek kryty gontem, pięknie usytuowany na porośniętej drzewami działce o powierzchni około połowy akra, na której znajdował się także mały staw i miniaturowy wiatrak w stylu holenderskim. Wejścia strzegły dwie stateczne wierzby.

– Robi wrażenie, prawda? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Phyllis.  
– Pięć sypialni, pięć łazienek, basen z tyłu, jacuzzi w apartamencie gospodarzy, bardzo kalifornijski jak na Connecticut. Należał do emerytowanej aktorki i ona też była bardzo kalifornijska. Moi klienci są ludźmi teatru. Pewnie ogłasza się pani w biuletynie związku zawodowego aktorów?

Anna nie ogłaszała się, ale może Harold to zrobił. Zawsze namawiał ją, żeby starała się pozyskać "ciekawszą" klientelę. Ponieważ sam nie był w stanie takiej jej podesłać, mógł próbować innymi metodami. Tak, to pewnie była robota Harolda.

– Proszę posłuchać – powiedziała Phyllis, nagle bardzo rzeczowa. Wzięła Annę pod ramię trochę zbyt stanowczo. – To uroczy dom i mam nadzieję, że powie im to pani. Chcę sfinalizować tę transakcję.

Idąc po kamiennych schodach do drzwi frontowych, Anna poczuła, że ogarnia ją niepokój. Pomalowane na jaskrawą czerwień drzwi wyglądały zapraszająco, ale było coś, czego nie potrafiła dokładnie określić. Przyszli właściciele czekali na ładnej drewnianej ławce tuż po prawej stronie drzwi.

– Marc i Mallory Rodgers, a to nasz pies Sparky – mężczyzna przedstawił siebie, żonę i małego pieska. Był wysoki, szczupły jak chart i miał pociągłą twarz o wydatnej szczęce. Jego żona z kolei bardzo przypominała cairn teriera, którego trzymała na rękach. Oboje mieli zmierzwione loczki i spoglądające spod grzywki żywe błyszczące oczy. Mallory, podobnie jak Daisy, nosiła pierścionek z efektownym brylantem, a Sparky obrozę ze strasami.

– Gotowi? – Phyllis wyjęła klucz i szeroko otworzyła ładne drzwi. Gdy Marc i Mallory weszli do środka, Anna poczuła ciarki na całym ciele. Niechętnie przekroczyła próg i znalazła się w centralnym holu, skąd na piętro prowadziły kręcone schody o rzeźbionej poręczy.

„To stało się właśnie tutaj” – poczuła, że docierają do niej słowa, a potem „zobaczyła” skuloną postać, leżącą na podłodze u podnóża schodów. Gdy na nią patrzyła, postać uleciała nad schody.

– Jest tu duch – powiedziała Anna.

– Naprawdę – odezwała się Phyllis. – Na to wygląda.

– To duch kobiety – ciągnęła Anna.

– O Boże – jęknęła Mallory. Sparky zaskowyczał, patrząc w stronę, w którą poszybował duch.

– Upadła czy została zamordowana? – zapytał Marc. – Znaleźli ciało tuż pod schodami. Mówiło się, że ktoś tu wtargnął.

Anna ledwie go słyszała. W uszach dźwięczał jej przeraźliwy krzyk i głośnie bicie serca. Usłyszała ciężki oddech, nagle zaczerpnięcie powietrza – i mimowolnie uniosła dłoń do gardła. Poczuła zawrót głowy. Zachwiała się na nogach. Pani Murphy ostrzegła ją, że czasami może odbierać emocje ducha, a nie tylko wiadomości od niego. Najwyraźniej to był jeden z takich

przypadków. Ale świadomość tego niewiele pomagała. Kręciło jej się w głowie. Brakowało tchu. Czuła, że na skórze występują jej jak rosa kropelki potu.

– Przyniosę pani wody – zaproponował Marc.

Maleńki piesek Mallory zacząć wyć. Anna przysiadła na ostatnim stopniu schodów. Zanurzyła twarz w dłoniach.

– Nie ma co dramatyzować – włączyła się Phyllis – to całkiem normalny dom, który ma swoją historię.

„Zostałam popchnięta – Anna wyraźnie usłyszała w głowie. – Zobaczyłam go w ostatniej chwili. On mnie zepchnął”. Anna znowu poczuła przerażenie, dotyk i popchnięcie. Słyszała wyraźnie słowa. Miała wrażenie, że pada. Pani Murphy uprzedzała, że coś takiego może się zdarzyć. Choć przeważnie duchy przychodziły do niej w postaci przekazu czy oderwanych wrażeń – głosów czy wizji – w rzadkich, traumatycznych przypadkach mogły nawiedzać ją jako uczucia. Nie mogła powiedzieć, że jej nie ostrzegano, ale po raz pierwszy osobiście doświadczyła tego zjawiska.

– To nie był wypadek, prawda? – zapytała Mallory. – Sparky zaczyna szaleć za każdym razem, gdy tu przychodzimy.

– To bzdury – oświadczyła ostro Phyllis. – Chce po prostu stanąć na podłodze i się pobawić. Prawda, Sparky? – zagruchała złowroźnie do pieska, który w odpowiedzi wyszczerzył białe błyszczące ząbki.

– Ja tam nic nie czuję – ciągnęła – Nic niepokojącego. Nie czułam i nie poczuję. Nie każdy jest taki wrażliwy.

Czyli łatwowierny – pomyślała Anna.

– Czy duchy są niebezpieczne? – zaczęła głośno zastanawiać się Mallory.

– Generalnie nie – odparła Anna. – Przeważnie stwierdzam nawet, że są przyjazne.

– No właśnie, mówiłam wam. – Phyllis uczepiła się tej informacji. – Nie ma się czego bać. Starsza pani spadła ze schodów. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy.

– Proszę – powiedział Marc, podając Annie wysoką szklanę wody. – Niech mi pani wybaczy to określenie, ale wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

Anna uśmiechnęła się słabo. Nie tylko zobaczyła ducha, ale i poczuła go samą sobą. Wyjaśniła Marcowi i Mallory, że czasami duchy ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, nie mogą odejść z miejsca zbrodni.

– Więc to była gwałtowna śmierć – podsunął Marc.

– Tak, wszystko na to wskazuje – odpowiedziała Anna mimo wręcz wyczuwalnej złości Phyllis. Była świadoma, czego się od niej oczekuje.

– Może pani odprawić jakieś egzorcyzmy? – dociekała Phyllis.

– To nie moja specjalność – odparła Anna, znowu czując chłód i ciarki na ciele, bo duch najwyraźniej ponownie próbował przemówić.

„Zepchnął mnie” – usłyszała wyraźnie. „Ale kto? – zapytała w myślach. – Kto taki?” Odpowiedzią była cisza.

– Coś powinniśmy wiedzieć? – zapytała ze strachem Mallory.

– To nie był wypadek – ostrożnie odpowiedziała Anna. – Została zamordowana, zepchnięta ze schodów.

– To śmieszne! – rzuciła Phyllis. – Bardzo śmieszne.

– Jest tu duch – uparcie powtórzyła Anna. – Zapłaciła mi pani, żebym to sprawdziła.

– Więc niech się go pani pozbędzie. Proszę coś zrobić – nalegała Phyllis.

– Mówiłam już, że nie mogę, nie potrafię – wyjaśniła.

– To co z pani za specjalista? – zarzuciła jej Phyllis. – Czym się pani zajmuje? Myślałam, że umie pani wypędzać duchy.

– Ja z nimi rozmawiam – tłumaczyła Anna. – Odgrywam jakby rolę telefonu. Czy to jej spadkobiercy sprzedają dom?

– To jakiś nonsens! – burknęła Phyllis. – Jej syn wystawił dom na sprzedaż, bo to dla niego tylko kosztowana kula u nogi.

Anna upiła łyk wody. Odzyskiwała siły w miarę, jak duch znikał. Poczowała się pewniej.

– Przykro mi to mówić – Anna zwróciła się do Marca i Mallory. – Ale na państwa miejscu nie kupowałabym go.

– Kit w stylu New Age – zapieniła się Phyllis. – Głupia gadanina. Mistyfikacja. Idiotyzmy.

Anna nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć. Nie kwestionowała wiarygodności starszej pani, którą widziała, ani własnych doznań. Jeszcze czuła adrenalinę, którą uwolniły.

– Mam nadzieję, że na coś się przydałam – zdołała w końcu powiedzieć.

Marc pomógł jej stanąć na chwiejnych nogach. zaproponował, że osobiście odwiezie ją do miasta. Anna przyjęła jego ofertę z ulgą.

– Dziękuję, że pani przyjechała – warknęła Phyllis, po czym zamknęła za nimi drzwi na klucz.

Anna nie odpowiedziała: „Do usług”.

Gdy Phyllis, Mallory i Sparky odjechali czerwonym combi, Anna zajęła miejsce dla pasażera w komfortowym bmw Marca.

– Wygodnie pani? – zapytał Marc.

– Tak, wszystko w porządku – odrzekła.

Usadowiła się na fotelu z miękkiej skóry i przezornie zapięła pasy bezpieczeństwa.

– Mogłam użyć takich pasów tam, w domu – zażartowała słabo.

– To było przeżycie, co? – zapytał Marc ze współczuciem. Nacisnął pedał gazu i wóz wyrwał do przodu. Ku zaniepokojeniu Anny Marc okazał się agresywnym kierowcą i zapowiadało się, że jazda powrotna do miasta będzie równie niebezpieczna jak z Phyllis.

– Tak, rzeczywiście, to było trudne – odparła Anna. – Widzi pan, zazwyczaj po prostu „wiem”, bardzo rzadko „czuję”. Ale tym razem przeżyłam ostatnie chwile tamtej kobiety.

– Niedobrze – zauważył Marc. – Dom jest rzeczywiście tani i dokładnie taki, jakiego z Mallory szukaliśmy. Naprawdę nie może pani nic zrobić z tym duchem?

Anna zaczęła lepiej poznawać naturę Marca. Był uroczy, bogaty i przyzwyczajony do tego, że zdobywa to, czego chce.

– Zwykle po prostu z nimi gawędzę – zażartowała Anna ponownie. – Rzadko zdarza się coś takiego. – Czy tak ostro prowadził, czy zawodził ją błędnik?

– Ale sam duch nie był niebezpieczny ani gwałtowny, prawda? – dopytywał się Marc. Najwyraźniej do czegoś zmierzał.

– Cóż, nie – odrzekła Anna. – Duch... właściwie ona... była nawet miła. Tylko śmierć miała gwałtowną. – Znowu ogarnęła ją trwoga. Czy musiał jechać tak szybko?

– Więc gdybyśmy się tam wprowadzili ,mieszkalibyśmy z kimś sympatycznym? drażył Marc.

– Tak, całkiem sympatycznym – przyznała Anna.

Miała trudności z przełykaniem śliny, jej oddech stał się płytki i czuła ucisk w piersi. Chciał ich zabić?

– A jak wyglądała? – indagował Marc. Siedział na ogonie jadącego przed nim samochodu.

– Była dość ładna – odpowiedziała Anna – zwłaszcza jak na starszą panią. Piękne oczy, włosy zaczesane we francuski kok... Mógłby pan trochę zwolnić?

Marc posłusznie zwolnił.

– Mallory też się denerwuje, gdy prowadzę – wyjaśnił. – Więc ładna? Tak wyglądała na wszystkich afiszach. – Podniecony Marc wrócił do poprzedniego tematu. Ku zdegustowaniu Anny był coraz bardziej podekscytowany myślą o zamieszkaniu ze sławnym, czy znanym, duchem niedawno zmarłej aktorki. Przydałoby mu to więcej prestiżu. Tak jak bmw; podkreślałoby jego pozycję i znaczenie. Kobiety obnoszą się z biżuterią; mężczyźni chwalą się samochodami – pomyślała Anna.

– Są ludzie, którzy specjalizują się w wypędzaniu duchów – podsunęła Anna. – Mógłby pan kogoś takiego znaleźć. – Zamknęła oczy i pogodziła się z szybką jazdą. Przed oczami nagle znowu stanął jej obraz Stacy i Edwarda powodując ból.



– Nie, nie, żadnych egzorcyistów – mruknął Marc, pokonując śmiało ciemne, kręte drogi Connecticut. – Odwaliła pani dobrą robotę. Będę musiał przekonać Mallory, że to życzliwy duch.

– A Sparky? – zapytała Anna. – Co pan zrobi ze Sparkym?

– Pies się przyzwyczai – odparł Marc z zimną determinacją. Annie przyszło do głowy, że Marc robi, co zechce. Był w końcu producentem teatralnym. Zachowywał się równie agresywnie, jak prowadził.

## 70

Anna знаła procedurę. Pani Murphy już o to zadbała. Kiedy jako nierozważna nastolatka Anna pomogła policji rozwiązać zagadkę morderstwa, to pani Murphy wyprowadziła ją na prostą po przeżytych emocjach – jeśli nie szoku – wywołanych nagłą popularnością.

– Za każdym razem, gdy coś zaburzy twoją równowagę, musisz dojść do siebie – mówiła nauczycielka. – Odzyskanie równowagi duchowej to najważniejsza sprawa. Są różne sposoby, by to osiągnąć, i jeśli z nich skorzystasz, znowu staniesz się sobą.

Procedura, której wtedy nauczyła ją pani Murphy, obejmowała kąpiele oczyszczające, modlitwy i różne rytuały. Anna rzadko musiała się do niej odwoływać, ale znała ją na pamięć. Najpierw kąpiel w soli gorzkiej, tak gorąca, jak tylko dało się wytrzymać – oczyszczała ona jej ciała eteryczne. Potem należało zapalić białą świecę i zmówić modlitwę za własny spokój i spokój osoby zmarłej. Następnie trzeba było się przespać. Gdyby tylko potrafiła przestać myśleć o Edwardzie i Stacy! Czy Stacy nie chodziła na seminarium poświęcone seksowi tantrycznemu? Tak, chodziła, z tym... jak

mu tam... Davidem. Niewykluczone, że w tej chwili wypróbowywała swoje techniki z Edwardem. Anna wyobraziła sobie tych dwoje, splecionych ze sobą w wyrafinowany sposób. Fortepian Edwarda złowróźnie milczał... Pani Murphy zdecydowanie doradzała odmawianie różańca zamiast liczenia owiec. Sen odgrywał kluczową rolę. Dobrze robił na wszystkie problemy.

Zupełnie skonana – nawet kąpiel z solą nie pomogła – Anna wdrapała się na łóżko z różańcem w dłoni. To element zawodu – przypomniała sobie, gdy zaczęła odmawiać *Zdrowaś Mario*. Przesuwając kolejno paciorki różańca, powtarzała kojące słowa, oczyszczające święte sylaby, i poczuła, że za sprawą odwiecznej łaski powoli zaczyna odzyskiwać poczucie bezpieczeństwa.

Takie spotkania jak to w Connecticut należały do rzadkości. Zwykle kontakty, które nawiązywała dzięki swoim zdolnościom, były życzliwe, nawet pełne pogody. Duchy jako takie bardzo rzadko wywoływały strach – myślała, odmawiając różaniec. Nawet tego dnia przeraziła ją bardziej sama zbrodnia niż zjawa, bo poczuła zło. Źródłem poczucia zagrożenia nie były wcale zaświaty. Zło znacznie częściej dawało znać o sobie tu i teraz. „To samych siebie powinniśmy się bać” – uzmysłowiła sobie. Mimo że była bardzo zmęczona, zasnęła dopiero po odmówieniu całych dwóch różańców. „Ale przynajmniej nie myślę o Stacy i Edwardzie”.

Obudziwszy się, Anna jakoś nie mogła się odnaleźć. Pokój, zwykle słoneczny, tym razem tonął w ciemności. Okna wychodziły na północ i gdy wyjrzała przez nie, zobaczyła gęstą szarą mgłę, rzadkość na Manhattanie. Która to była godzina? Może słońce jeszcze nie wzeszło. Anna zerknęła na zegar przy łóżku. Zobaczyła, że jest wpół do trzeciej – tylko rano czy po południu? Zaczęła się zastanawiać, czy szary mrok za oknem można uznać

za dzień. Spała prawie całą dobę. Skrzywiła się, uniósłszy się na łokciu; miała wrażenie, jakby była pobita. Wiedziała, że był to skutek wydarzeń w Connecticut – ryzyko zawodowe. To i sprawa z Edwardem. Gdy rozjaśniło jej się w głowie, usłyszała muzykę dochodzącą z dołu. Tak, Edward grał znowu; grał utwór, który Alan zidentyfikował jako Schumanna. Jego melancholia harmonizowała z jej nastrojem. Gdyby tylko Edward i ja...

Edward! Przecież umówiła się z nim za nieco ponad godzinę!

Miała akurat tyle czasu, żeby umyć i wysuszyć włosy, bo postanowiła, że tym razem zaprezentuje się jak najlepiej: czyste włosy, ładna sukienka, perfumy – wszystko – ale żeby z tym zdążyć, musiała natychmiast wstać. No już – nakazała sobie, ale nadal kręciło jej się w głowie, łamało w kościach, jakby miała grypę. Jak mówiła jej pani Murphy: „Nie bez przyczyny nazywani jesteśmy mediami”.

Anna czuła, że jest cała obolała, gdy pod prysznicem stanęła pod gorącą wodą. Kiedy myła włosy, bolała ją nawet skóra głowy. Frotowy szlafrok wydawał się szorstki w dotyku. Pomyślała, że może pomóc jej aspiryna – i duży kubek kawy. Wierzyła w kofeinę prawie tak samo gorąco jak w życie po śmierci.

Zadzwoił prywatny telefon i Anna postanowiła, że go nie odbierze. Nie była w nastroju, by słuchać matki, która mogła porównać swoje informacje o tym, jak córka spędziła Święto Dziękczynienia, z informacjami ojca. Ale okazało się, że to Alan. „Cześć, siostrzyczko, siedzisz w domu czy przeprowadziłaś się do Edwarda? Oddzwoń do mnie”.

Może Alan naprawdę odbiera ode mnie jakieś sygnały? –pomyślała. – A może chciał się ze mną tylko podroczyć. O czwartej, czyli w porze, o której zwykle dzwoniła do Alana, umówiła się w holu z Edwardem, ale

bynajmniej nie zamierzała z nim zamieszkać. Jak zauważył sam Edward, narzucili zbyt szybkie tempo i się przestraszyli. Teraz będzie mądrzejsza. Tylko dlaczego tak dobrze pamiętała grę Edwarda? Dlaczego drżała na myśl o jego długich nogach koszykarza i włosach barwy marchewki? Dlaczego, skoro on niewątpliwie wolał Stacy?

O gustach nie ma co dyskutować, ani jego, ani moich –Anna przywołała się do porządku, zachodząc w głowę, czy Edward ma jakiś swój ideał kobiety. I czy ona mogłaby choć trochę zbliżyć się do tego ideału. Po dłuższym zastanowieniu ubrała się w sukienkę vintage z krepdeszynu w kolorze wina, która podkreślała jej szczupłą talię. Przez całe lata pracowała nad swoim wyglądem, bo pragnęła być wysoka, smukła, nowoczesna –jak Stacy, ale nie była ani wysoka, ani smukła, ani nowoczesna, więc pogodziwszy się z tym, zaczęła kupować stroje w second–handach, gdzie jej sylwetka była atutem, nie zmorą. Kiedyś kobiety miały krągłości. A jeśli w oczach mężczyzn wyglądała staromodnie? Cóż, przecież mężczyźni jej nie interesowali! Interesował ją Edward. Któremu, przynajmniej przez jakiś czas, nawet się podobałam, zanim zjawiała się Stacy – przypomniała sobie Anna.

Telefon znowu zadzwonił. Anna i tę rozmowę przełączyła na sekretarkę. Jeśli to Edward, który zamierza odwołać spotkanie, nie chcę z nim rozmawiać". Ale tym razem dzwoniła Stacy i sprawiała wrażenie skruszonej, jeśli nawet nie lekko przestraszonej. „Anno, to ja, Stacy – zaczęła nagranie. – Zastanawiałam się, czy nie jesteś trochę na mnie zła. To znaczy, wiesz, jaka jestem, a ty nigdy nie wspomniałaś o Edwardzie, no i... cóż, przepraszam, to wszystko. Nie chciałam nic zepsuć. Zadzwon do mnie,

dobrze? Och, znowu mam kłopoty z Jeffreyem, chciałabym o tym z tobą pogadać". Jeszcze czego! – pomyślała Anna.

Kiedy nagranie się skończyło, ponownie odtworzyła wiadomość. Jak bardzo Stacy narozrabiała, ile „napsuła”? Anna chciała to wiedzieć. Przespała się z Edwardem czy tylko bawiła się z nim w kotka i myszkę, aż złapał haczyk? A może raczej w kotka i szczura, jeśli już. A jeśli Edward to szczur, a nie Stacy? A może oboje to szczury. Mogła dowiedzieć się tego na nadchodzącej randce. Jak to się stało, że Edward tak zapadł mi w duszę? Potem sobie uświadomiła: to ta przeklęta muzyka.

## 71

Dwie minuty przed czwartą, gdy winda zwiozła Annę do holu, zza drzwi mieszkania 1E wciąż dochodziła muzyka. Kunsztowna, błyskotliwa, nadmiernie efektowna – według Anny mógł to być Liszt. Ale to były tylko domysły, niepoparte żadną wiedzą. Alan – powtarzając za Edwardem – krótko scharakteryzował jej każdego z kompozytorów, których utwory jego przyjaciel przygotowywał na konkurs. W odczuciu Anny grze Edwarda, którą teraz słyszała – na pewno bardzo dobrej – brakowało jednak tej czystej nieskrępowanej radości, jaką słyszała, gdy grał Mozarta. Ciekawe, jak by to brzmiało w sali koncertowej – zaczęła się zastanawiać, zwracając uwagę na dudniącą akustykę marmurowego holu. Muzyka ucichła. Drzwi do 1E otworzyły się i Edward wystawił swoją rozczochraną głowę.

– Nie chciałem, żebyś czekała – powiedział bez tchu. – Ale chyba powinienem wziąć szybki prysznic. Wejdiesz na chwilę? – Wyglądał jak szalony pianista; marchewkoworude włosy sterczały mu na wszystkie

strony. Miał na sobie workowatą koszulkę i sprane dżinsy. Wisiały one na jego szczupłej sylwetce jak za duża piżama.

– Mogłabym wejść – zgodziła się Anna i wkroczyła do kawalerki Edwarda, małego mieszkanca, w którym dominowały hebanowy steinway i składana kanapa, wciśnięta obok fortepianu.

– Poznasz moje rybki? – zapytał Edward.

Wtedy Anna zauważyła wielkie złote rybki, które pływały w wysokim cylindrycznym akwarium, stojącym w zacienionym kącie.

– Robert i Clara – przedstawił je Edward.

– Otrzymały imiona po Schumannie i jego żonie, którzy byli wyjątkowo szczęśliwym małżeństwem. Pory karmienia rybek, dwa razy dziennie, przypominały mu jednocześnie o sprawdzaniu nawilżacza, utrzymującego fortepian w odpowiednim stanie – wyjaśnił.

– Ale kupiłem je przede wszystkim, żeby mieć towarzystwo – przyznał z uśmiechem. – Usiądź – zaproponował, wskazując wystający brzeg kanapy. – Zaraz wracam. – Idąc do łazienki, rzucił przez ramię: – Twoja przyjaciółka jest niesamowita.

Wiedziała – pomyślała ze smutkiem Anna. – Po co ja tu w ogóle przyszedłam? Jestem dla niego tylko odskocznią, przerywnikiem. Stacy to dziewczyna ze snów, ta jedyna. Zrobiło jej się niedobrze na samą myśl.

Usłyszawszy szum wody dochodzący z łazienki, rozejrzała się wokół z niezdrową ciekawością. Ściany były gołe, wisiały na nich jedynie plakat z koncertu mozartowskiego w Lincoln Center i duży kalendarz reklamowy sklepu z artykułami papierniczymi w Wilton, ze skrupulatnie wypisanym planem ćwiczeń na fortepianie. Zmrużywszy oczy, by lepiej widzieć,

Anna zobaczyła swoje imię wpisane ołówkiem tuż po popołudniowym Liszcie i przed Mozartem zaplanowanym na wieczór. Jak pauza – pomyślała z radością, dumna z siebie, że zapamiętała z *Muzycznego ABC* jeden z fachowych terminów. Potem przypomniała sobie jednak o Stacy. Czując się, jakby węszyła, szybko przebiegła wzrokiem następne rubryki kalendarza w poszukiwaniu imienia Stacy. Ku swojej wielkiej uldze nigdzie go nie zauważyła.

– Dobra, jestem gotowy. – Edward wyłonił się z łazienki kompletnie ubrany, tylko jeszcze wycierał ręcznikiem płomienne włosy.

– Mówiłeś o Stacy – Anna zagadnęła go masochistycznie. Trzeba przez to przejść.

– To prawdziwa pożeraczka męskich serc. – Edward się zaśmiał. – Moja była dziewczyna też należała do tego typu... Jak to się mówi? Kto się na gorącym sparzył, na zimne dmucha? Jedyne, co nas łączyło, to zabójczy seks.

– Zabójczy seks? – zapytała słabo Anna, chora z zazdrości i obawy, że sama nie należy do tych, z którymi coś takiego się uprawia. I skąd wziął to określenie?

– Znasz takie kobiety, prawda? – zapytał Edward. – Ale to tylko pociąg fizyczny, chemia. – Teraz on się zarumienił.

– Myślałam, że mężczyznom o to chodzi – Anna głośno wyraziła swoje myśli. – To znaczy Stacy ma niezłe osiągnięcia. – Cholera! Na pewno zdradziła się ze swoją zazdrością.

– Nie wątpię. – Edward znów się zaśmiał. – Początkowo mi pochlebiało, że chce mi się zwierzyć. Ale po pewnym czasie zacząłem odnosić wrażenie, że na moim miejscu mógłby być każdy, to znaczy

jakikolwiek facet. Może to brzmi niedorzecznie, ale czułem się, jakbym był muchą i znalazł się w pobliżu muchołówki. – Edward spojrział na nią ze skruchą. Ann odpowiedziała bladym uśmiechem.

Więc spędzili ze sobą jakiś czas, tak jak się obawiała. Ale nie wynika z tego, żeby poszli do łóżka. Po raz pierwszy Stacy się przeliczyła.

– Jeszcze tylko minuta – usprawiedliwił się Edward, wycierając włosy.

– Mogłabym cię ostrzec – Anna usłyszała swój głos.

O Boże! – jęknęła w duchu. – Nic dziwnego, że wiecznie jestem typem kumpelki. Ale umiała strzyc, zawsze strzygła Alana i ojca. A Edward naprawdę powinien coś zrobić z tą „szopą”, jak w myślach nazywała jego włosy.

– Jest aż tak źle? – zapytał. Nagle poczuł się zawstydzony. – Myślałem, że to mój znak rozpoznawczy.

– Nie jest źle. – Anna usiłowała naprawić gafę. – Tylko za bardzo zwraca uwagę, a ty grasz tak dobrze...

– Że to muzyka powinna być na pierwszym miejscu? – dokończył za nią.

– No właśnie. – O Boże, zdaje się, że wkroczyli na bardzo prywatny grunt. I to nie wyłącznie z jej winy. Edward stał nad nią, obejmując ją spojrzeniem od stóp do głów. Teraz z kolei ona poczuła się zażenowana. Naprawdę nie pociąga go Stacy? Ja go pociągam? Ta możliwość wydała jej się nagle jak wygrana w lotto. Ktoś przecież wygrywa w lotto?... Dlaczego to miałabym być ja? Nie wyglądam tak źle.

– Jesteś blada – oznajmił Edward, gdy już przyjrzał się Annie, jej starannie dobranej sukience i świeżo umyтым włosom.

– Miałam coś w rodzaju wypadku – odparła oględnie.



Nie wspomniała o Connecticut ani nie wdała się w wyjaśnienia. Postanowiła odłożyć sprawę duchów co najmniej do następnej randki, jeśli do niej dojdzie.

– Może byśmy poszli do Cafe Mozart – zaproponował Edward. – Jeśli nie masz nic przeciwko spacerowi.

Anna, która spodziewała się, że pójdą do Starbucks na rogu ulicy, zgodziła się chętnie. Cafe Mozart bardziej nadawała się na randkę.

Kawiarnia znajdowała się szesnaście przecznic na południe od ich kamienicy, przy ulicy Siedemdziesiątej, między Columbus a Broadway. Edward narzucił szybkie tempo, a potem dostosował swoje susy do mniejszych kroków Anny. Było idealne listopadowe popołudnie. Zachmurzone niebo wydało się Annie bardzo jesienne i nastrojowe. Lekki powiew unosił leżące na ziemi liście, gdy szli przez park otaczający Museum of Natural History. Wiatr zwiewał Annie włosy na twarz. I było po fryzurze. Wyglądała na prawie tak rozczochraną jak Edward – a Edward był naprawdę rozczochrany.

Szedł prosto przed siebie jak strzała, w wytyczonym kierunku, i Anna ukradkiem zerkała na jego profil. W swoich nowych drucianych okularach był naprawdę przystojny i poważny, ale może zawsze wyglądał na poważnego – uświadomiła sobie Anna. Gdy na skrzyżowaniu zmieniły się światła, nagle ujął ją za łokieć, jakby była dzieckiem, które może nagle wypaść na ulicę. Później już cały czas trzymał ją pod rękę. „Jest zaborczy – pomyślała Anna z lekkim dreszczem. – Jest namiętny. Czyż nie zaliczyli już zabójczego seksu?” Uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona nowoczesnością tego określenia. Uzmysłowała sobie, że rzeczywiście tak było. A nie chodziło tylko o pociąg fizyczny...

W Cafe Mozart panował zgiełk i tłok. Udało im się zdobyć mały stolik dla dwóch osób, ale musieli nachylać się do siebie, żeby słyszeć, co mówi drugie. Oboje zamówili cappuccino i Edward nalegał, by zjedli razem ciastko o nazwie Wezuwiusz, z polewą czekoladowo-truflową, która rozpływała się wręcz na języku. Jak na mnicha ma całkiem świeckie ciągoty – zauważyła Anna, a potem pomyślała: – Ale kto powiedział, że jest mnichem? Czy nie obalił już zupełnie tej teorii wzmianką o zabójczym seksie?

Pogłos w kawiarni był tak przytłaczający, że Anna musiała prawie krzyżeć, by Edward mógł ją usłyszeć. Młodzi ludzie siedzący przy stolikach wokół nich też krzyczeli do siebie. Z głośników płynęła muzyka klasyczna. Na pewno Mozart – domyśliła się Anna niezbyt entuzjastycznie.

„Tak, to ja – usłyszała głos w głowie. – Cieszę się, że jednak dałaś mi jeszcze szansę”.

„Zostaw mnie w spokoju. Nie potrzebujemy na randce towarzystwa” – odpowiedziała gniewnie. Może i był geniuszem, ale potrafił ją zirytować jak nikt. Nie mówiąc już o tym, że interesował go Edward, a nie ona.

„Zachęć go do mówienia – poradził jej duch. – Niech się przed tobą otworzy”

– To okropne – oznajmił Edward. – Nie towarzystwo, ale poziom decybeli. Biedny Mozart.

– Mhm. – Anna nie miała dla Mozarta współczucia. A on z pewnością nie ma go dla mnie. Skupiła się na apetycznym ciastku czekoladowym. Rozmowa była prawie niemożliwa, a poza tym co miała powiedzieć? Z pewnością towarzyska konwersacja nie była jej mocną stroną. Babskie szczebioty – pomyślała o nich szyderczo. Specjalność Stacy.

„No dalej. Odezwij się – nakłaniał ją Mozart. – Mów coś, wszystko jedno co. Cokolwiek". Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy zjawa zaczęła porównywać się z popiersiem stojącym na ladzie z ciastkami.

„Jestem znacznie przystojniejszy" – rzekł Mozart do Anny, która usiłowała usunąć go ze świadomości. On jednak, jak Dylan czy Jeremy, jakby się zawział, żeby skupić na sobie jej uwagę. „Jestem przystojniejszy – upierał się. – Nigdy nie przedstawiali mnie dobrze". Anna usiłowała skoncentrować się na Edwardzie. Teraz z kolei stanęły jej przed oczami ponure zdarzenia z Connecticut, ale odsunęła je od siebie, przyglądając się jego zgrabnej sylwetce.

Tak, był nawet bardzo przystojny, jeśli pominąć jego szalone włosy. Anna w wyobraźni zabrała się do ich przycięcia. Potrzebowałyby porządnych nożyczek, ale pewnie mogliby je kupić w jednej z drogerii, otwartych dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dobrze by im obojgu zrobiło, gdyby zajęli się czymś zwyczajnym, niewinnym. Lepsze to niż ciągle nękania Mozarta. Miała ochotę zrobić coś takiego po epizodzie w Connecticut. Jak mogła normalnie zachowywać się na randce, skoro wciąż myślała, jaka jest w gruncie rzeczy dziwna? I że w Connecticut wyszło to na jaw kolejny raz? Tak, odrobina normalności bardzo by im się przydała. Anna miała dość duchów jak na razie.

– Halo, halo, Anno. Wracaj, dokądkolwiek odleciałaś Edward przerwał jej rozmyślenia. – Za dużo tego hałasu. Chodź my stąd – zaproponował.

Anna z chęcią opuściła Mozarta i kawiarnię jego imienia. Na Columbus panował prawdziwy ziąb.

– Już prawie grudzień – zauważyła Anna, otulając się płaszczem.

– Nie przypominaj mi – poprosił Edward. – Zostało niespełna czterdzieści dni.

– Jak to? Do czego? – Nagle się przeraziła, że Edward wyprowadza się z miasta.

– Do konkursu – wyjaśnił. – Dlatego tak pracuję nad Lisztem, Schumannem, Rachmaninowem, Bartokiem, Bache Chopinem i Mozartem. – Lista była oszłamiająca.

– Naprawdę lubię Mozarta – zaryzykowała Anna. – Al w gruncie rzeczy zupełnie nie znam się na muzyce klasycznej a to twój cały świat.

Edward podjął ten temat. Zaczął grać na fortepianie w wie ku czterech lat, jeszcze przed pójściem do przedszkola. Zamożniejsi sąsiedzi rodziców, państwo Oliverowie, posiadali dobry fortepian i pani Oliver, która nie miała własnych dzieci, z chęcią pozwoliła Edwardowi na nim brzdąkać. Niebawem zamieniło się to w lekcje, a państwo Oliverowie zastąpili mu rodziców, którzy nadużywali alkoholu i mieli związane z tym problemy.

– Twoi rodzice pili?! – zawołała Anna. – To straszne. –Pomyślała o zdarzeniu w pralni, po whisky. Nic dziwnego, że często pił.

Edward wzruszył ramionami na tę jej współczującą uwagę.

– Ojciec pił i tracił panowanie nad sobą. Matka musiała z tym żyć – podobnie jak my, mój brat i ja. – Przystanęli na światłach i Edward zebrał myśli, zanim podjął wątek. Państwo Oliverowie byli dla niego jak drudzy rodzice. I wciąż nimi są — wyjaśnił. Panował u nich spokój i harmonia, podczas gdy u rodziców był wieczny chaos. Obaj z bratem uciekli z domu, każdy na swój sposób: Edward w muzykę, jego brat w sport. Stypendium muzyczne, potem następne i następne. Plus pożyczki z uczelni. Państwo Oliverowie nadal wspomagali go finansowo, i to znacznymi sumami. W

pewnym sensie stawiali na niego i Edward wziął sobie za punkt honoru, żeby ich nie zawieść.

– Może to brzmi dziwnie, ale piszę do nich co najmniej raz na tydzień. Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić w zamian za pomoc. Pan Oliver jest prawie głuchy i nie słyszy dobrze przez telefon. Listy są dla nich czymś konkretnym, jak raport z pola walki.

W tym punkcie opowieści Edwarda znaleźli się przy wystawie całodobowej drogerii, w której można było kupić nożyczki. Anna wybrała małe, ostre i nalegała, że za nie zapłaci.

– Dobre nożyczki zawsze się przydadzą – zapewniła go.

– Moje mieszkanie jest jak jaskinia – zauważył, gdy wyszli na ulicę. – Dobre światło mam tylko przy fortepianie. Może poszlibyśmy na strzyżenie do ciebie?

– Mam odkurzacz i dobrą lampę – radośnie rzuciła Anna – ale...

– No to świetnie – ucieszył się Edward. – U ciebie jest znacznie przyjemniej niż u mnie.

Obracając klucz w zamku, Anna usłyszała swój głos nagrany na sekretarce: „Mówi Anna...” Boże drogi, i co mam teraz zrobić? – przeraziła się. Zatrzasnęła z powrotem drzwi i odwróciła się do Edwarda, który stał tuż za nią.

– Posłuchaj – powiedziała – muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Chodzi o seks? – uprzedził ją Edward. Stali wciąż na korytarzu, w którym jego głos niósł się echem. Edward zniżył go do scenicznego szeptu. – Nie martw się. Nie oczekuję od ciebie zawsze... To znaczy tamta noc była wspaniała, ale...

Anna wciągnęła go za ramię do mieszkania. Zatrzasnęła drzwi i od razu rzuciła się do automatycznej sekretarki. Zdążyła jeszcze usłyszeć głos Marca, ewentualnego nabywcy domu, który mówił: „Mam nadzieję, że doszła pani do siebie. Postanowiliśmy mimo wszystko kupić ten dom...”, a potem ściszyła dźwięk. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Edward patrzy na nią wyczekująco.

– Alan mówił, że masz drugą wieczorną pracę. Czy to handel nieruchomościami? – zapytał ciekawie. Było to niewinne pytanie.

– Nie, bynajmniej – odparła Anna ostro. Nie wysilała się. Niech myśli, że jestem dziwką. Trudno. Lepsze to niż opinia dziwoląga.

– Bardzo tu ładnie – zauważył Edward sentymentalnie, jakby pierwszy raz widział słoneczne żółte ściany, filodendrony, rozrzucone tu i tam koronkowe poduszki, wnętrze, które z taką starannością urządziła. Widać tu było kochające ręce bliskich i środkowozachodnie korzenie właścicielki.

– Bardzo przytulnie – sarkastycznie zauważyła Anna. Co się z nią działo? Była aż taką neurotyczką, że nie mogła znieść pod swoim dachem żadnego mężczyzny prócz Alana?

– Gdzie mam usiąść? – zapytał Edward. Stał jak słup pośrodku pokoju.

– O tam. Pomóż mi, dobrze? – Podeszła do aksamitnego wiktoriańskiego fotela, żeby go przesunąć.

Z zaskakującą siłą Edward ustawił mebel tam, gdzie chciała. Nagle Anna przypomniała sobie wyraźne linie mięśni, które czuła pod palcami na jego szczupłych plecach. Czy jego też nachodzą takie wspomnienia? – zastanowiła się. Ta myśl niemal ją obezwładniła.

– Przyniosę ci ręcznik i coś do przebrania – zdołała wydusić z siebie.

Pogrzebała w szufladzie biurka i wyjęła jedną z bawełnianych koszulek Alana, którą znalazła pod kozetką po jego wyjeździe. „Newport Jazz Festival” – głosił biały napis na granatowym tle.

– Odjazdowa – zauważył Edward i Anna pomyślała, że slang całkiem dobrze brzmiał w jego ustach.

Gdy Edward przebierał się w łazience, odezwał się prywatny telefon Anny. Dzwonił Alan, znowu rzucając swój kiepski żart o przeprowadzce do Edwarda. Podbiegła, żeby ściszyć sekretarkę, ale nie zdążyła, bo Edward z szerokim uśmiechem wyłonił się z łazienki w jazzowej koszulce Alana.

– Tylko go nie broń – poprosiła Anna. – Dam ci ręcznik. – Otworzyła wielki kufer, w którym trzymała bieliznę pościelową, obrusy i ręczniki. – Proszę.

Upomniany i potulny Edward dał się zaprowadzić na fotel. Ma niezły pokaz wszystkich moich wad – uświadomiła sobie Anna. Zawiązawszy mu ręcznik wokół szyi, wykonała pierwsze niepewne ciachnięcie nożyczkami. Ognisty kosmyk spadł na podłogę.

Jak się okazało, w trakcie strzyżenia Edward robił się nerwowy i gadatliwy. Anna dowiedziała się od niego, że zwykle bywał fatalnie strzyżony, głównie przez szalonego francuskiego fryzjera, który doskonalił swój „talent” w Quick Cuts.

– Na pewno wiesz, co robisz? – zapytał Edward po kilku minutach. Ale było już na to trochę za późno.

– Alan uważa, że tak – zapewniła go Anna.

– Nie pamiętam, jaką fryzurę ma Alan – odpowiedział Edward z rosnącym przerażeniem.

– Właśnie o to chodzi – zauważyła Anna. – Teraz masz taką fryzurę, że tylko ją się pamięta. Wyglądasz jak Bozo.

– Uuuch. Rób swoje – mruknął Edward.

Nip chciałbyś przekonać się, co znaczy w moim przypadku „rób swoje”? – miała ochotę mu zaproponować. Sama zresztą w tej chwili też nie była zachwycona swoją profesją. Przez całe popołudnie, gdy szli Columbus Avenue, gdy siedzieli w gwarnej, modnej Cafe Mozart, miała w pamięci Connecticut. Odnosiła wrażenie, że duch starszej pani staje się jeszcze bardziej wyrazisty, że jej wielkie niebieskie oczy w kolorze topazu spoglądają na Annę z wyrzutem. Nie bardzo mogła opowiedzieć o tym wszystkim Edwardowi.

Co jeszcze mogłam zrobić? – zaczęła się zastanawiać. Gdy strzygła Edwarda, ogarnęły ją wątpliwości. Zamordowana najwyraźniej nie widziała zabójcy, podobnie jak ja. Czy powinna oskarżyć jej syna? Nie. Nikt nie jest winny, dopóki nie dowiedzie mu się winy, choćby wszystko świadczyło przeciwko niemu. Pani Murphy zawsze jej radziła, żeby trzymał się z dala od spraw związanych z prawem i ze zdrowiem. „Spirytyści zawsze dostają cięgi przy takich okazjach. Prze ślania z zaświatów nie są traktowane jako dowód”. Nie, po stąpiła tak, jak ją uczono.

Edward poruszył się na fotelu. Niecierpliwił się, a ona była dopiero w połowie.

– Siedź spokojnie – skarciła go.

To tylko jeszcze bardziej skłoniło go do mówienia. Podczas gdy Anna rozczesywała i strzygła jego włosy, a na podłodze rósł stos rudych loków, Edward opowiadał jej o popijającym ojcu i jego nastrojach, o swoich coraz częstszych ucieczkach do domu państwa Oliverów. Nie chcąc zbyt



bezpośrednio się do niej zalecać, zdawał się jednak zmierzać w tym kierunku. Cóż – pomyślała Anna – coś w tym jest.

– Udawałem kiedyś, że to oni są moimi prawdziwymi rodzicami – wyznał Edward, wyraźnie zażenowany brakiem lojalności wobec rodziny.

– Nie można cię za to winić – osądziła Anna, ostrożnie manewrując nożyczkami wokół jego uszu. Były małe, kształtne i przylegały do głowy. – Bez państwa Oliverów twoje dzieciństwo byłoby już całkiem jak z Dickensa.

– Bez nich poszedłbym na dno – zgodził się Edward ponuro. Nie szukał jednak łatwego rozgrzeszenia.

– Nie ruszaj się. Przestań mówić. Teraz chcę cię ostrzyć z przodu. Ale miałeś ich, na szczęście.

Dlaczego stale jestem dla niego taka surowa? – zganiła samą siebie.

Prawdę mówiąc, Anna była dumna ze swoich umiejętności fryzjerskich. Zarówno Alan, jak i ojciec wyszli spod jej ręki odmienieni. Zanim się do nich zabrała, obaj wyglądali jak jajogłowe rozczochrane sieroty. Później prezentowali się całkiem trendy. Anna miała nadzieję, że podobnego cudu dokona w przypadku Edwarda. Chciała, żeby jego loki prezentowały się równie stylowo jak jego muzyka – a przynajmniej nie konkurowały z nią, jeśli chodzi o uwagę publiczności.

Znowu zadzwonił telefon do spraw zawodowych. Edward rzucił uwagę o jej ewidentnej popularności i Anna tym razem pozwoliła, by rozmówca nagrał wiadomość. Niech Edward myśli sobie, co chce.

– A ty – zapytał Edward – lubisz uczyć?

Anna wyjaśniła, że nie przepada za tym, choć sądzi, że nieźle jej to idzie. Dzieci najwyraźniej ulegają jej posepnemu urokowi.

– Ja też bym uległ – rzucił Edward.

Był z niego czarujący flirciarz – pomyślała z przerażeniem. Nie przypominał wcale fajtłapowatego intelektualisty, miał w sobie całkiem dużo charyzmy. Cóż, w końcu jest pianistą. Ma w sobie coś z showmana.

– Teraz najtrudniejsza część – zmieniła temat Anna, zbywając komplement milczeniem. – Mógłbyś na chwilę zdjąć okulary?

Bez okularów i z nową fryzurą Edward prezentował się niepokojąco dobrze. Anna starannie przystrzygła mu jeszcze włosy nad czołem i na skroniach.

– A teraz zobaczmy, jak to wygląda w okularach – poprosiła.

Edward włożył nowe drucziane oprawki. Anna przyjrzała mu się uważnie.

– Nie patrz tak na mnie – zaprotestował.

– A jak mam patrzeć? Strzygę cię. – Zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to sucho, nawet nieprzyjaźnie, ale Edward wyglądał świetnie – i uśmiechał się.

– Alan mówił, że jesteś trudna – przypomniał. Ale nie było w tym niechęci.

## 72

Odprowadziwszy Edwarda do drzwi – desperacko pragnęła go pocałować, ale zadowolili się w końcu szybkim lęklwym uściskiem – Anna została sama, co nie wyszło jej na zdrowie. Pomysł ze stryżeniem był fatalny – wyrzucała sobie. Była w Edwardzie zakochana po uszy i zmierzała we wręcz przeciwną stronę, niż należało. To prawda, poszła z nim do łóżka

zbyt szybko, ale nie chciała, żeby ich znajomość przekształciła się w platoniczny związek. Żywiła wobec niego znacznie bardziej zmysłowe uczucia. Sprzątając, uważnie zmiotła kosmyki Edwarda do brązowej koperty, na której napisała jego imię. Czując się trochę głupio, utworzyła przegródkę z literą E w swojej kartotece i starannie umieściła w niej kopertę ze świętymi lokami Edwarda.

Teraz to już zdecydowanie przesadziłaś – skarciła samą siebie w myślach.

„Naprawdę go lubisz” – usłyszała w głowie głos Mozarta. Zaskoczona, rumieniąc się z zakłopotania, Anna próbowała go przegnać. „Ty lubisz jego, a on lubi ciebie. Mówiłem ci” –nie ustępował. Cały triumfował. Anna okręciła się na pięcie. Była gotowa przepędzić miotłą nachalnego ducha, ale on przezornie się nie zmaterializował.

„Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju...” – fuknęła, wybierając numer Alana. Brat odebrał po drugim sygnale.

– To co, wyprowadziłaś się? – zapytał.

– W każdym razie byłam na randce – przyznała Anna. –Poszliśmy na kawę.

– On uważa, że jesteś ostra – poinformował ją Alan z powątpiewaniem w głosie. – Bał się do ciebie zadzwonić.

– Ostra? – Anna była wstrząśnięta. – Mogłeś mi o tym powiedzieć.

– No, może użył innego słowa. Miałem o nim nie wspominać, pamiętasz? – Alan od pewnego momentu wyrażał się irytująco nieprecyzyjnie. Potem wygłosił długi monolog o osiągnięciach Elli Fitzgerald, jej znakomitym frazowaniu, niezwyklej interpretacji sentymentalnych utworów, szczególnym darze przekształcania zwykłych

piosenek w coś niepowtarzalnego. Anna słuchała trochę nieuważnie, zaledwie rejestrując wykład Alana pod tytułem „Jazzowe ABC”, jak drwiąco nazywała ten aspekt ich relacji, jego ciągle próby edukowania jej w dziedzinie jazzu.

– A co tam u Edwarda? – Alan nagle wrócił do poprzedniego tematu rozmowy.

– W porządku – odparła ostrożnie.

– Powiedziałaś mu już? – Alan bawił się w śledczego.

– O czym? – Anna udała, że nie rozumie.

– No wiesz, o wywoływaniu duchów, o tym, że jesteś inna. Bo chyba ma prawo wiedzieć, co?

– Alan – powiedziała ostrzegawczo Anna – tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby do niego zadzwonić i uświadomić go. On myśli, że chodzi z sympatyczną nauczycielką. –Czyżby rzeczywiście „chodzili ze sobą”? Tak jej się wydawało.

– Mhm. – Alan uchylił się od odpowiedzi.

Może już do niego zadzwonił – dotarło do Anny. – Może chciał, żeby coś się działo. W końcu w Kalamazoo bywa strasznie nudno – nawet dla kogoś takiego jak Alan.

– Alan, powiem mu. Tylko na razie czekam na odpowiedni moment. Proszę cię. Nie spychaj mnie z trapy, dobrze?

Czy w tym nie brzmi desperacja? – zaczęła się zastanawiać. Bo czuła się trochę zdesperowana. Co się stało z jej błogosławionym poczuciem niezależności? A może to wszystko wyparcie? Wiedziała, że takiego zdania byłaby Stacy.

– Dobra, ale lepiej się pośpiesz – poradził jej Alan.

I rozłączyli się.

Obowiązki wzywają – uświadomiła sobie i skupiła się na wiadomościach nagranych na automatyczną sekretarkę. Po pierwsze, dzwonił Marc, powiadamiając o decyzji kupna domu w Connecticut. Po drugie, chciała się z nią skontaktować Eleanor jakaś tam, która organizowała Zlot Osób o Zdolnościach Parapsychicznych. Ile by kosztował udział Anny w seansie spirytystycznym? Pieniądze nie grają roli. „Pieniądze nie grają roli”? Będzie jasnowidz Alexander; wróżąca z kart tarota Yvette, no i medium, czyli ona, jeśli się zgodzi. Ten cholerny Harold – zdenerwowała się Anna. – W co on mnie znowu wrabia? Co powinnam zrobić, co naprawdę powinnam zrobić – to rzucić ten interes z duchami w diabły. Ale co potem? No, i jest jeszcze drobna sprawa czynszu. Mimo to nie miała jakoś ochoty oddzwonić do Eleanor.

Anna już wcześniej przeżywała takie załamania. Pani Murphy zapowiadała, że mogą nastąpić. Zazwyczaj w takich chwilach zwątpienia dzwoniła do nauczycielki, szukając u niej wsparcia. Ale tym razem jakoś nie mogła się do tego zmusić. W gruncie rzeczy jedyne, czego pragnęła, to położyć się do łóżka i zapomnieć o swojej działalności spirytystycznej. Ale co by jej pozostało? Praca nauczycielki na zastępstwa?

Przynajmniej jako medium jestem sama dla siebie interesująca – dumiała Anna. – Być może odstraszałam mężczyzn, ale lubię własne towarzystwo, no a duchy... cóż, duchy także lubię. I wielką przyjemność sprawia mi pośrednictwo w nawiązywaniu kontaktów.

Teraz pojawił się przed nią niespodziewany problem. Edward najwyraźniej uważał ją za „normalną” i podobała mu się jako „normalna”.

Lubił z nią przebywać. Ale jak długo Anna mogła taką udawać? Nawet bez udziału Alana prędzej czy później musiała się czymś zdradzić.

Co za impuls skłonił Marca, by do mnie zadzwonił? – zastanawiała się Anna, przewracając się z boku na bok w ciepłej flanelowej pościeli. – Dlaczego muszę być jedyną osobą, która „wie”, że starsza pani nie zginęła na skutek upadku i że na jej śmierci zyskał syn? Nie mogę tego udowodnić. Nie mogę stanąć przed sądem i oświadczyć: „Duch mi powiedział, Wysoki Sądzie”. Nie, nie miała podstaw do działania – ale mimo to nie potrafiła odzyskać spokoju.

Strzepywała poduszki, wierciła się i układała w łóżku, próbując znaleźć wygodną pozycję, ale nie mogła zasnąć. Nękało ją poczucie winy. Z jednej strony była sprawa ducha starszej pani, a z drugiej – dylemat związany z oszukiwaniem Edwarda i udawaniem „normalnej”. Kiedy Anna w końcu zapadła w sen, do jej mieszkania zaczęły wpadać pierwsze promienie wschodzącego słońca. Obudziwszy się o wpół do ósmej, prawie spóźniona do szkoły, uświadomiła sobie, że Edward już gra na fortepianie.

## 73

Harold dopadł Annę już po pierwszej przerwie. Wręcz przyparł ją do szafki uczniowskiej. Zapytał, czy rozmawiała z nią przez telefon.

– Z kim? – pytaniem odpowiedziała Anna.

Z jego znajomą, Eleanor, zamożną osobą z towarzystwa, która wydaje cocktail party z udziałem osób o zdolnościach parapsychicznych.

– To może być bardzo lukratywne – kusił Harold.

– Tak, dzwoniła do mnie, ale nie jestem zainteresowana – odparła Anna. – Nie zajmuję się jakimiś salonowymi sztuczkami, a poza tym zastanawiam się, czyby w ogóle tego nie rzucić. – Gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że naprawdę ma taki zamiar.

– Chcesz to rzucić? – Harold aż zatchnął się z przerażenia. – Nie możesz.

– Owszem, mogę. Chcę być normalna – jęknęła Anna. Sama wiedziała, że to niewdzięczność z jej strony. W końcu był to „dar”.

– Co jest takiego ciekawego w „normalnych” ludziach? – chciał wiedzieć Harold. – Ja jestem normalny, mniej lub bardziej. Powiedz mi, co my takiego mamy w sobie?

Anna nie zamierzała mu wyjaśniać, dlaczego chce być normalna. Pragnęła tego ze względu na Edwarda, a nie miała najmniejszej chęci opowiadać o nim Haroldowi. Nie. Lepiej zachować sprawy prywatne dla siebie.

Jak by to było – zastanawiała się Anna — gdybym przestała być medium? Gdybym wiedziała o życiu tylko to, co widać gołym okiem? Ta myśl wywołała w niej krótkotrwałą panikę, jak pomysł, by jechać po nocy z wyłączonymi światłami. Może jednak powinna zadzwonić do pani Murphy? – rozważała. – Ale może nie... Albo zawiesić na jakiś czas swoją działalność jako medium? Wiedziała, jakie byłoby zdanie pani Murphy na ten temat, i nie chciała tego słuchać. Będę normalna – zdecydowała. – Zamierzam przeżyć prawdziwy romans. To postanowione. Ani pani Murphy, ani Harold nie odwiódą mnie od tej decyzji!

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*cóż, jestem innym człowiekiem – albo prawie innym. Wczoraj zaprosiłem Annę na kawę. Myślę, że to była randka. Już druga. Anna zaproponowała, że mnie ostrzyże, i zgodziłem się. Teraz wiem, jak czuł się Samson. Prawdę mówiąc, moja nowa fryzura wygląda świetnie, tylko jest bardzo krótka. Anna mówiła, że moje włosy odwracają uwagę od tego, jak gram. Pewnie miała rację, bo bez nich idzie mi jakby lepiej, gram swobodniej niż kiedyś. Szyja też mi za bardzo nie dolega, odpukać w niemalowane drewno. Gdyby tak pozostało do czasu konkursu...*

*Pani Oliver, Pani masa karmelowa z orzechami dotarła w jednym pysznym kawałku. Wsadziłem ją do lodówki, gdzie wyglądała nieco samotnie. (Większość posiłków jadam w greckiej knajpce, o której już Wam chyba wspominałem). Zrobiło mi się jej żal i zjadłem całą w dwa dni. Wiem, że powinna mi wystarczyć na tydzień, ale łakomstwo zwyciężyło.*

*Nic nie słyszałem o składzie jurorów. Pan Mayakovsky mówi, że jurorem jest Mozart. Ma to znaczyć, z tego, co rozumiem, że powinienem grać tak, jak on by sobie tego życzył, i niech się dzieje, co chce.*

*Zresztą czy mam inny wybór?*

*Wasz szczerze oddany Edward*



Utarło się, że Anna i Edward spotykali się na posiłki w greckiej restauracyjce, a potem szli na kawę do jej mieszkania. Edward, który starał się być nienowoczesny i mniej wystraszony, szczegółowo relacjonował Annie swoje życie przed przenosinami do Nowego Jorku. Anny to bynajmniej nie nudziło. Edward opowiadał o sobie z humorem. Nawet historie o pijanym ojcu i urządzanych przez niego pod wpływem alkoholu awanturach pozbawione były goryczy. Anna przyłapała się na tym, że podziwia Edwarda. Jego pogoda ducha działała na nią jak afrodyzjak.

– Ćwiczę zdolność całkowitego otwierania się – wyznał jej któregoś wieczoru na początku grudnia przy kolacji złożonej z pieczeni rzymskiej i puree ziemniaczanego. – Chyba powinnaś wiedzieć, z kim się wiążesz. To znaczy, jeśli się wiążesz.

Nie było to tak naprawdę pytanie, ale raczej żart. Podczas posiłków Edward miał zwyczaj trzymać ją za rękę. Było to trochę dziwne, ale romantyczne. Anna więc czuła się dziwnie, ale romantycznie. George często zerkał na nich zza baru i uśmiechał się.

Mimo otwartości Edwarda Anna nie zdradzała swojego sekretu. Edward w niczym nie przypominał Rogera, ale nie chciała go wystraszyć. Gdy tak udawała całkiem zwyczajną dziewczynę, czuła się jednocześnie winna i przebiegła. Pod pewnym względem były to takie dziewczęce gierki. Sprawiało jej przyjemność odgrywanie osoby normalnej. Sprawiał jej przyjemność normalny romans. A normalny pocałunek, który wymienili, stojąc któregoś wieczoru pod markizą budynku w prószącym śniegu, wręcz ją upoił.

Naprawdę powinnam mu powiedzieć – przyszło Annie do głowy, a potem pomyślała: Nie teraz. Nie mogę powiedzieć mu teraz. Jeszcze nie! Jeszcze nie! Spotykali się co wieczór, ale chociaż nie poszli po raz drugi do łóżka, Anna pragnęła tego. Gdy Edward dotykał jej dłoni, czuła mrowienie w innych, mniej dostępnych miejscach. Z nową fryzurą bardzo jej się podobał. A Harold powiedział jej kiedyś, patrząc na nią podejrzliwie, że wręcz rozkwitła.

Zadzwonił telefon do spraw zawodowych i Anna nie była zachwycona, słysząc, że to Alexander, który prosił o „rewanżowe” spotkanie. Jego niezujący partner miał chyba rację co do sklepu i po głębszym zastanowieniu Alexander doszedł do wniosku, że powinni naradzić się we troje, jak się wyraził. Nie ze mną jako pośrednikiem – pomyślała Anna, ścisząc dźwięk automatycznej sekretarki.

Przez następne dwa tygodnie Anna nie pogłaśniała automatycznej sekretarki przy telefonie do kontaktów zawodowych. Nagrywało się coraz więcej wiadomości, ale nie przejmowała się tym. Zawodowe samobójstwo wydawało jej się dobrym pomysłem. Poczwała coś w rodzaju ulgi, uwolniwszy się od problemów innych ludzi. Zdała sobie bowiem sprawę, że pomaganie im uznała już za swój obowiązek. Usiłując być pożyteczna, stała się zbyt odpowiedzialna i często umawiała się na spotkania, kiedy sama była w stresie. Sprawa w Connecticut okazała się kroplą, która przepelniła czarę. Wspaniale było uciec od tych wszystkich trosk. Anna cieszyła się jak wagarowiczka.

Czasem wieczorami, gdy Edward szedł do siebie, żeby poćwiczyć, otwierała szeroko okno, wpuszczając zimne nocne powietrze. Dźwięki wygrywane przez Edwarda napływały kaskadą jak srebrne płatki śniegu –

każda najdrobniejsza nuta idealna i wyjątkowa. Zwłaszcza gdy grał Mozarta, miała wrażenie, że przenosi się w inne sfery. Muzyka naprawdę była jak nie z tego świata i Anna czuła takie samo podniecenie, odkrywając przyjemność jej słuchania, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zorientowała się, że ma dar porozumiewania się z duchami. W końcu jedno i drugie polegało na odbiorze, a słuch Anny był dostrojony na odbiór dźwięków z wyższych rejonów. To tam tak naprawdę „poznała” Edwarda.

Stacy na szczęście nie dzwoniła, pewnie znowu uwikłana w romans z Jeffreyem, ale za to Harold zostawił długą wymowną wiadomość na jej prywatnej automatycznej sekretarce. „Nie oddzwoniasz do moich przyjaciół – skarżył się.

Przeciągam sprawę z Eleanor, jak się da. Ona chce ci zapłacić tysiąc dolarów za wieczór. A Alexander naprawdę potrzebuje twojej pomocy. Czy muszę przypominać, że jesteś też pomostem między mną a Andrew?”

Tysiąc dolarów? – Anna zaczęła zastanawiać się nad propozycją Eleanor. Wiedziała, że pani Murphy by tego nie pochwałała, uważając, że jej dar służyłby jedynie „do rozrywki”, ale dzięki tym pieniądzom mogłaby na całkiem długi czas zrezygnować z sesji. To przecież tylko jeden wieczór.

W piątek Anna zabrała do pralni butelkę szkockiej. Zamierzała poczęstować alkoholem Edwarda, ale ten, również uznawszy, że przysłała właściwa pora, zjawił się z dwoma ciężkimi koszami prania i butelką valpolicelli. Zauważywszy jej szkocką, zaśmiał się.

– Wiesz, co mówią o wybitnych umysłach? — Uniósł butelkę wina, a potem odstawił ją na bok.

– Co takiego? – zapytała Anna, ale Edward odpowiedział pocałunkiem, potem drugim. Jego pocałunki łączyły w sobie głód i

jednocześnie pewną powolność. Były subtelne i natarczywe. Stanowiły prośbę o więcej, ale jednocześnie mówiły, że to, co jest, to i tak wiele. Jego usta muskały ją figlarnie, potem nacisnęły mocniej i bardziej władczo. Jak jego muzyka. On całuje tak, jak gra – zauważyła Anna, zanim sama uległa fali namiętności.

Gdy ich białe rzeczy przewalały się w pralce, Edward i Anna całowali się nadal. Czekać, aż ciemne się wysuszą, zaczęli obejmować się goręcej, nawet bez pomocy alkoholu, o którym jakoś zapomnieli. Kiedy suszarki zakończyły pracę, przenieśli pachnące rzeczy do koszy i pojechali do mieszkania Anny. Zaraz po wejściu zrzucili ubrania, wdrapali się na łóżko i jak wygłodniali rzucili się sobie w ramiona.

– Nosisz wyłącznie czerwoną bieliznę? – zapytał ją Edward.

– Tak – odparła Anna. – Bo czerwony to namiętność.

I znowu, może z powodu długich godzin ćwiczeń na fortepianie, Edward zasnął pierwszy, opierając delikatnie głowę na ramieniu Anny, tak że jego krótkie miedziane loki lśniły na jej nagiej skórze. Anna spała niespokojnie; gdy usłyszała znajomy głos, otrząsnęła się ze snu i leżała bez ruchu, starając się nie obudzić Edwarda.

„On cię potrzebuje” – oznajmiła zjawa w srebrnej peruce, unosząc się pod sufitem w swojej fircykowatej kamizelce. Anna syknęła bezgłośnie: „Proszę, odejź!”.

„Nie ty jesteś moją panią – odparł duch telepatycznie. – Nie muszę cię słuchać”. Najwyraźniej zaczęła się wojna nerwów.

„A ja nie muszę słuchać ciebie – stwierdziła Anna, dodając. – On całkiem dobrze sobie radzi bez twojej pomocy... czy może powinnam powiedzieć twoich »interwencji«”.

„Mogłabyś okazać mi trochę szacunku” – odciął się duch.

„Podobnie jak ty mnie” – fuknęła Anna.

„Chociaż może wydać ci się to dziwne, moja pomoc by mu się przydała. Zapytaj go o to”. – Duch wydawał się irytująco pewny siebie.

„Oszalałeś? Nie mówiłam mu o tobie ani o żadnym innym duchu, jeśli o to chodzi”. – Anna była nieustępliwa.

„Jesteś bardzo uparta”. – Duch najwyraźniej się zezłościł.

„Tak samo jak ty! – Anna nie dała się zastraszyć. – Ani mi się śni powiedzieć mu, że rozmawiam z Mozartem. Pomyśli, że zwariowałam”.

„Powinnaś go zapytać. Chętnie by się dowiedział, jak powinien grać moją muzykę – duch nalegał kapryśnie. – Jest znacznie lepszy od całej reszty; wszyscy pędzą przez moje utwory, jakby ktoś ich gonił. Chcą się jedynie popisać, ale nie on. On próbuje odgadnąć moje intencje. Mówię ci, gdybym wiedział, że moja muzyka okaże się nieśmiertelna, zostawiłbym więcej wskazówek. Mahler myślał o przyszłości. Wszędzie zostawił instrukcje. Ale ja byłem na to zbyt skromny”.

„Ty? Skromny? Słyszysz się tylko o twojej arogancji!”

„Cóż, rzeczywiście napisałem uwerturę do *Don Giovanniego* w noc przed premierą”. – Duch nie mógł się powstrzymać od przechwałek.

„No właśnie! A teraz może zostawiłbyś nas samych!” – Anna nie chciała budzić Edwarda, ale przesunęła się nieco, pragnąc odwrócić się plecami do nachalnego ducha. Jeśli on był uparty, to ona też. I nie zamierzała mu ulec.

„Nie odwracaj się ode mnie!” – Duch się zdenerwował.

„Mogę robić, co mi się podoba”.

„Tak, jesteś strasznie zawzięta, jak powiedziałem. Uparta, zuchwała dziewczyna, zupełnie nieokazująca szacunku starszym.

„Nie jesteś ode mnie starszy tylko dlatego, że nie żyjesz od kilku wieków!”

„Musisz wspominać o rzeczach oczywistych?”

„Dlaczego nie możesz zostawić nas samych?”

„Przecież zostawiam. Czy widziałaś mnie kiedy przy stoliku tej okropnej karczmy, którą tak lubicie?”

„To świetna knajpka”.

„Knajpa”.

„Okropny z ciebie snob”.

„Nie jesteśmy tu po to, żeby omawiać moje wady” – duch zauważył z przygnębieniem. „A po co?”

„Żeby troszczyć się o niego. Mojego prapraprabratanka. Z drugiej linii”.

„Więc to nepotyzm?” – Anna z satysfakcją zdobyła punkt.

„Możesz tak to nazwać, jeśli chcesz być cyniczna. Kiedy był bardzo młody – pamiętasz, że pochodzi z okropnego domu? – przyzywał mnie na pomoc. Mówił do mnie: »Wujku Mozarcie«. Kto by się temu oparł? Więc przychodziłem do niego, gdy spał. Ale wiesz, jak to jest. Dziecko wyrasta i porzuca niewidzialnych towarzyszy zabaw. Edward mnie opuścił”.

W słowach ducha zabrzmiała melancholia. Po raz pierwszy w ciągu ich znajomości Anna poczuła dla niego współczucie.

„Teraz rozumiem” – powiedziała, ale duch już zniknął.

## 76

*Drodzy Państwo Oliverowie,*

*znowu się tego nabawiłem. Może od nadmiaru ćwiczeń w niedbalej pozycji, jak mówi pan Mayakovsky. Może od noszenia ciężkich rzeczy do prania czy niewłaściwego ułożenia ciała podczas snu, ale szyja znowu daje mi się we znaki. Nadal mogę grać, ale pan Mayakovsky grozi mi przerwą w ćwiczeniach, na którą nie mogę sobie pozwolić, bo do konkursu pozostały już tylko cztery tygodnie.*

*Pani Oliver, za Pani radą próbuję stosować vap-o-rub, ale szyja nadal boli, a ja zalatuję eukaliptusem. To z niego robią tę maść? Stosowałem też kąpiele z gorzkiej soli i umówiłem się po południu na masaż głębokotkankowy, co brzmi niepokojąco i jest bardzo drogie. Gram nadal – powinienem powiedzieć wciąż – ale nie bez bólu i zdaje się, że to słyszać.*

*Przepraszam, że tak zasmucam*

*Wasz Edward*

## 77

– Westside Aquarium to moja świątynia dumania – zwierzyła się Anna Tommy'emu, gdy jedli burrito w Senor Swanky's. – Wiesz, mam nadzieję, że przychodzę tam pomedytować. – Tak było rzeczywiście, wcale nie żartowała sobie z niego.

– Wiem. A ty wiesz, mam nadzieję, że specjalnie cię nie zagaduję, dopóki nie skończysz swoich medytacji.

– Towarzystwo ryb działa na mnie uspokajająco.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Od śmierci Hughie sam poszukuję czegoś takiego.

– Jest taki obraz, który naprawdę nastraja mnie do medytacji. – Anna opowiedziała mu o swoim koi i jego kojącym nerwy efekcie. — Wystarczy już nawet pięć minut – stwierdziła.

– Mógłbym spróbować – odparł Tommy. – Mógłbym spróbować wielu rzeczy, które ty lubisz.

– Nie zaczynaj znowu, Tommy, dobrze? – Annę spłoszył taki bieg rozmowy.

– Tylko mi nie mów: „Nie zaczynaj”. Umówiłaś się ze mną na randkę z własnej nieprzymuszonej woli. – Tommy ujął ją za rękę. – Sama wiesz najlepiej.

– To nie żadna randka – nie ustępowała Anna. Cofnęła dłoń.

– Ależ oczywiście, że tak.

– Tommy, jesteśmy przyjaciółmi.

– I nie mów: „Tommy, jesteśmy przyjaciółmi”. Wiem, że chcesz pójść ze mną do łóżka. Bo chcesz, prawda? – Tommy pociągnął łyk margarity. Spojrzał na Annę znad szklanki.

– Mówisz poważnie? – Anna poczuła się kompletnie zbita z tropu.

– Och, daj spokój, Anno. Myślę, że świetna z ciebie dziewczyna. – Tommy gestem poprosił kelnera o następnego drinka.

– Naprawdę? – Sprawilo jej to przyjemność. Mimo to wcale nie miała ochoty pójść z Tommym do łóżka. Tylko nie chciała mu tego powiedzieć. „Bądź ostrożna” – usłyszała w głowie radę Stelli.

– Chyba powinnaś pójść na całość. Wiesz już o mnie wszystko. Przeszukuję kobietom torebki.



– Tommy, bardzo mi pochlebiasz. – Anna napiła się coca-coli, po raz pierwszy żalując, że to nie jest nic mocniejszego.

– „Tommy, bardzo mi pochlebiasz” to pocałunek śmierci, „na odczep się”, mam rację? – zapytał Tommy.

– Być może – przyznała Anna.

– Posłuchaj sama siebie. Powiedziałaś: „Być może”. Jesteś taka miła, Anno! A ja bardzo tego potrzebuję. – Kelner przyniósł Tommy'emu drugą margaritę. – Miło by było mieć kogoś miłego

– Zasługujesz na kogoś miłego – ostrożnie odparła Anna. –I naprawdę mi pochlebiasz. Ale to nie mnie szukasz. Szukasz kogoś, kto szuka ciebie. A prawda wygląda tak, że ja jestem już zajęta.

„No oczywiście, że tak! – duch Mozarta syknął jej do ucha. – Jeszcze tego nam brakuje, żebyś wdała się w jakiś flirt – i to z biseksualistą – i żeby Edward się o tym dowiedział!”

„Zostaw mnie w spokoju!” – nakazała duchowi Anna. „Dlaczegoż to? Wyraźnie widać, że nie zasługujesz na zaufanie”.

„Zasługuję!” – Anna obruszyła się w myślach.

– Nie widzę pierścionka zaręczynowego – upierał się Tommy. Chwycił ją za lewą rękę i ujął środkowy palec. – Widzisz? Goły jak święty turecki!

– Bo nie mam pierścionka – broniła się Anna, wyszarpując dłoń. – Jeszcze nie mam. Ale jestem z kimś, choć może on o tym nie wie.

– Żałosne – stwierdził szyderczo Tommy. – Gdybyś była ze mną, oboje wiedzielibyśmy, że jesteśmy ze sobą. Daj spokój. To brzmi śmiesznie, nie słyszysz?

„Sama się w to wpakowałaś, więc teraz radź sobie” – wtrącił duch.

– Naprawdę masz kogoś? – Tommy utkwił w jej twarzy spojrzenie swoich niebieskich oczu.

– Tak. – Anna pociągnęła łyk coli. Dlaczego zabrzmiało to tak nieprzekonująco?

– I on uważa, że jesteś świetna? – Tommy znowu zaczął się z nią przekomarzać, flirtować.

„Uważaj! – ostrzegł Mozart. – Takie żarty to prosta droga do łoża”.

„Już ty to dobrze wiesz!” – odcięła się Anna.

– No to jak? Uważa czy nie? — dopytywał się Tommy

– Mam nadzieję. Tak sędzę. Tommy, bardzo mi przykro.

– Jeszcze za wcześnie na „przykro mi”. Wypijmy. Za przyjaźń. – Tommy wychylił szklankę. – Ale jeśli ci z nim nie wyjdzie, zadzwonisz do mnie?

– Obiecuję – odparła Anna.

„Uważaj, co mówisz!” – wycedził duch, znikając.

## 78

Im dłużej Anna ukrywała przed Edwardem swoje drugie życie, tym bardziej jej ono ciążyło. Opowiedziała mu ocenzurowaną wersję swojego dzieciństwa w Ann Arbor, jakby nie było w nim żadnych duchów, a następnie zrelacjonowała okres nauki w college'u i lata po studiach, też o nich nie wspominając. Zdumiało ją przy okazji, że bez nich niewiele miała do powiedzenia. Przez tak długi czas duchy odgrywały w jej życiu pierwszoplanową rolę, że bez ich obecności wydawało się ono blade, choć Edward najwyraźniej uznał je za interesujące.

Opowiedziała mu o ojcu i o przygodzie z bojerem, a także o czerwonym wyścigowym cadillacu, który ojciec sobie sprawił. Edward stwierdził, że potrafi ją sobie wyobrazić pędzącą na lodzie jak Nancy Drew, śmiałą i nieustraszoną. Gdybym rzeczywiście była śmiała i nieustraszona, zaznajomiłabym cię z kilkoma duchami – pomyślała Anna. Ale nie była na tyle odważna, by zaryzykować swoje kruche, dopiero co odnalezione szczęście, więc oboje z Edwardem nadal spędzali spokojne, pozbawione obecności duchów wieczory w greckiej knajpce. Potem serenada i do łóżka – błogosławione łóżko w mieszkaniu Anny. Mogłabym przyjmować klientów, gdy Edward ćwiczy — zastanawiała się ale odrzuciła ten pomysł – A gdyby skończył wcześniej i mnie nakrył? Nie, nie stać mnie na takie ryzyko. Ale z drugiej strony nie ma na czynsz.

Anna ostrzygła Edwarda po raz drugi, tym razem jeszcze krócej. Podobała mu się nowa fryzura, ale martwił się o swoją grę. Kołnierz ortopedyczny powrócił, choć jego śnieżnej bieli nie wieńczyły już rude kosmyki.

Któregoś wieczoru, po często przerywanej wieczornej serenadzie, Edward przyszedł do mieszkania Anny ze łzami frustracji w oczach.

– Gram beznadziejnie – poskarżył się. – Przez ten ból nie potrafię zagrać porządnie żadnego utworu. – Był jednocześnie wściekły i zrozpaczony. – Pan Mayakovsky grozi mi zawieszeniem ćwiczeń, ale ja nie mogę sobie na to pozwolić.

– Ale może dobrze by ci zrobiło? – zapytała Anna.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – powtórzył Edward. – Niezależnie od opinii mojego nauczyciela.

Wtedy po raz pierwszy Anna zdała sobie sprawę, ile miał samozaparcia, jak bardzo cierpiał, grając tę piękną muzykę. Konkurs zbliżał się wielkimi krokami i Edward przeżywał męki podczas ćwiczeń. Ale gdy nie ćwiczył, też się męczył. Musiał grać. Na dłuższą metę rozwiązaniem mogła być zmiana nawyków podczas gry. Na krótszą – tylko odprężenie. Ale jak miał się odprężyć, jak podchodzić spokojnie do swojej gry? Musiał ćwiczyć ze względu na państwa Oliverów, był im to winien, jak jej powiedział. Nie wspomniał, że winien jest to także samemu sobie.

– Ale czy nie zaszkodzisz sobie jeszcze bardziej? – zapytała delikatnie Anna. – W ostatecznym rozrachunku chyba najważniejsze jest zdrowie?

– Niekoniecznie. – Edward unikał jej wzroku.

– Co ty mówisz!

– Niekoniecznie. — W oczach Edwarda błysnął upór.

– Ty jesteś najważniejszy. Twoje zdrowie i samopoczucie – słabo powiedziała przestraszona Anna.

– Mówisz jak pan Mayakovsky – prychnął Edward. – Mam już dość dobrych rad... Przepraszam. Nie chciałem wściekać się na ciebie.

Ale nie mógł się opanować.

## 79

Harold w przerwie na lunch zaprosił Annę do swojego gabinetu. Wyjął sławną sałatkę z kurczaka w cieście francuskim. Obok postawił pojemniczki z sosem jabłkowo–cynamonowym. Zaproponował też po butelce dobrego piwa imbirowego. Anna chętnie skorzystała. Sama bowiem wzięła z domu na lunch nijakie masło orzechowe i galaretkę.

– Świetnie wyglądasz – ocenił Harold. – Szczuplejsza o parę kilogramów. Z makijażem i na obcasach. Chyba nie odchodzisz z pracy, co?  
– Chciał przez to zapytać: „Co się dzieje?”. Odwołała bowiem ich stałe piątkowe spotkania już trzy razy z rzędu.

– No mów – droczył się z nią Harold. – Co jest przyczyną, że tak promieniejesz?

– Dziękuję za komplement. – Anna usiłowała wyłgać się od odpowiedzi, odgryzając duży kęs kanapki, co miało sugerować, że Harold trafił jak kulą w płot, ale on nie dał za wygraną.

– Masz faceta, prawda?! – zawołał. – Zgodnie z przepowiednią Alexandra. Dobra, zjedz kanapkę, a potem szczegóły szczegóły.

Anna pokręciła głową, milcząco odpowiadając: „nie m mowy”. Czy jednak już na tyle nauczyła się kłamać, by zwieść Harolda z jego nosem do plotek? Bardzo w to wątpiła.

– Mam przyjaciela – odparła ostrożnie, chcąc chronić prywatność Edwarda i ich wzajemne relacje.

– Mówiąc „przyjaciel”, masz na myśli romans czy nieodwzajemnioną miłość? – Harold nie owijał w bawełnę.

– Chyba romans – przyznała niechętnie Anna.

– Niech zgadnę: z graczem na giełdzie czy seryjnym zabójcą? Nie, to jakiś sportowiec. Ten twój seksowny rumieniec!

– Harold, proszę cię! – zaprotestowała Anna, unosząc dłoń i pochłaniając kanapkę do końca, żeby nie odpowiedzieć.

– Dobrze, dam ci spokój – odpuścił Harold. – Choć rezygnujesz z bardzo obiecującej kariery.

– To tylko mały urlop – zapewniła go, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak myśli. – Mam dosyć duchów, czasami nie mogę już na nie patrzeć, i to dosłownie.

– Dlaczego masz ich dość? – zapytał Harold. Opowiedziała mu o incydencie w Connecticut, o tym, jak wróciła do domu, czując się rozbita i bezradna. I o tym, że Marc i Mallory mimo wszystko kupili dom.

– Zrobiłaś, co do ciebie należało – powiedział na to Harold. – Nie powinnaś się przejmować tym, co stało się później. – Mówił jak pani Murphy.

– Ale czuję się odpowiedzialna.

– Straciłaś złudzenia – uspokajająco tłumaczył Harold. – Pomyśl, ile dobrego zrobiłaś dla mnie i Andrew, i dla wielu innych, którzy chcieli się pożegnać. A jeśli to cię nie pocieszy, pomyśl o swoim facecie. – W oczach Harolda znowu pojawił się błysk rozbawienia. Na ustach miał uśmiech kota z Cheshire. – Właściwie domyślałem się, że od pewnego czasu jest ktoś w twoim życiu. – Źródłem jego informacji musiał być Alexander, bo sama Anna przecież nic mu nie mówiła. Ale w tej chwili nie było sensu wypierać się istnienia Edwarda.

– Co on myśli o twoich zdolnościach? – dopytywał Harold. – Muszą go fascynować. Tak jak mnie.

Jakbym słyszała Stacy – pomyślała Anna.

– Nie powiedziałam mu. Chciałam dać temu związkowi szansę. Chciałam, żeby uważał mnie za całkiem normalną. Mężczyzn to zwykle odstrasza.

– Tych hetero może tak. Są tacy prowincjonalni. – W głosie Harolda zabrzmiało pewne poczucie wyższości.

– Haroldzie, faceci, którzy chodzą z dziewczynami, z definicji są hetero.

– Chyba tak.

– Może z wyjątkiem Tommy'ego – zauważyła Anna.

– Tommy'ego? – Harold natychmiast podchwycił trop. – A tak, Tommy!

– Pamiętasz go. To ten bardzo przystojny, bardzo czarujący, bardzo biseksualny facet, który mnie podrywa. To nawet zabawne – być podrywaną.

– Wybory, wybory. Czy nie o tym mówił ci Alexander?

– A mówił?

– Przecież wiesz, że tak. Więc udajesz „normalną”. Dlatego nie oddzwoniłaś do Alexandra. Dlatego Eleanor nie mogła się z tobą skontaktować. Mhm. – Harold podkreślił swojego bujnego węża, co miał w zwyczaju, gdy o czymś myślał. – Może go nie doceniasz – zasugerował po chwili.

Może tak. Może Edward by nie dał nogi jak jej poprzedni faceci. Może gdybym mu powiedziała w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób? Anna stwierdziła, że się nad tym zastanowi. Ale jeszcze nie teraz.

– Och, Haroldzie – wymamrotała. – Boję się powiedzieć Edwardowi... bo tak ma na imię.

– Przestań, Anno – Harold zbagatelizował jej zmartwienie. – Nie doceniasz swojego uroku.

– Ty z kolei przeceniasz moją odwagę. Poza tym nie wszystkich spirytyzm fascynuje tak jak ciebie.

– Masz dar. Rzadki dar. Andrew i ja jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Stanowisz pomost między dwoma światami. Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczyła wiadomość, że Andrew czuje się szczęśliwy.

– Bo jest szczęśliwy – zapewniła go Anna. – Śmierć to tylko brama, Haroldzie. Przejście do lepszego świata. Rzadko mi się zdarza spotkać przygnębionego, smutnego ducha.

– Sądzę zatem, że niebawem wrócisz do tego interesu – zauważył szorstko Harold. – To zdarzenie w Connecticut to tylko przykry epizod. Możemy się spotkać w następny piątek?

## 80

\Już nieco pewniejsza uczuć Edwarda i nie chcąc żywić niepotrzebnie urazy, Anna zadzwoniła do Stacy i zaproponowała, żeby wznowiły swoje wtorkowe wspólne kolacje. Stacy okazała jej za to ogromną wdzięczność.

– Dziękuję, że jesteś moją przyjaciółką. Naprawdę na to nie zasłużyłam.

Stacy zjawiała się w Popover Cafe lekko obsypana śniegiem. Ze swoimi jasnoblonde włosami i zaróżowionymi policzkami wyglądała jak anioł, jak dziewczyna z dawnych reklam. Szybko jednak rozwiała ten obraz.

– Tak się cieszę, że mi wybaczyłaś – oznajmiła. – Naprawdę, naprawdę nie wiedziałam.

– To dlatego, że jak wiele innych spraw trzymałam to w tajemnicy – odparła Anna, śmiejąc się z siebie. Zauważyła jednak, że przyjaciółka nie śmieje się razem z nią.

– Czy nie wyglądam dziwnie? – zapytała Stacy. Nachyliła się nad stołem, żeby Anna mogła jej się lepiej przyjrzeć.



Anna zmrużyła oczy, przypatrując się przyjaciółce, ale początkowo niczego nie zauważyła. Potem dostrzegła, że artystyczny makijaż Stacy skrywa siniaka, tym razem prawdziwego siniaka; nie był to bynajmniej rozmazany tusz.

– Masz podbite oko? – zapytała.

– Zerwałam z Jeffreyem – poinformowała ją Stacy.

– Przed podbitym okiem czy po? – wypytywała Anna. Zawsze uważała Jeffrey'a za egocentrycznego, agresywnego palanta. – Zabiłabym tego sukinsyna.

– A jakie to ma znaczenie? – spytała Stacy.

Zaczęła płakać i jej staranny makijaż zupełnie się rozmazał, ukazując duży fioletowy siniak wielkości i kształtu śliwki.

– Co mówi na to doktor Rich? – zagadnęła Anna. Na pewno odzyskał rozsądek i poradził jej, by rzuciła Jeffrey'a. A przynajmniej odstawiła go na jakiś czas.

– Boję się mu powiedzieć – chlipnęła Stacy. – Pomyśli, że nie mam godności, a uważał już, że tak dobrze sobie radzę.

– Cóż, nie radzisz sobie. Wyglądasz okropnie. Czy to boli? – użaliła się nad nią Anna.

Nigdy osobiście nie zetknęła się z żadnego rodzaju przemocą w relacjach męsko–damskich. Sprzeczki rodziców zawsze miały charakter raczej dobroduszny. Nigdy nie dochodziło do wymiany ciosów, nawet słownych.

– Czuję się okropnie. I głupio mi. Myślałam, że otwarte małżeństwo jest czymś bardziej stabilnym niż separacja. On wrócił do żony. Zawarli umowę – wyznała Stacy, szlochając.

Otarła łzy płócienną serwetką. Ciekło jej też z nosa. Całkiem się zasmarkowała.

– Ale co z tym podbitym okiem? – zapytała Anna. Skrzywiła się na myśl, że Jeffrey w porywie złości wyładował się na jej uroczej przyjaciółce.

– On się właściwie bronił. – Stacy zaczęła już pomniejszać znaczenie tego, jak później powiedziała, „incydentu”.

– Nie próbuj go usprawiedliwiać – sprzeciwiła się Anna. – Moim zdaniem ma mały problem z panowaniem nad sobą.

– Tak właśnie powiedział – wymamrotała Stacy. – Było mu przykro z tego powodu.

– Jasne. Trzeba było zadzwonić na policję. – Anna mówiła całkiem poważnie.

– Och, Anno! Co by to zmieniło? – Stacy wytarła nos.

– Co za gnida! Powinnaś coś zjeść.

Zamówiła dla Stacy jej ulubioną sałatkę z krewetek. Dla siebie poprosiła jak zwykle o sałatkę Waldorf. Kelner przyniósł Stacy lód do przyłożenia pod oko i czystą serwetkę, ale przez to znowu rozczuliła się nad sobą. Chłopak, przejęty, stał przy niej bezradnie.

– Jesteście dla mnie tacy mili – zawodziła Stacy.

Nawet zapłakana wyglądała atrakcyjnie. Kelner był najwyraźniej oczarowany. Anna miała nadzieję, że niebawem wróci cała horda „odpowiednich” wielbicieli Stacy.

– Oprócz Jeffreya wszyscy zawsze byli dla ciebie mili – zauważyła Anna. – David był całkiem fajny, pamiętasz? Chyba naprawdę mu na tobie zależało. Przypominasz sobie? – David utrzymał się najdłużej przy boku Stacy.

– Pamiętam, że przeprowadziłam z nim ostrą rozmowę po tych zajęciach z seksu tantrycznego – prychnęła Stacy. – Wciąż dzwoni, żeby sprawdzić, co u mnie, tak mówi. – Stacy wysiakała nos. – Może to ja byłam egoistką?

– Może – odparła Anna. – Ale wydawało mi się, że go lubiłaś. Byłaś z nim dłużej niż z pozostałymi. – Anna liczyła, że przyjaciółka wreszcie skończy z lumpami i wróci w bezpieczne objęcia przyzwoitych mężczyzn.

– Tęsknię za nim – jęknęła Stacy. Pomacała swoje spuchnięte oko.

– Za Davidem? – Anna poczuła przypływ nadziei.

– Nie – wypaliła Stacy, lekko zawstydzona. – Za Jeffreyem.

– Po prostu brakuje ci seksu z nim – ośmieliła się zauważyć Anna, przypominając sobie gorące sceny, jakie opisywała jej Stacy. Zauważyła, że kelner bezwstydnie podsłuchuje ich rozmowę.

– Ten seks! – westchnęła Stacy. – O tak, seks... ale dlaczego ci wszyscy artyści uważają, że „geniuszom trzeba służyć”? Jego żona chyba lepiej odgrywa rolę gejszy niż ja.

Anna milczała. Zamierzała wreszcie opowiedzieć Stacy o Edwardzie, ale zmieniła zdanie. Jej szczęście wydawało się czymś nietaktownym w obliczu cierpień przyjaciółki. „Niech sprawy prywatne pozostaną sprawami prywatnymi” – uznała. Edward w końcu także był artystą i Stacy mogłaby pomyśleć, że Anna jest z nim tylko dla seksu – który, trzeba przyznać, był fantastyczny. „On kocha się tak, jak gra”. Anna zarumieniła się na samo wspomnienie... Na szczęście podano im sałatki.

## 81

Przekręcając klucz w zamku, Anna usłyszała głos Alana, mówiącego do automatycznej sekretarki. Wydawał się niezadowolony, że nie może porozumieć się z nią bezpośrednio – jak wtedy, gdy przegrywał w szachy. Popędziła więc do telefonu.

– Jestem – powiedziała zdyszana. Naprawdę stęskniła się za bratem.

– Ty tam, a ja tu – odparł Alan ponuro. – Nie korzystasz wcale z tego, że mieszkasz w Nowym Jorku. Czy wiesz, że Branford Marsalis gra w Blue Note? A Edward o tym wie?

Anna nie wiedziała. Co więcej, wątpiła, aby Edward wiedział i aby – bez zachęty Alana – w ogóle wybrał się na koncert.

– Jest teraz trochę zajęty – odparła Anna. Wyjaśniła bratu, że Edward spędza całe dni przy fortepianie.

– On też nie korzysta z atrakcji Nowego Jorku – orzekł Alan, komentując ich widoczny marazm. – Jak możecie tam mieszkać i nic z tego nie mieć?

– Ależ mamy – odrzekła Anna obronnie.

– „Mamy”? – podchwycił Alan skwapliwie.

– Edward i ja spotykamy się – przyznała Anna.

– Mówiłem ci, że napalił się na ciebie – podchwycił Alan. – Czy już mu powiedziałaś o swoim sekretnym życiu?

– Nie! – wykrzyknęła Anna. Czy znowu muszą o tym rozmawiać?

– A masz w ogóle taki zamiar? – naciskał Alan. – W najbliższej przyszłości?

– To zależy – odparła wymijająco. Ten okropny Alan! Czy zawsze musi popychać ją do czegoś?

– Cóż – skomentował Alan – nazwałbym to przemilczeniem, i to nie drobnym.

– Edward uważa mnie za normalną – zaprotestowała. –A ja lubię się czuć normalna.

Bycie normalną to coś naprawdę wspaniałego.

– Cóż, nie jesteś normalna – uciał brat. –I jako jego przyjaciel powinienem mu to powiedzieć.

– Alan! Ani się waż! – zawołała znowu Anna, choć wiedziała, że to brata nie powstrzyma. – Daj mi jeszcze trochę czasu, powiem mu w końcu – poprosiła. – Muszę się tylko zastanowić, jak to zrobić.

– No dobra. Niech to będzie mój prezent gwiazdkowy dla ciebie. Przyjedziesz do domu, prawda? Tata już się nie może doczekać wizyty swojej ulubienicy.

– Jak on się ma? — zapytała Anna, zadowolona, że może przejść na bezpieczniejszy grunt.

Ojciec wraca do zdrowia – poinformował Alan. A matka jest w swoim żywiole. Podoba jej się rola szefowej. Po raz pierwszy ojciec robi, co mu każe. Nie tylko w zakresie fizykoterapii, ale także diety niskotłuszczowej, do której od dawna bez skutku go nakłaniała. To, że ledwie wywinął się od śmierci, stało się dla niego ostrzeżeniem i teraz grzecznie wrócił do szeregu.

– A co u Edwarda? – zainteresował się Alan. – Z szyją wszystko w porządku?

– Oczywiście bardzo cierpi. – Anna opowiedziała mu o problemach zdrowotnych Edwarda.

– Pewnie, że cierpi – wybuchnął Alan. – Przy takiej dolegliwości musi boleć, ale powiedz mu, że i tak postawiłem na niego pięćdziesiąt dolarów.

Anna nie mogła się zorientować, czy brat żartuje, czy nie.

Naprawdę postawiłby pieniądze na umiejętności pianistyczne Edwarda? Tak – uznała – to możliwe. Tylko z kim się założył? Z ojcem? Tak, czemu nie. Ojciec chętnie wywinąłby jakiś numer pod nosem żony. Matce na pewno nie podobałoby się, że spycha on muzykę klasyczną z piedestału.

Alan zakończył rozmowę półgodzinnym wywodem, tłumacząc jej, dlaczego powinna posłuchać Branforda Marsalisa – co za zmysłowość, niewiarygodny nerw i wycucie linii melodycznej, „prawie jak u perkusisty”! – podsumował swoje zachwyty. Prócz głosu brata – przez jak zwykle otwarte okno do Anny dochodziły dźwięki muzyki granej przez Edwarda, który zmagął się sam ze sobą. Nawet dla jej niewprawnego ucha brzmiały one, jakby były zawieszony w próżni.

Tej nocy Anna spała sama i dobrze, że tak się stało. O wpół do trzeciej nad ranem – według zegara przy łóżku – znowu odwiedził ją duch Mozarta. Tym razem podfrunął od razu do łóżka, chcąc niepodzielnie zająć jej uwagę, co okazało się skuteczne.

„Nauczyciel ma rację – powiedziała głośno zjawa po angielsku ze swoim charakterystycznym akcentem. – Edward ma fatalne nawyki przy fortepianie. Podobnie jak ja. Dziwi cię to?” Najwyraźniej duch miał ochotę na konwersację. Anna niechętnie mu uległa. W końcu rozmowa dotyczyła Edwarda. A ona martwiła się o niego.

„Tak – przyznała. – Chyba mnie to dziwi. Zawsze mówiło się, że gra przychodziła ci bez trudu. Mały geniusz et cetera”.

„Śmieszna propaganda – duch prychnął szyderczo. – Głupie opowiadki”.

„Cóż, tak głosi wieść” – nie ustępowała Anna. Nawet ona słyszała historie o jego wirtuozerii, czystym muzycznym talencie.

„Miałem okropne nawyki – wyznał Mozart. – Żona musiała masować mi ramiona, ale to nigdy nie pomagało, bo jedno prowadziło do drugiego, rozumiesz. Na pewno rozumiesz. Widziałem was dwoje”.

„Szpiegujesz nas? – zareagowała ostro Anna. – Jesteś zбочeńcem, podglądaczem”.

„Ale i maestro — szybko poprawił ją duch. — Bardzo się nim interesuję. Gdybyś znała się na muzyce, rozumiałabyś to. Mimo wszystko mogłabyś być bardziej chętna do współpracy i naprawdę mu pomóc. Nie zawracałbym ci głowy, ale on jest najlepszy. Ogromnie podoba mi się sposób, w jaki gra moje utwory. Nie masz pojęcia, jak często robią to źle. Ale musi zmienić palcowanie, żeby uzyskać górne b w trzeciej części”.

„To czego ode mnie oczekujesz?” – zapytała Anna niechętnie.

Wsparała się na łokciu i chmurnie spojrzała znad barierki na ducha. Przez krótką chwilę poczuła dumę ze swoich zdolności spirytystycznych. To nie był żaden głos czy wrażenie – jej spotkania z duchem Mozarta wyglądały jak w technicolorze, jeśli chodzi o wyrazistość.

„Nie znoszę, kiedy mnie budzisz, poza tym musisz wiedzieć, że zamierzam skończyć już z tym wszystkim”.

„Jeszcze nie pora. – Duch ostrzegawczo uniósł palec. – Najpierw musisz mu pomóc. Chcę, żeby wygrał". Zjawa mówiła już bez sarkazmu. Nacisk w jej głosie, przekonanie – wydawały się teraz jakieś mocniejsze.

„Jak, u licha, mam mu pomóc? – zapytała Anna z frustracją. – Nie mam pojęcia o muzyce i on o tym wie. Wydaje mi się nawet, że to mu się podoba. Wie, że kocham go dla niego samego, nie dla jego muzyki".

„Oczywiście, że kochasz go także dla muzyki – zwrócił jej uwagę Mozart. – Jak możesz oddzielać te dwie rzeczy?"

„Mogę" – stwierdziła stanowczo.

„A ja nie – odparł z uporem. – Co więcej, wcale tego nie chcę. Chcę natomiast pomóc mu zwyciężyć i do tego jesteś mi potrzebna".

„Czyżby? A co z moją wolną wolą?" – Anna nie lubiła, gdy ktoś nią komenderował.

„W twoim przypadku wolna wola to cholerna pomyłka. Mogłoby być tak łatwo. Ja rozmawiam z tobą, ty rozmawiasz z nim. Bardzo proste. Na pewno słyszysz, że jego gra straciła nerw".

„Tak – przyznała Anna. – Rzeczywiście. Myślę, że bardzo cierpi. Tak się stara".

„Wiem, co z tym zrobić, i dlatego cię potrzebuję". – Duch nie dał się zniechęcić.

„Więc po prostu znalazłam się pod ręką?" – Anna zjeżyła się na samą myśl.

„Jeśli go kochasz, to mu pomożesz" – odparł duch.

„Jak mam to zrobić?" – Naprawdę chciała pomóc Edwardowi.

„Powiesz mu – zażądał duch – że rozmawiałaś ze mną. Że chcę, aby wygrał. Że podoba mi się jego gra. Że także cierpiałem z powodu urazów i



złych nawyków. Powiesz, żeby po prostu słuchał mnie, gdy gra. I rozluźnił ramiona. I zmienił palcowanie w trzeciej części, żeby wydobyć górne b".

„Nie mogę tego zrobić – odpowiedziała Anna. – Nie mogę mu powiedzieć, że z tobą rozmawiam. Nie rozumiesz, jaki jest dla mnie ważny? Nie rozumiesz, że uważa mnie za normalną?"

„Potrzebuje trochę zachęty – nalegał duch. – Więcej, niż ma jej od ciebie. Ucieszy się, że może się ze mną skomunikować. Że jest na dobrym tropie, jeśli chodzi o swoje interpretacje".

„Ale nie mogę mu powiedzieć, że z tobą rozmawiam. Nie rozumiesz? On myśli, że jestem normalna. Jeśli mu powiem, że rozmawiamy ze sobą, uzna mnie za wariatkę". Anna sama słyszała, że mówi jęśliwym tonem. No i dostrzegła absurdalność całej sytuacji – uważa, że jest normalna, siedząc w łóżku i spierając się z duchem.

„Proszę, daj mi spokój – poprosiła. – Pozwól mi spać".

„Możesz mu powiedzieć i zrobisz to – oświadczył stanowczo duch Mozarta. – Jeśli go kochasz, możesz i zrobisz to –powtórzył. – Bo inaczej już nigdy nie dam ci spokoju".

I nagle zniknął. W powietrzu przez chwilę rozbrzmiewała tylko ledwie słyszalna melodia.

Nikt mi nie uwierzy – przekonywała samą siebie, leżąc w łóżku. Przez „nikt" rozumiała Edwarda. A nawet gdyby uwierzył, że Anna rozmawia z duchami, to czy zdołałaby go przekonać, że zjawił się u niej Mozart? Sama ledwie mogła uwierzyć w wizytę tak znanego ducha.

I jeszcze jedno – pomyślała zrzędlawie – jak się teraz wyśpię? Nie była w stanie zasnąć znowu jak gdyby nigdy nic –nie po tej rozmowie ze znakomitym, nieznośnym gościem. Rozbudziła się już zupełnie. Było o

wiele za wcześnie, by zadzwonić do pani Murphy, a poza tym Anna wątpiła, by jej mentorka wsparła ją w konflikcie z Mozartem.

Jak mam powiedzieć Edwardowi, że rozmawiam z duchami? Z drugiej strony, jeżeli go kochała i chciała być wobec niego uczciwa, nie mogła tego uniknąć. Mozart pokładał zbyt dużo wiary – nie tylko w niej samej, ale także w Edwardzie –uznała Anna.

## 82

Następnego rana, z powodu nocnej wizyty, Anna przespała dzwonek budzika i o mały włos przespałaby telefon ojca. Obudziła się, słysząc jego głos, nagrywający się na automatyczną sekretarkę. Odrzuciwszy kołdrę, zsunęła się po drabinie.

– Tato? – Chwyciła słuchawkę i usłyszała, że sekretarka się wyłącza. – Tato? To ty?

Spojrzenie na zegar powiedziało jej, że musi wziąć wolne na żądanie. „Biedny Harold, będzie zmuszony znaleźć kogoś na zastępstwo”. Była już bardzo spóźniona. Dochodziło wpół do jedenastej. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zasnęła, i po chwili przypomniała sobie – aż zbyt dobrze.

– Jesteś tam? – zapytał ojciec. Mówił znowu dziarskim tonem jak kiedyś. Ciągnął dalej: – Twój brat mówi mi, że masz chłopaka.

– Niech go diabli porwą! – wybuchnęła Anna. – Nie mogę mieć życia prywatnego, czy co? Przepraszam, tato, powiedziałabym ci, ale to świeża sprawa.

– Zbyt świeża, żebyś przyjechała z nim na Boże Narodzenie?

– O wiele, o wiele za świeża – zapewniła go Anna, dodając: – Poza tym on staje do konkursu w pierwszym tygodniu stycznia i być może ja też nie przyjadę. – To była nowa wiadomość zarówno dla niej samej, jak i dla jej ojca. Dopóki te słowa nie wyszły z jej ust, sądziła, że pojedzie do domu. Teraz uświadomiła sobie, że marzy o świętach z Edwardem w Nowym Jorku.

– Wobec tego to poważna sprawa – zauważył ojciec. – Rozumiem, że chłopak ma otwarty umysł?

Ojciec próbował być taktowny. Anna doceniała jego delikatność, ale pogarszała ona tylko sprawę.

– Jeszcze mu nie powiedziałam – wyznała smętnie. Szczerłość nigdy nie wychodzi mi na dobre.

– Aha. Rozumiem. – Z tonu ojca wynikało, że uważał to za duży błąd. Oczywiście, że tak. Przecież sam woził ją co tydzień do pani Murphy. Akceptował jej umiejętności i zachęcał, by je rozwijała.

– Tylko nie praw mi morałów, tato – jęknęła Anna. – Alan już to zrobił. Grozi mi, że jeśli nie powiem Edwardowi, weźmie to na siebie. Na pewno ci opowiadał, że się z nim przyjaźni.

– To nie daje mu prawa, żeby mieszać się w twoje sprawy – odparł ojciec w sposób wyważony.

Anna mogła mieć nadzieję, że to samo powiedział Alanowi. Skończywszy rozmowę z ojcem, zadzwoniła do szkoły, żeby wziąć dzień wolny. Harold nie był zbyt zachwycony.

– Nie przespałaś nocy przez tego swojego faceta – zarzucił jej.

– Nie przespałam nocy – przyznała Anna.

– Przynajmniej zadzwoń dziś do Alexandra. I do Eleanor – Harold próbował wykorzystać okazję.

– Może zadzwonię.

Trzeba myśleć o czynszu – przypomniała sobie. Czowała się naciskana ze wszystkich stron.

– Halo! Alexander odebrał telefon już po pierwszym sygnale, gdy Anna zadzwoniła do niego do sklepu.

– Czy to Alexander? – zapytała.

– Oczywiście, że tak, nikogo innego tu nie ma – odparł gniewnie.

– Tu Anna, znajoma Harolda – przedstawiła się.

– A tak, znajoma Harolda. Bo z pewnością nie moja – rzekł Alexander.

– Od tygodni próbuję się z tobą skontaktować, a ty oddzwaniaasz tylko dlatego, że potrzebujesz pieniędzy.

– Tak, rzeczywiście, muszę opłacić czynsz – przyznała Anna.

Co za sens okłamywać jasnowidza?

– Miałem nadzieję, że możemy sobie pomóc na zasadzie barteru. Teraz jestem trochę bez forsy – powiedział Alexander. – Pomyślałem, że może chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o swoich sprawach sercowych, tak jak ja to widzę. Obawiam się, że zbliżasz się do wybojów na drodze.

– Naprawdę? – Anna wiedziała, że Alexander ją podpuszcza, nawet manipuluje nią, ale nie miała siły się opierać. Ze słuchawką przyciśniętą do ucha poczuła się prawie tak bezwolna jak kiedyś na widok Isis.

– Wiem, wiem, dlaczego tu nie przychodzisz. Ale jak sobie życzysz – uciał Alexander.

– Nie mogę przyjść z powodu węża.

– Masz problem z węzami?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała ostro Anna. Nic nie wskazywało na to, że szybko się zaprzyjaźnią.

– Harold mówił, że możesz mi pomóc. – Alexander nagle, zmienił temat. – Powiedział, że zgodzisz się spotkać ze mną, ostatni raz.

Ten Harold – pomyślała Anna. – On i to jego ciągle pośrednictwo. Radziłabym sobie lepiej bez niego. Z drugiej strony, byłabym bez grosza przy duszy.

– Gdzie chcesz się spotkać? – zapytała Alexandra. – Ty masz węza, a ja... – urwała – inne sprawy, które muszę brać po uwagę.

– Twoja cenna prywatność? Harold mówił mi o tobie i twoich sekretach.

– No dobrze, wobec tego przyjdź. Ale jeśli będzie u mnie ktoś, gdy przyjdiesz, trzymaj buzię na kłódkę.

Postępuję wbrew zdrowemu rozsądkowi – pomyślała Anna przelotnie. Otworzyła okno trochę szerzej, by usłyszeć, jak Edward gra. Powitała ją jednak cisza. Cisza i odległy dźwięk syren. Ach ten Nowy Jork.

Alexander przyjechał w ciągu czterdziestu pięciu minut. Anna nacisnęła guzik domofonu i chwilę później wpuściła gościa do mieszkania. Na razie spokój – stwierdziła – ale jak długo tak będzie?

– Wejdz, usiądź i zacznijmy – zarządziła, popychając Alexandra w kierunku kącika do czytania.

– Nikt nas nie nakryje – nagle powiedział Alexander. – To nie ja stanę się przyczyną twoich kłopotów.

– Kłopotów? – zapytała Anna.

Serce zamarło jej w piersi. Była na to przygotowana.

– Kłopotów – powtórzył Alexander. – Wybojów. Widzę ochłodzenie, rozstanie. Jakoś z tego wyjdiesz. Widzę też oszustwo. Z twojej strony albo jego. Nie potrafię powiedzieć.

– Dość już o mnie – przerwała mu Anna. – Usiądź i przystąpmy do rzeczy.

Czuła, że jakiś duch jest gotowy do przyjścia. Jego myśli krążyły już nad nią jak samoloty próbujące wylądować na La Gardii. Alexander usadowił się na kozetce. Tylko nie na sprężynie – pomyślała Anna.

„Mówiłem ci” – powiedział Annie do ucha jakiś głos. Powtórzyła więc to zaczepne zagajenie.– Tak, mówiłeś – odparł Alexander potulnie. – I po raz pierwszy miałeś rację.

„Prawie zawsze miałem rację” – odciął się głos. Krzywiąc się, Anna dalej tłumaczyła coraz bardziej zapalczywe uwagi. Głos należał do zmarłego partnera Alexandra, Jaya.

Tak, rzeczywiście – nieoczekiwanie przyznał Alexander. – Dlatego tu jestem.

„Co to znaczy: »dlatego tu jestem?«” – zapytał Jay. Anna posłusznie powtórzyła pytanie.

– Jestem tu, aby cię przeprosić, aby powiedzieć, że przemyślałem sprawy. Miałem ostatnio dużo czasu na refleksje... –Alexander urwał.

„Bo sklep świeci pustkami?” – zadrwił duch Jaya. Anna powtórzyła tę złośliwość.

– Owszem – nie wypierał się Alexander. – Nikt do niego nie zachodzi. Kiedyś wpadało dużo ludzi, pamiętasz?

„Pamiętam dobrze” – odparł Jay niemal przyjaźnie. Anna przekazała jego słowa i zmianę tonu.

„Ale to było, zanim sprowadziłeś tego cholernego węża” – przypomniał duch, znowu podnosząc głos.

Anna skwapliwie powtórzyła tę opinię. Nie mogła się z nią nie zgodzić.

– Ale Isis to moje jedyne towarzystwo – jęknął Alexander. – Prawdę mówiąc, po twojej śmierci byłem bardzo samotny.

„Waż to tylko symbol falliczny, nie może mnie zastąpić” – syknął Annie do ucha duch Jaya.

Wtedy zadzwonił prywatny telefon Anny. Telefonował Edward.

„Wiem, że nie ma cię w tej chwili w domu, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że próbuję sobie zrobić dzień przerwy i już nie mogę wytrzymać. Jeśli odsłuchasz wiadomości, zadzwonisz do mnie? Moglibyśmy pójść razem na lunch czy coś takiego. Tu Edward” – dodał zupełnie niepotrzebnie.

– To on? – zapytał Alexander. – Mówiłem ci, że się poznacie.

– Tak, rzeczywiście – mruknęła Anna. – Ale teraz zajmijmy się tobą.

Duch trajkotał jej do ucha, a ona przekazywała jego uwagi Alexandrowi.

– Jay mówi, że przede wszystkim... bo ma na imię Jay, prawda?

– Tak – odparł Alexander. Anna ciągnęła dalej:

– Więc Jay mówi, że przede wszystkim musisz dobrze oświetlić sklep z zewnątrz. Trzymaj węża w domu, jeśli już musisz, ale nie zabieraj go do sklepu. W witrynie powinny być kwiaty. Kryształki sprzedają się lepiej niż pentagramy – te ładne kryształki z kwarcu na drobnych łańcuszkach. Koszulki muszą być pastelowe, nie czarne, a rytualne noże trzeba usunąć z widoku, może umieścić gdzieś z tyłu. Czytanie z kart tarota to niezły pomysł, ale

powinieneś też sprzedawać *Runy* Ralpa Bluma. Wtedy ludzie sami mogliby stawiać sobie karty. Cały trik polega na tym, by uprzystępnąć białą magię. A może by pomalować ściany na lawendowy kolor zamiast czarnego? Jeśli czujesz się samotny, kup sobie rybkę. Najładniejsze są akwaria ze słońcą wodą.

Ku zdziwieniu Anny Alexander wydawał się przyjmować sugestie Jaya z aprobatą. Nawet sięgnął po kartkę oraz długopis i notował. Kiedy Anna zamilkła, uniósł spojrzenie i w jego oczach były łzy.

– Chciałbyś jeszcze coś powiedzieć? – zapytała go.

– Tylko to, że za nim tęsknię – odrzekł Alexander.

– Sam możesz to zrobić – zauważyła Anna.

– Tęsknię za tobą – rzucił w przestrzeń Alexander. – Bardzo za tobą tęsknię.

Ze względu na finansowe tarapaty Alexandra Anna nie wzięła od niego wynagrodzenia za sesję. Nie przyjęła też oferty wymiany barterowej. Zaczęła odczuwać lęk, mrozący ją jak powietrze skrzydła samolotu. Co miał na myśli, mówiąc „wyboje”, „kłopoty” – co miało znaczyć „rozstanie”? Przecież dobrze nam ze sobą – myślała Anna niechętnie. – Bo tak jest, czyż nie? Nagle przez okno doszło ją kilka urywanych dźwięków fortepianu. Brakowało im zwykłej płynności, werwy połączonej z pogodą. Mogłabym do niego zadzwonić – przyszło jej na myśl. – Poszlibyśmy razem na lunch. Może dzięki temu Edward by się trochę rozweselił. Wykręciła numer jego telefonu. Ale Edward nie odbierał.

Eleanor natomiast, owszem, odebrała. Kiedy Anna się przedstawiła, kobieta zaśmiała się radośnie.

– Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała zbita z tropu Anna.



– Harold mówił mi, że zadzwoni dziś pani do mnie – odparła Eleanor.  
– Powiedziałam mu, że czas ucieka. Urządzam przyjęcie dziś wieczorem. Pani honorarium wynosi tysiąc dolarów. Potrzebuję pani tylko na godzinę.

– Aha – wydusiła Anna.

Kochany Harold! Postanowiła, że zje lunch z Edwardem, a potem czymś się wymówi. Jej prywatny telefon zadzwonił ponownie. Był to Edward, który robił dziwnie żalodne wrażenie.

– Mógłbym przyjść do ciebie na minutkę? – zapytał.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała. Otworzywszy drzwi, niemal natychmiast zatrzasnęła je

Edwardowi przed nosem. Tuż za nim stał bowiem piekielny duch. Kiedy Edward wszedł do środka, duch natychmiast ruszył za nim. Anna rzuciła mu znaczące spojrzenie.

– Jestem w rozsypance powiedział smutno Edward. – Nie potrafię grać. Zaczynam myśleć, że nie powinienem w ogóle stawać do konkursu. Zawiodę wszystkich.

„Nie widzisz, że to bardzo poważna sprawa? – zapytał duch. – On chce się wycofać!”

– Zaparzę ci herbaty miętowej – zaproponowała Anna.

Edward usiadł na kozetce. Duch podążył za nią do małej kuchni.

„Chyba rozumiesz, że musisz coś zrobić, prawda? – nie dawał jej spokoju. – On potrzebuje czegoś więcej niż szklanki mrożonej herbaty. Czegoś, czego mógłby się uchwycić. Daj mu trochę nadziei. Powiedz mu o mnie. To byłby z twojej strony wyraz miłości”.

– Nie! – głośno powiedziała Anna.

– Co takiego? – zapytał Edward z pokoju.

Anna wróciła do niego, niosąc szklanę herbaty, którą przyjął chętnie i natychmiast popił nią advil.

– Zamieniam się w lekomana – zażartował ponuro.

– Chyba nie myślisz poważnie o wycofaniu się? – zapytała. Usiłowała wyobrazić sobie życie Edwarda bez muzyki.

„Pewnie, że myśli o tym poważnie. To byłaby katastrofa” – wtrącił duch.

– Jeśli się wycofam, to przynajmniej nie przyniosę nikomu wstydu: panu Mayakovsky'emu, państwu Oliverom...

– Musi cię naprawdę boleć – zauważyła Anna ze współczuciem.

– Nie chodzi o ból. Z bólem mogę żyć. Najbardziej dobija mnie to, jak gram.

„I mnie też!” – dorzucił duch.

– Zrobię ci kanapkę – zaoferowała Anna. Czuła się strasznie przyziemna.

– Powiniennem jeść – przyznał Edward. – Gdy gram, zapominam o jedzeniu.

– Tuńczyk z ryżem? – Anna wycofała się do kuchni, gdzie znowu zaatakował ją duch.

„Och, na miłość boską! Jesteś niemożliwa. Nie widzisz, że on potrzebuje czegoś więcej niż tylko kanapki? – Duch był wściekły. – Przestań bawić się w dom! Daj mu coś, na czym mógłby się oprzeć. Zrób, o co proszę”.

„Zostaw nas w spokoju!” – nakazała Anna gościowi.

„Żeby grać piękną muzykę, trzeba mieć coś więcej niż tylko kochającą osobę!”

Anna przyniosła Edwardowi kanapkę na jednym ze swoich najładniejszych talerzy. On jednak ugryzł kęs, a potem odstawił talerz.

– Właściwie nie jestem głodny – powiedział żałośnie. – Lepiej wróć do fortepianu.

– Bądź dla siebie wyrozumiały – poprosiła Anna. Edward tylko zmarszczył czoło.

– Nieważne. Do zobaczenia wieczorem. – Zamknął za sobą drzwi.

„Wielkie dzięki – syknął duch. – Jesteś gorsza niż arcybiskup Hieronim. Gorsza niż publiczność wiedeńska”.

„A co to znowu ma znaczyć?” – Anna poczuła się obrażana.

„Odrzucili moje *Wesela Figara* i teraz ty odrzucasz mnie!” „Owszem. A sio!”

„Musiałem pojechać do Pragi, żeby zostać doceniony. D Pragi!” Nawet po kilku wiekach duch był mocno rozgniewany.

„Więc w tym wszystkim chodzi o twoją osobę?” „Chodzi o muzykę”. „Której ty jesteś rzecznikiem?” „Wiele osób tak by powiedziało, żebyś wiedziała”. I zniknął.

## 83

Anna zastanawiała się, czyby nie zadzwonić do pani Murphy, ale wiedziała, co usłyszy. „Uczciwość to najlepsza polityka” czy coś w tym stylu. Mogła też zatelefonować do Stacy i zwierzyć się jej, lecz uznała, że byłoby nietaktowne wymagać natychmiastowej rady w tak skomplikowanej sprawie. Słyszając rozpoczynane i przerywane utwory, których dźwięki

dochodziły z dołu, Anna zauważyła, że dziwnie współgrają z jej smutnym nastrojem.

– Muszę pomedytować – powiedziała sobie. – Muszę się wyciszyć i skupić.

Usadowiwszy się na kozetce, zamknęła oczy i przywołała przed oczy znajomy obraz koi. Ale zamiast zobaczyć pogodną oazę, której potrzebowała, stwierdziła, że widzi zrozpaczoną twarz Edwarda. W jej wyobraźni przybrał on rysy umęczonego świętego bizantyjskiego. Biedny Edward!

Jak mogę mu pomóc? – Anna stwierdziła, że się modli. „Proszę, pokieruj mną”. Ale miała mętlik w głowie i żadna pomoc nie nadchodziła. Powierzchnia jej koi była wzburzona, a woda mętna. Nie widać w niej było żadnych rybek. Przed Anną roztaczała się tylko mroczna toń. Dlaczego ten mój romans musi być taki skomplikowany? Dlaczego nie może być pogodny i zabawny jak w tych wszystkich książkach i filmach?

Przenikliwie zadzwonił telefon. Anna odczekała, aż włączy się automatyczna sekretarka. Usłyszała głos Tommy'ego, który lekko się z nią przekomarzał.

– Anno, Anno, wyjdź się pobawić – zaczął namawiać. Pod wpływem impulsu podniosła słuchawkę.

– Tommy?

– Poznajesz mnie po głosie. To już coś.

– Masz bardzo charakterystyczny głos, zwłaszcza gdy próbujesz mnie uwieść.

– Kto tu mówi o uwodzeniu? Po prostu proponuję, żebyś wyszła się pobawić.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Bo nie mogę. – W jej głosie brzmiał smutek i sama to słyszała.

– Ależ co ty mówisz! Możesz, możesz.

– Zaraz przyjdę – szepnęła. – Daj mi jakieś dziesięć minut. Anna poprawiła makijaż i przeczesła włosy. Narzuciła

swój tweedowy płaszcz i owinęła szyję szalikiem. Do Westside Aquarium miała zaledwie pięć przecznic. Przybyła zdyszana, jakby uciekała przed samą sobą.

– Anna Banana – rzucił na powitanie Tommy. Ucałował ją w oba policzki, a potem odsunął na odległość ramienia. – Nie wyglądasz zbyt dobrze – orzekł. – Wydajesz się zgnębiona.

– Jestem zgnębiona – wyznała. – Zgnębiona, nieszczęśliwa i potrzebuję życzliwej osoby.

– Aż tak kiepsko? – Tommy poczęstował ją cukierkiem z koszyka na ladzie. Anna odwinęła cukierek i włożyła go do ust.

– Mmm, pyszny – zażartował Tommy. – A teraz opowiedz mi o wszystkim.

– Nie mam ochoty opowiadać o wszystkim – zaprotestowała.

– No to pozwól, niech zgadnę. Problemy z nim.

– Niecałkiem.

– Wszystko na to wskazuje. Wyglądasz na taką nieszczęśliwą, że to musi być miłość.

– Och, Tommy! Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane?

– Co jest skomplikowane? Lubisz go. On, zdaje się, lubi ciebie. To chyba jest to szczęście, o które nam chodzi, nie? – Tommy rozłożył ręce.

- Nie. Nie wydaje mi się... – Anna nie dokończyła.
- Chcesz zobaczyć nowego discusa? Jest dziwny. – Tommy zaprowadził ją do pobliskiego akwarium. Pływała w nim smętnie jedna duża rybka.
- Wygląda na samotną – zauważyła Anna. – Powinieneś dokupić jej partnera.
- Naprawdę niedobrze z tobą – mruknął Tommy.
- Co sobie pomyślałeś – zapytała – gdy dowiedziałeś się, że rozmawiam z duchami?
- Że to super. Pomyślałem, że ty jesteś super. Wciąż uważam, że taka jesteś i że ze mną miałabyś o wiele mniej problemów niż z tym twoim facetem. – Tommy położył jej rękę na ramieniu, ale ją strząsnęła.
- Przestań, Tommy. Już to przerabialiśmy. Jesteśmy przyjaciółmi.
- No dobrze, niech ci będzie. Jako twój przyjaciel sędzę, że to super, że rozmawiasz z duchami, i na pewno każdy by tak sądził. Nawet on. O to chodzi, prawda? Nie powiedziałaś mu.
- Nie. Wciąż czekam na odpowiedni moment. – Nawet w jej odczuciu zabrzmiało to nieprzekonująco.
- I ty uważałaś, że postąpiłem nieładnie, szperając w twojej torebce! – żartobliwie zarzucił jej Tommy.
- To zupełnie co innego – zaprotestowała Anna.
- Wcale nie. Oszukujesz go. Wiem, że nie takich słów ode mnie oczekujesz, ale taka jest prawda. – Tommy zaczął przecierać front najbliższego akwarium. Zanucił przy tym coś Rodgersa i Hammersteina.
- Masz jeszcze jakieś nowe rybki? Zmieniam temat. — Anna poczęstowała się kolejnym cukierkiem z koszyka. Bardzo jej smakował.

– Dobra, temat zmieniony – zgodził się Tommy. – Jest nowy bojownik. Szkarłatny. Bardzo mocny w wyrazie.

– Ty jesteś mocny w wyrazie – zażartowała z niego Anna. – Ciii, ciii. Nie mówimy o mnie.

Tommy miał słuszność. Problemem Anny był bowiem w gruncie rzeczy brak charakteru. Tak naprawdę w całej sprawie nie chodziło o to, czy Edward zaakceptuje jej powołanie. Chodziło o to, czy ona sama jest na to gotowa. Ta refleksja jeszcze tylko pogłębiła jej nieszczęście.

– Załatwiłeś ostatnio jakieś rybki? – zapytała opryskliwie.

– Bałem się, że o to zapytasz.

– Co się stało?

– Molinezje. Załatwiłem pół akwarium molinezji. Reszta wciąż przebywa w izolatce.

– Ja powinnam się znaleźć w izolatce. – Anna zauważyła, że się żali.

– Powinnaś być uczciwa.

– Kto mianował cię Bogiem?

– Zapytałaś mnie o zdanie.

– Rzeczywiście. Zapytałam.

Po tych słowach Anna odwróciła się, żeby popatrzeć na mieczniki. Było ich jakby mniej.

– Co się stało? – zapytała.

– Za dużo amoniaku – odparł Tommy. – Nie chciałem ci mówić.

– Więc naprawdę uważasz, że powinnam mu powiedzieć? – zagadnęła znowu.

– Uważam, że powinnaś poczekać tu, aż zamknę, i pójść ze mną do mnie. Złamiemy twoją zasadę „zero alkoholu” i wypijemy po parę

kieliszków schłodzonego chablis. Potem wyswobodzę cię z tej ślicznej sukienki vintage, którą masz na sobie, i jak się ze mną prześpisz, wszystko zobaczysz w nowym, różowym świetle. Nie chcę się chwalić, ale jestem w łóżku fantastyczny.

– Tak po prostu? – zapytała Anna.

– Tak po prostu. Nie wszystko musi być na serio. Kto powiedział, że trzeba cierpieć z miłości?

– Chcesz powiedzieć, że ty nie cierpisz?

– I ty ze mną też nie będziesz. No, Anno. Idź do Starbucks, wypij cappuccino, a kiedy wrócisz, będę już zamykał.

Anna poszła do Starbucks, gdzie zamówiła frappuccino z podwójną ilością kawy. Było tuczące, ale nie miała ochoty przestrzegać zasad zdrowego rozsądku. Wszystko na to wskazywało. Była na prostej drodze, żeby paść w ramiona Tommy'emu. Kiedy wróciła do sklepu akwarystycznego, właśnie zamykał drzwi na trzy zamki.

– Masz cudowną minę kobiety, która właśnie zamierza dać się zaciągnąć do łóżka – zauważył z uśmiechem.

– Wielkie dzięki. To bardzo zachęcające. – Anna dźgnęła go palcem w zębra.

Tommy wyciągnął ramiona i objął ją mocno.

– Nie mogę oddychać! – zaprotestowała.

– Oddychanie jest przereklamowane. Dobra, chodźmy. – Pobrząkując kluczami, Tommy otworzył drzwi tuż obok po prawej stronie. – Wejdz – zaprosił ją do środka. – Jak powiedział pająk do muchy.

– Mieszkasz tutaj? Nad sklepem? To duża wygoda.

– Lubię wygodę.



Tommy poprowadził ją wąskimi schodami na górę. Minęli pierwsze piętro, potem drugie i trzecie. Gdy Anna miała już wrażenie, że nie da rady pokonać następnego stopnia, dotarli na czwarte piętro, na samym szczycie.

– Nie ma jak w domu – powiedział Tommy uroczyście.

Odemknął lakierowane na czarno drzwi i wprowadził ją do mieszkania urządzonego we wszystkich odcieniach szarości. Efekt był dziwnie kojący, jakby Tommy sam żył pod wodą, w akwarium pełnym cieni.

– Najpierw zdejmę ten twój ładny płaszcz, który nadałby się na derkę dla konia.

– Dzięki. Ja go lubię. Traktuję go jako okrycie na „przechadzki po wrzosowisku”.

– A tak. Rzeczywiście, mamy tu wiele wrzosowisk.

Anna pozwoliła mu wziąć płaszcz i nagle poczuła się bez niego bezbronna, odsłonięta. Usiadła na szarej kanapie zarzuconej poduszkami.

– To miejsce przypomina kryjówkę – zauważyła.

Tommy przeszedł przez pokój do minibaru i zabrał się do otwierania butelki wina.

– Na pewno nie jesteś alkoholiczką? – zapytał przez ramię.

– Myślę, że wiedziałabym o tym – odcięła się.

– No to dobrze. Bo zamierzam cię upić tym chablis. A gdybyś była alkoholiczką, nie chciałbym brać cię na swoje sumienie.

– A więc masz sumienie?

– Och, tylko odrobinę. – Tommy odwrócił się z kieliszkami w dłoniach. Podszedł do kanapy i podał jej wino.

– Twoje zdrowie, Anno. Za to, że wreszcie uległaś mojemu zgubnemu urokowi.

– Nie podoba mi się słowo „zgubny” – zauważyła Anna, myśląc o biseksualizmie Tommy'ego i o tym, że Hughie umarł na AIDS.

„Bądź ostrożna” – ostrzegła ją Stacy.

– Och, powiedziałem to tylko dla efektu – odparł lekko Tommy. – W gruncie rzeczy jestem bardzo przezorny i cieszę się, że tu jesteś. Widzisz, jakie to łatwe? Pij po prostu wino i pozwól mi zająć się tobą.

– Naprawdę zgodziłam się na coś takiego?

– No jasne, że tak. Przecież przyszedłeś tu ze mną.

– Tylko na chwilę – sprzeciwiła się Anna. – Na kieliszek wina.

– Tak zawsze się mówi. – Tommy się zaśmiał. Uniósł kieliszek. – Za wspaniałą sztukę uwodzenia. Chyba minąłem się z powołaniem.

– Czyli?...

– Hughie mówił, że byłaby ze mnie świetna kurtyzana. Mówiłem ci, że mam to mieszkanie po nim?

„Co ty robisz? – Anna usłyszała znajomy głos Mozarta. – Nic cię z tym mężczyzną nie łączy. Jesteś już zajęta, pamiętasz?”

„Raczej mogłabym zapytać, co ty tu robisz? Szedłeś za mną! Mam chyba prawo do odrobiny prywatności?”

– Pocałuj mnie – Tommy poinstruował Annę, zajmując miejsce obok niej na kanapie.

– Nie mogę cię pocałować – zaprotestowała Anna. – Masz kolczyk w wardze i nie wiem, co z nim zrobić.

Tommy nachylił się ku niej i zaczął gładzić ją po szyi.

– Nauczysz się. To nawet bardzo erotyczne. Poczula zimne dotknięcie jego kolczyka. Odsunęła się.

– Co z tobą, Anno Banana? – zapytał Tommy. – To ja. Twój przyjaciel Tommy. Niegroźny półpedał.

Anna zaśmiała się, słysząc to określenie.

„Ona kocha kogoś innego. O to chodzi!” Tym razem głos był donośniejszy. Jasne – duch Mozarta zmaterializował się w pobliżu minibaru. Miał trochę przekrzywioną perukę i niechlujnie pozapinaną kamizelkę, jakby sam dopiero co wstał z łóżka. „Przyznaję, że Edward jest trudny, wrażliwy i trzeba się z nim delikatnie obchodzić, ale nie sądzisz, że trochę przeciągasz strunę?”

„A ty nie sądzisz, że wtrącasz się w nie swoje sprawy? Zostaw nas samych”.

– Anno Banana? Odebrało mi mowę? Napij się. Czas na dragi kieliszek. – Tommy wziął do ręki butelkę.

„Już jej wystarczy. Źle znosi alkohol”. – Duch mówił tak, jakby Tommy mógł go usłyszeć.

Anna ze złością zwróciła się do ducha: „Jeśli to ma być aluzja do tego, że przespałam się z Edwardem, to wiedz, że poszłam z nim do łóżka także na trzeźwo”.

– No, wypij. Tylko pół kieliszka – namawiał Tommy.

– Nie, dziękuję, dziękuję – wykrztusiła z siebie Anna.

Wysunęła się z objęć Tommy'ego. Siedział tuż obok niej i pachniał drogą, świetną wodą kolońską. Nagle Anna poczuła, że tęskni za Edwardem, który pachniał przeważnie mydłem Dial. Edwardem, który uwodził, będąc po prostu sobą, Edwardem, który... O Boże, naprawdę była w nim zakochana. Co, u diabła, robiła tu z Tommym?

– Wracaj do mnie, wracaj, dokądkolwiek odpłynęłaś – nakłaniał Tommy.

Anna odstawiła kieliszek z winem na stolik do kawy. Dobra, niech będzie, obecność ducha może posłużyć jej jako wymówka.

– W ostatnich dniach prześladowuje mnie pewien duch – powiedziała Tommy'emu. – Jest tu teraz i czuję się trochę skrepowana. – Mozart uśmiechnął się pogardliwie z dalszego końca pokoju. – Myślę, że seks nie należy do sportów widowiskowych.

– Duch? Och, to komplikuje sprawę – zauważył z zachwytem Tommy.  
– Jest straszny?

Uniósł rękę, żeby przyciągnąć Annę do siebie, ale ona zeszywniała. Mozart pokręcił głową w peruce.

– Tylko jeden mały pocałunek – poprosił Tommy. – Taki maleńki, że nawet nie zauważysz.

Anna poczuła, że odstręczają ją jego zabiegi. Myślała już jedynie o Edwardzie. Takie przygodne romanse są nie dla niej.

Zeszywniała w ramionach Tommy'ego. Och Edwardzie, och Edwardzie. Jak mogłam?

– Tommy, nie powinnam była tu przychodzić – wypaliła. – Podpuściłam cię. Sama siebie podpuściłam – wyjaśniła. – Tak naprawdę w moim życiu jest ktoś inny. Ktoś, na kim mi zależy – nawet jeśli wiąże się to z trudnościami.

– Czy to znaczy „nie”? Będę chyba potrzebował jeszcze jednego kieliszka wina, żeby to znieść.

– Jesteś przemiły – ciągnęła Anna.

– No właśnie. Pocałunek śmierci. „Przemiły!” Jak możesz patrzeć na faceta z moją muskulaturą, moją ogoloną głową, moim piercingiem i mówić, że jestem przemiły?

„Możemy już stąd pójść? Jeśli się nie mylę, jesteś umówiona na kolację i powinnaś jeszcze przeczesać włosy!” Mozart ruchem głowy wskazał płaszcz Anny. „Idziemy. Komu w drogę, temu czas. Jesteś już prawie spóźniona”.

Anna sięgnęła po płaszcz.

## 84

Edward przyszedł do greckiej restauracji o siódmej wieczorem, ich zwykłej porze; wyglądał blado i mizernie. Skrzywił twarz, wsuwając się do przedziału. W karcie tego dnia mieli pieczeń rzymską, jego ulubione danie, ale – powiedział Annie – stracił apetyt tak samo jak zdolności muzyczne. Nie musisz mi mówić – pomyślała Anna – słyszałam przez cały dzień. Łykał advil jak ememesy – ciągnął dalej – bo tak poradził mu lekarz medycyny sportowej, znajomy pana Olivera. Próbował już akupunktury, hipnozy i masażu głębokotkankowego. Urazu nie dało się wyleczyć i on, Edward, grał do bani. Jeśli wolno mu się tak wyrazić.

– Jak na bani – zażartowała Anna, ale natychmiast tego pożałowała. Edward był śmiertelnie poważny i aż blady z bólu. Wyglądał jeszcze gorzej niż po południu.

– Może naprawdę powinienem sobie odpuścić – mówił. – Jeśli stanę do konkursu, tylko się ośmieszę. W takim stanie jestem do niczego. – Wyjaśnił, że kontuzja ogranicza mu swobodę gry; a z powodu braku swobody staje się

jeszcze bardziej spięty. – Tracę kontrolę – tłumaczył dalej. – Im bardziej jestem spięty, tym gorzej gram; a im gorzej gram, tym bardziej jestem spięty. To zamknięte koło.

– Mógłbyś się wycofać? – zapytała Anna. – Twoje zdrowie jest chyba najważniejsze?

– Nie zaczynaj znowu – oburzył się Edward. – Nie zrezygnuję po tych wszystkich przeszkodach, jakie pokonałem.

– Ale dlaczego nie? – Anna nie dawała za wygraną.

– Bo nie, i już. Nie chcę, żeby uważano mnie za nieodpowiedzialnego. Taki uraz bywa jak stygmat. Nie mogę sobie na to pozwolić. A poza tym... Nie wycofuję się. Tylko powiedziałem, że może powinienem to zrobić.

Anna nigdy nie widziała, żeby Edward był tak podłamany – czy zły. Bała się powiedzieć coś więcej, więc tylko pół-szeptem złożyła u George'a zamówienie, tak że nie dosłyszał i poprosił, żeby powtórzyła głośniej. Zamówiła spanakopitę i sałatkę grecką, chcąc tylko coś przegryźć; ona także straciła apetyt.

Gdybym mogła wyrazić jedno życzenie gwiazdkowe – pomyślała ze smutkiem – chciałabym, żeby Edward wrócił do swojej szczytowej formy, żeby grał jak dawniej. Kiedy przyszła do domu po nierozsądnym spotkaniu z Tommym, zaczęła przysłuchiwać się grze Edwarda i wyłapywać różne potknięcia, zmiany tempa. Nuty dochodzące przez okno zdawały się przepelnione bólem.

– Przepraszam, że jestem takim beksą – powiedział Edward, gdy mieszały przyniesione sałatki. – Ale jestem przygnębiony. — Nie musiał mówić. Widać to było po nim, na<sup>w</sup>et głos miał smutny.

– To rozumiałe – Anna usiłowała go pocieszyć. – Cierpisz.

Dlaczego wszystko, co mówiła, brzmiało tak banalnie? Dlaczego czuła się bezradna, niezdolna pomóc komuś, kogo kocha? A kochała Edwarda, nawet jeśli Tommy przez chwilę wydawał jej się kuszącą, bezproblemową odskocznią. O mały włos popełniłaby błąd.

– Chcesz powiedzieć, że słyhać to w mojej grze? – Edward nigdy do tej pory nie pytał tak bezpośrednio. Anna wiedziała, że nie ma sensu omijać tej kwestii.

– Właściwie tak – odparła, czując, że wkracza na grząski teren.

Zapadła między nimi ponura cisza. Najpierw była niezręczna, a wkrótce stała się nie do zniesienia.

– Nie chciałbym, żebyś mnie okłamywała – w końcu stwierdził Edward. – W gruncie rzeczy nie wytrzymałbym tego. – Zanurzył twarz w dłoniach i Anna pomyślała przez chwilę, że ukrywa przed nią łzy złości i frustracji.

Gdybym tylko mogła pomóc – pomyślała. – Gdybym wiedziała, co zrobić. Wtedy uświadomiła sobie, że może wie. „Powiesz mu” – nakazał jej Mozart. – Cholerny Mozart. Zrozumiała teraz, że miał rację. „Co takiego powiedział Alexander? Wyboje na drodze, ochłodzenie, rozstanie – ale jeśli go kocham, to czy mam wybór?”

Odsunęła od siebie sztućce, solniczkę i pieprzniczkę, jakby chciała zrobić miejsce dla swoich myśli. Wbrew sobie samej, wbrew zdrowemu rozsądkowi, uświadomiła sobie, że nadszedł moment prawdy. Jeśli kochała Edwarda, a wiedziała, że kocha, nie miała innego wyjścia.

– Edwardzie – zaczęła – jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Słyszając jej poważny ton, Edward ze zdziwieniem uniósł głowę.

– Okłamywałam cię, to znaczy w pewnym sensie. Chodzi o to... – Straciła odwagę, ale za chwilę ją odzyskała. – Nie jestem zwykłą, miłą młodą kobietą, za jaką mnie uważasz.

– Jak mogłabyś nią nie być? Skoro ja ci się podobam... –zażartował słabo Edward. – Przynajmniej tak sędzę. Jest jakiś „drogi John”? Jeśli tak, to miejmy to już za sobą.

– Chodzi o to... że rozmawiam z duchami – wypaliła Anna. – Tym zajmuję się wieczorami. Nie pracuję w handlu nieruchomościami, tylko porozumiewam się z zaświatami.

– Z zaświatami? – powtórzył Edward bezbarwnie.

– Tak.

Jej wyznanie jakby zawisło w powietrzu. Anna czuła się, jakby przekazała je przez megafon. Zapadła długa cisza. Dostali swoje dania, Edward pieczeń rzymską, a ona – spinakopitę. George postawił cicho talerze, wiedząc, że przeszkadza w poważnej rozmowie.

– Rozmawiasz z duchami – powtórzył Edward. Mówił przezornie spokojnym obojętnym tonem, jakby Anna powiedziała: „Kochanie, masz tarantulę na ramieniu”, a on nie chciał przestraszyć pająka. Nie wyraził niedowierzania – nic w tym rodzaju. Był całkiem spokojny – zbyt spokojny. – Rozmawiasz z duchami – powtórzył.

– Tak. Od czasów wczesnego dzieciństwa. Zarabiam tym na życie. Bałam ci się do tego przyznać – Anna trajkotała teraz jak najęta. – Widzisz, jestem medium. Chodzi o działalność spirytystyczną, nie rozmiar – zażartowała nerwowo. – To dar – pospiesznie kontynuowała. – Mam go od czasów, gdy byłam mała. Rozmawiam z duchami.



– Już to powiedziałaś – zauważył łagodnie Edward i skupił swoją uwagę na pieczeni. Starannie pokroił ją na małe kęsy. Sprawiał wrażenie, jakby rozważał to, co wyznała mu Anna.

– Duchy – rzekł w końcu. – Masz na myśli zmarłych?

– Formalnie rzecz biorąc, duchy, ale to rzeczywiście zmarli. Jestem czymś w rodzaju radia czy telefonu. – Anna smętnie grzebała w spanakopicie na talerzu.

– Jak to się stało, że nic nie zauważyłem?

– Bo ukrywałam to przed tobą – przyznała Anna z rosnącą paniką. – Bo nic ci nie powiedziałam. Bo nie... – urwała.

– Nie miałaś do mnie zaufania? – zapytał Edward. Patrzył na nią chłodno i obojętnie. Anna oblała się szkarłatem. Zdemaskował ją. Rzeczywiście, była to kwestia charakteru – czy jego braku, jak przypuszczała. Mojego czy Edwarda? – zastanawiała się.

– Cóż. – Edward się zaśmiał. – To rzeczywiście stawia wszystko w innym świetle. Co znaczy taki drobiazg jak konkurs pianistyczny w porównaniu z wiecznością?

– Ależ wręcz przeciwnie – wybuchnęła Anna. – Znaczy bardzo wiele. Nawet Mozart tak myśli. Powiedział mi, że zależy mu, abyś wygrał.

– Mozart ci powiedział? – Edward próbował bezskutecznie powściągnąć uśmiech.

Anna wiedziała, że jej słowa zabrzmiały śmiesznie. Kto by uwierzył, że przychodzi do niej tak sławny duch?

– Tak – wyjaśniła. – Odwiedza mnie Mozart. Zwykle nie kontaktują się ze mną tak sławne duchy, ale on przychodzi do mnie już od jakiegoś czasu. Z twojego powodu – dodała szybko.

– Z mojego powodu? – Niedowierzenie Edwarda było wręcz namacalne.

– Powiedział, że jesteś najlepszy – ciągnęła Anna. – Że uwielbia, jak grasz jego muzykę. Kazał ci powiedzieć, że z nim rozmawiałam i...

– Bardzo ciekawe – mruknął Edward z cieniem ironii. – Coś jeszcze? Anna, która czuła się coraz głupiej, zaczęła się jąkać.

– Chce, żebyś się odprężył i słuchał jego rad. Powiedział poza tym, że sam miał złą postawę podczas gry i że twój nauczyciel, pan Mayakovsky, ma rację co do twoich ramion. I że musisz zmienić palcowanie, aby uzyskać górne b w trzeciej części.

– Mozart chce, żebym rozluźnił mięśnie ramion i zmienił palcowanie – powtórzył Edward.

Taktownie nie okazał sarkazmu. A może był tylko ostrożny, teraz, gdy już wiedział, że je kolację z wariatką. Anna wbiła wzrok w talerz. Oczywiście, jej spanakopita już wystygła, a na sałatkę grecką w ogóle nie miała ochoty. Przeklęty Mozart, niech go diabli porwą. Edward zareagował tak, jak się obawiała: uprzejmie i z niedowierzaniem. Kpina i odrzucenie przyjdą później.

– Rozmawiasz z Mozartem – podsumował Edward. – Przychodzi do ciebie.

– Rozmawia ze mną tylko ze względu na ciebie – powtórzyła Anna. – Kazał mi powiedzieć, że jego zdaniem jesteś zdecydowanie najlepszy. Podoba mu się twoja interpretacja jego utworów. Czuje, że jesteś na dobrym tropie. Uważa, że reszta gra beznadziejnie. Akceptuje to, do czego zmierzasz. Mówi, że gdyby wiedział, że jego muzyka okaże się nieśmiertelna, zostawiłby więcej wskazówek interpretacyjnych, jak Mahler.

– Sądziłem, że nie wiesz nic o muzyce.

– Bo nie wiem. Naprawdę. Ja tylko powtarzam jego słowa. Powiedział mi...

– Żebym go słuchał, rozluźnił ramiona i zmienił palcowanie, a wtedy uzyskam górne b. – Edward powtórzył wszystko, co powiedziała Anna.

Żarty sobie ze mnie robi? Tak, pewnie tak.

– O to chodzi z tymi dwiema automatycznymi sekretarkami? – zapytał Edward. – Zastanawiało mnie to.

Tak, wyjaśniła Anna, o to chodzi z dwiema automatycznymi sekretarkami. Jedna z nich podłączona jest do telefonu, który służy jej do kontaktów zawodowych.

– Więc jesteś pogromczynią duchów? – Edwardowi wydawało się, że pierwszy to wymyślił.

– Tak nazywa mnie Alan. – Anna owinęła szalik wokół szyi. Z wysiłkiem włożyła płaszcz.

– Alan o tym wie? – Edward patrzył na nią, ale nie zrywał się na nogi. Nie prosił, żeby została. Jasne. To coś ulotnego, pięknego, co ich łączyło, przepadło.

– Oczywiście, że wie. Dorastał z tym. Żyliśmy z tym od małego. – Anna sama słyszała w swoim głosie furię i ton obronny. Edward natomiast wydawał się spokojny, chłodny i pozbierany. To wyparcie – uznała Anna.

– Od małego? – zapytał niedowierzająco Edward. – Zawsze potrafiłaś nawiązać kontakt z duchami?

– Od piątego roku życia. Zaczęło się u babci. Ale nie chcę o tym mówić. – Anna pozapinała płaszcz. – Idę do domu –oznajmiła.

Była już czerwona jak burak i z trudem powstrzymywała łzy. Naciągnęła rękawiczki i włożyła ręce do kieszeni.

– Och, Edwardzie – powiedziała, odwracając się do wyjścia – tak mi przykro.

W windzie po policzkach pociekły jej łzy, a kiedy dotarła do mieszkania, rozplakała się na dobre. Przebierając się na spotkanie o dziewiątej, musiała sięgać po chusteczki higieniczne. I co miała na siebie włożyć? Wybrała czarną aksamitną sukienkę koktajlową, którą zamierzała kiedyś włożyć na obiad z Edwardem. Próby poprawienia makijażu stały się nie lada wyzwaniem. Wodoodporny tusz do rzęs okazał się niezbyt wodoodporny. Róż się rozmazał. Nieustannie ciekło jej z nosa. W taksówce pierwszy raz była zadowolona z korków. Dzięki nim zyskała czas, by zapanować nad emocjami. Albo prawie zapanować.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – zaniepokoił się kierowca. Nie. Nie wszystko było w porządku.

## 85

Znajoma Harolda, Eleanor, mieszkała w Sutton Place w dwupoziomowym apartamencie.

– Pani na przyjęcie? – zapytał odzwierny, kiedy Anna przybyła punkt dziewiąty; odkreślił jej nazwisko na liście gości i skierował ją do prywatnej windy.

No i zrobiłam to – pomyślała Anna, gdy winda jechała na dziesiąte piętro. – Wszystko zepsułam.

Drzwi się rozsunęły, ukazując eleganckie foyer z biało–czarnymi kaflami. Do Anny podeszła bardzo niska, bardzo pulchna kobieta o bardzo jasnych włosach.

– Jestem Eleanor – oznajmiła, biorąc lekko przestraszoną Annę za rękę i pobrząkując niczym dzwonkami mnóstwem bransolet na nadgarstkach. – Tak się cieszę, że pani przyszła –dodała, prowadząc ją długim holem, obwieszonym zdjęciami w drogich srebrnych ramkach. Anna zauważyła wiele znanych twarzy, ale gdy szła obok nich, zamieniały się w jedną zatartą smugę.

– Tu będzie pani wywoływać duchy – oświadczyła Eleanor, kierując Annę w stronę małego, wyłożonego dębową boazerią baru, który przylegał do dużego salonu w odcieniach czerwieni, ozdobionego obrazami znanych malarzy. Nad głową Anny wisiały wypchane trofea łowieckie, łypiąc na nią szklanymi oczami. Pod jej stopami leżał dywanik ze skóry zebry. Najwyraźniej, jeśli jest się dostatecznie bogatym, można sobie darować poprawność polityczną. Choć ja też nie odznaczam się poprawnością polityczną – uzmysłowiła sobie Anna ze skruchą.

Ze swojego stanowiska po drugiej stronie pokoju skinieniem przywitał się z nią Alexander – zajmował miejsce przy dwuosobowym stoliku w rogu, pod – jak się domyśliła Anna –oryginalnym obrazem Moneta. Sprawiał wrażenie pogodnego i spokojnego. Ciekawe, czy ja z kolei wyglądam na przygnębioną i wytrąconą z równowagi – pomyślała ponuro, gdy Eleanor sadowiła się na krześle obok niej.

– Pomyślałam, że możemy zacząć ode mnie – rzuciła wesoło. – Co tam pani dla mnie ma?

Anna zamknęła oczy i usiłowała się skupić. Gdzieś w zakamarkach dużego mieszkania grał kwartet smyczkowy. Podejrzenie przypominało jej to Mozarta.

– Ma pani coś? – przerwała jej rozmyślenia Eleanor.

– Chwileczkę. – Anna ostrzegawczo uniosła dłoń. Zaczynała coś odbierać. Wyraźnie usłyszała władczy kobiecy głos.

Miała wrażenie, że wyczuwa kogoś eleganckiego i bardzo szczupłego.

„Nie wychodź za niego” – stanowczo doradził głos.

– Proszę za niego nie wychodzić – powtórzyła Anna. Eleanor gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

„Już raz to zrobiłaś i chcesz zrobić ponownie – ostrzegł przybysz. – Doświadczenie niczego cię nie nauczyło?”

Anna przekazała niemilą – jak słusznie sądziła – wiadomość.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Eleanor. – Niech pani zapyta, dlaczego jest taka zgryźliwa.

Anna wysłuchiwała odpowiedzi, a potem powtórzyła ją. „Akcent ma fałszywy, tytuł ma fałszywy, cały jest fałszywy – przekazała. – Oczywiście chodzi mu o twój majątek”.

– Czy to moja matka? — chciała wiedzieć Eleanor. „Żadna z moich córek nie wyjdzie pięć razy za mąż – powtórzyła stanowcze oświadczenie Anna. – Poza tym to gej”.

– To mamusia! – zawołała Eleanor. – Zawsze prawila mi morały. Jej zdaniem nic nie robiłam dobrze. I najwyraźniej nadal mi to pozostało. – Zaśmiała się lekko, gdy stanął przy niej wysoki, dobrze ubrany mężczyzna.

– Co my tu mamy? – zapytał.

– Medium, kochanie – odparła Eleanor. – Pani Anno, to jest Raul; Raul, to pani Anna.

– Medium? Ja noszę elkę – zażartował. Akcent wskazywał, że mężczyzna może pochodzić gdzieś z rejonu Ameryki Środkowej.

– Pani Anna właśnie mówiła mi niezwykle ciekawe rzeczy – paplała Eleanor.

Puściła oko do Anny, która zorientowała się na tej podstawie, że są konspiratorkami – że to jest ewentualny przyszły małżonek i że nie powiedziała Eleanor nic, czego tamta już wcześniej by nie podejrzewała. Więc to całe przyjęcie to sprytny sposób, by uzyskać jakieś informacje o sobie i swoich sprawach – domyśliła się. – Cóż, w każdym razie dostanę sutą zapłatę.

– Ciii! – Alexander syknął w jej kierunku. – Chodź tu. – Przywołał ją ruchem ręki.

– Nie teraz! – zaprotestowała.

Właśnie zauważyła Daisy, przyjaciółkę Eleanor, jak sobie przypomniła, która machała do niej z drugiej części salonu. Chwiejąc się na wysokich szpilkach, Daisy przeszła przez pokój i ucałowała Annę w oba policzki. Ledwie się przywitały, Anna odebrała znajomy sygnał, jaki dawał duch, domagający się jej uwagi.

„Świetna kreacja” – usłyszała Anna wyraźnie. Powtórzyła komplement Daisy i ta z radości klasnęła w ręce. Miała na sobie jaskraworóżowy kostium, ze spódniczką sięgającą do połowy uda. Dobrze jej było w takim żywym kolorze.

– Jakie to zabawne! – zdumiała się Daisy. – Proszę powiedzieć Bunky'emu, że od czasu naszej rozmowy znacznie lepiej mi się wiedzie.

Skrzyżowała nogi w jedwabnych rajstopach i przysiadła bliżej.

– Sama może mu pani to powiedzieć – odparła Anna. – Jest tutaj.

– Lepiej mi idzie, pomyślałbyś? – Daisy rzuciła w powietrze, nad głową Anny.

„Wyglądasz świetnie, tak że od razu powinienem się tego domyślić”.

Anna powtórzyła pełną uznania uwagę ducha.

– Myślę, że zaczynam łapać, o co chodzi. Naprawdę – z dumą wyznała Daisy. – Oczywiście wiem, że mi pomagasz.

„Możesz na mnie liczyć” – powtórzyła Anna dobitnie. Zwalczyła nagłą chęć, by poklepać Daisy po kształtnym kolanie. Powiedziała o tym Daisy i ta zachichotała wesoło.

– Och, on uwielbiał moje kolana! – zagruchała. – Niech pani powie Bunky'emu, że nadal jestem jego dziewczynką. Albo nie, sama mu powiem.

Pochyliła się i szepnęła po dziewczęcemu:

– Bunky, wciąż jestem twoją dziewczynką!

Anna posłusznie przekazała jej wyrazy zachwyty męża. Daisy nagle przestała chichotać i przyjrzała się Annie uważniej.

– Co się stało, kochanie? Płakała pani, prawda? Wciąż ma pani zaczerwienione oczy. Makijaż się rozmazał.

– Tak, troszkę – przyznała Anna.

– I wygląda na to, że jeszcze się pani nie wypłakała.

– Naprawdę? Och, chyba tak. Chodzi o to, że zawałam pewną sprawę. Totalnie zawałam.

– Problemy z facetem? – Daisy pochyliła się jeszcze bardziej, poklepując ją po ręce. Annę otulił zapach jej drogich perfum, który działał kojąco.



– To mnie przydałaby się sesja z duchem – wyznała Anna. –Potrzebuję kogoś, kto by mi powiedział, co robić... albo czego nie robić. .

– A co takiego się stało?

– Posunęłam się o krok za daleko.

– No to proszę nic nie robić. Niech on przemyśli sprawę. Wróci. Oczywiście, że wróci. Pani jest taka urocza.

Ale Anna nie czuła się urocza. Daisy na pożegnanie cmoknęła ją w rozpalony policzek.

Po tete–a–tete z Daisy Anna zerknęła za zegarek. Czas, na jaki została zaproszona, dobiegał końca i już przekazała wieści, za które jej tak sownie zapłacono. Wymknę się po cichu –postanowiła, ale gdy wstała, energicznie przywołał ją do siebie Alexander. Niechętnie podeszła do niego.

– I jak, doigrałaś się, co? – zaczął. – Nie wiem, co takiego zrobiłaś, ale to jasne, że coś zrobiłaś. Zabagniałaś sprawę. Wiesz, o czym mówię?

Uniósł rękę, gdy kolejny uczestnik przyjęcia podszedł do jego stolika.

– To potrwa tylko chwilę – oznajmił.

– Powiedziałam mu, że rozmawiam z duchami – rzekła Anna żałośnie.  
– Chyba nie przyjął tego zbyt dobrze. Przekazałam mu to, co powiedział Mozart. Harold, Mozart, mój ojciec, brat, a nawet mój kumpel Tommy – wszyscy doradzili mi szczerą. Od początku czułam, że to niedobry pomysł. Po prostu czułam – zakończyła Anna.

– Mozart? – Alexander podchwycił znane nazwisko. – Powiedziałaś mu, że rozmawiałaś z Mozartem? – W jego głosie brzmiało niedowierzenie. Jakby naprawdę popełniła głupstwo.

– Tak – przyznała. Czuła, że do oczu napływają jej łzy. Nie chciała rozplakać się przy Alexandrze. – Mozart nalegał, żebym mu powiedziała. Upierał się przy tym.

– Naprawdę? To pewnie przesądziło sprawę – oświadczył.

– Wielkie dzięki. — Anna usłyszała sarkazm w swoim głosie.

– Hej, nie zabijaj posłańca! Ale to musiał być ten wybór, który przepowiedziałem. Pamiętasz? Mówiłem ci, kiedy zobaczyłem...

– Tak, wielkie dzięki. „Wyboje, ochłodzenie, rozstanie” –zacytowała Anna z goryczą.

– I przepowiedziałem wybory, przed którymi staniesz –przypomniał jej Alexander. – Musisz dokonać jakiegoś wyboru?

Anna pomyślała o Tommym i ich niedoszej przygodzie. Nie tyle dokonała wyboru, ile o włos uniknęła popełnienia głupiego błędu.

– Tak – przyznała. – Dokonałam pewnych wyborów. Miałaś rację.

– I nie myślę się co do tego, że przysporzyłaś sobie kłopotów.

– Ale co mam teraz zrobić? – zapytała Anna.

– Przykro mi, nie udzielam rad – odparł sztywno Alexander.

Dał znak oczekującemu klientowi, żeby podszedł.

Edward nie zapukał do jej drzwi tego wieczoru. Nie będąc w stanie znieść dalszych upokorzeń, Anna następnego dnia też do niego nie zajrzała. Kolejnego wieczoru Edward nie przyszedł o zwykłej porze do greckiej knajpki.

Dzień później w osobie Harolda zawitał do szkoły święty Mikołaj. Kiedy przyszła kolej Anny na wyrażenie życzenia, mruknęła tylko:

– Gdyby można było cofnąć czas, chciałabym trzymać buzię na kłódkę. – A potem wybuchnęła płaczem.

- Spokojnie spokojnie — Harold próbował ją pocieszyć
- Och, dlaczego posłuchałam twojej rady? – poskarżyła się.

Edward nie przychodził do restauracji w kolejne wieczory. Do Gwiazdki pozostały tylko trzy dni, więc Anna, zgnębiona zupełnie, kupiła bilet samolotowy, żeby polecieć do domu. Mogła przynajmniej powiedzieć Alanowi, że wiedziała, jak to będzie. Mogła przynajmniej... ale tak naprawdę niewiele mogła. Wpadła w głęboką depresję.

Jadąc taksówką na LaGuardię, starała się nie widzieć dekoracji świątecznych. Podczas lotu odmówiła świątecznego piwa jajecznego. Kiedy po odebraniu bagażu zobaczyła Alana, który przyjechał po nią na lotnisko, padła z płaczem w jego ramiona.

- Powiedziałam mu – zaszlochała. – I się skończyło.
- Musiałaś mu powiedzieć – zauważył współczująco Alan, ze skrepowaniem poklepując ją po ramieniu.
- No i powiedziałam – chlipała. – Dlaczego nie posłuchałam własnej intuicji? Dlaczego posłuchałam ciebie i Mozarta...
- Mozarta? – Na twarzy Alana pojawił się uśmiezek.
- Och, nieważne. – Wręczyła bratu podręczną torbę i popłakując, ruszyła za nim.

## 86

– To święta, podczas których należy się cieszyć. – Matka obudziła ją w bożonarodzeniowy poranek, radosna, bo ojciec towarzyszył jej na pasterkę.

Anna włożyła czerwony flanelowy szlafrok oraz za duże futrzane kapcie i zeszła po schodach, a potem ruszyła w stronę choinki, przy której

czekali już Alan i ojciec. Czy nie wiedzą, że to kiepska pora na świętowanie? – skrzywiła się.

Wręczyła ojcu kunsztownie rzeźbione szachy, które udało jej się znaleźć w Ann Arbor w Wigilię. Matce podarowała świąteczny sweter – starsza pani uwielbiała świąteczne swetry – a Alanowi tani bilet lotniczy do Nowego Jorku, w obie strony. Teraz, gdy Anna i Edward przestali się spotykać, brat był mile widzianym gościem nawet na nieokreślony czas.

Od ojca Anna dostała parę białych rękawiczek z jednym palcem, z wizerunkami duchów. Od matki – książkę kucharską „New York Timesa”, co było niezbyt zawołowaną aluzją do zagrożeń związanych z żywieniem się w greckich restauracjach. Od Alana dostała serdeczny uścisk i mały odtwarzacz CD. „Żebyś mogła zagłuszyć jego muzykę” – rzucił brat; ta uwaga znowu doprowadziła Annę do łez.

Świąteczny obiad był kolejnym punktem programu zmuszającym do sztucznej wesołości. Indyk, nadzienie, ziemniaki puree z czosnkiem i popisowy sos żurawinowo–pomarańczowy były przepyszne. Podobnie jak świąteczny pudding śliwkowy, słusznie uważany za specjalność jej matki.

Edward nie zadzwonił w Boże Narodzenie. Nie żeby na to oczekiwała. Ale wiedziała, że znał imiona jej rodziców. Gdyby chciał, z łatwością mógłby ją odnaleźć. Nie zadzwonił też następnego dnia ani następnego, ani przez cały sylwestrowy wieczór, który Anna spędziła z Alanem i rodzicami, oglądając w telewizji transmisję z opuszczania kuli na Times Square. Nie, Edward nie zadzwonił i Anna wątpiła, czy w ogóle o tym pomyślał. Jak brzmiały słowa Alexandra? „Wyboje”, „ochłodzenie”, „rozstanie”? To coś więcej niż „wyboje” – pomyślała Anna.

Czy "wyboje", "ochłodzenie", "rozstanie" to nie trzy różne i coraz gorsze fazy?

Nowy Rok przyszedł i minął. Depresja Anny się pogłębiła. Włosy miała potargane, twarz zmizerniała, siedziała na kanapie przed telewizorem, owinięta w szlafrok. Rodzice namawiali ją, żeby została jeszcze parę dni, i dla świętego spokoju się zgodziła. Zresztą po co miała wracać do domu?

Kiedy czwartego stycznia u rodziców zadzwonił telefon, okazało się, że to Alan, który chciał z nią rozmawiać.

– Oglądasz? – zapytał.

– Co mam oglądać? – odpowiedziała pytaniem Anna. – Jakiś głupi mecz piłkarski? Myślałam, że już się skończyły. Kreskówki? – Ostatnio jej przygnębienie przybrało formę nieprzyjemnej irytacji na wszystko, co wesołe.

Alan wyjaśnił:

– W Internecie można obejrzeć konkurs pianistyczny, w którym startuje Edward. Jeśli chcesz, powiem ci, jak to zrobić. – Anna, której odebrało mowę, przycisnęła słuchawkę do ucha.

Edward! Miała okazję zobaczyć Edwarda, ale czy chciała tego? Czy, widząc go, nie poczuje się jeszcze gorzej? – zastanowiła się. Wspominał jej, że konkurs będzie można oglądać on-line. Śmiał się z tego pomysłu, nazwał go nową modą i niedorzecznością. Ale dzięki temu mogła go zobaczyć.

– Jesteś tam?! – wrzasnął Alan. – No?! – krzyczał.

– Jestem, jestem – słabym głosem odparła Anna. Czemu nie zdobyć się na szczerść? Chciała go zobaczyć.

– No to daj mamę – poprosił Alan.

Matka Anny była zapalonym komputerowcem. Wróciła do szkoły na krótki kurs obsługi komputera, a potem nic już nie mogło jej powstrzymać. Anna nie powiedziała jej nic o swojej porażce z Edwardem, więc teraz po prostu zagaiła:

– Przyjaciel Alana startuje w konkursie pianistycznym. Alan chce, żebym obejrzała ten występ w Internecie.

Czy matka nabrała się na ten podstęp, pozostało w sferze domysłów, ale po rozmowie z Alanem sprawnie uruchomiła swój szybki komputer i kilkoma ruchami myszki weszła na odpowiednią stronę. Ukazał się „Edward w miniaturze. Transmisja na żywo z serca Teksasu”.

Nawet na widok zmminiaturyzowanej postaci Edwarda serce podeszło Annie do gardła. Nie większy niż myszka Miki, był wciąż Edwardem, mężczyzną, którego kochała. Dopiero zaczął utwór Mozarta. Chociaż dźwięk z komputera pozostawiał wiele do życzenia, Anna słyszała, że Edward gra jak marzenie. Nic dziwnego, że Mozart ma do niego słabość – pomyślała z lekkim przejęciem. – Mój Boże, gra świetnie.

– To jest ktoś, prawda? – zauważyła matka Anny. Czyżby coś podejrzewała?

– Tak, mamo, rzeczywiście. – Anna nie dała się sprowokować.

Czując, że jej prywatne życie nie jest tajemnicą – skąd Alan wiedział, że konkurs jest transmitowany on-line? są z Edwardem w kontakcie e-mailowym? na pewno – Anna oglądała występ Edwarda z rosnącym napięciem. Może Mozart miał rację – przyłapała się na tej myśli. – Może Edward jest najlepszym żyjącym interpretatorem jego utworów. Dziś wydaje się nim niewątpliwie – i ma dobrą fryzurę – zauważyła z satysfakcją. Do diabła! Poczula, że pieką ją oczy.

Patrząc w monitor, Anna zmrużyła oczy i wyteńczyła wzrok, gdy kamera objęła tłum. Jest! Była pewna, że dostrzegła Mozarta.

Edward rozpoczął najtrudniejszą, trzecią część. Anna słyszała ją wiele razy, ale teraz zagrał inaczej. Zamiast przyspieszyć w wirtuozerskich popisach, celowo zwolnił tempo. Odnosiło się wrażenie, że w jego interpretacji muzyka zyskuje głębię i polot. Może naprawdę gra zgodnie z intencjami Mozarta – pomyślała z podnieceniem. – Tak, na pewno, to musi być to. Ponownie zaczęła szukać wzrokiem Mozarta na monitorze, ale tym razem go nie dostrzegła. Kamera skupiła się wyłącznie na Edwardzie, jego zręcznych dłoniach.

– Jest rewelacyjny. Skąd Alan go zna? – zapytała niewinnie matka.

– Wyłącz to – powiedziała do niej Anna. – Po prostu wyłącz.

Po tych słowach pobiegła do swojego pokoju, rzuciła się na swoje dziecięce łóżko i zaszlochała. Jej gorzkie łzy spływały na poduszkę. Mogła tak płakać bez końca.

Przerwał jej dzwonek telefonu. Jurorzy ledwie zdążyli ogłosić werdykt, gdy na linii Kalamazoo–Ann Arbor znowu pojawił się Alan.

– A nie mówiłem? – zapytał z satysfakcją. – Wygrał. Możesz poprosić do telefonu tatę? Jest mi winien pięćdziesiąt dolców.

## 87

*Droży Państwo Oliverowie,*

*dziękuję za miły telefon. Zgadzam się, że rozwój techniki jest zadziwiający, i cieszę się, że mogliście obejrzeć konkurs on–line. Muszę przyznać, że początkowo, kiedy się dowiedziałem, że będzie transmitowany przez Internet, myślałem, że to beznadziejny pomysł, głupie, nowoczesne*

efekciarstwo. Ale nowoczesność nie musi być zła, mam rację? A kamery i cała reszta były naprawdę bardzo dyskretne, w gruncie rzeczy skupiały się na pianiście i klawiaturze.

Pani Oliver, ma Pani całkowitą rację co do szyi. Jest z nią znacznie, znacznie lepiej. Trafiłem na specjalistę, który stwierdził, że problem leży w moich nawykach pianistycznych, i jest to ktoś któremu nie mogę nie wierzyć. Kluczowe okazało się rozluźnienie mięśni i zmiana palcowania, przestałem też starać się tak bardzo i uwierzyłem, że mam rację, jeśli chodzi o moje pierwotne interpretacje. Zabawne, co może działać trochę zachęty w odpowiednim czasie!

Pani Oliver, pyta Pani o moich przyjaciół, Alana i Annę. Obawiam się, że Alan wrócił do Kalamazoo, choć pozostajemy w kontakcie e-mailowym i napisałem mu, w jaki sposób może obejrzeć mój występ. Anna jest wciąż u rodziców w Ann Arbor. Chyba znowu coś zepsułem w naszych stosunkach. To zaskakująca kobieta. Alan mówi, że jeśli dam jej trochę czasu, to może wróci, ale nie wydaje mi się, by Alan miał oszałamiające życie miłosne i znał się na tym. Kiedy poznała Pani Pana Olivera, czy wiedziała Pani, że to ten jedyny, czy też miała Pani wątpliwości i rozterki? Przepraszam za tak osobiste pytanie, ale naprawdę nie mam kogo o to zapytać.

Panie Oliver, dziękuję za przekazanie moim rodzicom wiadomości, że wygrałem. Sam nie mam z nimi kontaktu. Co do Pańskiego pytania, wciąż nie wiem, co niesie ze sobą taka wygrana. Jest jakaś nagroda pieniężna, oczywiście, którą powinienem przekazać Państwu, która jednak oznacza pewnie kolejny rok w Nowym Jorku, jeśli będę żył oszczędnie. Jest program koncertów, a te będą wiązać się z dalszą pracą. No i jest jeszcze, a może przede wszystkim, wyróżnienie – miano najlepszego. Myślę, że to ten



*Koreańczyk, któremu przyznali drugie miejsce, zmobilizował mnie do walki. Szliśmy łeb w łeb. Ale wygrałem i bardzo się z tego cieszę. Dziękuję, że wierzył Pan we mnie, i proszę przekazać Żonie podziękowania za pudełko z niebiańskimi delicjami. W moim zwycięstwie też być może było coś niebiańskiego.*

*Wasz oddany Edward*

*PS Naprawdę ciekaw jestem, czy od razu wiedzieliście, że jesteście dla siebie stworzeni, czy też przeszliście fazę dochodzenia do tego. Teraz, gdy jest już po konkursie, będę wreszcie mógł zająć się innymi ważnymi sprawami w życiu.*

## 88

Anna czuła się po swoich smutnych świętach jak po paskudnym kacu. Umyła włosy, umalowała się i postanowiła podejść do swoich emocji z większym stoicyzmem i godnością. Była w końcu osobą dorosłą. Najwyższy czas zacząć zachowywać się jak ktoś taki. Jak postępowałaby kobieta z wysoką samooceną? Weź z niej przykład – nakazała sobie. Z tą myślą zatelefonowała do pani Murphy. Unikała jej przez całą przerwę świąteczną, bo nie miała ochoty słuchać radosnych prawd o zaświatach. Może teraz wizyta u niej podziała na nią jak balsam? Przynajmniej miałyby się komu zwierzyć. Pożyczyła od matki jej stateczne volvo i przejechała ostrożnie przez zaśnieżone ulice Ann Arbor.

Pani Murphy przyjęła ją z otwartymi ramionami.

– Chodź, chodź. Już myślałam, że może nie chcesz ze mną rozmawiać. Domyślałam się, że przyjechałaś do domu.

Anna pozwoliła się wprowadzić do ciepłego holu. Zdjęła zaśnieżone botki i powiesiła płaszcz na kołku. Z radością zobaczyła, że pani Murphy nie rozebrała jeszcze bożonarodzeniowej choinki. Widziała ją dobrze z aksamitnej kozetki. Gdy zajęła swoje dawne miejsce, nagle ogarnęły ją dziecinne emocje.

– Chyba rzeczywiście nie miałam ochoty z panią rozmawiać. Jestem tak wściekła, że chyba eksploduję – zaczęła Anna. – Nigdy mi pani nie mówiła, jak może być okropnie. Opowiadała pani tylko o „uprzywilejowaniu i moim "DARZE". Nie wspomniała pani, że stanę się odmieńcem. Przekonałam się o tym w bolesny sposób.

– Och, moja droga – odpowiedziała pani Murphy. Siedziała spokojnie, złożony swoje ładne dłonie na podolku, jakby przygotowana na to, że musi przeczekać wzburzenie Anny. – Lepiej opowiedz mi, co się stało.

Na początek Anna zrelacjonowała jej swoje wrażenia z Connecticut, opowiedziała o strachu i napaści, jakie przeżyła niemal na własnej skórze, i poczuciu winy, że zawiodła ducha starszej pani. Zabił ją prawdopodobnie syn, który skorzystał na jej śmierci, i Anna nic z tym nie zrobiła. Marc i Mallory poszli za ciosem i kupili dom, chociaż Anna im to odradzała. Pani Murphy nie przygotowała jej na coś takiego.

– Ty tylko służysz jako pośrednik – delikatnie zapewniła ją pani Murphy. – Przekazujesz, co widziałaś i słyszałaś. Nie masz wpływu na bieg spraw. Przeznaczenie to przeznaczenie, los to los. Nie ma co wchodzić w rolę Boga.

– Wiem, no wiem – jęknęła Anna.

To był standardowy wykład pani Murphy o konieczności zachowania dystansu. Prawdę mówiąc, ciężko było praktykować to w okopach.

– Coś jeszcze? – zachęcająco zapytała pani Murphy. – Mam wrażenie, że coś ukrywasz.

Wobec tego Anna zaczęła relację o prawdziwych problemach, swoim związku z Edwardem i o tym, że rozwijał się on idealnie, dopóki udawała „normalną”.

– Naprawdę mnie lubił – żaliła się, jakby znowu była nastolatką. – Wiem, że tak, czułam to.

– Jeśli cię lubił, to lubi cię nadal. – Ton pani Murphy był kojący. – Jestem pewna, że to tylko nieporozumienie. Zakochanym wciąż się to zdarza. Wiesz przecież.

– Znam teorię – mruknęła Anna. Potem wróciła do swojej śpiewki. – Lubiał mnie, dopóki się nie dowiedział, że jestem czubkiem. Do tamtej pory uważał, że jestem w porządku.

– W takim razie lubił tylko część ciebie, moja droga – zauważyła łagodnie pani Murphy.

– A jak to było z panem Murphym? – zapytała Anna. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, co on myślał o pani zdolnościach. Akceptował je? Miała pani szczęście.

Pani Murphy poczęstowała Annę cukierkami karmelowymi Werther's Original z kryształowej misy, która stała pomiędzy nimi na mahoniowym stoliku do kawy z marmurowym blatem. Kiedy Anna odmówiła, pani Murphy sama wzięła jednego i ssała go w zamyśleniu, jakby miała tam znaleźć odpowiedź – w rozplywającym się nagle smaku.

– Pan Murphy tolerował moje zdolności – odezwała się w końcu. – Nie powiedziałabym, że je wspierał, ale akceptował. Brał je z dobrodziejstwem

inwentarza, a inwentarz stanowiłam ja. Wiedział, że albo bierze mnie taką, jaka jestem, albo w ogóle.

– My jesteśmy teraz na etapie „w ogóle” – Anna podjęła swoją relacją.

– Szło nam dobrze, dopóki nie zjawił się Mozart i nie zaczął mnie namawiać, żebym mu powiedziała. Nienawidzę go! – zakończyła zapalczywie Anna.

– Mozart, dobrze słyszę? Ze mną nigdy nie komunikował się tak słynny duch – oznajmiła pani Murphy, jakby nie rozumiała, o co Annie chodzi. – Powiedz, jaki on był?

– Nie śledzi pani tego, co mówię!

– Opowiedz mi.

– Mozart? Przede wszystkim był nachalny. Skupiony tylko na jednym. Nie przejmowałby się ani mną, ani nawet Edwardem, ale Edward najwyraźniej dobrze rozumiał jego muzykę i stąd to wszystko. – Usiłowała przekazać siłę przekonywania Mozarta, to, jak nakłaniał ją, żeby porozmawiała w jego imieniu z Edwardem, niezależnie od skutków ubocznych, których się spodziewała i które nastąpiły.

– Więc po tym twoim młodym mężczyźnie słuch zaginął? – podsumowała pani Murphy.

– Nie, wcale nie – gniewnie odparła Anna. – Można go zobaczyć w Internecie, jak zdobywa nagrody – niewątpliwi dzięki radom Mozarta.

– Mhm. – Pani Murphy wzięła drugiego cukierka i jakby zamyśliła się nad żalami Anny.

– Czy Mozart wrócił? – zapytała w końcu.

– Jak na razie ani widu, ani słyhu – prychnęła Anna. – Myślę, że już mnie nie potrzebuje. A podziękowania pewnie nie leżą w jego charakterze.

– Nie, pewnie nie – zgodziła się pani Murphy. – Ale muzykę tworzył piękną, nieprawdaz?

Świetnie. Trafiła się wielbicielka – pomyślała Anna. Sprawy nie poprawił fakt, że przypomniała sobie, jak Edward grał Mozarta, ten potok dźwięków, jakie zalewały jej kawalerkę.

– Więc w gruncie rzeczy nie może mi pani udzielić żadnej rady? – oskarżycielsko zauważyła Anna.

– Cóż, to przywilej i dar być medium – pani Murphy zaczęła swoją starą, dobrze znaną przemowę. – Musisz zawsze pamiętać, jaki to zaszczyt, choć wolno ci też ustalać pewne swoje zasady.

– Niech pani to powie Mozartowi – odcięła się Anna. – To on dyktował warunki. A ja byłam na tyle głupia, by go posłuchać.

Naprawdę była wściekła – uzmysłowiła sobie. Zachowywała się jak nastolatka, jak w czasach, gdy pierwszy raz przyszła do pani Murphy.

– Chciałabym mieć taką okazję – zauważyła pani Murphy, biorąc trzeciego cukierka. – Bardzo chciałabym poznać Mozarta.

– Cóż, w przeciwieństwie do mnie. Pragnę być normalna! — wybuchnęła Anna. Pani może rozmawiać z duchami. Nic pani nie ma do stracenia, będąc odmieńcem.

– Och, moja droga – ze smutkiem powiedziała pani Murphy. – Już to przerabialiśmy, prawda? Nie jesteś żadnym odmieńcem. Jesteś kimś wyjątkowym. Tak trzeba na to patrzeć.

– Powie to pani Edwardowi? – wyrzuciła z siebie Anna.

Zawstydzona, czuła, że jej gniew zaczął przemieniać się w smutek. Gorące, znajome już łzy piekły oczy. Na pocieszenie sięgnęła po cukierek.

– Pamiętasz, że Isabella uwielbiała te cukierki? – zapytała pani Murphy.

Isabella to była jej nieżyjąca już foksterierka. Uczestniczyła w wielu sesjach Anny i pani Murphy. Rzeczywiście, przepadała za cukierkami karmelowymi.

– Pamiętam – odparła Anna, pociągając nosem.

Zauważyła, że pani Murphy postarzała się i stała się jakby bardziej krucha. Jej wiara była być może silna, ale ona sama –nie. Anna zaczęła się zastanawiać, ile czasu jeszcze upłynie do momentu, zanim pani Murphy sama przemówi do niej z za śmiertelnego całunu.

– W większości przypadków duchy stanowią miłe towarzystwo – pani Murphy przywołała ostatni już argument. –Nie zgodzisz się ze mną?

Anna, której dosłownie przez całe życie towarzyszyły wyższe byty, musiała przyznać, że duchy łagodzą poczucie samotności.

– W większości przypadków owszem, ale nie Mozart.

– Powiem ci coś – rzuciła nagle pani Murphy. – Myślę, że jednak można na niego liczyć.

– Na Edwarda? – zapytała Anna.

– Nie na Edwarda, na Mozarta – wyjaśniła jej mentorka.

## 89

Przejazd z LaGuardii był koszmarem z powodu korków. Gdy taksówka powoli sunęła Upper East Side, Anna zauważyła, że większość dekoracji świątecznych już zdjęto, a te, które pozostały, miały w sobie coś przygnębiającego. Taksówka ulicą Osiemdziesiątą Szóstą minęła Central

Park i zajechała pod markizę budynku. Anna szybko zapłaciła kierowcy i sama wzięła swoją walizkę. Na szczęście wiele do niej nie zapakowała.

W holu przywitała ją cisza i szcęk windy, którą Anna przywołała, wciskając guzik. Z powodu całego tego ochłodzenia między nimi Edward mógłby równie dobrze znajdować się w cyberprzestrzeni – z goryczą pomyślała Anna. Drzwi do mieszkania 1E jak Edward były zamknięte na głucho i nie dochodziła stamtąd żadna muzyka.

Wkładając klucz do zamka, Anna pożałowała przez chwilę, że nie ma psa, takiej małej Isabelli, który powitałby ją w domu. Stacy opiekowała się jej filodendronami i starannie układała pocztę na stoliku w kącie do czytania. Anna uznała, że korespondencję przejrzy później. Przede wszystkim musiała odsłuchać wiadomości na automatycznej sekretarce do spraw zawodowych.

Nie myśl o Edwardzie – nakazała sobie. – To już skończone.

Tak jak powiedziała pani Murphy, Edward musiał zaakceptować ją ze wszystkim – lecz oczywiście nie potrafił. Ale ja już potrafię – stwierdziła Anna. Poczula miły przypływ samoakceptacji. Przynajmniej pogodziłam się sama ze sobą. Jestem kobietą, która jedną nogą tkwi w zaświatach. To dar i przywilej, właśnie tak jak mówi pani Murphy. Mogę odpowiedzieć na propozycje zawodowe i powinnam się cieszyć, że je mam. Tak, od tego zacznę.

W momencie, kiedy Anna pogodziła się z losem, coś się dokonało; nie wiedziała co, ale podczas wizyty u pani Murphy czy zaraz po niej, a może w trakcie lotu do domu, ponownie zaakceptowała swoje zdolności. Można nazwać to fatalizmem. Albo poddaniem się. Jeśli jej dar miał kosztować ją utratę Edwarda, to trudno, niech będzie. Nawet nie podjął próby. Jak pani

Murphy, Anna potrzebowała mężczyzny, który by przynajmniej tolerował jej odmienność. Czy to za duże wymagania? – zastanawiała się. – Pewnie dla Edwarda tak.

Na jej sekretarce nagranych było dwadzieścia jeden wiadomości – dużo, ale Anna przypomniała sobie, że ignorowała je tygodniami, udając „normalną”. Wyjąwszy swój czarny skórzany notes i długopis, zapisała nazwiska i numery telefonów. W nowym roku z pewnością nie zabraknie jej pieniędzy – pomyślała. Godzinę trwało przepisanie wszystkich informacji z wiadomości zostawionych na sekretarce.

Dobra robota – powiedziała sobie. – Trzeba zacząć od małych kroczków. Nie myśl o Edwardzie. Myśl tylko o pracy. I tak szczęście, że masz także fascynujące zajęcie. Szczęście też, że nie słychać tego przekłętego fortepianu. Nie potrzeba mi jeszcze łzawego podkładu muzycznego. I bez niego mam złamane serce.

Była też zmęczona. Postanowiła, że oddzwoni pod zapisane numery telefoniczne następnego dnia. Przebrawszy się w wygodną koszulę nocną z flaneli, wspięła się do łóżka.

Zegar przy łóżku wskazywał wpół do trzeciej, kiedy obudziły ją słabe tony melodii. Zerknąwszy zza rogu poduszki, Anna zobaczyła Mozarta, jak unosił się koło okna, nucąc sobie pod nosem z niewinnym roztargnieniem.

„To ty! – rzuciła oskarżycielsko. – Co tu robisz? Nie mogłeś oprzeć się pokusie, żeby wrócić na miejsce zbrodni?” Usiadła na łóżku i rzuciła poduszką w kierunku Mozarta. On zręcznie się przed nią uchylił.

„Zjawiłem się, żeby ci pogratulować” – oznajmił Mozart z godnością. – Dobra robota”. Złożył przed Anną ukłon.

Co za fircyk – pomyślała.



„Gratulacje” – nie poddawał się Mozart.

„Jeśli chodzi ci o to, że wygrał, to widziałam w Internecie. Ostatnio tylko w ten sposób widuję Edwarda” – warknęła Anna w stronę Mozarta. Rzuciła mu złowrogie spojrzenie, ale on je zignorował i mówił dalej.

„Grał wspaniale. Skorzystał z wszystkich moich rad. – Teraz duch już promieniał dumą. – Rozluźnił ramiona. Zmienił palcowanie. Konstancja i ja byliśmy zachwyceni. Nawet mój ojciec był pod wrażeniem – a jest bardzo wymagający”.

„Domyślałam się, że podpowiadasz mu do ucha – zarzuciła mu Anna. – Widziałam cię na ekranie”.

„Nie, nie. Niestety, nie wolno mi podpowiadać. Edward po prostu skorzystał z rad, które ty mu dałaś. To znaczy moich rad, przekazanych przez ciebie. Tak jak to zaplanowałem. Wiedziałem, że się ucieszy z mojej wiadomości”. Duch wręcz się pysznił. „Moje nazwisko naprawdę coś znaczy w pewnych kręgach” – dodał.

„A ja żałuję, że nie trzymałam języka za zębami. Był moim facetem” – odcięła się Anna. I pomyślała: Po co liczyć na współczucie ze strony kogoś, kto go nie czuje? On jest tak skoncentrowany na muzyce, że nie może sobie pozwolić na ludzkie uczucia. Nie wiadomo zresztą, czy kiedykolwiek je miał.

„Ach taki Więc to jest przyczyna! – Mozart pstryknął palcami, jakby właśnie rozwiązał zagadkę. – Porzuciłaś go, a on porzucił moją muzykę. Cieszę się, że przyszedłem porozmawiać z tobą”.

„O czym ty mówisz? – zapytała Anna. – To on porzucił mnie!”

Przypomniała sobie radę pani Murphy.

„To wszystko przez ciebie” – oskarżyła go.

Czy to sobie wyobraziła, czy Mozart rzeczywiście nieco się skulił? Trochę go zdenerwowałam? – pomyślała. – No i dobrze.

„Muzyka – wyjaśnił Mozart, jakby mówił do kogoś z lekka opóźnionego w rozwoju. – Muzyka, muzyka i jeszcze raz muzyka. Zdobył pierwsze miejsce, ale teraz skończył z moją muzyką”. W głosie ducha zabrzmiał smutek.

Anna przypomniała sobie dziwną ciszę z poprzedniego wieczoru. Więc Edward przestał grać? A przynajmniej przestał grać Mozarta? W mieszkaniu zapadło milczenie. Mozart westchnął melodramatycznie. Załamał swoje bezcielesne ręce w geście dramatycznego błagania. „Nie mogę wyrazić, jak brakuje mi jego muzyki. Ale musi mu ona przypominać o tobie. Aż wzdragam się na samą myśl”.

„Sam jesteś sobie winien! – zawołała z oburzeniem Anna. – To był twój błyskotliwy pomysł, żebym powiedziała mu o wszystkim. Kochaliśmy się. Byliśmy szczęśliwi. Życie jest ważniejsze od muzyki”.

„Otóż to!” – Mozart znowu pstryknął palcami.

Najwyraźniej coś mu przyszło do głowy. Widocznie Anna mimowolnie dostarczyła mu informacji, których potrzebował. Duch wyglądał naprawdę jak w technicolorze i prawie jak człowiek z krwi i kości, gdy wykrzyknął: „Życie jest ważniejsze niż muzyka! Tak zawsze mówiła moja żona!”.

## 90

*Drodzy Państwo Oliverowie, dziękuję, że pytacie .Chyba ma Pani rację, Pani Oliver. Tak jak Pani sugerowała, wszystko przynosi pewne rozczarowanie i człowiek czuje się potem nawet samotny. Kiedy ma się jakiś cel, to po jego osiągnięciu pojawia się poczucie pustki. Albo naprawdę dopadła mnie samotność.*

*Zeszłej nocy miałem dziwny sen. Śniło mi się, że leżałem w łóżku, ale się obudziłem i zobaczyłem, że przy moim fortepianie siedzi Mozart. Wyglądał jak na wszystkich podobiznach, jakie kiedykolwiek widziałem, może tylko wydawał się trochę bardziej rzeczywisty. Zaczął grać jeden z koncertów fortepianowych, a potem przerwał i zwrócił się do mnie. Powiedział: Życie jest ważniejsze niż muzyka, mój chłopcze, a potem puścił do mnie oko, jakbym wiedział, co ma na myśli. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że na pulpicie leżą otwarte nuty koncertu fortepianowego, a nie pamiętam, żebym je tam zostawił. Ale oczywiście musiałem to zrobić.*

*Z poważaniem Wasz Edward*

## 91

W greckiej restauracji pełno było porannych gości. Anna zlustrowała zebranych w poszukiwaniu miedzianych włosów Edwarda, ale stwierdziła, że droga wolna. Wszystkie boksy zostały zajęte, a i przy kontuarze nie było miejsca. Może daruję sobie śniadanie – pomyślała. – Właściwie nie mam apetytu. Ale wtedy usłyszała, że ktoś ją woła. Był to Tommy.

– Więc wróciłaś! – Tommy siedział przy barze, jedząc samotnie śniadanie.

– Wróciłam – potwierdziła Anna. Ucałowała go w policzek.

Po zniknięciu Mozarta Anna źle spała. Gdzieś w głębi duszy wciąż dyskutowała z duchem. „Powinnam była powiedzieć...” „Mogłam powiedzieć...” Jednocześnie myślała o telefonach, które miała do wykonania. I tęskniła za Edwardem. Przyzwyczaiła się już do jego obecności w swoim łóżku, do jego głębokiego snu, głowy opartej na jej ramieniu, które odgrywało rolę kołyski. Do diabła z tym, do diabła! Anna przewracała się z boku na bok i wierciła. Edward był tak blisko niej i tak daleko. Mogłaby zapukać do jego drzwi; mogłaby poprosić o wybaczenie. Ale nie, nie mogła. Miała przecież swoją dumę.

Styczniowe niebo za oknem było szare, ołowiowe – jego barwa i struktura idealnie pasowały do nastroju Anny. Miała oczywiście oddzwonić do klientów, ale poczuła, że jakoś nie pali się do tego. Życie mogło toczyć się bez Edwarda, to było jasne, lecz w tej postaci nie musiało jej się podobać. Może by się wybrać na mroźny smutny spacer do parku – przyszło jej do głowy. Tak, to właśnie robi. Ale najpierw śniadanie w greckiej knajpce. Jeśli natknie się na niego, to się natknie. Prędzej czy później to przecież musi nastąpić.

– Liczyłem, że tu przyjdiesz – cieszył się Tommy. – Mają tu świetny omlet, jak z zachodu.

– Będę musiała spróbować. – Anna nie miała ochoty na rozmówki towarzyskie.

– Usiądź. – Tommy wskazał stołek obok siebie, który musiał niedawno się zwolnić.

– Myślałam raczej o drożdżówce – wymówiła się Anna.

– Zawsze trudno dojść z tobą do ładu. – Tommy się zaśmiał. – Rób, co chcesz.

– Anno! Anno! Wróciłaś! – Tym razem radosny głos należał do Harolda, który wyszedł z toalety i skierował się prosto ku Annie i Tommy'emu.

– Usiądź na moim miejscu. Ja postoję – powiedział do Anny.

Pocałował ją jowialnie w oba policzki, podczas gdy Anna usiłowała ogarnąć myślą nową sytuację: Harold i Tommy. Harold i Tommy jedzą razem śniadanie. Harold i Tommy...

– Zatkaną cię? – zaczął przekomarzać się z nią Tommy. – Zanim zaczniesz snuć domysły, możesz złożyć nam gratulacje.

– To cudownie – wykrztusiła Anna.

– Oczywiście zawdzięczamy to tobie. – Tommy poklepał Harolda po ręce.

– Mnie? – Anna osłupiała. – Jak to mnie?

– Musiałaś zauważyć tamtego wieczoru przed paradą, że coś między nami zaiskrzyło – odparł Tommy. – Pocziwa z ciebie dziewczyna, że zaproponowałaś wtedy pójście do baru, żebyśmy mogli się lepiej poznać.

– Wydaje mi się, że sam to zaproponowałeś – stwierdziła Anna.

Akurat w tej chwili nie czuła się pocziwą dziewczyną. Czuła się głupio i była zakłopotana.

– Nie, ja to zrobiłem – sprzeciwił się Harold. – To chyba ja zaproponowałem, żebyśmy poszli do baru.

– Reszta jest milczeniem – wesoło oznajmił Tommy.

– Jak to się stało, że nic nie wiem? – zapytała Anna.

– Poszłaś do toalety, a my wymieniliśmy numery telefonów. Proste jak drut – wyjaśnił Tommy.

Nie sprawiał wrażenia ani trochę zmieszanego. Anna czuła się jak maruda, która ma ochotę powiedzieć: „Ale przecież zalecaliście się do mnie!”. Harold był zbyt uszczęśliwiony, żeby zauważyć jej skrepowanie. Najwyraźniej obaj spodziewali się, że będzie uradowana. Pomijając zaskoczenie i pewien żal, w gruncie rzeczy się ucieszyła.

– Anno! Anno! Tutaj! – Tym razem wołała ją Stacy. Anna nie zauważyła jej w tłumie. Zajmowała tylny boks

wraz z mężczyzną, który wydał się znajomy. Przytuleni do siebie, Stacy i jej partner, siedzieli po jednej stronie stolika.

– Obowiązki wzywają – powiedziała Anna do Tommy'ego.

– Miss Popularności. – Cmoknął ją na pożegnanie. Podeszła do przedziału, gdzie czekała już na nią Stacy.

– Anno!

– Stacy! – Nachyliła się, żeby pocałować przyjaciółkę. Przynajmniej nie jest z Jeffreyem – zauważyła. Stacy lekko pachniała męską wodą po goleniu.

– Proszę. Przysiądź się do nas – odezwał się mężczyzna. – Jestem David. Poznaliśmy się kiedyś w szkole jeździeckiej.

Wyzwolił się z objęć Stacy na tyle, by serdecznie uścisnąć rękę Anny.

– David. Oczywiście, że pamiętam. – Anna pamiętała jedynie, że David odbył ze Stacy poważną rozmowę po seksie tantrycznym. Ale to była zbyt przebrzmiała sprawa, by oceniać na jej podstawie stan rzeczy.

– Przysiądź się do nas – nalegała Stacy. – I powiedz mi, kto to był. – Wskazała wolne miejsce po przeciwnej stronie.

Nie mam ochoty przysiąc się do was – pomyślała Anna niechętnie.

– To tylko znajomy – mruknęła.

– Prosimy – nie ustępował David. – Kelner! Trzecie nakrycie!

Świetnie. Zakochani i przyzwoitka. Będę piątym kołem u wozu.

– No chodź, Anno. Stęskniliśmy się za tobą. Kim był ten przystojniak?

– Stacy posłała jej słoneczny uśmiech.

Nie wywinę się od tego – stwierdziła w duchu.

– Po prostu przyjaciel – odparła wymijająco Anna.

– Dość egzotyczny – zauważyła Stacy. – No siadaj.

W końcu więc Anna zamówiła sałatkę owocową i drożdżową bułeczkę. Dziubiła je, podczas gdy Stacy i David pochłaniali ze smakiem naleśniki z jagodami oraz gofry z truskawkami i bitą śmietaną.

To wiele mówi o ich apetytach seksualnych! — zauważyła w myśli.

– Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała Stacy między kolejnymi kęsami.

– Ja też – dodał jak echo David, który wciąż władczo obejmował Stacy ramieniem. – Stacy mówi, że zawsze byłaś moją rzeczniczką.

Czyżby? Mgliście przypomniała sobie, że wyraziła się o nim dobrze, gdy Stacy była w rozsypce po zerwaniu z Jeffreyem

– Tak, chyba tak – przyznała. – Kiedyś istotnie stanęłam po twojej stronie.

– I dobrze się stało – mruknęła Stacy, podsuwając Davidowi szczególnie apetyczną truskawkę.

Przytłoczona tymi czułościami, Anna się pożegnała.

Anna weszła do parku od ulicy Osiemdziesiątej Szóstej, tak jak zawsze miała w zwyczaju. Wszelkie żywsze barwy zniknęły, rzecz jasna, a zeschnięte liście, które jeszcze pozostały na drzewach, były szare i pozbawione życia jak ona sama. Wiał paskudny wiatr. Ale to także jej nie przeszkadzało. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby otulić się szalikiem, który zarzuciła na szyję. Ze złością skinęła głową Charlotte, małej westie, i jej właścicielce, które minęła. Stali spacerowicze i uprawiający jogging w parku często znali się z widzenia. Wszyscy chodzili tymi samymi ścieżkami i w sposób nieunikniony zaczynali się nawzajem rozpoznawać. Ale Anna nie miała ochoty na pogawędki. Nieszczęśliwie zakochani unikają towarzystwa, więc zamiast wędrować po zbyt licznie uczęszczanym zagajniku, wybrała inny rejon parku.

Wysypana popiołem ścieżka dla koni okrążyła zagajnik dużą pętlą i Anna postanowiła nią przejść, czując ponure zadowolenie, z podjętego wysiłku. Była sama, więc za towarzystwo miała wyłącznie duchy. Jej kariera najwyraźniej znajdowała się w rozkwicie. Czyż to nie sprawiało jej satysfakcji?

Nie, jakoś nie. Cholera, cholera, cholera!

Użalając się nad sobą, Anna szła przed siebie. Zbliżała się właśnie do miejsca zderzenia z Edwardem, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.

– Anno, Anno, czy to ty?!

Był to głos Edwarda i Anna sztywno odwróciła się w jego stronę. Zobaczyła, że Edward stoi kilka kroków za nią, z rękami smętnie wetkniętymi w kieszenie i nosem poczerwieniałym od zimna. Krótko



ostrzyżone włosy zaczynały odrastać i miedziane kosmyki sterczały we wszystkie strony. Miał na sobie workowaty strój do biegania. Widocznie zrezygnował z roweru na rzecz joggingu.

– Wyglądasz jak dzikus – zauważyła niechętnie Anna. – Przydałoby ci się strzyżenie.

– Czuję się jak dzikus – odparł Edward. – Mogę przejść się z tobą?

– To wolny kraj – stwierdziła Anna.

Unikała jego wzroku. Dlaczego miała ułatwiać mu sprawę? Edward ruszył obok niej, dostosowując do niej swoje długie kroki. Idealnie zgrani, szli wytrwale naprzód.

– Nie rozumiem, po co zadajesz sobie trud – rzuciła z gniewem Anna, gdy milczenie stało się nie do zniesienia. – Nie musimy się spotykać. Co nie znaczy, że cię unikam, tak jak ty unikasz mnie. – Kopnęła ze złością kamyk na ścieżce.

– To ty uciełaś wszelkie kontakty! Nie odpowiedziałaś, gdy zapukałem do twoich drzwi! – Edward zaczął się bronić. Prawie krzyczał.

– Przecież nie pukałeś – zarzuciła mu Anna.

Potem przypomniała sobie, że tamtego dnia wyszła na przyjęcie u Eleanor. Obudziła się w niej nadzieja. Przestań – powiedziała sobie. – Przestań, przestań!

– Gniewasz się na mnie, prawda? – Edward zaczął od nowa. (Gniewać się na niego? Łagodnie powiedziane). – Rozumiem to. Ale miałem mnóstwo zajęć, a ty wyjechałaś do Ann Arbor.

– Skąd wiesz, gdzie byłam? – zapytała ostro Anna. – Choć nietrudno było się tego domyślić.

– Alan i ja e-mailujemy do siebie – wyjaśnił Edward. Teraz Anna poczuła się jak dzikuska. A Edward? Mimo

czerwonego nosa wyglądał świetnie, jak nigdy. Nie patrz na niego – rozkazała sobie. – Jeśli będziesz na niego patrzeć, przepadniesz z kretesem.

– Fajnie macie – burknęła Anna, uświadamiając sobie, jak małostkowo to zabrzmiało.

Dlaczego muszę wygadywać takie głupoty? – pomyślała. –Dlaczego nie mogę być bardziej wyrafinowana i elegancka?

– Miałem dużo rzeczy do przemyślenia. Duchy, Mozart i cała reszta – zauważył rozsądnie Edward.

Zdawał się przekonany, że postępował całkiem racjonalnie. Anna miała ochotę go udusić. Czy nie przerwał ich obiecującego romansu? I to wtedy, gdy tak dobrze się rozwijał? Tak, z całą pewnością przerwał. Tchórz. Lizus. Czy czubek może być taki pociągający? Tak, wynika z tego, że tak. Nie patrz na niego! – znów nakazała sobie.

– Przykro mi, że to cię przytłoczyło – rzuciła Anna oskarżycielsko.

No dalej! Niech zaprzeczy! Niech... Ale Edward chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie. Był tak wysoki, że przed oczami miała jego jabłko Adama. Niechętnie uniosła wzrok.

Edward spoglądał na nią. Przez chwilę myślała, że mogą się po prostu pocałować, ale nie, on miał jej coś do powiedzenia. Wpatrywał się w nią intensywnie.

– Czy mówiłem, że to mnie przytłoczyło? – zażądał odpowiedzi. Ścisnął ją za ramiona jeszcze mocniej. – To ty wybiegłaś z restauracji. To ty wyjechałaś do domu. To ja zostałem porzucony jako ten, który nie stanął na wysokości zadania, który okazał się zbyt ograniczony, by cię zaakceptować

ze wszystkimi twoimi wadami i zaletami. Tak pomyślałaś, prawda? Byłem dla ciebie zbyt płytki. A tymczasem skorzystałem z twoich rad – czy raczej Mozarta. Rozluźniłem ramiona. Zmieniłem palcowanie. Zaufałem własnej intuicji w zakresie interpretacji. To ogromnie mi pomogło, tak bardzo, że nie potrafię tego wyrazić. Na wypadek gdybyś nie wiedziała – wygrałem.

Jego dłonie pianisty nie wypuszczały jej z uścisku.

– Cieszę się, że wygrałeś – przyznała Anna. – Właściwie nawet oglądałam twój występ. Matka włączyła komputer na transmisję z konkursu. Miałaś dobrą fryzurę. Mówią jak idiotka – zganiła siebie.

Edward odsunął ją na wyciągnięcie ramion i zaczął się śmiać. Anna zeszywniała, ale on nadal trzymał ją mocno w uścisku. Jak zachowałby się ktoś normalny? Może ja bym tak spróbowała? – przemknęło jej przez myśl.

– Śmiejesz się ze mnie – oburzyła się.

Robi sobie ze mnie żarty. Tak samo jak wtedy w pralni. Och, pralnia... – Anna się zarumieniła. Edward aż trząsał się ze śmiechu. Rechotał, aż w kącikach oczu zebrały mu się łzy. Smagnał ich powiew wiatru.

– Puść mnie! – Anna czuła, że czerwienieje jeszcze bardziej. Dlaczego muszę się rumienić? Jak zupełna idiotka. Co ten facet ma takiego w sobie? – Powiedziałam ,żebyś mnie puścił!

– Nie – sprzeciwił się Edward. Uścisnął ją jeszcze mocniej. – Nie. Przyśnił mi się Mozart.

– Mozart! Nie cierpię go! – zagotowała się Anna. Edward umilkł na chwilę, by złapać oddech. A potem ciągnął dalej.

– Powiedział mi, że w życiu są ważniejsze rzeczy od muzyki.

Anna była zaskoczona.

– Mozart ci powiedział, że w życiu są ważniejsze rzeczy od muzyki?

Więc nie był z niego taki dupek – odetchnęła z ulgą.

– Miał chyba na myśli włosy – zażartował Edward.

– Miał na myśli mnie, ty kretynie! – zawołała Anna.

– Bywają jeszcze dziwniejsze rzeczy niż rozmowy z Mozartem – kontynuował Edward. – Puccini twierdził, że muzykę do *Madame Butterfly* podyktował mu Bóg. Brahms mówił to samo o swoich dziełach. Beethoven w ostatnim okresie życia pisał „dla Boga”. A z kolei Handel, nie wspominając już o Haydnie...

– Nie wspominając – mruknęła Anna. Edward wyglądał świetnie.

– A gdy byłem mały? Gdy byłem maty, też rozmawiałem z Mozartem – Edward mówił jak najęty.

„Pocałuj go po prostu. Po prostu go pocałuj” – Anna wyraźnie usłyszała głos Mozarta.

No dobra! – pomyślała i uniosła twarz.